

GDY RÓWNOWAGA ŚWIATA ZOSTAJE ZACHWIANA,
MIŁOŚĆ, SZCZĘŚCIE I ŚWIĘTY SPOKÓJ MUSZĄ POCZEKAĆ

OSTRZA BURZY

Stracnicy Madso Voor teno

→ TOM IV ←

Marcin
Mortka

SON
Originals



Marcin
Mortka

Kraków 2023

Ostrza Burzy

Copyright © by Marcin Mortka 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Paulina Stoparek

Konsultacja – Joanna Mika

Korekta – Anna Strożek, Magdalena Świerczek-Gryboś, Grzegorz Krzymianowski

Skład i łamanie – Katarzyna Kotynia

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788383304984

ISBN epub: 9788383304991



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia

Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Julia Siuda, Zuzanna Pieczyńska

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr

Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaik

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Epilog

Książki Marcina Mortki w Wydawnictwie SQN

Powieść tę dedykuję każdemu, kto uznał, że Widmowy Zagon to wciąż za mało. Dziękuję Wam, bo zmusiliście mnie do wyprawy w Głuchobory, gdzie pewnie z własnej woli już bym nie dotarł.



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

Prolog

187 dni do Zorzy

Zamek nosił nazwę Zgroza, czego nikt nie potrafił uzasadnić. Nikt też nie wiedział, dlaczego wszedł w skład Krasnoludzkiego Dominium Gór Miedzianych, choć w zasadzie leżał w obrębie Gór Dostojnych, od zawsze należących do dumnego, zazdrosnego królestwa Głuchoborów. W każdym razie podczas podpisywania uroczystego traktatu między Głuchoborami a Dominium, co nastąpiło w twierdzy Szelağ, ludzie jakoś nie podjęli tematu, a krasnoludy bynajmniej nie chciały im o tym przypominać.

Sędziwy Grumnir, wuj Callestra i jeden z najstarszych krasnoludzkich magów Dominium, zwanych powszechnie Wyjaławiaczami, był przekonany, że zna przyczynę takiego obrotu wydarzeń. Do Zgrozy prowadził bowiem tylko jeden szlak, stosunkowo wąski i niebezpieczny, przez co zimą zamek zostawał odcięty od świata. Przynajmniej dla ludzi, bo krasnoludy w dalszym ciągu mogły zaopatrywać go dzięki eskadrom gryfów. Głuchoborska Rada Dziedziców nie chciała zaprzętać sobie głowy zameczkiem gdzieś wśród wysokich szczytów. Wolą się skupić na kolonizacji swej części dawnej Dzielnicy Centralnej, zwanej teraz po prostu Wschodnią Prowincją.

Grumnir z całego serca pochwalał ten wybór.

– Góry nie są dla ludzi – mruknął do siebie i wstał ze stęknieniem, by podejść do okna.

Na nizinach trwało lato, co na tej wysokości przejawiało się głównie tym, że dni były dłuższe i przez wąskie okna zamku wpadało więcej światła. Bywało też, że wiatry łagodniały i pozwalały cieszyć się zdrowym, słonecznym ciepłem, ale za to powracały pod wieczór i uderzały ze zdwojoną siłą.

Tak jak teraz.

Grumnir przez moment szamotał się z okiennicą i już godził z tym, że przyjdzie mu zawołać któregoś z kilkunastu sług lub żołnierzy z załogi zamku, ale ta w końcu ustąpiła i stary krasnolud zamknął ją z westchnieniem ulgi. Szalejący w kominku ogień natychmiast przycichł, a promyki świec się uspokoiły. Wyjaławiacz podszedł do stołu i podniósł strącone ostatnim podmuchem pergaminy, a następnie pieczołowicie rozłożył je na stole.

– Nie są dla ludzi i nigdy nie były – dodał, przyglądając się uważnie najbliższemu, który okazał się mapą. Uśmiechnął się krzywo i przyglądał rogi dokumentu ciężką dłonią. – Góry należą do tych, którzy potrafią w nie wnikać. Nie tylko sercem i rozumem, ale również ciałem.

Palec wodził po liniach wyrysowanych na mapie, ciągnących się wzdłuż łańcucha gór i wybiegających daleko za nie, krzyżujących się ze sobą bądź łączących się z ogromnymi jaskiniami. Niektóre z linii były urwane, inne opatrzone dziwacznymi symbolami lub długimi opisami, a razem składały się na największe bogactwo krasnoludzkiego plemienia – na Żyły, podziemne trakty, które przecinały cały obszar Rozkrzyczanych Krain i rzekomo docierały aż do morza.

Ich system, którego rozbudowa i konserwacja zostały przerwane na całe stulecie, straszliwie podupadł, a miejscami uległ zniszczeniu. Bywały fragmenty, o których całkiem zapomniano, na co wpływ miał między innymi fakt, że w trakcie walk rodacy Grumnira tracili swe bezcenne biblioteki z mapami. Jeszcze kilka lat wcześniej, choć trudno w to było uwierzyć, Dominium dysponowało zaledwie ośmioma szlakami, z których trzy nie łączyły się z pozostałymi.

Stary Wyjaławiacz uśmiechnął się krzywo.

– Znajdziemy je – rzekł i rozsiadł się na krześle wyściełanym siennikiem. – Znajdziemy je wszystkie. Potrzeba tylko czasu, a tego nam już nie zabraknie.

W istocie, teraz, gdy Tuistanie zostali przepędzeni, a królestwo Głuchoborów, odwieczny wróg krasnoludów, pospieszenie podnosiło się z ruin i kierowało uwagę na wschód, wyglądało na to, że Dominium może w spokoju odbudowywać swoje dziedzictwo. On zaś, Grumnir, jeden z nielicznych, którzy pamiętali czasy sprzed najazdu Tuistan, był gotów oddać tej misji ostatnie lata życia.

– Niewiele trzeba – powiedział zamyślony, a jego wzrok pomknął ku półkom, gdzie piętrzyły się stopy pergaminów. Niektórych nie zdążył jeszcze nawet rozwinać. – Niewiele już trzeba – powtórzył i skierował oczy ku płomieniom tańczącym w kominku. Często rozmawiał z ogniem, jego najcierpliwszym towarzyszem podczas niekończących się wieczorów spędzanych nad ocalałymi okruchami krasnoludzkiej mądrości. Robił to zwłaszcza wtedy, gdy przepelniał go optymizm. – Mamy wszak wszystko, czego trzeba.

Gryf, który wylądował na dziedzińcu Zgrozy dwa dni temu, dostarczył odnalezione mapy pohorskich odcinków Żył. Zdaniem Grumnira w zamku znajdowały się obecnie wszystkie materiały niezbędne do zrekonstruowania całego systemu.

– Potrzeba mi teraz tylko czasu – mruknął. – Który na szczęście mam. Wnet odtworzymy szlaki aż do Wichrogór, a może i dalej.

Złapał za garniec i siorbnął grzanego miodu, który z powodu wiatrów hulających w komnacie jeszcze chwilę temu zdążył już całkowicie wystygnać. Spojrzał na walające się pergaminy i raport spisywany dla ekipy wyznaczonej do udroźnienia legendarnego, ale odciętego po trzęsieniach ziemi Węzła pod głuchoborską fortecą Łoskot, w którym w dawnych czasach łączyły się dziesiątki najważniejszych Żył. Pokręcił siwą głową.

– Nie – rzekł. – Ja tak pracować nie mogę! Ejże, huncwoty! Niechże który mi grzańca przyniesie, bo z myśleniem u mnie krucho!

Odpowiedziała mu cisza.

Grumnir nie po raz pierwszy pożałował, że nie zgodził się na służącego, który przychodziłby na każde jego zawołanie – nie był przecież aż tak stary! – i znów się podniósł.

– Słyszysz mnie tam który?! – zawołał chrapliwie, idąc w stronę drzwi. – Przekłęte obiboki, oby was ziemia nie chciała przyjąć...

Gdzieś huknęło, a potem rozległ się dźwięk przypominający krzyk. Zabłakane gryfie piskłę? Orzeł? Czy może...

Grumnir położył dłoń na ciężkiej żelaznej klamce i wtedy uświadomił sobie, że w wieczornej ciszy Zgrozy coś mu nie pasuje. Zamek był niewielki, a jego pobratymcy, w przeciwieństwie do durnych ludzi, mocno wierzyli w to, że aby zburzyć ciszę, trzeba mieć ku temu wyraźny powód; mimo to wnętrza budowli co rusz rozbrzmiewały echem czyjegoś śmiechu, rozkazu czy przekleństwa. Teraz zaś stary Wyjaławiacz nie słyszał niczego.

Miast niepokoju, obudziło to w nim jedynie złość.

– Pochlali się czy co? – burknął i naparł na drzwi.

Ustały z głuchym zgrzytem zawiasów, po czym porwał je nieoczekiwany przeciąg i trzepnął nimi o kamienną ścianę. W progu stała ludzka kobieta o czarnych, splątanych włosach. Jej wzrok był pusty. Mierzyła do sędziwego krasnoluda z kuszy.

Grumnir zaniemówił, zaskoczony i przestraszony jak nigdy w życiu.

– Pójdiesz z nami – powiedziała płynnym głuchoborskim. – Spakuj te papiery.

Rozdział pierwszy

17 dni do Zorzy

Mads miał wrażenie, że widział go już dwukrotnie. Najpierw mignął mu gdzieś na skraju lasu brzoźowego, gdy wraz z Piołanami zaganiali renifery znad potoku, a potem pojawił się na chwilę wśród cieni, rzucanych w zachodzącym słońcu przez Musze Wzgórze. Voortenowi przyszło nawet do głowy, by spytać kogoś z towarzyszy, czy i on kogoś wypatrzył, ale zrezygnował z tego pomysłu. Czuł, że wystarczyłoby wypowiedzieć pytanie na głos, by wzmocnić niepokój w swoim sercu, a Mads nie chciał się niczym zadrećzać.

Odruchowo uznał więc, że robi to, co czynił od trzech lat. Odwrócił się od lasu i wyparł wszelkie niechciane myśli, a następnie skupił się na tym, co teraz stanowiło treść jego życia. Wrócił wraz ze stadem do miejsca, w którym mieszkało jego plemię, wymienił kilka żartów i uwag o tym, gdzie powinni spędzić zimę, po czym rozsiodłał Żmijkę i dokładnie, nie spiesząc się, zaczął czesać jego sierść. W pełni oddał się szerokim, zamaszystym ruchom zgrzeblęm, a jego myśli krążyły wokół wieczery. Między namiotami snuły się już bowiem smakowite zapachy polewki z reniferowego mięsa i miejscowych ziół. Dzieci pokrzykiwały, psy szczekały zazdrośnie, pragnąc do nich dołączyć. W blasku zachodzącego słońca unosiły się pyłki, które Hunna nazywała jesiennymi włóczęgami.

Szła jesień. Trzecia od pokonania Jaszczura. Trzecia jesień wolności.

– Chodź. – Klepnął Żmijkę w kark. – Pora coś zjeść.

Srokacz zarżał dziko.

– Tak, wiem. Ty zaspokajasz apetyt od rana. To tylko durny człowiek musi nakłaść paskudztwa do garnka i czekać godzinami, aż stanie się dobre. Wybacz, ale nie potrafisz być jak koń.

W oddali dostrzegł Hunnę, której włosy w blasku słońca wydawały się wręcz miedziane. Kobieta wysuwała się pomiędzy nich luźny rzemyk, po czym kilkoma ruchami, spokojnymi jak zawsze, związała je w koński ogon, a potem zamieszała w garnku zawieszonym nad ogniem. Mężczyzna uśmiechnął się i przyspieszył kroku.

– Mads! Mads! Mads! – poszczekiwał Kupka, mały piesek o wielkim łebku, skacząc dookoła.

Voorten uśmiechnął się jeszcze szerzej, podrapał go za uchem i podszedł do ognia tłącego się przed ich namiotem. Nachylił się i pocałował Hunnę w czubek głowy. Jej włosy pachniały wiatrem i suszonymi ziołami.

– Wódz upiera się, by zimować na Wilczych Wrzosowiskach – oświadczył, siadając na wyliniałej skórze renifera.

– Blisko ciepłych źródeł – odrzekła z sennym uśmiechem kobieta.

– Ale daleko od lasów – stwierdził, ujmując podaną mu miszkę. – Trzeba będzie organizować wyprawy po drewno. Mam nadzieję, że Wilcy nie wpadną na pomysł, by się zapuścić w te okolice.

Oblicze Hunny pozostało pogodne.

– Nie, Mads – powiedziała spokojnie. – Nie przejmuj się na zapas. Nie spoglądałam jeszcze w przyszłość, ale doradzę wodzowi, gdy nadejdzie czas.

Voorten skinął parokrotnie głową. Zjedli w milczeniu, a potem wstali i poszli na spacer. Trzymając się za ręce, przeszli przez sosnowy las na skraj strumyka, gdzie czasami łowili ryby, i przeskoczyli po kamieniach na drugi brzeg. Śmiali się, gdy Mads się ześlizgnął i wpadł po kolana do zimnej wody, po czym ucichli i śledzili uganiające się po pniu wiewiórki. Przez chwilę zbierali moroszki, a gdy zaspokoili apetyt na słodkie owoce, usiedli na mchu i wpatrywali się w czerwonawe promienie słońca, przenikające między gałęziami.

Trwał ostatni dzień lata.

Przez melodyjny plusk strumienia przebijały się odgłosy ich wioski: rżenie koni, szczekanie psów, wołanie, uderzenia w bęben. Słuchali ich z lubością, były linami łączącymi z bezpiecznym światem, ale jednocześnie cieszyli się, że odeszli odpowiednio daleko, na tyle, by mogli nasycić się ciszą.

Milczeli. Nauczyli się obchodzić bez zbytecznych słów. Wystarczało im, że siedzą blisko siebie.

I właśnie dzięki temu Voorten spostrzegł, że dzieje się coś niezwykłego. Hunna, wtulona w jego bok, odwróciła głowę. Mads uczynił to samo, a dłoń machinalnie powędrowała mu do długiego noża, który nosił na biodrze.

– Co się dzieje? – spytał odruchowo.

Naraz dojrzał między drzewami postać i przypomniał sobie o złudzeniach, których dziś doświadczył.

Zamrugał parokrotnie, a dłoń, którą zacisnął na rękojeści noża, zsunęła się z niego bezwładnie. Uświadomił sobie, że stoi i wpatruje się w cienie między drzewami.

– Mads? – usłyszał zaniepokojony głos Hunny. – Mads, kto to?

– To... – wykrztusił z niedowierzaniem – to ktoś, kogo spodziewałem się już nigdy nie zobaczyć.

Ujął Hunnę za rękę i rozglądając się na boki, wrócili na drugą stronę strumienia, tym razem z poważnymi minami, bez uśmiechów.

Spomiędzy drzew wyłoniła się samotna smukła postać w długim płaszczu. Uniosła dłoń, by zsunąć kaptur, a wtedy oczom Madsa i Hunny ukazało się zamyślane, lekko uśmiechnięte oblicze, okolone kilkoma kosmykami, które wyslizgnęły się z warkocza.

Patrzyli na twarz, która nie należała do człowieka.

– Gwaine – powiedział Mads, stając na brzegu. – Myślałem, że... że...

Prawdę powiedziawszy, nie wiedział, co myśleć. Przypomniał sobie, co mówiono mu na temat dokonań elfów w dniu ostatecznej rozprawy z Jaszczurem. Usłyszał wtedy również, że Gwaine odjechał, upewniwszy się, iż zagrożenie ostatecznie minęło. Voorten założył wówczas, że ta część jego życia ostatecznie i na zawsze dobiegła końca.

I trzymał się tego przekonania aż do tej chwili.

Gwaine uśmiechał się nieco tajemniczo, tak jak zwykle to czynił. I jak zwykle ów uśmiech, odruch przejęty od ludzi, nie dotarł do jego oczu, wielkich i szeroko otwartych, jak u ptaka. Z ramienia spływał mu długi warkocz, w który powplatał ptasie pióra.

– Myślałeś, że nigdy się nie zobaczymy? – spytał cicho.

Nie, pomyślał Mads z gwałtownością, która zaskoczyła nawet jego samego. To mało powiedziane, Gwaine. Ja miałem nadzieję, że do czasu, gdy wydam ostatnie tchnienie, nikt i nic nawet nie przypomni mi o pieprzonej żołnierskiej doli, którą kiedyś zmuszony byłem prowadzić.

– Tak – odpowiedział chrapliwym głosem. – Tak właśnie myślałem. Hunno, to Gwaine. Elf.

– Wiem – oznajmiła kobieta. – W dawnych czasach widywaliśmy elfy na Pustaci. Niektóre poznały nawet piołańską mowę.

Wpatrywała się w Gwaine'a z zaintrygowaniem, ale Mads nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zeszywniała. Jakby skądś wiedziała, że ich spotkanie nie jest przypadkowe, a odwiedziny takiego gościa zawsze zwiastują coś złego.

Jakby rozumiała, że świat upomniał się o jej ukochanego.

– Witaj, Gwaine. – Jej głos brzmiał mocno.

Elf znów się uśmiechnął i lekko pochylił głowę, a Voorten przypomniał sobie, że ten odruch również przejął od ludzi. Zirytowało go to. Nie chciał przypominać sobie tych rzeczy.

– Dobrze, że udało ci się nas tu zastać – rzekł z udawaną wesołością. – Już za kilka tygodni mieliśmy się udać na zimowe pastwiska, gdzie trudniej byłoby nas znaleźć.

Gwaine pokiwał głową i przez chwilę stali nieruchomo, milczący, jak trzy fragmenty podartej historii.

– Jesteście ze sobą związani – powiedział. – I wiem, że wszystko, co powiem Madsowi, trafi również do ciebie, Hunno, a więc będę mówił do was obojga...

– Nie – przerwał mu Mads. – Nie, Gwaine.

Zacisnął powieki i odwrócił głowę. Niespodziewanie poczuł, jak chciwe łapy przeznaczenia zaciskają się na jego ramionach i usiłują oderwać go od życia, które tak sobie cenił. W sercu zagotowała się wściekłość, a wraz z nią gotowość, by bronić tego życia ze wszystkich sił.

– Nie? – Elf uniósł brwi. – Dlaczego nie chcesz wysłuchać wieści, z którymi przybyłem na ziemię Piołan?

– Dlaczego – powtórzył bezwiednie Voorten. – Dlatego że ty nie jesteś zwykłym gościem, Gwaine. Nie należysz do tych, których zaprowadziłbym do namiotu i poczęstował pieczeniem z ziołami i mlekiem reniferów. Ty przychodzisz po to, by przekazać wieści straszliwe. Takie, które wstrząsną naszym życiem, a ja... – Pokręcił głową i roześmiał się głucho. – A ja już oddałem światu bardzo dużo. Śmiem rzec, że o wiele więcej, niż powinienem. I nie dam mu nic więcej. Wróc do siebie, Gwaine.

– Mads. – Hunna złapała go za dłoń i odwróciła się ku niemu. W jej lekko skośnych oczach połyskiwał lęk przemieszany z niepewnością, ale dopatrzył się w nim również osobliwej, budzącej

niepokój stanowczości. – Mads, dlaczego nie chcesz go wysłuchać? Może...

– Hunna, on nas znalazł tutaj! – warknął Voorten. – W samym sercu Pustaci! Na skraju niczego! Myślisz, że się przyszedł przywitać? Pozdrowić nas? Zapytać, jak nam idzie hodowla?

Zwrócił wściekły wzrok na nieporuszonego Gwaine'a.

– Ty pojawiaasz się w przededniu każdej katastrofy – wycedził i dźgnął elfa palcem w pierś. – Zawróć. Opowiedz o niej komuś innemu.

– Nie umiem – rzekł spokojnie elf. – Nie chcę. Bo tylko ty potrafisz sobie radzić z klęskami.

– Widzisz? – syknął Mads. – Czyli jednak! Nie pomyliłem się. Znowu chcesz mnie w coś wmieszać? Nie, Gwaine. – Jego złość nagle wyparowała. – Nie chcę o niczym słyszeć. Idź sobie.

Elf nie odpowiedział. Zamiast tego złapał na palec unoszącą się w powietrzu nić babiego lata i przez moment przyglądał się, jak rdzewieje w blasku zachodzącego słońca. Następnie podał ją Madsowi, który niespodziewanie zrozumiał przekaz.

Ale to Hunna przejęła nić.

– Wysłuchamy go – stwierdziła cicho.

– Nas to już nie dotyczy – jęknął Voorten.

– Będziemy to wiedzieć, gdy skończy się opowieść – rzekła kobieta i wypuściła nić.

Udali się do namiotu. Elf objął ramionami Żmijkę, który powitał go beztróskim prychnięciem, podrapał za uchem uszczęśliwionego Kupkę i zjadł lekką kolację, wsłuchując się w wieczorne odgłosy plemienia, jakby i jemu przynosiły ukojenie. A potem zaczął mówić.

Mads niewiele spał tej nocy. Długo po tym, jak opowieść Gwaine'a dobiegła końca, leżał i wpatrywał się w ciemność, skupioną pod dachem namiotu, a przez jego umysł przepływały wspomnienia, do których od dawna nie wracał. Odległy odgłos bębnow przeobrażał się w grzmot kopyt, resztki dymu z ogniska przywodziły na myśl wojenną pożogę, a przed oczami przesuwały się wyniosłe mury twierdz, pola bitew, nad którymi kłębiło się ptactwo, i wypłowiałe, podarte proporce na tle szarego nieba.

Leżał i zaciskał powieki, ale łzy i tak się wyślizgiwały. Potrzaśała głową; słowa elfa i tak uparcie trzymały się jego myśli. Maszerujące oddziały. Smocza łuska. Zieleń na niebie. Rozkazy wydawane kobiecym głosem. Dudniące echem podziemia. Biała śmierć czyhająca w mroku.

Nie chcę tego słuchać, powtarzał w duchu, aż w końcu dopadło go znużenie i zasnął.

Zerwał się z mocno bijącym sercem, gdy kłapa wisząca w przejściu zakolysała się w ślad za wychodzącym Gwaine'em.

Posłanie Hunny było puste.

Wyjrzał na zewnątrz i przekonał się, że kobieta siedzi przy ledwie tlącym się ogniu, zakutana w koce. Na jej białych włosach widniały kropelki rosy. Wpatrywała się w cieniutkie wazy mgły, unoszące się nad łąkami i wnikające między pnie sosnowego boru. Gdzieś głośno zaszczekał pies. Leżący na kolanach Hunny Kupka odpowiedział mu niemrawo.

Oczy kobiety zalewała mgła równie gęsta jak ta, która zwiastowała jesienny świt.

– Jedź – powiedziała cicho i złapała go za rękę, gdy przy niej ukucnął. – Jedź. Wiem, że nie chcesz, ale nikt cię nie zastąpi.

Mads pochylił głowę i zacisnął zęby.

– To ostatni raz – wykrztusił, walcząc z dławiącym go wzruszeniem. – Już nigdy więcej...

– Ciii. – Hunna położyła mu palec na ustach i się uśmiechnęła.

– Nie obiecuj niczego, kiedy nie jesteś pewien, czy uda ci się dotrzymać słowa. Czasami widzę przyszłość, ale nie potrafię sięgnąć myślami tak daleko, by mieć pewność, że do mnie wrócisz.

– A bliższą przyszłość widzisz? – chciał wiedzieć. Wbrew sobie.

– Widzę. – Głos Hunny ochłodził. – I wiem, że Gwaine nie przybył tu na darmo. Nie chcę się z tobą rozstawać, Mads, ale... – Przełknęła ślinę. – Ale powinienes z nim jechać. Nie wiem, czemu to ma służyć. Wiem, że nie możesz tego zlekceważyć.

– Czegoś więcej ta przepowiednia nie mówi? – spróbował zażartować. – Dowiedziałaś się, na przykład, czy wrócę?

– Nie pytałam. Nie chcę wiedzieć.

Voorten usiadł obok ukochanej i chwycił kij, by pogrzebać wśród dopalających się szczap. Wpatrywał się w gęsty dym buchający ku niebu i rozważał jej słowa.

– Nie chcesz wybrać się ze mną? – spytał w końcu.

– Ja? – Hunna ściągnęła nieco brwi. – Mnie chcesz namówić, bym znalazła się w świecie zbudowanym z kamienia?

– No tak. Przepraszam.

Pojawił się Gwaine, trzymający konia za ogłowie. Żmijka, jakby wiedział już, na co się zanosí, zarżał radośnie.

– Opiekuj się psem – rzekł Mads i się podniósł. – Niebawem wrócę.

Hunna pokiwała głową i weszła do namiotu, nie oglądając się za siebie.

Człowiek i elf wyruszyli w drogę.

Rozdział drugi

Pięć dni do Zorzy

Malhorn, król Głuchoborów, Pogórza i Wschodniej Prowincji, umierał.

Wiedział o tym cały Łoskot, najstarsza i najdumniejsza forteca głuchoborska, wznosząca się wysoko nad miastem o tej samej nazwie, które od zarania dziejów pełniło funkcję stolicy górskiego królestwa. Wiedzieli o tym zarówno skupieni wokół władcy możni zasiadający w Radzie Dziedziców, jak i urzędnicy dworscy czy rycerze, którzy wchodzili w skład królewskiej drużyny. Prawdę znali też zagraniczni ambasadorzy, zwykli dworzanie i prości żołnierze, marznący na murach twierdzy.

Wszyscy oni, z szacunku dla dzielnego monarchy, zaledwie od niespełna roku noszącego koronę ich dumnego, dopiero co wyzwolonego królestwa, zachowywali ciszę. Nie było słychać pokrzykiwań na dziedzińcach fortecy, nie kłócono się w kuchniach i w stajniach, a sierżanci przekazywali rozkazy cichymi warknięciami. Nie dęto nawet w trąby na znak, że zbliżają się kolejni goście, a most zwodzony spuszczano powoli i ostrożnie.

Jedynie górskie wichry, od zawsze obojętne na ludzkie tragedie, zawodziły nieprzerwanie i niczym watahy szarpiących ofiarę wilków wdzierały się do wnętrza twierdzy każdą szczeliną, trącąc ciężkie kotary i podsycając płomienie pochodni. Przez szpary między okiennicami wnikały również długie promienie słońca, teraz zachodzącego, ale wciąż ciepłego pomimo późniejszej pory i wysokości, na której znajdował się Łoskot.

Ale umierający władca nie chciał patrzeć na słońce.

Każdy, kto spojrział na twierdzę, widział czarne okiennice i od razu odgadywał, że król szykuje się do zstąpienia tam, gdzie mrok rządzi niepodzielnie i nikogo już nie wypuszcza.

Wzrok Malhorna powędrował ku zamykanym właśnie drzwiom. Władca ze znużeniem przymknął powieki.

Dopiero co zakończył spotkanie. Rozmowy z Turunem z rodu Ostańców, który nieoficjalnie przewodził Radzie Dziedziców i był jego najważniejszym sojusznikiem, nigdy nie należały do łatwych, zwłaszcza ostatnimi czasy, gdy sytuacja polityczna w Głuchoborach stawała się coraz bardziej napięta. W przeciwieństwie do nadętego, oschłego Gulvarda z Głazińców, który ze wszystkich sił próbował zrobić z Malhorna swą marionetkę, Turun stał się dla władcy mentorem i doradcą. Oczywiście usiłował wykorzystać sojusz z królem do własnych celów, ale przynajmniej starał się je ukryć. Malhorn zawdzięczał mu wiele – to dzięki Turunowi zasiadający w Radzie przestali mieć do władcy pretensje za wcześniejszy sojusz z Madsem Voortenem i to on wpadł na pomysł, by ogłosić Dziedzicom, że to Malhornowa drużyna stoi za atakiem na krasnoludzki zamek zwany Zgrozą. W ten sposób przekonał do siebie najbardziej konserwatywnych członków Rady, którzy mieli monarsze za złe pokój w Szelażu i chcieli podjęcia dalszych walk z Dominium.

Tak, Malhorn wiele Turunowi zawdzięczał. Wspólnie uknuli mnóstwo znakomitych planów, w tym również ostatni, najdoskonalszy i najbardziej złożony, który miał wejść w decydującą fazę już za kilka dni. Teraz jednakże król marzył tylko o tym, by ten łysy upierdliwiec zostawił go wreszcie w świętym spokoju.

Do wichrów, które wyły żałośnie za oknami, dołączył kolejny głos, znacznie od nich posepniejszy. Malhorn westchnął z irytacją.

– Niech ktoś powie tej pieprzonej smoczycy, by się wreszcie zamknęła... – wycedził.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość – odezwał się Krigstav, stojący na czele trzech rzadko opuszczających komnatę rycerzy królewskiej gwardii przybocznej, rosły i o wyjątkowo jasnym głosie. – Sam dwukrotnie usiłowałem przemówić jej do rozumu, ale to bydlę nie słucha.

– Gdybym wiedział... – Malhorn zakasłał. – Gdybym ja tylko wiedział... Ech, nieważne. Należ mi вина.

Rycerz miał zakłopotaną minę.

– Wasza Królewska Mość, medyk powiedział...

– Że co? – prychnął władca i z trudem podniósł się na łokciu. – Że wino mi zaszkodzi? Zawsze miałem go za idiotę. Tymczasem prosta żołnierska prawda mówi, że póki pijesz, póty żyjesz.

Ostatnie słowa wypowiedział ciszej od poprzednich, jakby ledwie starczyło mu sił na dokończenie zdania. Dłoń nalewającego wino

Krigstava lekko zadrżała.

– Zaiste, idiota – przytaknął. – Tedy może z kimś rozumniejszym powinniście się, panie, naradzić. Rzeknijcie ino słowo, a nasi skoczą do Brzasku, by przywieźć Kostura. To najlepszy znachor w Rozkrzyczanych Krainach, mawiają.

Malhorn patrzył przed siebie, ale wiedział, że strażnicy komnaty wpatrują się w niego z nadzieją.

– Mawiają też, że ma ze sto lat – zauważył, zmrużywszy oczy. – Ci, co go nigdy nie widzieli, znaczy się. Bo ja wiem, że ma dwa razy tyle. Wyzionałby dziad ducha, zanim byście do Spiżycy dotarli.

– No to krasnoludzką Żyłą by go posłać... – zasugerował rycerz z wahaniem. – Znamy taką, która kończy się w okolicach Brzasku.

– Przecież od czasu incydentu ze Zgrozą nie mamy prawa korzystać z Żyły – wymamrotał Malhorn. – A w ogóle to nie gadaj mi nawet o tych pokrakach. I podaj to wino.

Ogromny rycerz z iście matczyną troską przytknął kielich do spierzchniętych ust władcy i przechylił naczynie. Król pił łąpczywie, nie otwierając oczu, aż padł na poduszki z cichym westchnieniem.

– Poza tym – wyszeptał – nie masz ci takiego medyka, który by mi pomógł.

Krigstav zerknął na chorego i zacisnął zęby.

– Chciałbyś coś powiedzieć? – Malhorn znalazł w sobie siłę, by szyderczo wyszczerzyć zęby. – No, śmiało. Skrytykuj swego władcę.

– Nie mam śmiałości, panie – rzekł rycerz. – Chciałem tylko rzec, że są łatwiejsze sposoby na sprowadzenie Kostura. Łatwiejsze i szybsze. A przy okazji pozbylibyśmy się tej wyjącej poczwary.

– Ani się waż posyłać Lharsin do Brzasku – burknął monarcha. – Dopóki to bydlę tu siedzi, żaden z moich rywali nie waży się sięgnąć po Łoskot.

Przez oblicze odstawiającego puchar rycerza przemknął grymas zaskoczenia, ale nie powiedział ani słowa.

Sprytny chłopak, pomyślał Malhorn. Bardzo sprytny. Bo niby z jakich powodów miałbym się przejmować przyszłością Łoskotu...

– Pozostaje nam modlitwa – rzekł głośno i zwrócił spojrzenie w stronę posągu Grzmotuna, który stał na prawo od wejścia do komnaty.

Krigstav i pozostali rycerze odwrócili się ku posagowi i uczcili go sztywnymi ukłonami, a obserwujący ich Malhorn w ostatniej chwili powstrzymał się od przewrócenia oczami.

Grzmotun był najważniejszym bóstwem Głuchoborów przed nadejściem Smoczyicy i Tuistan, więc trudno się dziwić, że okupant podjął wszelkie starania, by kult jak najszybciej zniszczyć i odesłać w zapomnienie. Smocze Strażniczki wypełniły zadanie z ogromną, fanatyczną wprost zawziętością, na skutek czego w Głuchoborach nie przetrwało ani jedno wyobrażenie Grzmotuna, a opowieści o prastarym bóstwie były mętne i niespójne. Pamiętano głównie jego nieustępliwość i surowość: ponoć przedstawiano Grzmotuna jako sędziwego, gniewnego starca, który poświęcił dla wyższych celów lewe ramię, a w prawym nadal ścisnął broń, gotów ze wszystkich sił dalek te cele realizować.

Jeden z pierwszych dekretów Malhorna tuż po koronacji ustanawiał wskrzeszenie dawnej religii, czemu Turun i inni Dziedzice, zwłaszcza ci starsi, przyklasnęli. Przegnanie Tuistan wcale nie oznaczało końca niespokojnych dni i wielu Głuchoborzan potrzebowało świadomości, że czuwa nad nimi wyższa instancja; Malhorn otrzymał raporty, że w wioskach oddalonych od Łoskotu nadal wyznaje się Smoczycę. Szybko zebrał więc gromadę gawędziarzy, artystów i znawców dawnych czasów, która miała za zadanie odtworzyć dawne wierzenia. Chcąc przekonać innych do własnego udawanego zapału – nie czuł przecież żadnego przywiązania do Grzmotuna – zamówił posąg i dla siebie.

Znienawidził go w chwili, w której został ustawiony w jego komnacie. Nie mógł się bowiem oprzeć wrażeniu, że plamy cienia pod grubymi brwiami rzeźby skrywają prawdziwe oczy, a te spoglądają na niego czujnie i szyderczo. Wszak to, co robił, było zaprzeczeniem wszelkich głuchoborskich cnót. Skazywał się na słabość. Nie próbował walczyć.

Pierwszy władca wolnych Głuchoborów stanowił żalosne rozczarowanie.

– Daj jeszcze wina – zażądał.

Łapczywie chwycił naczynie i na moment ujrzał w nim własną twarz. Nawet mosiężna ścianka odbijała jego wiecznie skroplone potem czoło i pożółkłą skórę, tak blada, że widać było przez nią wyraźnie fioletowe wężyki żył. Zaklął w duchu.

Lharsin, skryta gdzieś wśród okolicznych gór, zawyla żałośnie, a wiatry jej zawtórowały. Ogień w ogromnym kominku buchnął żywiej, gobeliny na ścianach się wydeły, któraś z chorągwi załopotala. Promyki świeczek zatańczyły, przez co Malhorn odniósł wrażenie, że Grzmotun przyjrzał mu się baczniej. Zakolysała się broda rogatego Bękart, wyprawiona i powieszona nad wielkimi dębowymi drzwiami.

– Biedna smoczyca. – Władca się zaśmiał, udając beztroskę. – Jeden przywódca kazał jej pójść w cholere, a drugi postanowił umrzeć. I cóż ona teraz pocnie, gdy...

Niespodziewanie dębowe drzwi zadygotały, pchnięte potężną, choć bezgłośną eksplozją. Spod ich dolnej krawędzi, przez którą przeciskały się przeciągi, buchnął dym. Dwaj stojący na straży rycerze błyskawicznie się odwrócili i dobyli broni, a Krigstav postąpił krok ku nim, również łapiąc za oręż. Czwarty z wartowników, stojący przy kominku, już trzymał topór.

– Co się wyrabia...? – wychrypiał Malhorn, usiłując się dźwignąć.

Zasuwa, trzymająca drzwi od środka, wyfrunęła w powietrze i z głośnym łoskotem spadła na posadzkę, musnąwszy ramię jednego z rycerzy. Drugi krzyknął ostrzegawczo, ale w tej samej chwili uderzyły w niego otwierające się gwałtownie drzwi. Zatoczył się w ką, między rozwieszane tam koce i płaszcze, przez co nie zobaczył wpadających do komnaty kłębow dymu i rojów czarnych płatków, wirujących w przeciągach.

Zobaczyli je natomiast Krigstav i strażnik uzbrojony w topór. Dojrzeli też przestępującą próg postać i bez namysłu rzucili się naprzód, wznosząc broń. Dzielilo ich jednak od przybysza kilka kroków, dzięki czemu ten zdołał wnieść dłoń. To wystarczyło, by obaj zbrojni osunęli się na posadzkę bez życia.

Tymczasem strażnik, który zatoczył się w ką, wygrzebał się z koców i z furją rzucił do ataku, nie dostrzegając drugiej postaci, która właśnie wkroczyła do królewskiej komnaty. Sądząc po sylwetce, była to prawdopodobnie kobieta. Rudy warkocz śmignął w powietrzu, a kopnięty w kostkę rycerz zwałił się z łoskotem na posadzkę. Pierwszy z przybyszów ponownie uniósł dłoń i strażnik znieruchomiał na dobre.

Postać odwróciła się ku wrotom. Drzwi zamknęły się same z siebie, a zaszuwa wskoczyła na miejsce. W komnacie zapadła cisza.

– Miło cię ujrzeć, Malhornie – powiedziała po chwili kobieta. – Nie, nie wstawaj.

Jej towarzysz westchnął ciężko i usiadł na krześle pod ścianą. Szkieletowate dłonie złożył na kolanach.

– Elinaare? – wyjąkał król. Wsparty na łokciach, z niedowierzaniem wpatrywał się w kobietę, która szybkim krokiem podeszła w stronę najbliższego okna. – Skalmir? Co wy tu robicie?

– Najpierw – Elinaare złapała za zasuwę okiennicy – otworzę tu okno. Podusimy się w tym dymie.

– Nie! – wychrypiął Malhorn. – Niczego nie otwieraj!

– Nie? – Odwróciła się do niego i zmarszczyła brwi z udawanym zaskoczeniem. – A, racja. Przecież ty tu umierasz i nie można ci w tym przeszkadzać.

Malhorn, z przestraczem całkowicie kłócącym się z majestatem władcy, zerknął na leżących na posadzce ludzi.

Skalmir wywrócił oczami.

– Nic się nie bój – rzekł. – Są nieprzytomni i będą jeszcze długo. Zdamy sobie wszystko wyjaśnić.

– Ależ ja nie mam wam nic do wyjaśniania! – Na wychudłych policzkach monarchy pojawił się rumieniec złości. – Wynoście się stąd! Ja tu umieram i uszanujcie tę chwilę!

Elinaare odwróciła się ku niemu i założyła ramiona na piersi. Z niesmakiem wpatrywała się w leżącego Głuchoborzanina.

– Do szczętu zdurniałeś, Malhorn, jeśli wierzysz, że damy się oszukać – wycodziła. – Nie zapomnij, że byłam kiedyś Smoczą Strażniczką i doskonale wyczuwam nadciągającą śmierć.

– Mnie to samo podpowiada Moc – wtrącił Skalmir. – A gdyby ta była mi obca, pozostają solidne fakty. Jak na przykład to, że ten przekłety Pokrzewka znudził się studiami w Jesiennicy i zwał do Głuchoborów. Nie znam nikogo innego, kto mógłby sporządzić wywar, po którym ktoś wyglądałby tak jak ty teraz. – Zastanowił się i dodał: – Czyli gorzej ode mnie.

Niezdrowy rumieniec na twarzy Malhorna przybrał na sile.

– Wiem o tym – powiedział wolno. – Wiem, że przed takimi jak wy nic się nie ukryje, i wcale nie chodziło mi o to, byście dali się nabrać. Chcę tylko, byście uszanowali mój wysiłek. Myślicie, że dla przyjemności odgrywam to przedstawienie?

– Zapewne nie – odpowiedziała słodkim głosem Elinaare. – Chętnie więc posłuchamy, o co ci chodzi.

– Noszę koronę od zaledwie roku – wymamrotał Głuchoborzanin. – Zdobyłem ją po serii potężnych przepychanek politycznych i z największym trudem udało mi się uzyskać poparcie większości w Radzie Dziedziców. Wiecie, jak to bywa.

Jedni głosili, że jestem za młody, inni wyrzucali mi konszachty z Voortenem, a byli nawet i tacy, którzy zarzucili mi zabójstwo Gulvarda.

Elinaare skrzywiła się z niechęcią.

– Dwa rody pozostały nieprzekonane – ciągnął Malhorn. – To Mchaki i Głazińce, ci ostatni blisko spokrewnieni z Gulvardem. To wpływowe rodziny, które otwarcie spiskują przeciwko mnie i zbierają siły w oczekiwaniu na moje potknięcie, a ja... Ci na podłodze na pewno się nie obudzą?

– Na pewno – uspokoił go Skalmir. – No, opowiadaj dalej.

– Kodeks głuchoborski zabrania im występowania przeciwko prawomocnie koronowanemu władcy, zwłaszcza że jestem pierwszy od czasów Tadmira III Zaginionego – tłumaczył Malhorn. – Mogą to zrobić dopiero wtedy, gdy zgromadzą dowody na to, że nie nadają się do rządzenia. To, że niby umieram pomimo młodego wieku, jest zgoła najmocniejszym z nich, bo przecież cechą wielkiej wagi u króla jest jego długowieczność. Ta inscenizacja – pełnym wściekłości ruchem ręki wskazał komnatę i swoje łóżko – ma na celu sprowokować ich do działania. Jestem przygotowany na zbrojny bunt, a Ostańce, Koziorożce i inne wspierające mnie rody trzymają drużyny w gotowości na wypadek ataku buntowników. Kodeks nakazuje nam czekać.

– A czy ów kodeks pozwala królowi na urządzenie prowokujących przedstawień? – Elinaare przekrzywiła lekko głowę.

– Nie zabrania – odparł wymijająco Malhorn.

– Rozumiem – rzekła. – W skrócie, robisz wszystko, by całe Głuchobory uwierzyły, że umierasz, po to by wyciąć przeciwników politycznych?

– Mniej więcej. – Głuchoborzanin wpatrywał się w nią z niechęcią. – Wywary pieprzonego Pokrzewki odebrały mi wszystkie siły, ale nie mogłem postąpić inaczej. Ktoś z Głazińców czy Mchaków mógłby przekupić medyka i przejrzeć podstęp.

– Aha – powiedziała Elinaare i podeszła go okna. – A czemu nie chcesz, bym je otworzyła?

– Czerni okiennic oznacza żałobę. Jeśli je otworzysz, rozejdzie się wieść, że czuję się lepiej, a wtedy...

– Przedstawienie straci rację bytu. – Pokiwała głową i niby od niechcenia położyła dłoń na klamce.

– Zostaw to okno! – wycharczał Malhorn. – Nie ruszaj go, ty przekłeta córo Smoczycy!

Skalmir drgnął i pochylił się do przodu. Oparł łokcie na kolanach i wbił w leżącego nieprzyjemne spojrzenie.

– Uważaj z doborem słownictwa – syknął. – Chyba że mam nadać twemu przedstawieniu więcej realizmu!

– Wynoście się stąd – jęknął władca. – Błagam was, idźcie sobie! Przecież wszyscy widzieli ten wasz dziki rozbłysk w krużganku... Zaraz się tu zbiegnie służba, a nawet jeśli nie, pojęcia nie mam, co ludziom powiedzieć...

– Uwolnij Dunstana – przerwała mu ostro Elinaare.

– Nie wiem, o czym mówisz. Kogo mam uwolnić? – Malhorn wybałuszył oczy.

– Nie zgrywaj idioty. Nie sładzę, by planowanie rzezi konkurencyjnych rodów pochłonęło cię na tyle, byś zapomniał o wtrąceniu mego syna, a twego bliskiego współpracownika do lochu!

Dłoń Elinaare, wspartą o drewniany parapet, niespodziewanie załala ognista poświata. W zmrużonych oczach kobiety czaiła się wściekłość.

– Elinaare, to skomplikowane... – zaczął Malhorn, ale ta natychmiast wycelowała w niego ognisty palec. Miejsce na parapecie, którego przed chwilą dotykała, było poczerniałe.

– Nie – rzekła. – Wystarczy jedno twoje słowo. Jeden podpis. Jeden rozkaz.

– Dasz mi dokończyć?

– Nie. Od początku tłumaczyłam Dunstanowi, że musi się trzymać od Głuchoborów z daleka – mówiła szybko, z trudem panując nad emocjami. W takich momentach całkowicie zapominała o tym, że jej syn nosi już inne imię: Bielik. – Że wasze serca są zimniejsze od kamieni, z których budujecie te swoje twierdze! Że kodeks zastąpił wam umiejętność myślenia, a polityka zabiła w was zdolność do odczuwania! Uparł się jednak, bo dalej chciał o coś walczyć. Zebrał, dureń, resztę Widmowego Zagonu i wrócił w góry, by ci służyć.

– Służyć? – Malhorn uniósł brew. – Elinaare, mówisz o swoim synu. On nikomu nie służy. On jedynie współpracuje.

– Żonglerkę słowami zostaw sobie na rozmowę z kimś innym! – Była Smocza Strażniczka pochyliła się ku leżącemu. – A logiczne argumenty wsadź sobie tam, gdzie lubisz, bo takowe zaniepokojonej matki nie zainteresują. Masz w tej chwili uwolnić Dunstana.

– A możemy się umówić, że zrobię to po rozprawie z buntownikami? – wysapał Głuchoborzanin, wycieńczony próbą podniesienia się do pozycji siedzącej.

Elinaare pokręciła z rezygnacją głową.

– Dunstan ma siedzieć w lochu, bo ty akurat organizujesz zamach? – warknęła i odwróciła się ku okiennicy.

– Zaczekaj! – Malhorn z trudem łapał oddech. – To nie tak. Dunstan... Dunstan bardzo mi pomógł! Wkradł się w łaski obu rodów i zdobył dowody nie tylko na to, że Głazińce i Mchaki szykują się do rozprawy, ale również na to, że ci głupcy są namawiani do buntu przez kogoś z zewnątrz. Ktoś zwrócił na niego uwagę i oskarżył o szpiegostwo, ale chłopakowi udało się uciec. Musiałem więc udać oburzenie i aresztować go przy pierwszej nadarzającej się okazji, a że zgrywałem już wówczas ciężko chorego... Do cholery, zostaw tę okiennicę!

Niespodziewanie przez komnatę przebiegło drzenie. Skądś dobiegł przeraźliwy wrzask, a wypreparowany łeb rogatego Békarta zwiśł na jednym gwoździu. Rozległ się łoskot, jakby gdzieś zawałiła się kamienna konstrukcja. Elinaare na moment zamarła, a potem zaczęła się pospiesznie zmagać z zasuwą okiennicy, obojętna na przekleństwa i błagania Malhorna.

Okazało się, że nie ma w Łoskocie człowieka, który by w tej chwili spoglądał w stronę górującej nad miastem twierdzy i okien królewskiej komnaty.

W otaczających miasto murach obronnych pojawiła się szeroka szczyrba, zupełnie jakby niewidzialny olbrzym wzniósł swój topór i z całej siły spuścił go na umocnienia. Owo uderzenie było na tyle silne, że impet poniósł się dalej i pozostawił poszerzającą się wrzcionowatą wyrwę, która pochłaniała ulice i zabudowania.

– Malhorn – wykrztusiła. – Malhorn, twoje miasto...

Eliksiry, które Głuchoborzanin wypijał, by pozbawić się sił i upodobnić do umierającego, miały wielką moc, ale wstrząs i niepokój zdołały uwolnić w ciele władcy uśpione pokłady energii. Wyczołgał się z łóżka i na trzęsących się nogach dotarł do okna, gdzie wsparł się o ramię Skalmira. Wstrząśnięci, patrzyli, jak przez Łoskot przechodzi kolejna fala drgań, która poszerza wyrwę w miejskim krajobrazie. Jak domy kruszą się i osypują w nowo powstałą, żarłoczną przepaść, jak wał się kolejne mury, a najbliższa z baszt osuwa się i rozsypuje. W krwistoczerwonym blasku słońca zawisła chmura pyłu i kurzu. Wichry ucichły, jakby

zależało im na tym, by trójka oszołomionych obserwatorów usłyszała dobiegające z dołu wrzaski przerażenia, bólu i rozpaczy.

Malhorn zachwiał się, zrobił kilka niepewnych kroków w tył i opadł na krzesło, po czym zaniósł się długim kaszlem. Gdy opanował jego atak, podniósł głowę i popatrzył na Skalmira szklistym wzrokiem.

– Chyba... chyba trzeba zmienić plany. Idźcie tam, na dół, proszę was. Sprawdźcie, co się dzieje, a ja...

Ponownie się rozkaszał, opierając łokcie na kolanach.

– Na szczyny Smoczycy, co tam się stało? – wyszeptał, zdruzgotany. – Muszę... muszę wypić antidotum.

Uniósł głowę i natrafił na ciężkie, kamienne spojrzenie Grzmotuna.

*

Bielik obudził się w chwili, gdy po korytarzach więzienia rozszedł się pierwszy wstrząs. Nim przeszedł drugi, młody mężczyzna stał już przy kratkach. W korytarzu rozbrzmiewały echem okrzyki niepokoju i przekleństw, ale nie zwracał na nie uwagi. Szósty zmysł, wykształcony i rozwinięty podczas walk ze Smoszczurami, a później z Jaszczurem, podpowiadał mu, że dzieje się coś ważnego.

Coś niezależnego od przepychanek między królem a niechętnymi mu rodami, w które dał się wciągnąć.

Coś, co pozwoli mu się wyrwać na wolność.

Skądś wiedział, że nadejdzie kolejny wstrząs. Ziemia zadygotała i z wielu stron jednocześnie dobiegł zgrzyt pękających i przesuwających się bloków granitu. Podziemny korytarz natychmiast wypełnił się pyłem, a okrzyki zgrozy zostały zastąpione atakami kaszlu. Bielik wstrzymał oddech i napał na żelazne pręty, odgradzające go od wolności. Któryś ze współwięźniów coś zawołał i uczepił się jego ramienia, ale młodzieniec odepchnął go, nie oglądając się za siebie, i znów uderzył barkiem w pręty. Któryś z nich zazgrzytał i drgnął. Bielik uderzył ponownie.

Pręt wypadł ze ściany, a rozpedzony mężczyzna zatrzymał się na przeciwległej kracie. Jeden z uwięzionych, który najwidoczniej postradał zmysły z przerażenia, złapał Bielika za głowę i przycisnął go ze wszystkich sił do krat, ale młody wojownik

warknął cicho i uwolnił się dzięki jednemu ciosowi w skroń przeciwnika.

A potem rzucił się do ucieczki.

Przedzierał się przez przepelnione pyłem i paniką korytarze. Kilku innym więźniom również udało się wydostać, przez co w gryzącej mgłę co rusz dochodziło do zaciekłych bójek. Strażnicy byli jednak zbyt oszołomieni, by stawić uciekinierom konkretny opór, ale rozpacz i strach zachęcały ich do aktów przemocy. Bielik przemknął za plecami jednego, który właśnie okładał pałką leżącego na ziemi, wyjącego z bólu człowieka, po czym wpadł na innego, który wepchnął uciekiniera do kąta i właśnie próbował poderżnąć mu gardło. Młodzieniec nie miał zamiaru stawać po niczyjej stronie. To nie była jego opowieść i dlatego zamierzał się z niej wyrwać najszybciej jak się da.

Dotarł do schodów prowadzących w górę. Potykając się i kaszląc, wypadł na wyższy poziom, gdzie kurz okazał się gęstszy, a ścisk jeszcze bardziej utrudniał ucieczkę. Pchnął jakiegoś nieszczęśnika na ziemię, następnego, który się na niego rzucił, ogłuszył uderzeniem łokcia w kość policzkową, jeszcze innemu, jak się okazało strażnikowi, odebrał nabijaną krzemieniami pałkę.

Trzeci wstrząs nastąpił, gdy piał się po kolejnych schodach. Znow buchnęły kłęby pyłu, a potem półmrok za jego plecami plunał gryzącą kurzawą, gdy zawałiło się całe piętro. Po plecach Bielika przemknął zimny dreszcz trwogi i obrzydzenia. Z trudem zmusił się do tego, by nie myśleć o dziesiątkach ludzi, którzy właśnie zginęli.

Należeli do innej opowieści. On musiał przedostać się do własnej.

Na najwyższym piętrze więzienia, gdzie spodziewał się największego ścisku, panowała zaskakująca cisza. Łomot serca i huk krwi w skroniach zagłuszały wszystkie inne odgłosy, dlatego minęła dłuższa chwila, nim zarejestrował wrzaski na zewnątrz. Zaintrygowany, przebiegł pustym korytarzem i dotarł do masywnych drzwi, wciąż uchylonych po panicznej ucieczce strażników.

Wyjrzał na zewnątrz i zamarł.

Podczas ucieczki z niższych pięter ani przez moment nie pomyślał o tym, co mogło być źródłem wstrząsów. Teraz, gdy wreszcie poznał przyczynę, zapomniał o wszystkim innym.

Odepchnął drzwi i wyszedł na schody, te same, po których kilka – a może kilkanaście? – dni temu wlekli go królewscy żołnierze.

Powoli, jakby dźwigał na barkach niewyobrażalny ciężar, postąpił kilka kroków do miejsca, gdzie kończył się bruk.

Zachwiał się i cofnął o krok.

W miejscu, w którym niegdyś wznosiły się kamienice z szarego kamienia, kryte zgrabnymi dachówkami z łupków, ciągnęła się ogromna, podłużna wyrwa o nieregularnych bokach; zdawała się rozcinać miasto na pół. Bielik uniósł wzrok i przekonał się, że wraz ze sporym fragmentem dzielnicy zniknęła również odcinek murów z przynajmniej jedną wieżą obronną.

Nie miał pojęcia, jak długo stał nieruchomo, wpatrując się w czerni u swych stóp. Z szoku wyrwał go dopiero widok domu, który znalazł się na skraju wyrwy. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że budynek oparł się kataklizmowi, ale gdy Bielik przyjrzał mu się uważniej, zauważył naruszone fundamenty. Po chwili dom zaczął się przechylać i z ogłuszającym trzaskiem runął w dół.

Łoskot ocucił młodzieńca na tyle, że ten zaczął się rozglądać wokół siebie. Dopiero teraz zobaczył powiększające się grupki wstrząśniętych ludzi, gromadzące się na skrajach przepaści. Dopiero teraz usłyszał krzyki zgrozy i rozpacz oraz przebijający zgiełk ryk głuchoborskich rogów, oznajmiających całemu światu o tragedii, jaka tu nastąpiła.

Otchłań buchnęła kłębamii gorącej pary.

Bielik odruchowo się cofnął. Sprawilo to, że dostrzegł w tłumie tego jednego, jedyne go człowieka, którego nie spodziewał się tu ujrzeć.

Człowiek ten był mężczyzną średnie go wzrostu, dobrze zbudowanym, ale nie przesadnie barczystym, jasnowłosym i krótko ostrzyżonym. Odziany w szare spodnie i koszulę z szerokimi rękawami, idealnie wtapiał się w tłum. W pamięci majaczyła jedynie jego twarz, nieco zarośnięta, niepozorna, ale jednocześnie osobliwie obrzmiała, jak u kogoś chorego bądź skrajnie zmęczonego. Jak dotąd Bielik jedynie raz miał okazję spojrzeć mu w oczy, które ledwie dostrzegł spomiędzy zapuchniętych powiek.

Mimo to człowiek ten wydawał się jedynym, który spogląda w otchłań nie z lękiem czy rozpaczą, a z chłodnym zainteresowaniem, może nawet graniczącym z niezadowoleniem. Nie załamywał rąk, nie kręcił głową z niedowierzaniem, nie rozglądał się w poszukiwaniu zaginionych bliskich ani nie wpatrywał się w czerni wyrwy z oszołomieniem. Po prostu tam stał

i krzywił lekko usta. Jak ktoś, kto przyszedł sprawdzić, kogo tym razem wyrzucono z karczmy.

Bielik zaś zdał sobie sprawę, że już nie chce z tej opowieści uciekać. Właśnie rozumiał, że może poznać jej najbardziej zagadkowy wątek.

Już raz się spotkaliśmy, zauważył w duchu, wpatrując się w mężczyznę. Szkoda, że nie udało nam się wcześniej porozmawiać, co?

Myślam wrócił do chwili, która doprowadziła do jego uwięzienia. Zaciągnął się jako zwykły żołnierz do drużyny Mchaków i stacjonował w Tęgorzu, głównym zamku rodu. Uważnie śledził rozbudowę tamtejszej armii i wysyłał meldunki Malhornowi, ale jego uwagę przyciągnęły również spotkania, które odbywały się w zamku. Pełniąc służbę wartownika, widział rozmaitych gości, których wpuszczano potajemnie bocznymi bramami, w tym człowieka, który teraz spoglądał w otchłań.

Gość natychmiast wzbudził jego zainteresowanie. Miał na sobie zwykłe ubranie podróźne i nie nosił broni, co w Głuchoborach należało do niecodziennych zachowań, ale strażnicy powitali go z wielkim szacunkiem i natychmiast poprowadzili w głąb zamku. Gdy obcy zrzucił kaptur, Bielik przelotnie ujrzał jego zniszczoną, pobrużdżoną twarz i zapuchnięte oczy, które dobrze zapamiętał.

Dobrze pamiętał też to, co obcy powiedział Torianowi Mchakowi.

Lekceważąc wszelkie zasady bezpieczeństwa, zaintrygowany Bielik przekradł się pod drzwi komnaty, w których wielmoża przyjął gościa. Mimo świadomości, że wiele ryzykuje, beczelnie dołączył do pełniących straż wartowników.

Usłyszał, że przybysz przedstawił się jako Fulko Puchacz, spadkobierca ongiś potężnego, ale wymarłego rodu, gotowego wraz z kilkoma innymi wesprzeć finansowo tych, którzy byliby skłonni przywrócić bardziej tradycyjne rządy.

Więcej nie usłyszał, bo pojawił się sierzant, który zwrócił uwagę na to, że Bielika wcale nie powinno tam być, a potem wywołał alarm na zamku. Młodzieniec zdołał uciec, ale posłaniec Mchaków dostarczył jego rysopis do Łoskotu i obciążył go wieloma wymyślonymi przestępstwami. Malhorn, by zamaskować ich współpracę, rozpuścił za Bielikiem strażę, a prowadzącym oblławę podszeptną, gdzie należy winnego szukać. Mchakom obiecał, że wyda im więźnia, jak tylko dojdzie do siebie i będzie się mógł zająć sprawami państwa.

Nikt się nie spodziewał, że więzień zdoła się uwolnić i rozpocząć kolejną fazę poszukiwań.

Nikt nie zwrócił uwagi, gdy Bielik powoli ruszył w stronę obserwowanego człowieka. Serce młodzieńca biło powoli, miarowo, jak zawsze, gdy podchodził wroga, a zmysły znów się wyostriżyły. Miał wrażenie, że przez cały czas widzi mężczyznę, choć co rusz tracił go z oczu. W końcu, wynurzywszy się zza kolejnej grupki, dostrzegł, jak ten odwraca się i odchodzi.

Śledzenie go okazało się proste, był wszak jedynym, który oddalał się od wyrwy, miast się do niej zbliżać. Bielik dbał o to, by zachować odpowiednią odległość. Szykował się do konfrontacji, ale nie chciał, by doszło do niej wśród gęstniejącego tłumu, wokół którego aż wibrowało od emocji. Gdyby się rzucił na mężczyznę teraz, ktoś mógłby chcieć zareagować i go powstrzymać.

Miasto nadal rozbrzmiewało okrzykami grozy i rozpaczony, trwała pęsepną pieśń rogów. Śledzony to nikł, to znów się pojawiał, najwyraźniej nieświadom tego, że ktoś depta mu po piętach.

– Vilia! Vilia! – krzyczał gdzieś mężczyzna, zdzierając sobie gardło. – Vilia, gdzie jesteś?!

Jakaś szlachcianka klęczała i wygrażała komuś zaciśniętymi pięściami, nieopodal rżał na wpół oszalały koń, płakały dzieci, czekały psy. Odezwały się nowe rogi, bardziej dźwięczne, jakby dostojniejsze i znacznie bliższe.

– Czyżby król?! – zawołał ktoś z niedowierzaniem.

– Król! Król! – podjęły inne głosy z nadzieją.

Król? – pomyślał z rozbawieniem Bielik. A więc Malhorn nawet umrzeć nie potrafi?

Naraz zorientował się, że jego cel zniknął. Odruchowo przyspieszył kroku. Skreślił w boczną uliczkę, gdzie ciągnęły się warsztaty rymarzy, jak jeden porzucone przez rzemieślników, przeskoczył nad zwaloną markizą, przedarł się przez strzaskane skrzynie i znów go dojrzał. Mężczyzna prześlizgiwał się pod ścianą, próbując uniknąć kopyt spłoszonego konia, szarpiącego się z woźnicą, następnie skreślił w prawo. Bielik uczynił to samo, ale wybrał uliczkę wcześniejszą w nadziei, że po chwili znów zdoła się znaleźć za plecami śledzonego. Ponownie przyspieszył kroku i...

Po kilkunastu krokach wypadł na całkowicie pustą ulicę.

W jego głowie zawirowały myśli. Zauważył mnie! Wiedział, że skreśliłem, i się cofnął! Albo wszedł do któregoś z budynków po drodze! Na gnijące truchło Smoczyca, zgubiłem go!

Nad głową Bielika zakrakała wrona, której odpowiedziała kolejna. Młody mężczyzna zaś dostrzegł, że w bruku kilkadziesiąt kroków dalej czernieje ogromna wyrwa, podobna do tej, która niemalże rozszczępiła miasto na pół, ale znacznie mniejsza.

Bielik zerwał się do biegu, świadom, że śledzony przez niego człowiek zyskał szansę, by zniknąć na dobre, ale zwolnił, gdy znalazł się w pobliżu jamy, a potem zatrzymał się na jej skraju. Spojrzał w nieprzeniknioną ciemność.

Nagle wyczuł, że ktoś się w niej skrywa.

Nie miał pojęcia, skąd bierze się to przeświadczenie, bo nie zdołał dostrzec żadnej sylwetki ani też zarejestrować ruchu, ale nauczył się wierzyć swoim przecuciom. Zrobił krok w tył. Przypomniawszy sobie o wciąż ściskanej w rękę więziennej palce, a jego wzrok padł na znajdujący się w narożnym domu warsztat rymarski. Za zadymionym, popękany okienkiem skakały płomienie. Bielik przypadł do drzwi, otworzył je szeroko i cofnął się, gdy ze środka buchnął dym. Nabrał tchu, zajrzał ponownie i zerwał wiszącą przy wejściu kapotę, pożeraną od dołu przez ogień, po czym owinał nią więzienną palkę. Znowu podszedł do jamy i wysunął prowizoryczną pochodnię w jej wnętrze.

W wyrwie zatańczyły cienie, wśród których dostrzegł wąską, bladą twarz.

Z całą pewnością nie należała do człowieka.

Wszak ludzie nie mieli podłużnych czaszek, lśniących czarnych oczu wielkich jak dna kufla czy też idealnie białej, bezwłosej skóry. Siedzący w wyrwie osobnik rozchylił usta, a wtedy Bielik zauważył dwa rzędy ostrych, trójkątnych kłów.

Istota niespodziewanie ruszyła ku górze. Była szczupła i gibka, a do tego miała giętkie ramiona z długimi palcami. Przemieszczała się więc błyskawicznie i w okamgnieniu – Bielik ledwie zdołał zrobić krok w tył – znalazła się na skraju wyrwy.

A potem wyskoczyła prosto na niego.

Młodzieniec wykonał błyskawiczny, instynktowny unik. Przemknął pod palcami bestii, które już, już miały się zacisnąć na jego gardle, i dzielił przeciwnika zaimprovizowaną pochodnią. Nie zdołał włożyć w cios wielkiej siły, ale i tak los mu sprzyjał. Ostre kamienie wprawione w twarde drewno zostawiły głębokie rysy na boku bladej istoty. Ta krzyknęła przeraźliwie, zaskoczona bólem, i zamachała lewą ręką, by odepchnąć broń. Płonąca szmata, którą Bielik obwiązał oręż, niespodziewanie przyłgnęła do jej dłoni. Z szeroko rozwartych ust bestii wyrwał się rozdzierający

wrzask. Rozpaczliwie zamachała ręką, strzepnęła płonąca tkaninę na bruk i odruchowo przycisnęła poranioną dłoń do ciała. Jej oczy, zwięzione i błyszczące bólem, wpatrywały się w dopalającą się szmatę. Minęło kilka długich sekund, nim znów spojrzała na Bielika.

Ten już zbierał się do ciosu. Maczuga, tnąc powietrze ze świstem, zmierzała prosto ku podłużnej czaszce przeciwnika, który w ostatniej sekundzie odbił się i wykonał niewyobrażalny wprost sus, by wylądować po drugiej stronie wyrwy.

Zdyszany Bielik wyhamował na skraju jamy i z niedowierzaniem popatrzył na białoskórą istotę, z którą się przed chwilą starł. Nie miał pojęcia, co zaszło go bardziej – ów niepojęty skok czy też to, że bestia zdawała się już o nim nie pamiętać; zapomniała chyba również o ranach i poparzeniu. Wpatrywała się teraz prosto w pożar, który coraz żarłoczniej pochłaniał warsztat rymarski. W jej szeroko rozwartych, czarnych ślepiach odbijały się płomienie.

– Ogień ci się podoba, co? – warknął Bielik.

Przez moment myślał, czyby nie cisnąć w przeciwnika maczugą, ale porzucił ten pomysł. Nie mógł się przecież całkiem rozbroić. Pochwycił więc lewą ręką walający się pod nogami kamień brukowy i rzucił nim prosto w bestię. Chybił.

– Hej! – wrzasnął. – Tu jestem! Spójrz na mnie, pokrako!

Istota nadal wydawała się całkiem zahipnotyzowana ogniem. Młodzieniec ciskał w nią kolejnymi kamieniami, trafiając raz za razem. Białoskóry cofał się i wzdrygał, ale ani myślał uciekać. Bielik nie ustawał w ataku; kierowały nim złość i frustracja, nie zdołał wszak dopaść człowieka, który go tu przywiódł i który był bezpośrednią przyczyną jego uwięzienia.

Stukot końskich kopyt usłyszał dopiero w ostatniej chwili. Zerknął przez ramię i z trudem ukrył zaskoczenie.

– Co to jest? – spytała spokojnym głosem Elinaare.

W blasku pożaru, który sięgał już piętra domu, ujrzał, jak matka przygląda się zjawisku z niemalże obojętną miną. Dłonie w rękawiczkach złożyła na łęku siodła. Emanowała pewnością siebie, jakiej nigdy u niej nie widział, a z długimi włosami zaplecionymi w warkocz wyglądała młodziej niż kiedykolwiek wcześniej. Skalmir, który jechał w ślad za nią, również prezentował się lepiej, niż Bielik go zapamiętał. Nadal był koszmarnie wychudzony, a włosów miał jeszcze mniej niż podczas ich ostatniego spotkania, ale z pewnością nie przypominał już

ożywionego trupa, wyglądał raczej jak człowiek dochodzący do siebie po długiej chorobie.

– Idealny moment na rodzinne spotkanie – oznajmił młodzieniec. – Po prostu doskonały. Mogę wiedzieć, co wy tu robicie?

– A ty, synu? – Elinaare pochyliła się w siodle. Zerkąła teraz to na niego, to na istotę, która najwyraźniej jeszcze nie zarejestrowała ich obecności.

– Nic takiego. – Bielik wzruszył ramionami. – Biegam sobie po ulicach i rzucam kamieniami we wszystko, co mi się nie spodoba.

– Brzmi ciekawie. – Pokiwała głową. – O wiele ciekawiej od tego, co słyszałam. A plotki głoszą, że wdałeś się w miejscową politykę i wylądowałeś w lochu.

– Ach, i przybyłaś mnie uwolnić! – zawołał z udawanym zachwytem. – Mimo że nie wierzysz plotkom? Ciekaw jestem, nawiasem mówiąc, kto ci ich dostarczył!

Jeden z ciemnych ptaków, zasiadających na skraju dachu, zakaszłał i odwrócił łeb jak zmieszany człowiek.

– Moim zdaniem moglibyście... – ciągnął Bielik, ale Elinaare nie pozwoliła mu dokończyć.

– Co to jest? – powtórzyła pytanie, przenosząc spojrzenie na białą istotę.

Skalmir mrużył oczy, wpatrując się w bestię, która nagle zdała sobie sprawę z ich obecności i zasyczała wściekle, pokazując rząd trójkątnych kłów.

– Nie wiem – przyznał Bielik. – Ale wylazło z tej jamy i znakomicie ska...

W tej samej chwili przybysz z otchłani znów odbił się od krawędzi wyrwy. Młodzieniec zdążył jedynie zauważyć, że wyciąga przed siebie ręce, jakby chciał strącić Elinaare z siodła. Rumak byłej Strażniczki zarżał dziko i stanął dęba, a kobieta błyskawicznie wyrzuciła przed siebie dłoń, z której wystrzeliła ognista struga. Pocisk trafił bestię prosto w łeb i rozszarpał ją na płonące strzępy, które wolno opadły w głąb wyrwy.

Bielik był zaskoczony tym popisem. Pamiętał, że podczas rozprawy z Jaszczurem jego matka zawarła znajomość ze Smoczęciem noszącym imię Ylla, w którym częściowo odrodził się talent Smoczyca, pozwalający na obdarowywanie Mocą sojuszników i przyjaciół. Elinaare zabrała Yllę do Jesiennicy i teraz wyglądało na to, że ta nie szczędziła jęgo matce Mocy.

I całe szczęście, pomyślał, gdy w ciemności jamy zamajaczyły dwa kształty.

Bielik zauważył, jak jeden z nich przeskoczył z lewej strony wyrwy na prawą i wyciągnął dłoń, jakby chciał złapać płonący strzęp, a potem zrozumiał, gdzie należy szukać jego źródła. Jednym płynnym susem wydostał się na powierzchnię, drugi poszedł w jego ślady. Obie sylwetki znieruchomiały na skraju jamy i na moment utkwili spojrzenia w płonącym domu, po czym z wyraźną niechęcią skupiły się na ludziach.

I skoczyły do ataku.

Bielik uzmysłowił sobie, że może się uważać za wyjątkowego szczęściarza, gdyż stwór, z którym sam się zmagał, poruszał się dwakroć wolniej od tych dwóch. W ostatniej chwili zszedł z drogi bliższemu z napastników, zawirował i rzucił się do ataku, przekonany, że obaj natarli na dwójkę jeźdźców. Skalmir jednakże zdołał wznieść niewidzialną barierę, która odrzuciła potwory na uderzenie serca przed tym, zanim te ściągnęły z siodła Elinaare, wciąż usiłującą opanować przestraszonego konia. Jeden z nich padł na krawędź wyrwy i zawisł na niej, a drugi przetoczył się po bruku.

Nagle płonący dom zadrżał, po czym piętro osunęło się z chrzęstem i łoskotem, całym swoim ciężarem przygniatając parter. Płomienie gwałtownie strzeliły na boki, a następnie przygasły. Uliczkę zalała ciemność i cisza, a oba stwory odwróciły głowy ku ludziom. Resztki żaru bijące ze szczelin między zwałami gruzu odbijały się w szeroko rozwartych czarnych ślepiach istot. Jedna z nich wypełzła z jamy, a druga zerwała się z bruku, obie bezgłośnie, niczym zjawy wyrastające z ziemi, w pełni skupione.

– Czy już ktoś może wie, z czym mamy właściwie do czynienia? – odezwał się Skalmir, trzymający dłoń na pysku konia Elinaare.

– Dopiero co wylazło – wychrypiał Bielik. – Jeszcze żeśmy się nie zapoznali. Uważaj...

Obie istoty wyskoczyły jednocześnie, jakby kierowała nimi wspólna myśl.

Uderzenie serca później rozpadły się na dziesiątki strzępów, które znikły w wyrwie bądź obryzgały jej skraj.

– I raczej się już nie zapoznacie – stwierdził Skalmir.

Bielik z niechęcią strzępnął krwawy ochłap. Elinaare wypuściła powietrze z płuc i dotknęła czołem grzywy drżącego z napięcia konia.

– Wynośmy się stąd – rzekła. – Musimy porozmawiać, synu.

Młodzieniec z trudem oderwał wzrok od jamy i spojrzał na matkę.

– Nie – powiedział cicho. – To nie pora na rozmowy. Tu dzieje się coś niedobrego. Musimy pomóc tym ludziom.

Była Strażniczka skinęła głową. W oczach miała ten sam błysk, który czasami widywał, gdy zarządzała Brzaskiem podczas owej straszliwej, niekończącej się zimy po odejściu Tuistan.

– Skalmirze? – Popatrzyła pytająco na maga, a ten krótko skinął głową.

– Ruszajmy – rzucił. – I przydadmy się na coś. Król Malhorn, jak wszyscy wiemy, coś nie w formie.

Żadne z nich nie znało Łoskotu należycie, więc Bielik poprowadził ich przez płataninę ulic w stronę wielkiej wyrwy. Z każdym krokiem wchodzili w coraz większy chaos. Wyglądało na to, że wstrząs, który wywołał pęknięcie, nie spowodował wielkich zniszczeń w innych dzielnicach miasta, ale tu i ówdzie widać było strzaskane szyby, zapadnięte dachy czy niewielkie pożary rozświetlające mrok.

Łoskot odniósł bolesną, niewytłumaczalną ranę, ale trwał niewzruszony, czego nie dało się powiedzieć o jego ludzie. Głuchoborzanie, na ogół dumni i niezłomni, najwyraźniej wciąż nie mogli się otrząsnąć z szoku. Przepaść pochłonęła wiele domów razem z ich mieszkańcami, a do tego dziesiątki, jeśli nie setki pracowników, interesantów i zwykłych przechodniów. Ciemności ulic, rozświetlane migotliwymi pochodniami, rozbrzmiewały płaczami, okrzykami i przekleństwami zrozpaczonych ludzi, którzy na próżno szukali swych bliskich i przyjaciół.

Na to Bielik nie mógł nic poradzić. Pomógł jednak grupce zdesperowanych osób usunąć gruz zagradzający wejście do kramu złotnika, skąd dobiegały jęki rannego, a następnie wraz z jakimś mężczyzną przeniósł go do zaimprovizowanego w pobliżu wyrwy lazaretu. Opuściwszy szpitalik, złapał przerażonego, miotającego się po ulicy konia, po czym dołączył do ludzi polewających wiadrami płonąca kamienicę, dzwignął przewróconą latarnię uliczną, spod której wyciągnął oszołomionego nastoletniego chłopaka, i jako jeden z pierwszych wdarł się do zasnutego dymami wnętrza domu w poszukiwaniu pogorzalców.

Zapomniał o wszystkim. O tym, że w zasadzie nadal jest więźniem. O tym, że na mieście zadzierzgnęły się niewidzialne, duszące pęta spisku. O tym, że Naparstek i reszta Widmowego

Zagonu nadal na niego czekają. Miał teraz zadanie do wykonania i na nim pragnął się skupić.

Musiał pomóc tym ludziom. Bo tak należało. Tak postąpiłby Voorten.

Elinaare i Skalmir cały czas byli przy nim. Niekiedy słyszał głos matki, mocny i stanowczy, nakazujący spokój tam, gdzie pojawiła się panika, i wydający rozkazy tam, gdzie wdzierał się chaos. Kątem oka dostrzegał też Skalmira, który milczał, ale za to działał. Mocą swych czarów unosił belki, przesuwiał sterty gruzu, gasił pożary i rozpędzał dymy. Nie przychodziło mu to łatwo, parokrotnie mignęła Bielikowi jego blada, upiorna twarz i lśniące zmęczeniem oczy.

Nie mogli przepędzić rozpaczy z serc, ale przynajmniej pomagali ludziom doczekać jutra.

Czarna, szeroka na kilkanaście kroków przepaść, która przegrodziła Łoskot, nie przestawała jednak absorbować myśli Bielika i w magnetyczny sposób przyciągała go coraz bliżej, aż w końcu znalazł się na jej skraju. Wzdłuż brzegów szramy trwały ogromne zamieszanie. Od razu dostrzegł, że białe istoty usiłowały wydostać się również tutaj, co ściągnęło nad krawędzie mnóstwo żołnierzy, którzy czuwali między płonącymi wysoko ogniskami, uzbrojeni w łuki, kusze i długie włócznie, gotowi, by posłać grad pocisków tam, gdzie w ciemnościach ujrzeli jakiś ruch, choćby najmniejszy. Ich okazyjne ochryple wrzaski zdradzały, że raz na jakiś czas udawało im się trafić mieszkańca otchłani, ale zdarzało się też, że któraś z bestii wydostawała się na powierzchnię i wciągała w ciemności niebaczną ofiarę.

Bielik zjawił się nad wyrwą w chwili, gdy doszło do ostrego starcia. Któryś z białoskórych wyskoczył z przepaści kilkanaście kroków dalej. Miętko opadł na bruk, amortyzując upadek dzięki długim, niemalże pajęczym odnóżom, po czym zwrócił podłużny łeb w stronę płonącego nieopodal ogniska, zasilanego strzaskanymi meblami. Zastygł na moment, a wtedy któryś z żołnierzy ostrym okrzykiem zwrócił uwagę pozostałych. W stronę potwora natychmiast pomknęły strzały i bełty, głównie niecelne, choć jeden z pocisków zdołał przebić przednią łapę istoty. Ta wrzasnęła głośno i skoczyła ku najbliższemu z przeciwników, który już czekał z włócznią. Głuchoborzanin nie spodziewał się jednak tak szybkiej reakcji ze strony przeciwnika – bladoscóra istota wylądowała tuż przed nim, złapała za drzewce włóczni i pociągnęła je ku sobie. Żołnierz stracił równowagę, a wówczas

bestia objęła go ramieniem, jakby chciała go do siebie przytulić, i skoczyła w przepaść, pociągając nieszczęśnika za sobą. Dobiegający Bielik usłyszał jedynie cichnący krzyk przerażenia.

– Na flaki Smoczy! – wrzasnął, zdzierając sobie gardło. – Co tu się wyprawia?

Kilkadziesiąt kroków dalej pojawiło się dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, oboje w średnim wieku. Na ich brudnych od sadzy i mokrych od łez twarzach widniał grymas zawziętości. Pospiesznie, korzystając z tego, że żołnierze nadal są zaabsorbowani walką, przywiązali linę do przechylonej latarni ulicznej. Kobieta rzuciła ją mężczyźnie, nie przestając szlochać, a ten złapał sznur i natychmiast zaczął się opuszczać w dół.

– Stójcie! – zawołał Bielik w ich kierunku, ale po przeciwnej stronie wyrwy znów wybuchła walka, przez co jego głos całkowicie utonął we wrzawie. – Przestańcie! Hej, wy! Zatrzymajcie ich!

Mężczyzna jednakże znajdował się już daleko, zbyt daleko, by mógł mu przyjść z pomocą, a żołnierze, zwrócenieni doń plecami, nadal wpatrywali się w przepaść, szukając celów dla swoich pocisków. Nie trzeba było długo czekać, by potężne szarpnięcie za linę przekrzywiło latarnię jeszcze bardziej. Sznur sięgający w głąb otchłani sflaczał. Kobieta, świadoma tego, co się właśnie wydarzyło, osunęła się na kolana i zaniósła rozpaczliwym płaczem.

– Dunstan! – usłyszał za sobą.

Istniała – nie licząc Naparstek – tylko jedna osoba, która zwracała się do niego tym imieniem. Bielik odwrócił się i ujrzał matkę, wybiegającą z bocznej uliczki. Za nią podążał Skalmir.

– Szukaliśmy cię, bo... – zaczęła Elinaare, ale młodzieniec nie dał jej dojść do słowa.

– Ludzie całkiem poszaleli! – krzyknął. – Widzieliście to? Widzieliście tych dwoje, mężczyznę, który zszedł na dół? Przecież...

Urwał, by złapać tchu, a wtedy do głowy wpadła mu dzika myśl.

– Potrzeba mi liny! – wychrypiał. – Długiej liny! Opuszczę się w dół!

– Postradałeś zmysły! – wrzasnęła Elinaare. – W życiu ci na to nie pozwolę!

– Czasy, kiedy mogłaś mi czegoś zabronić, minęły już dawno! – syknął Bielik,

O ile w ogóle istniały, dodał w myślach.

– Zejdę na dół – mówił dalej – by się dowiedzieć, skąd biorą się te paskudztwa. Ty możesz mnie ubezpieczać, a Skalmir... Widziałem, jak przesuwaleś belki. Dałbyś radę mnie wyciągnąć?

Wichrogórzanin odruchowo dotknął jednego z kamieni, o które trzy lata temu Bielik na czele Widmowego Zagonu stoczył batalię z Jaszczurem. Wydawał się wycieńczony. Mimo to z przekonaniem skinął głową.

– O ile nie zejdziesz zbyt głęboko – dodał.

– Ogranicza mnie lina. Chodźcie!

Przebiegli za plecami czyhających na skraju wyrwy żołnierzy, wciąż próbujących wypatrzeć wrogów w mroku. Bielik ostrożnie odsunął na bok rozpaczącą kobietę i sprawdził, czy supeł zawiązany na latarni wciąż należycie trzyma. Potem skinął matce i Skalmirowi, którzy zamarli na skraju wyrwy po obu stronach liny, i zaczął się powoli opuszczać.

Szybko pożałował swego pomysłu. W przeszłości nieraz musiał się wspinać po linie, ale zawsze zakładał wówczas rękawiczki i nigdy się nie spieszył. Nigdy też nie był aż tak wyczerpany – dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wiele sił kosztowały go dotychczasowa walka i pomoc mieszkańcom Łoskotu. Mięśnie ramion drżały, z trudem utrzymując jego ciężar, a do tego ani na moment nie opuszczał go lęk przed białoskórymi. Czuł, że w każdej chwili któryś może skoczyć mu na plecy, opleść długimi palcami gardło i pociągnąć w bezdenną ciemność.

Nie była to obawa nieuzasadniona – ledwie kilka sekund po tym, jak zaczął schodzić, struga huczącego ognia przeszła powietrze i rozniosła na strzępy którąś z bestii. W przepaści na kilka sekund zrobiło się widno jak w dzień i Bielik dojrzał kolejną istotę, która przywarła do poszarpanej ściany i przyglądała mu się z fascynacją.

Elianaare zniszczyła stwora niemalże natychmiast.

Młodzieniec odetchnął w duchu i podjął schodzenie. Pokonał zaledwie kilkanaście stóp, gdy jego matka ponownie uwolniła strugę ognia. Tym razem zrobiła to jednak uderzenie serca za późno i płonący potwór zahaczył ramieniem o linę. Smoczy ogień miał zaś to do siebie, że przenosił się błyskawicznie i był o wiele żarłoczniejszy od zwykłego. Natychmiast objął włókna, a Bielik niemalże usłyszał cichy trzask, z jakim zaczęły pękać.

A potem uświadomił sobie, że spada.

Ciemność wypełnił przeraźliwy wrzask, dobywający się z jego własnych ust. Trwał sekundę – dopóki młody wojownik nie

uderzył plecami w skalną półkę. Ból, równie wściekły jak płomień jego matki, przeszył całe jego ciało. Przez chwilę leżał, nie mogąc nabrać tchu, a gdy wreszcie mu się to udało, dźwignął się z trudem, zatoczył, przytrzymał ściany i rozejrzał.

A potem jęknął z rozpaczą.

Były wszędzie – siedziały na występkach skalnych i w szczelinach, przylegały do niemal pionowych ścian, wysuwały łby z otworów i pęknięć. Wpatrywały się w niego z gadzim brakiem litości i Bielik zrozumiał, że właśnie popełnił największy i przypuszczalnie ostatni błąd swego życia.

Na szczęście Elinaare również to pojęła. Ciemność przeszywały jedna struga ognia za drugą, zamieniając najbliższe potwory w osuwające się w głąb sterty płonących ochłapów. Bynajmniej nie budziło to lęku u pozostałych – jak jeden podnosiły łby i wpatrywały się w otoczoną ognistym nimbem była Strażniczkę, a do ich grona dołączały kolejne.

A następnie, niczym ławica białych zjaw, popęzły ku górze.

Oby mnie Smoczyca obrzygała! – pomyślał przerażony Bielik. Chyba już wiem, o co im chodzi...

Elinaare nie przestawała bombardować. W rytmicznych rozbłyskach światła młodzieniec dostrzegł coś, na co w pierwszym momencie nie zwrócił uwagi. Wylądował na stosunkowo szerokiej półce skalnej, a w ścianie, z której ta wychodziła, widniała pionowa szczelina, na tyle duża, że dorosły człowiek mógłby przejść bez pochylania się. Niespodziewanie dobiegły z niej wzmocnione echem ludzkie okrzyki. Jakiś mężczyzna krzyczał z wściekłością w języku, którego Bielik nie znał, ale który bardzo źle mu się kojarzył. Przesuwając dłonie po chropowatej skale, raz po raz rozbłyskującej w strugach ognia rzucanych przez matkę, młodzieniec zbliżał się do szczeliny. Po chwili podszedł na tyle blisko, by móc wyszczególnić słowa. Echo wciąż zniekształcało mowę, mimo to nabierał pewności, że ją rozpoznaje.

Opierając się o ścianę prawą dłonią, lewą pomacał pas. Nie miał żadnej broni.

Nieważne, przemknęło mu przez głowę. Przecież tamten niczego się nie spodziewa! Wystarczy...

I wtedy zaczął się unosić.

– Nie! Nie! – zawołał. – Skalmir, puść mnie! Puszczaj!

Nic to jednak nie dało. Jego okrzyki utonęły wśród wrzasków białoskórych, którzy, choć dziesiątkowani ogniem Elinaare i pociskami wspierających ją żołnierzy, nadal uparcie wspinali się

ku wyjściu z otchłani. Wymachiwał rękami, ale i to nic nie dało. W końcu silniejszy impuls Mocy wyrwał go z przepaści i cisnął o bruk. Zderzenie do łagodnych nie należało i Bielik przetoczył się parokrotnie, ale adrenalina zdusiła ból. Poderwał się, podniósł czyjaś włócznię, rozpedził się i ze wszystkich sił wbił ją w czaszkę bladokórego, który właśnie wyłaził na powierzchnię.

A potem skierował wzrok w dół. Z otworu, który dostrzegł przy skalnym występie, właśnie wyłaziły kolejne potwory.

Szansa na dowiedzenie się, kim był krzyżący człowiek, znikła na zawsze i Bielik, klnąc wściekle, cofnął się o krok, a następnie podszedł do matki. Elinaare, spaliwszy kolejnego potwora, otarła pot z czoła i popatrzyła na syna.

– I co? – warknęła z goryczą. – Warto było?

– Warto. Żebyś wiedziała, że warto – wycedził i ponownie obrzucił wyrwę ponurym spojrzeniem. – To nieszczęsne miasto znalazło się w potwornym niebezpieczeństwie – dodał. – Chodźmy stąd. Dziwnie to zabrzmiało, ale bez ciebie ci ludzie mają o wiele większe szanse na pokonanie zagrożenia.

– Chyba czegoś nie rozumiem. – Elinaare wytrzeszczyła oczy, ewidentnie zaskoczona jego słowami.

– Chodźmy stąd – powtórzył. – Później ci wszystko wyjaśnię. Teraz musimy znaleźć kogoś, kto dowodzi tym bajzłem. Malhorn nadal umiera?

– Niezmiernie przekonująco – stwierdziła z ironią Elinaare.

– To źle – westchnął młodzieniec.

Gdzieś z oddali niosły się złowrogie okrzyki:

– Gdzie jest król?! Kto nami dowodzi?! Zguba nam pisana! Zguba i zagłada! Gdzie jest król?!

– Czyli podwójnie źle – dodał Bielik i złapał matkę za rękę. – Tym szybciej musimy do niego dotrzeć. Skalmirze, chodźmy!

*

Malhorn stał na drżących nogach, wsparty obiema rękami o kamienny parapet, i wpatrywał się w miasto, ciągnące się u stóp królewskiej twierdzy. Prastare miasto Łoskot, które przetrwało wojny, kataklizmy Końca i okupację tuistańską, odniosło straszliwą ranę, a teraz drżało z niepokoju i frustracji. Nadal widział wszystko jak przez mgłę, przez co wyrwa jawiła mu się jako podłużna, czarna szczerba, wycięta w ciemnym krajobrazie miasta migotliwym strumieniem ognisk i pochodni. Wydawało mu

się, że słyszy ludzkie krzyki i szcęk oreża, ale równie dobrze mógł to być wytwór jego wyobraźni. Wszak w głowie nie przestawało mu dudnić i huczeć.

Przeklęty Pokrzewka i jego specyfiki, zaklął w duchu. Co mnie podkuśilo, by korzystać z usług tego czubka? Niech go Elinaare i Skalmir z powrotem zabierają do Jesiennicy!

Gwałtownie odwrócił się od okna, przez co zakrećilo mu się w głowie i padł na kolana. W ostatnim momencie próbował zamortyzować upadek dłońmi, ale te okazały się zbyt słabe i król uderzył czołem o kamienną posadzkę. Zamroczyło go na dłuższą chwilę. Trwał na czworakach – w pozycji całkowicie niegodnej króla – aż zdołał się otrząsnąć na tyle, by uklęknąć.

Kamienny posąg Grzmotuna spoglądał na niego pustymi, ciemnymi oczodołami.

– Długo jeszcze? – wychrypiał król. – Długo jeszcze będę czekał, aż mój stan się poprawi?

– Nie wiem – odparł Pokrzewka.

Malhorn zamrugał parokrotnie i popatrzył na chwastownika, który rozsiadł się na niedźwiedziej skórze przed królewskim łóżem i podrzucał nóż, starając się za każdym razem złapać go za rękojeść. Wirujące ostrze odbijało blask płomieni skaczących w kominku.

– A kto ma wiedzieć? – wycharczał ze złością władca.

– Pijesz to cholerstwo od tygodnia. – Pokrzewka przestał żonglować, po czym spojrział na monarchę z pobłażaniem. – A nie spotkałem jeszcze nikogo, kto byłby tak... cóż, zdesperowany, by się na to porwać.

Wyciągnął z kieszeni fujarkę i dmuchnął w nią na próbę.

– Antidotum przygotowałem ci łagodne – dodał. – Żeby ci mózg uszami nie poszedł. Resztki mózgu, znaczy się.

– Jestem królem Głuchoborów! – wysyczał Malhorn. – I nie będziesz się do mnie odzywał tym tonem!

– Jak na razie jesteś czółgającą się po ziemi pokraką. – Pokrzewka zagrał kilka taktów. – Który musi korzystać z usług chwastownika. Przypominam ci, że mnie nie uczono, bym podawał dekokty innym. Przygotowuję je wyłącznie dla siebie. Muszę więc dopiero odkryć proporcje odpowiednie dla takiego niedźwiedzia jak ty, a więc nie miej pretensji, jeśli wywar nie zadziała od razu!

– On... – Malhorn nagle się rozkaszał. – On nie działa wcale! Przygotuj mi inny, nowy!

Chwastownik zaśmiał się i zagrał na fujarce wesołą melodyjkę. W tej samej chwili drzwi do komnaty otworzyły się szeroko i do środka wpadł Krigstav z dobytym mieczem. Wybałuszył oczy na widok zadowolonego Pokrzewki, a potem spojrzął z przestraczem na klęczącego, chwiejącego się monarchę.

– Wasza Królewska Mość... – wyjąkał. – Nie mam pojęcia, jak ten przeklęty chwastownik się tu dostał, ale zaraz...

Pokrzewka wybuchnął śmiechem.

– Ten przeklęty chwastownik był tu od samego początku! – zawołał. – Do tej komnaty prowadzą dwa tajne wejścia, rycerzyku! Dwa! Gdybym chciał, otrulbym tego waszego króla jakiś tydzień temu. Choć zaraz... – Udał zadumę. – Przecież ja go właściwie otrulem!

Rycerz spaśował i postąpił krok ku młodzieńcowi, który nadal siedział przed królewskim łóżem i uśmiechał się szeroko.

– Wyjdź, Krigstav – wychrypiał Malhorn, po czym złapał się za jeden ze słupków łoża z baldachimem i z ogromnym wysiłkiem dźwignął się do pozycji stojącej. – Wszystko... wszystko w porządku – dodał.

Gwardzista obrzucił komnatę znaczącym spojrzeniem. Jego wzrok omiótł stół obiadowy, zasłany ziołami, fiołkami i woreczkami, i zatrzymał się na nieświeżej koszuli nocnej, którą miał na sobie monarcha.

– Mogę wezwać służących, by... – zaczął, ale Malhorn pokręcił głową z taką energią, że o mało nie stracił przytomności i nie przewrócił się na ziemię.

– Nie! – wycharczał król i wycelował w rycerza drżący palec. – Zostaw mnie w spokoju! Wyjdź stąd i trzymaj wartę przed drzwiami! I postaraj się bardziej niż ostatnio.

Rycerz spaśował, uklonił się sztywno i wyszedł z komnaty. Drzwi huknęły głośniejsz, niż pozwalał na to dworski protokół.

– Oj, nieładnie – oświadczył Pokrzewka i znów zagrał kilka skocznych taktów. – Bardzo nieładnie. Oskarżasz go o to, że nie zatrzymał Elinaare i Skalmira? Dwudziestu takich chwatów nie dałoby rady, Wasza Królewska Mość!

I znów coś zagrał.

Świadomość własnej bezsilności i szalejące we krwi toksyny powodowały u Malhorna huśtawkę emocji, ale dopiero ostatni komentarz Pokrzewki uwolnił falę niepowstrzymanej wściekłości. Nagle król zaprzagnął czyjejs krwi.

Niespodziewanie puścił słupek i postąpił kilka chwiejnych, ale szybkich kroków ku chwastownikowi. Ten zerwał się w okamgnieniu i uskoczył w tył jak kot na widok rozszczękanego psa. Zjeżony i wystraszony, wylądował na czworakach na łóżku, po czym wbił w monarchę spojrzenie szeroko otwartych oczu. Ale ten, jak się okazało, wcale nie zamierzał się na niego rzucić. Zataczając się, nadal szedł przed siebie. Przewrócił jakieś krzesło, wpadł na stół, który przesunął się z głuchym chrobotem, stracił kilka słoików z suszonymi insektami, odepchnął się od blatu i przypadł do skrytego w rogu sekretarzyka. Wyszarpnął pierwszą szufladę i wyrzucił jej zawartość na podłogę, a potem nieco ostrożniej otworzył drugą. Po chwili namacał zimny, gładki kształt kuli z górskiego kryształu. Ujął ją mocno, oparł się o ścianę i powoli osunął na posadzkę.

– Callestr – wyszeptał, wpatrując się w powierzchnię kuli. – Callestr, przywołuję cię! Gdzie jesteś, ty przekłety konusie?

Był środek nocy i po prawdzie Malhorn wcale nie liczył na to, że przywódca krasnoludów z Gór Miedzianych odpowie na wezwanie. Czarodziejskie kule nie przywoływały ani nie budziły rozmówcy – w czasie gdy ktoś usiłował nawiązać połączenie, jarzyły się jedynie białym światłem, co mogło ujść uwadze wzywanego. Malhorn dwukrotnie już próbował nawiązać w ten sposób kontakt z Callestrem, ale w końcu się zniechęcał i dochodził do wniosku, że najlepiej jest wysłać gońca.

Tym razem jednakże w kuli niemal natychmiast rozlało się mleczne światło, a z niego wyłoniła się pozbawiona barw, nakreślona w bieli twarz Callestra. Wypukłe szkło zniekształcało oblicze krasnoluda, przez co prezentował się upiornie, ale zaślepiiony złością Malhorn niemal tego nie dostrzegął.

– O, jesteś – wysapał. – A myślałem, że zagrzebałeś się w futrach i słodko śpisz, zadowolony z nieszczęścia, jakie na nas zesłałeś!

– Dostrzegam dwa błędy w twojej wypowiedzi – odezwał się krasnolud. – Zacznę od poprawienia tego łatwiejszego. Pod ziemią inaczej liczymy czas i śpimy w innych porach niż ludzie, piniaczu.

Malhorn znów poczuł się gorzej. Przez jego ciało przeszła nieoczekiwana fala gorąca, żołądek ścisnął skurcz, a świat rozmył się przed oczami. Otarł pot z czoła i wyteżył wzrok, pochylając się nad kulą.

– To nie czas, byś się wymądrzał – mówił teraz słabszym głosem, resztkami sił próbując podkreślić swój gniew. – Nadeszła pora,

byś wziął za siebie odpowiedzialność! Dlaczego zaatakowaliście Łoskot?

– Drugi błąd jest znacznie poważniejszy i obawiam się, że może wynikać ze złego samopoczucia, o którym donoszą nam posłańcy – ciągnął Callestr chłodnym tonem, jakby nie usłyszał pytania głuchoborskiego władcy. – Czy dbasz o siebie należycie, Wasza Królewska Mość? Omawiasz swe problemy ze znachorem? Bierzesz leki?

– Moją stolicę nawiedził kataklizm! – wysyczał Malhorn. – Pękła na pół! Zawaliły się mury, ulice i wiele, wiele domów. Zginęły setki ludzi, a tysiące utraciło bliskich! Po czymś takim miasto długo się nie podniesie! Jaki miałeś w tym cel, Callestr? Wy tłumacz mi się, knypku!

– Mówią o tobie różne rzeczy. – Krasnolud nachylił się nad kulą i jego twarz wypełniła teraz całą wypukłość. – O tym, żeś jest durniem, również słyszałem, ale wyteż resztki swojej mózgowicy, Malhorn, i powiedz mi wprost: po co, na głęboką czerń, mielibyśmy rozpoczynać z wami wojnę?

Człowiek przez moment oddychał chrapliwie, próbując nabrać sił, co krasnolud wykorzystał, by dodać:

– Ach zaraz, chyba już wiem. Bośmy podstępne, wiecznie knujące gnojki, które tylko czyhają, by wbić szlachetnym Głuchoborzanom sztylety w plecy?

Malhorn wreszcie nabrał tchu.

– Pół Łoskotu przecięła pieprzona przepaść, na rozbity pysk Smoczyce! – wrzasnął tak, że zrobiło mu się ciemno przed oczami. – Pełna, że dodam, jakichś bladokórych sukinsynów z masą klów w mordach! Skąd się wzięła? Od czasów Końca nie mieliśmy w Głuchoborach trzęsień ziemi!

– Nie wiem, skąd się wzięła. – Callestr wydał szyderczo usta. – Ale tak to już bywa. Nie wszystko umiemy sobie wytłumaczyć, prawda? Tego, kto wymordował naszych w Zgrozie, również nie wiesz?

– Nie wiem – wykrztusił Malhorn. – Na pamięć i honor, nie wiem!

– Co nie przeszkodziło ci oświadczyć przed Radą Dziedziców, że to ty stoisz za atakiem. – Krasnolud pokręcił głową z udawanym niedowierzaniem. – I ty, na czerń głębin, masz tupet oskarżać innych o podstępną naturę?

– Nie zmieniaj tematu! – Król uderzył w blat pięścią, lecz był zbyt słaby, by kula choć drgnęła. – Ustaliliśmy w Szelagu, że

możecie odbudowywać te swoje cholerne Żyły pod Głuchoborami pod warunkiem, że nie będziecie się szwendać na powierzchni. Niech no zgadnę. Dokopaliście się do tego waszego zaginionego Węzła pod Łoskotem, co? Coś poszło, kurwa, nie tak i pół stolicy mi się zawaliło, a ty, konusie, próbujesz się z tego wyłgać!

– Przymknij się! – warknął krasnolud. – I każ jakiemuś słudze przynieść ci kubek z wodą! Wsadź tam łeb, przytrzymaj dobrą chwilę i wyciągnij, a potem wrócimy do rozmowy!

– To wasza wina! Wasza! – szeptał z trudem Głuchoborzanin. – Miasta, na poźółkłe kły Smoczycy, nie zapadają się same z siebie!

– Może nie – rzekł wolno Callestr. – A może tak. Szukaj przyczyn gdzieś indziej, Malhorn, i to dopiero po owej sztuczce z zimną wodą, bo inni rozmówcy mogą nie być tak wyrozumiali jak ja. Pamiętam o Węzle i pamiętam o naszych ustaleniach. Pamiętam też, że zagwarantowaliśmy, iż bez waszej wiedzy i zgody Węzła badać nie będziemy, a ty chyba zapomniałeś, że dane słowo jest dla krasnoluda ważniejsze od dziesiątek traktatów i umów.

Malhorn poczuł, jak złość z niego uchodzi.

– Czyli to nie wy? – spytał cicho. – Nie wy i wasi Wyjaławiacze?

– Nie my – odparł Callestr chłodno. – I powinieneś być to sobie uświadomić bez mojej pomocy.

– A więc kto? Kto nas zaatakował?

– Nie mogę się czasem nadziwić ludzkiej megalomanii – prychnął Callestr. – Wszędzie doszukujecie się wrogów, spisków i podstępów. Nawet do głów wam nie przyjdzie, że trzęsienie ziemi to nie broń. To zwykła klęska żywiołowa, podobnie jak lawina czy powódź. Połowa Rozkrzyczanych Krain nie znosi was za butę i arogancję, ale to wciąż za mało, by rozwalić wam stolicę pełną głupich, ale niewinnych ludzi.

– A te stwory? – Monarcha zacisnęła zęby. – Skąd się wzięły? Potrafisz mi przysiąc, że to nie wasza sprawka?

– Krasnoludy same rozwiązują swe problemy – rzekł Callestr, akcentując każde słowo. – Nie potrafimy, tak jak ludzie, szczuć naszych wrogów psami. Nie mam pojęcia, o kim, Malhorn, mówisz. Może, gdybym się zastanowił, przypomniabym sobie wszystko, co wiem o podziemnych stworach, ale ciągle myślę o wydarzeniach w Zgrozie i jakoś na niczym innym skupić się nie mogę.

Znów przybliżył twarz. Jego skośne oczy, skryte pod krzaczastymi brwiami, niemal całkowicie wypełniły wnętrze kuli.

– Innymi słowy, Malhorn, odpieprz się od nas. Jeśli kiedyś uznamy, że warto wypowiedzieć wam wojnę, od razu odgadniesz, że to my.

Biel niespodziewanie zgasła. Mrok panujący w komnacie przeganiały płomienie w kominku. Ciemna już kula potoczyła się po posadzce i znieruchomiła obok nogi łóżka.

Grzmotun wpatrywał się w króla posepnym wzrokiem. Malhorn przez moment miał wrażenie, że bóstwo unosi brakujące ramię, by mu pogrozić.

– W sumie mógłbym ci mniej więcej to samo powiedzieć – odezwał się Pokrzewka, który spojrział na monarchę z baldachimem. – Ale wówczas straciłbyś okazję, by zrobić z siebie durnia przed władcą krasnoludów.

Malhorn odwrócił wzrok ku chwastownikowi, ale w tej samej chwili znów zaatakowała go słabość, objawiająca się silnymi zawrotami głowy połączonymi z nudnościami. Zacisnął powieki. Niemalże natychmiast do jego umysłu przedarł się huk nieodległej eksplozji. Otworzył oczy i uświadomił sobie, że Pokrzewki już nie ma. Zarejestrował też otwarte drzwi, przez które buchnął dym. Wyłoniła się z nich postać Krigstava.

– Wasza Królewska Mość, wiem, że mieliśmy nikogo nie wpuszczać, ale pani Elinaare... ma swoje sposoby – wycedził i zrobił krok w bok.

Fala nudności ustąpiła. Malhorn złapał się krawędzi wysuniętej szuflady i powstał z trudem. Weszła Elinaare. Ciężko oddychała, jak po walce czy szybkim biegu. Do jej spoconego czoła kleiły się kosmyki rudawych włosów, które wymknęły się z warkocza, a policzek był brudny od sadzy, ale oczy kobiety lśniły dziko, z wyzwaniem. Wyglądała imponująco i Malhorn naraz gorzko pożałował swego żalosego wyglądu.

– Nie możecie tu się tak wdzierać... – zaczął, usiłując się zdobyć na stanowczy ton. Z kiepskim rezultatem.

Elinaare wywróciła oczami i odwróciła się ku Krigstavowi, który z całej siły powstrzymał odruch zrobienia kroku w tył.

– Jesteś wolny, rycerzu – powiedziała. – Zawołam cię, gdy twemu panu się pogorszy. I przewietrzcie ten korytarz.

Krigstav skinął i wyszedł, przepuściwszy w wejściu Bielika, który podtrzymywał Skalmira.

– Hej! – odezwał się ze złością król. – A on co tu robi?

Elinaare poczekała, aż rycerz zatrzaskał drzwi, po czym przekrzywiła nieco głowę i syknęła z wściekłością:

– Odwała robotę za ciebie. Podobnie jak my wszyscy.

– Nie mydl mi oczu – westchnął bezsilnie Malhorn. – Uwolniłaś chłopaka z więzienia, co? Widzę, że perfekcyjnie wykorzystyłaś zamieszanie do własnych celów!

– Sam się uwolniłem – oświadczył Bielik, który pomógł magowi usiąść. – Więzienie się posypało, podobnie jak połowa twojej cholernej stolicy. Nie miałem ochoty siedzieć i czekać, aż mnie ułaskawisz.

Władca otworzył usta, by coś powiedzieć, ale uprzedziła go Elinaare.

– Spójrz tylko na siebie! – parsknęła z politowaniem. – Długo jeszcze będziesz się tu kulił po kątach? Malhorn, na bielejące kości mojej Matki, jeszcze chwila, a twoi poddani wywalą cię stąd kopniakami! Już słyszałam, jak jacyś krzykacze głośno dopytują się, gdzie ich król!

– Pieprzeni wichrzyciele! – zawołał Malhorn. – Mchaki i Głazińce nie tracą czasu, oby ich górskie barany na szlaku rozwlóczyły...

– Jasne. – Była Strażniczka usiadła ciężko na łóżku. – Siedź tu i biadol. Skarż się na swój los. Snuj teorie spiskowe i nurzaj się w paranoi. Zgrzytaj zębami i tup, a my ci później opowiemy, co się wydarzyło.

– Niczego nie rozumiesz. – Monarcha zrobił krok naprzód i złapał się krawędzi biurka, by nie upaść. – Nie rozumiesz naszej mentalności! Nie rozumiesz głuchoborskiego kodeksu!

– Nie. – Elinaare wpatrywała się w niego bez wyrazu. – Choć przypomniało mi się, jak Voorten opowiadał, że w kluczowych momentach zastępujecie logikę durnotą.

Bielik podszedł do matki. Ze znużeniem oparł się o jeden ze słupków baldachimu.

– Nie mogę do nich zejść – wyszeptał pospiesznie Malhorn. Po jego twarzy spływały krople potu, które wnikały w brodę i wąsy. – Przecież ja ledwie na nogach stoję. Ujrzą moją słabość, wyszydzą mnie, wyśmieją, a plotka pójdzie dalej. Królowie Głuchoborów zawsze słynęli z siły i wigoru! Każdy dowód na słabość był powodem do spisków, a coś takiego... – Wskazał na swe ciało.

– Toś się wpieprzył, Wasza Królewska Mość – mruknął głucho Bielik.

– Inaczej nie udałoby mi się sprowokować Mchaków i Głazińców do wykonania ruchu! – oznajmił z gniewem Malhorn. – Myślicie, że daliby się nabrać, gdybym upudrował sobie gębę i zaczął jęczeć?

– Każdy z nas ma głęboko w dupie politykę – stwierdził młodzieniec, ale Głuchoborzanin dał się już porwać własnym słowom.

– Musiałem pójść na całość. Musiałem zmylić cały świat. Pokrzewka zapewnił, że jest antidotum! Wypiłem to ścierwo, ale nie chce zadziałać i...

– Kiepski moment na eksperymenty z ziołami – prychnęła Elinaare. – Bo tam na dole robi się nieciekawie.

– Mało powiedziane – dodał Bielik i popatrzył na swe dłonie.

– Wierz mi – Malhorn rzucił młodzieńcowi pełne złości spojrzenie – że zdaję sobie ze wszystkiego sprawę. Posłańcy co rusz składają mi meldunki, a ja rozsyłam oddziały straży tam, gdzie trzeba. I wiem, że to zabrzmi żałośnie, ale lepiej, bym pozostał tutaj, niż pokazywał się ludziom w takim stanie. W końcu dojdę do siebie, a wtedy...

– Wtedy będzie już za późno – wtrącił Skalmir.

Mówił tym suchym nieprzyjemnym głosem, którym odzywał się przez całą batalię z Jaszczurem, jakby wypowiedzenie każdego kolejnego słowa stanowiło dla niego wyzwanie. W jego oczach lśniło ogromne znużenie.

– Podaruj sobie ostrzeżenia – parsknął król. – Wbrew temu, co mówisz, zdołamy dotrzeć do rana. Ściągnę posiłki z okolicznych zamków, a budowniczy obejrzą tę przekłętą przepaść i z miejsca przystąpią do napraw. Ludzie muszą mieć co robić. Kiedy się im zapewni pracę, jedzenie, dach nad głową i odrobinę nadziei, wszystko się poukłada. Oby do świtu.

Uświadomił sobie, że cała trójka milczy i wpatruje się w niego z wyczekiwaniem.

– Na świt, Malhorn, nie jesteś gotów – odezwał się Bielik po chwili. – O tych bladokórych gnojkach posłańcy ci mówili?

– Mówili. – Władca Głuchoborów wzruszył ramionami z udawanym lekceważeniem. – Szybcy i zwinni, ale przecież śmiertelni. Nikt o nich wcześniej nie słyszał, ale skoro da się ich zabić, pewnie już więcej nie usłyszy.

– Nikt o nich wcześniej nie słyszał – powtórzyła Elinaare i pokiwała głową. – To by się zgadzało.

– Możecie mówić z większym sensem? – spytał z rozdrażnieniem Malhorn.

– Nikt nic o nich nie wie. – Skalmir podniósł się z trudem. – Nie wiadomo, skąd się wzięli ani ile ich siedzi w głębi ziemi. Nie ma

jednak wątpliwości, że od dawna nie widzieli światła. Zafascynowane, lgną do pochodni i ognisk jak ćmy.

– To chyba dobrze? – Monarcha zmarszczył brwi. – Łatwiej ich będzie wykończyć.

– Może tak – powiedział Bielik. – A może nie. Wyobraź sobie, Malhorn, co się wydarzy, jak wstanie słońce i światło dotrze do najgłębszych zakamarków przepaści...

*

Mads i Gwaine od chwili wyruszenia w drogę w zasadzie się do siebie nie odzywali.

Elf, który nigdy nie należał do szczególnie gadatliwych typów, najwyraźniej nie miał nic przeciwko. Wciąż rozglądał się na boki, jakby nie mógł się nasycić barwami jesieni, a na jego twarzy ciągle gościł senny uśmiech. Bywało, że zostawał daleko w tyle, co Madsowi, który w przeciwieństwie do towarzysza ledwie panował nad emocjami, bynajmniej nie przeszkadzało.

On bowiem od czasu opuszczenia Pustaci nie przestawał zaciskać zębów.

Przez ostatnie trzy lata rozstawał się z Hunną wielokrotnie. Wyprawiał się wszak z Piołanami na długie polowania, chętnie dołączał do grup poszukujących nowych miejsc na rozbić obozu i regularnie towarzyszył pasterzom. Mimo to przez cały czas miał świadomość, że wystarczy zawrócić Żmijkę, a wnet znajdzie się przy ukochanej. Pustać, choć ogromna, była wszak ich domem. Tam byli bezpieczni. Tam byli razem, nawet jeśli dzieliły ich długie mile wrzosowisk.

To, że coś wyszarpnęło go z życia, które tak bardzo sobie upodobał, budziło w nim wściekłość, nad którą ledwie panował. Co jakiś czas odwracał się ku Gwaine'owi, który rozglądał się dookoła z nieustającą zadumą i najprawdopodobniej wcale nie był świadom burzy w sercu Voortena. Ten zaś szybko uświadamiał sobie, że przecież elf nie ponosi żadnej winy za jego niedolę, że jedynym przestępstwem Gwaine'a jest to, iż przyniósł złe wieści. Doszedłszy do tego wniosku, Mads wbił wzrok w coraz bliższe Góry Dostojne i zgrzytał zębami.

Pieprzony świat, myślał z goryczą i mocno zaciskał dłonie na wodzach. Niech szlag trafi cały ten świat, który wyrósł na ścierwie Smoczycy!

Cierpliwość stracił krótko po tym, jak zatrzymali się na nocleg.

– Niech szlag trafi ich wszystkich! – zawołał, gdy słońce skryło się za odległymi ziemiami, zostawiając jedynie różowe pasemko nad mglistym horyzontem, a starannie ułożone drewnienka ogarnęły płomienie. W oczach Madsa wzbierała burza. – Wszystkich!

– Cała bieda w tym – odezwał się Gwaine, być może po raz pierwszy tego dnia – by jednak nikogo nie trafił.

Voorten spojrział na niego złowrogo.

– Kiepski moment sobie wybrałeś na czepianie się słówek – warknął.

– Kiepski – przyznał elf, po czym spoważniał i przyjrzał się towarzyszowi uważniej. – Powoduje tobą silne wzruszenie, przyjacielu. Rozumiem, że nie masz ochoty zrywać z życiem, które sobie upodobałeś...

– Gówno tam rozumiesz – parsknął Mads i nachylił się, by rozdmuchać płomienie.

– ...lecz opuściłeś swe plemię wyłącznie po to, by je uratować – ciągnął Gwaine z niezmaconym spokojem. – To ja – w jego oczach błysnęło coś nieprzyjemnego i niepokojącego – powinienem się od was odwrócić. Ja, a nie ty. Wszak mnie z waszym światem nie łączy już nic. Mój lud spłacił swój dług.

– Mam przez to rozumieć, że powinienem się zamknąć? – prychnął Mads, rozkładając ręce.

– Nie – odparł Gwaine. – Mów, jasne. Lubię cię słuchać. O ile, rzecz jasna, nie pieprzysz od rzeczy. Tak to określacie czy źle dobrałem słowa?

Nastrój Voortena wcale się nie poprawił, głównie dlatego, że elf miał rację. Naraz podniósł się znad coraz śmieiej trzaskających płomieni, popatrzył na Gwaine'a i zadał mu pytanie, od którego powinien ich spotkanie zacząć:

– Czemu się właściwie w to angażujesz?

Elf uniósł głowę i przez moment wpatrywał się w człowieka oczami bez wyrazu.

– W co? – spytał.

– W to wszystko. – Mads spojrział w górę i zamachał ręką, pokazując bezmiar nocnego nieba, na którym wyjątkowo jasno świecił księżyc w pełni. – Wiele rzeczy mi umknęło z ostatnich dni walki z Jaszczurem, bo... bo byłem zajęty własnymi sprawami. – Umilkł na kilka sekund, by zdusić w sobie nagły przypływ tęsknoty za Hunną, po czym ponownie popatrzył na elfa. – Ale wiem, że w końcu się wycofaliście. Zjawiliście się, by spłacić swój

dług, i dobrze się stało, bo bez was nigdy nie pokonalibyśmy Jaszczura, ale potem wynieśliście się stąd w cholerę.

Wrzucił w ogień większe polano i posłał garść iskier ku niebu.

– Walka dobiegła końca – dodał po chwili. – Świat został uratowany i owej zafajdanej równowadze, o której tyle gadałeś, nic już nie zagrażało. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek ujrzę jeszcze kogoś z was. Czemu więc zostałeś? Dlaczego ci zależy?

Gwaine milczał. Płomienie trzaskały cicho, gdzieś zatrzepotał skrzydłami nocny ptak. W głębi lasu zaszczekał lis. Mads uznał, że zadał niestosowne pytanie i nigdy się nie doczeka odpowiedzi. Elf jednak zdecydował się odpowiedzieć.

– Opowiadałem już kiedyś o tym. – W jego głosie pojawiła się gorycz. – I nie lubię do tego wracać, ale jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę o tym opowiedzieć. Wszak, jak to wy mówicie, uratowałeś mi życie.

Uśmiechnął się w zadumie. Voorten zawsze miał wrażenie, że to jedyny uśmiech, jaki elf znał od zawsze, i że nie nauczył się go od ludzi.

– Mój lud usunął się na margines świata między innymi dlatego, że umieliśmy zrezygnować z cielesności – powiedział Gwaine. – Jako istoty niematerialne z wyboru staliśmy się bardziej świadomymi istnienia równowagi i konieczności jej pielęgnowania. Rozwinęliśmy wrażliwość na wiele ponadnaturalnych sfer, o których wy, ludzie, nie macie pojęcia.

– Skalmir by się obraził – burknął Mads.

– Skalmir byłby wyjątkiem – zgodził się jego towarzysz. – Niewiele elfów zachowało cielesność, a większość z nich poznałeś podczas Drugiej Burzy. Niektórzy z nas zginęli, inni naoglądali się wojny i mieli już dosyć materialnego życia, więc dołączyli do ogółu. Wydaje mi się, że jestem jedynym elfem w Rozkrzyczanych Krainach, który zdecydował się na pozostanie w ciele, ale nie odebrało mi to wrażliwości na kwestię równowagi.

Zamilkł i dorzucił do ognia kilka gałęzi. Natychmiast objęły je płomienie.

– Rzekłbym – podjął z pewnym wahaniem – że w jakiś sposób się od tego uzależniłem i... być może nadałem sobie w ten sposób cel w życiu? Nie wiem. Tak czy owak, zostałem w Rozkrzyczanych Krainach, by strzec równowagi. A przynajmniej mieć na nią oko.

– I tym się zajmowałeś przez ostatnie lata? – Mads wpatrywał się w niego zmrużonymi oczami. – Pilnowałeś równowagi?

– Tak – przytaknął elf. – Jeździłem po świecie i wsłuchiwałem się w niego. Przyglądałem się mu. Próbowałem go wyczuć. Nie zawsze było to łatwe.

– Natrafiałeś na Bękarty? – spytał z zainteresowaniem Voorten.

– Nie. – Gwaine się skrzywił. – Większość z nich zginęła lub uciekła w dzikie ostępy, a ktoś taki jak ja z łatwością wyczuje ich obecność. O wiele większą trudność sprawiają mi te wasze... pieniądze. To, że trzeba płacić za to i za tamto. – Elf sprawiał wrażenie zażenowanego. – To... to skomplikowane. Rzadko zachodzę do ludzkich siedzib, bo całe to płacenie wytrąca mnie z równowagi. Książę Istvan i król Malhorn godnie mnie wynagrodzili, ale... No, nieważne. W każdym razie na ogół trzymam się z dala od wsi i miast; lubię ciszę.

– Pachnie tam też o wiele lepiej – mruknął Mads i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Czyli wędrujesz sobie po drogach i bezdrożach, by mieć pewność, że wszystko jest w porządku? Że świat się jakoś trzyma?

– Mniej więcej.

Voorten odkorkował bukłak z reniferowym kumysem. Pociągnął tęgi łyk i podał skórzany worek elfowi, który powąchał zawartość i pokręcił głową. Mężczyzna wzruszył ramionami, ponownie się napił i zakorkował bukłak.

– Aż doszedłeś do wniosku, że równowaga znów się pruje – powiedział ponurym głosem. – I w te pędy przybiegłeś do mnie.

– Tak – przyznał Gwaine.

– A czemu akurat do mnie?! – wybuchnął Mads. – Czemu nie do Malhorna, na zeschły jezior Smoczycy? Czemu nie do Skalmira? Do Istvana? Do Elinaare? Do Bielika?

– Z Bielikiem nawiązałem już kontakt – poinformował elf po chwili. – Przysłał niedawno do Malhorna i wraz z częścią Widmowego Zagonu zdobywa dla niego różne informacje.

– Czyli szpieguje? – Voorten zmarszczył brwi z niedowierzaniem. – Bielik? Czy on nie jest aby zbyt popędliwy na taką robotę?

– Nie wiem. – Gwaine wzruszył ramionami w bardzo ludzkim geście. – Może nauczył się nad sobą panować. Dobrze, że znalazł sobie coś, czym może się zająć. Członkowie Widmowego Zagonu to niespokojne duchy, co do jednego, i po pokonaniu Jaszczura mieli trudności, by dopasować się do rzeczywistości. Kilku zginęło, inni zeszedli na drogę bezprawia, a Bielik i jeszcze paru postanowili przejść na służbę głuchohorską, która bezpieczna nigdy nie jest.

Mads poczuł nagły przyływ wyrzutów sumienia. Tak łatwo zapomniał o Bieliku...

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie – przypomniał. – Czemu ja?

– Bo gdy przyjdzie co do czego, tylko ty potrafisz ich wszystkich skrzyknąć i namówić do współpracy. – Elf westchnął. – Tylko ty.

Voorten się skrzywił.

– Dziwne – rzekł. – Masz mnie za rozjemcę, którym nie jestem. Ja, Gwaine, dowodziłem oddziałami na polu walki.

– Wiem.

Mads pokiwał głową i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w bierwiona pożerane przez płomienie.

– Czyli naprawdę spodziewasz się, że dojdzie do wojny – bardziej stwierdził, niż spytał.

– Liczę się z tym.

– A jest jakaś szansa, że się mylisz? Że tak naprawdę nic nam nie grozi?

– Tak, mogę się mylić. – Nagle ogień przygasł i twarz Gwaine'a spowiły rozedrgane cienie. – Nie wykluczam na przykład, że mamy mniej czasu, niż zakładam. Prześpij się, Mads. Wyruszamy przed świtem.

Rozdział trzeci

Cztery dni do Zorzy

Elinaare leżała z otwartymi oczami, przeświadczona, że świt jest już blisko.

Niewielka sypialnia, znajdująca się na tyłach ogromnej komnaty królewskiej, miała tylko jedno okno. Przesłaniające je okiennice terkotały pod naporem podmuchów wściekłego wiatru. Przez szczeliny między nimi nie wpadł do tej pory ani jeden promyk światła, ale kobieta wiedziała, która jest godzina. Jako Smocza Strażniczka spędziła wszak część życia w podziemnych lochach, z dala od słońca i księżyca, i jej umysł, nawet jeśli pochłaniały go inne kwestie, bezbłędnie rejestrował upływ czasu. Trening, któremu ją poddano, uodpornił ją także na zmęczenie wywołane brakiem snu. Traciła siły tak, jak inni ludzie, ale wystarczała jej krótka drzemka, by na nowo móc przez wiele godzin podróżować, walczyć czy prowadzić dochodzenie.

Tak było i tym razem. Gdy otworzyła oczy, umysł błyskawicznie uwolnił się od senności. Nieco wolniej reagowało jej ciało, wciąż wyczerpane po walce nad wyrwą, ale mimo to czuła, że jest gotowa do działania. Pasowało jej, że nocne rozmowy, które Malhorn toczył z Turunem Ostańcem oraz resztą dowódców i sojuszników, zakończyły się podjęciem konkretnych postanowień. Cieszyła się też, że nie musieli w nich uczestniczyć. Razem ze Skalmirem i Bielikiem przekazali władcy wszystko, co ten powinien wiedzieć o zagrożeniu, a potem udali się na spoczynek. Byli w końcu tylko gośćmi. Nie mieli prawa ani obowiązku uczestniczyć w wydarzeniach politycznych, targających państwem, które nie było ich ojczyzną, nawet jeśli rządził nim ich przyjaciel i dawny towarzysz broni.

Co innego Bielik.

Elinaare westchnęła ciężko i nadal leżąc, zmieniła pozycję. Znała dobrze wyraz determinacji na twarzy syna i w lot

odgadywała, gdy ten postanowił oddać się jakiejś idei bez reszty. Widziała, że siania się na nogach ze zmęczenia, zbyt dumny, by się do tego przyznać. Odniosła też wrażenie, że w jego oczach połyskuje zawziętość, której dotąd u niego nie widziała.

Zawziętość, która mogła łatwo przejść w obłęd.

Co się dzieje w duszy tego chłopaka? – myślała. Czego on szuka? Z czym walczy?

Nie chcąc budzić Skalmira, ostrożnie podniosła się z łoża, po czym nakryła maga dodatkowym kocem. Posadzka ziębiła jej bosa stopy. Powoli podeszła do okna i uchyliła okiennicę; ostry podmuch wiatru prawie wyrwał ją z jej ręki. Załzawionymi od chłodu oczami spoglądała na okaleczone miasto, wciąż spowite ciemnością nocy. Zamrugła parokrotnie, by pozbyć się łez. Teraz, gdy zgaszono pochodnie i ogniska płonące wzdłuż krawędzi wyrwy, ta nie była już tak widoczna, ale mimo wszystko jej bezdenny mrok odcinał się wyraźnie od ciemnego miasta. Elinaare dostrzegła również zarysy prowizorycznych barykad wznoszonych przez załogę i mieszkańców miasta, a wiatr przynosił urwane pokrzykiwania oficerów, stukot narzędzi i ryk rogów kawalerii. Odetchnęła z ulgą.

Łoskot się przebudził. Malhorn nie zlekceważył ich rad. Głuchobory szykowały się do boju.

Cichy szelest za plecami przyciągnął jej uwagę. Zamknęła popieszczenie okiennicę i się odwróciła. Skalmir siedział na łóżku i mrugał.

– Już świt? – wymamrotał.

Elinaare przypadła do niego. Usiadła z boku i ujęła wychudzone dłonie maga.

– Nie – szepnęła. – Jeszcze nie. Śpij, ukochany. Śpij!

Objęła jego niemalże bezwłosą czaszkę i wycisnęła pocałunek na wysokim czole. Skalmir, choć nadal rozespany, uśmiechnął się lekko i przez tę krótką chwilę wyglądał prawie młodzieńczo.

– Wybacz, jeśli cię obudziłam – rzekła cicho. – Nie mogłam już dłużej leżeć.

– Wiem. – Czarodziej spojrział jej w oczy i pocałował ją lekko w usta. – Śpisz niczym myszka. Byle szelest potrafi cię obudzić.

– Bo nigdy nie wiadomo, kiedy zjawi się kot. – W oczach kobiety błysnęło rozbawienie.

Skalmir również się uśmiechnął – był to wszak ich stary dowcip, bodajże pierwszy, którym udało mu się rozbawić Elinaare – ale po chwili jego powieki znów opadły. Zakołysał się, jakby nawet

pozycja siedząca stanowiła dla niego zbyt duże wyzwanie. Dłoń Elinaare zsunęła się na jego policzek, a palec pogładził bruzdy wokół oczu.

– Śpij – powtórzyła. – Odpoczywaj.

Czarodziej położył się z westchnieniem.

Dopalająca się świeca nie dawała wiele światła, ale mimo to kobieta widziała na twarzy Skalmira ślady ogromnego znużenia. Cera maga miała niezdrowy, żółtawy odcień, zmarszczki się pogłębiły, a plamy pod oczami rozlały szeroko. Choć należał do elity wichrogórskich czarodziejów, a noszony od czasu decydującego starcia z Jaszczurem kamień zdecydowanie zwiększał jego magiczne możliwości, Skalmir stanowił najlepsze świadectwo tego, jak duże obciążenie dla ludzkiego organizmu stanowiło korzystanie z Mocy. Patrząc na czarodzieja, nie chciało się wierzyć, że był w wieku Elinaare – długie lata eksperymentów z magią odebrały jego ciału gibkość i energię, a twarz upodobniły do oblicza starca. Stracił większość włosów, zaczął się garbić, łatwo się męczył i straszliwie wychudł. Przez ostatnie trzy lata dzięki staraniom Elinaare Skalmir nieco odżył, ale kobieta się obawiała, że nadmierne korzystanie z Mocy znów pogorszy jego stan.

A tej nocy wcale się nie oszczędzał. Wyciągnięcie Bielika z dna przepaści stanowiło dlań ogromne wyzwanie.

Palce Elinaare zeszyły na kamień, z którym Skalmir nigdy się nie rozstawał. Przez moment gładziły powierzchnię zimnego otoczaka, w którym wywiercono dziurę, by przewlec przezeń gruby rzemień.

– Bywa, że nienawidzę tej rzeczy – powiedziała.

– Ta rzecz – Skalmir uśmiechnął się sucho – uratowała wczoraj twego syna. Wraz z innymi kamieniami pomogła pokonać Jaszczura, a teraz stanowi o równowadze w Rozkrzyczanych Krainach. Dopóki Wichrogóry dysponują wszystkimi kamieniami, dopóty nikt nam nie zagrozi.

– Wiem. – Elinaare odsunęła się od ukochanego, by spojrzeć mu w oczy. – I naprawdę nie musisz mi tego za każdym razem powtarzać. Ja nienawidzę tego kamienia dlatego, że nosisz go ty.

Skalmir uniósł się na łokciu.

– Prawo do noszenia go otrzymałem od Wysokiej Rady w Jesiennicy – przypomniał. – W uznaniu za moje zasługi w walce z Jaszczurem i za poszukiwanie utraconych kamieni. Nie spodziewam się, by kiedykolwiek spotkało mnie większe wyróżnienie.

Elnaare odwróciła na chwilę głowę, w jej oczach błysnęła gorycz.

Szkoda, że tak łatwo zapominasz o mnie, pomyślała. Czym jest miłość, którą cię darzę, jeśli nie wyróżnieniem.

– Tak, wiem – rzekła, wstając. – Trzykrotnie zwiększa twoje możliwości – dodała, nawet nie próbując ukryć ironii. – A po odpowiednim treningu może i czterokrotnie. Wszystko to kwestia czasu, sumienności i wysiłku. Teraz, kiedy jesteście wolni od Przekleństwa, pozostaje wam jedynie się szkolić. Za kilka lat sam będziesz mógł taką przepaść stworzyć.

Podeszła do kaftana przerzuconego przez oparcie krzesła i zaczęła go zakładać.

– O co ci chodzi? – Skalmir wodził za nią wzrokiem.

– O to, że twój pościg za Mocą cię zabije. – Elnaare spojrzała na niego ostro. – Nie istnieje dla ciebie nic ważniejszego. Nie patrzysz na mnie. Nie patrzysz na naszą przyszłość. Widzisz tylko ten otoczek i wciąż napawasz się swoim zaszczytem, który powoli, powolutku odbiera ci życie.

– Jestem magiem. – W głosie Skalmira zdumienie mieszało się z oburzeniem. – Wiesz o tym, wiedziałaś od samego początku. Nie ma dla mnie innego życia, a ty... ty sprawiłaś, że jest ono piękniejsze, niż mi się kiedykolwiek mogło śnić.

Prychnęła.

– A ile ci jeszcze tego życia zostało? – spytała z narastającym gniewem. – Kiedy przyjdą do mnie twoi konfratry z Akademii i powiedzą mi ze strapionymi minami, że najszcześniejszy etap w moim życiu właśnie minął? Bo Skalmir, pierwszy człowiek, którego obdarzyłam prawdziwą miłością, znów próbował dotrzeć do granic Mocy i wypruł z siebie resztki życia!

– Masz mi za złe, że eksperymentuję z Mocą. – Czarodziej pokręcił głową. – Cóż, wiem o tym i...

– Nie – odrzekła, zapinając pas z mieczem. – Mam ci za złe to, że nie widzisz niczego poza tym. Że kamień, Moc i zaszczyty są dla ciebie ważniejsze ode mnie! Od naszej wspólnej przyszłości!

– Ważniejsze? – Skalmir zmrużył oczy. – Elnaare, mag, któremu powierzono kamień, opiekuje się jednocześnie największą świętością naszej ojczyzny. Nałożone są na niego surowe prawa i obowiązki, a najważniejsze obostrzenie brzmi: nigdy nie opuszczaj Jesiennicy bez zezwolenia Wysokiej Rady! Co właśnie uczyniłem! Dla ciebie i dla Bielika! Jeśli ktoś się dowie, że w tajemnicy przenieśliśmy się do Łoskotu, w którym właśnie doszło do

katakliźmu, wyniszczająca mnie Moc stanie się ostatnim z naszych problemów! Złamałem wszystkie prawa, by pomóc twemu synowi, a ty oskarżasz mnie o egoizm?

– Racja – przyznała zimnym głosem. – Idiotka ze mnie. Jak mogłam o tym zapomnieć. Leż więc tu i odpoczywaj, a ja spróbuję pomóc Malhornowi odzyskać władzę nad tym przeklętym miastem.

– Elinaare, ja nie chciałem...

– Dość! – huknęła była Strażniczka, a w jej oczach buchnął ogień wściekłości. – Ani słowa więcej! Odpoczywaj! I nie łam więcej praw. Po południu wracamy do Jesiennicy.

Wychodząc, trzasnęła drzwiami.

*

Bielik przysiadł na skraju zydła, oparł łokcie o kolana i westchnął, znużony.

– Zjedz coś – powiedziała Naparstek. – Schudłeś na królewskim wikcie.

Młodzieniec prychnął z pogardą na wspomnienie więzienia i pokręcił głową.

– Nie mam apetytu – rzucił. – Nigdy nie chce mi się jeść, jeśli mam przed sobą robotę do wykonania.

Wyciągnął rękę i sięgnął po bicz pasterski, leżący na stole obok cynowej miski z chlebem, serem i kiełbasą oraz dzbanka z rozcieńczonym winem. Więzień, przywiązany do rozklekotanego krzesła kilka kroków dalej, śledził go to z przestachem, to z nienawiścią.

– Trzeba więc się pospieszyć – warknął Bielik, wstając. – Dajcie więcej światła.

Krzyk, chudzielec o krzywym uśmiechu, z włóczniami w skórzanych obejmach przymocowanych na plecach, uklęknął i dorzucił do prymitywnego paleniska kilka desek. Płomienie natychmiast objęły je z trzaskiem i cienie cofnęły się do wilgotnych kątów. Przeciąg zawył, wprawiając ogień w tan.

Naparstek skrzyżowała ramiona na piersiach, aż skrzypnęła skórzana kamizela, i dmuchnięciem odrzuciła nierówną grzywkę. Krzyk podszedł bliżej. Z posłania pod ścianą podniósł się barczysty, wiecznie milczący Buk i oparł dłoń na rękojeści krótkiego miecza. Strzęp, wyczuwając gromadzące się napięcie, podeszła bliżej i założyła nabijany kolcami kastet.

– Nie – rzekł Bielik. – Ja to załatwię.

Czworo wojowników z Widmowego Zagonu, gotowych w ułamku sekundy wesprzeć swego dowódcę, zastygło w półkregu. Cienie skaczące po ich obliczach przywodziły na myśl mścicieli z toksycznego koszmaru. Grdyka więźnia unosiła się i opadała.

– Spójrz tylko na siebie – rzekł cicho Bielik, obracając bicz w palcach. – Pospolita gęba. Tępa mina. Puste oczy, byle jakie włosy, łachmany zamiast godziwego przyodziewku. I ty myślałeś, że ludzie cię wysłuchają, co?

Krzyk prychnął pod nosem.

– Wyświadczyliśmy ci przysługę, zgarniając cię z ulicy, półgłówku. Jeszcze by cię ktoś zobaczył, jak nawołujesz lud przeciwko królowi. Ludzie nigdy nie przestaliby z ciebie drwić. Jesteś nam wdzięczny, prawda?

Knebel uniemożliwiał powiedzenie choćby słowa, ale więzień nadal nie spuszczał z Bielika z oczu. Jego skóra mieniła się od potu.

– Z drugiej strony to, że niczym się nie wyróżniasz, mogłoby się stać twoim atutem – ciągnął młodzieniec. – Gdybym bowiem nabrał do ciebie sympatii i cię wypuścił, bez trudu wtopiłbyś się w tłum podobnych popaprańców i zniknął na zawsze.

W spojrzeniu więźnia błysnęła nadzieja.

– Niestety, nie mam do ciebie sympatii. – Bielik rozwinął bicz. – Bo nawoływałeś mieszkańców Łoskotu do buntu. Wichrzyłeś w dniu najtrudniejszej próby. Straszny z ciebie sukinsyn, wiesz?

Stanął za plecami więźnia. Ten chyba wyczuł, co się zaraz stanie, bo zaczął się miotać, próbując zerwać więzy. Krzesło skrzypiało, jakby lada chwila miało się rozpaść.

Bielik uformował z bicza pętlę i zarzucił ją mężczyźnie na szyję.

– Straszny sukinsyn – powtórzył, a następnie zaczął go dusić.

Więzień miotał się desperacko, purpurowy na twarzy. Żyły na czole nabrzmiały, pot spływał po skroniach, krzesło trzeszczało, nogi w lichych butach kopały wilgotną ziemię. W powietrzu rozniósł się smród moczu.

Dowódca Widmowego Zagonu nie wkładał w duszenie wszystkich swoich sił. Zaciskał linę przez kilka, kilkanaście sekund, po czym ją rozluźnił. Więzień natychmiast przechylił się do przodu, a krzesło z trzaskiem pękającego drewna runęło na ziemię.

– Poszczałeś się – zauważył Bielik. – Jakby nie dość było kłopotów.

Kopniakiem przewrócił zatrzymanego na plecy. Z oczu mężczyzny ciekły łzy.

– Buk, wsadź żelazo do ognia – polecił dowódca. – Jak się mu co nieco odetnie, a potem przypali, to może sikać przestanie? Co sądzicie?

Strzęp parsknęła sardonicznym śmiechem, a Naparstek się skrzywiła, jakby sytuacja przestawała jej odpowiadać. Bielik jednakże zignorował jej minę i skupił się na więźniu, który wytrzeszczał oczy i kaszlał, usiłując wypluć knebel.

– Chcesz coś powiedzieć? – spytał Bielik z udawanym zainteresowaniem. – No, dobrze się zastanów. Mogę ewentualnie wyciągnąć ci ten knebel i posłuchać, ale wiedz, że wystarczy jedno słowo, które mi się nie spodoba, a wbiję ci go z powrotem i złapię ten podgrzewany nóż.

Z obrzydzeniem chwycił za knebel, wyszarpnął go z ust więźnia i rzucił na ziemię. Przechyliwszy głowę niczym wrona szykująca się do dziobnięcia psich zwłok, ukucnął przy mężczyźnie, który łapał teraz ogromne hausty powietrza, skupiony wyłącznie na oddychaniu.

– Jak cię zwa? – wycedził.

– Ja!... Jałowiec! – wykrztusił więzień, wpatrujący się w niego szeroko otwartymi oczami. Bicz pozostawił na jego mokrej od potu szyi grubą, czerwoną pręgę. – Akademikiem jestem! Dla świątyni pracuję!

– Dla świątyni. – Bielik się zadumał. – Świątyni owego Grzmotuna, tak? Tego lipnego boga, którego wasz król postanowił wskrzesić?

Jałowiec się rozkaszał, ale zdołał potwierdzić serią skinieć.

– Pracujesz dla świątyni – powtórzył dowódca. – A więc dla króla. A mimo to postanowiłeś go zdradzić? Dlaczego, Jałowiec, darłeś się, że Malhorn was opuścił? Dlaczego nazywałeś go zdrajcą i słabeuszem? Dlaczego twierdzisz, że się odwrócił od waszego narodu, a do tego zsyła na was nieszczęście? Bo chyba nie wierzysz w to wszystko, co?

Naparstek podeszła bliżej. Zgrzytnęła stal, gdy oparła włócznię o kamienną posadzkę. Buk przyglądał się uważnie rozgrzanemu czubkowi noża.

– Nie wierzę – wykrztusił Jałowiec. – Ja nie... Ja nie chciałem nic złego... Ja... Świątynia kiepsko płaci, a ja... ja zgubiłem sakiewkę i gdy ten człowiek... Gdy podszedł do mnie i wręczył mi pięć gwerów...

– Postanowiłeś zdradzić swego króla – dokończył za niego Bielik.
– Za pięć gwerów. Nigdy nie widziałem bardziej cuchnącej szmaty od ciebie.

– Wybaczcie... – Akademik skulił się w sobie i rozszlochał. – Ja nie chciałem...

Bielik poderwał się i wymierzył mu kopniaka w żołądek, po czym odwrócił się plecami do targanego torsjami więźnia i podszedł do stołu. Przez chwilę jadł, zapijając każdy kęs kubkiem wina, a gdy akademik doszedł do siebie, znów stanął obok niego.

– Kto ci wręczył te pieniądze? – wyszeptał. – Kto ci kazał podburzać lud? Przypomnij sobie wszystko, Jałowiec. Wszyściuteńko. A jeśli mnie okłamiesz, wykroję ci drugi pępek rozgrzanym nożem. Jeszcze nie wiem gdzie.

– Nie widziałem go dobrze – wybelkotał zatrzymany.

– Nie najgorszy początek – przyznał młodzieniec. – Przynajmniej nie zmyślasz. No, mów. Co pamiętasz?

– Ani młody, ani stary.... Kaptur miał. I mówił po naszymu, ale z akcentem. Lekkim, ale ja się znam na tym. Akademikiem jestem.

Bielik zeszywniał.

– Jakim akcentem? – spytał.

– Tuistańskim.

W piwnicy zapadła taka cisza, że słyhać było szum płomieni. Strzęp podeszła bliżej, a Buk odłożył nóż i odwrócił się ku przesłuchiwanemu.

– Jak rzekłem, miał kaptur – ciągnął ten, jakby nagle nabrał animuszu. – Przez co nie mam pewności, ale chyba widziałem ogoloną czaszkę. Za nami płonęło ognisko, wicie.

Bielik zerknął na Naparstek, a ta skinęła zdawkowo głową. Tuż po wyzwoleniu Łoskotu miejscowa ludność bez wahania mordowała każdego, kto miał rude bądź choćby rudawe włosy, częste wśród Tuistan. Nieco później uprzedzenie objęło również każdego, kto włosy zgolił, przypuszczano bowiem, że chce tym zamaskować tuistańską krew. Człowiek, który przekupił Jałowca, mógł więc maskować swe pochodzenie.

– Pamiętasz coś jeszcze?

– Nie, panie... Okażcie jednakże litość, ja wcale nie chciałem...

Bielik wymierzył więźniowi kolejnego kopniaka, po czym przygniótł go kolanem i wepchnął mu knebel w usta.

– Bredzi? – Krzyk wpatrywał się w przywódcę intensywnie. – Przecież Tuistanie odeszli. Sam byłeś tego świadkiem.

– Widziałem, jak odchodzą. – Bielik potarł czoło. – A potem pojawiły się ważniejsze sprawy i nikt już Smoszczurów nie śledził. Nikt nie wie, dokąd się udali. Nikt za nimi nie podążał. Na zeszcłe flaki Smoczycy, w tym, co ten szmaciarz wygaduje, może być ziarnko prawdy. Wiecie, po co was tu ściagnałem?

– Nie, bo skąd? – odparła Strzęp i odrzuciła przetłuszczone włosy za ramię. – Gdy tu przyjechaliśmy, siedziałeś w królewskim pierdłu, a Naparstek nie mogła nam wiele wyjaśnić. Wdałeś się w politykę? – spytała z pogardą.

– Odbiło ci – prychnął dowódca. – My jesteśmy Widmowym Zagonem, Strzęp. My nie zajmujemy się polityką, nawet jeśli to tak wygląda. My łączymy się z tymi, którzy mają powody, by martwić się o przyszłość świata.

– W tym przypadku z królem Głuchoborów – burknął Buk. – Który potem wtrącił cię do lochu. Naprawdę uważasz, że to nie polityka?

– Malhorn to przede wszystkim mój przyjaciel i towarzysz broni – rzekł hardo Bielik. – Który ma uzasadnione obawy, że ktoś podgryza mu królestwo od środka. Na jego prośbę – mówił teraz ciszej i szybciej, zerkając na wciąż wijącego się z bólu Jałowca – przeprowadziłem małe dochodzenie. Przeniknąłem do zamku w Tęgorzu, siedziby rodu Mchaków, do którego trafiali doprawdy dziwni ludzie. Innych, całkiem do nich podobnych, widywałem w Łoskocie. Nie wiem, skąd się brali, ale rozmawiali z głowami rodów jak równy z równym. Musiałem uciekać, zanim ustaliłem konkrety.

– Czyli jednak wpięprzyłeś się w politykę rodową. – Krzyk wyrzucił oczami. – Na flaki Jaszczura, Bielik. Nisko upadłeś.

– I gdzie tu różnica między polityką a ratowaniem świata? – spytał Buk.

– Nisko upadłem, Krzyk, zgadzam się – przyznał zaskakująco łagodnie przywódca. – A owa różnica... Cóż, to nie ja wpadłem na pomysł dołączenia do Malhorna. To elf Gwaine podsunął mi ten pomysł, a jemu ufam. Już raz wysłał mnie w podróż, która pomogła ocalić świat przed popadnięciem w kolejną ruinę. Dowiedziałem się od niego, że jeśli równowaga znów ma się zawalić, dojdzie do tego gdzieś w Głuchoborach. Uznałem, że służba dla Malhorna pomoże mi odnaleźć na to pierwsze dowody. I cóż, dalej tak uważam.

– Powiedziałeś, że spotkałeś dziwnych ludzi – wtrąciła Naparstek. – Dlaczego ich tak nazywasz?

– Bo nikt ich wcześniej nie widział ani w Łoskocie, ani w okolicach – powiedział powoli Bielik. – Na zgon Smoczycy, trudno mi powiedzieć, skąd tak naprawdę wzięły się moje podejrzenia, bo oni wcale się nie wyróżniali ani nie mieli wyraźnych wspólnych cech... Niby niepozorni i trzymający się na uboczu, ale wyczuwałem od nich skrywaną arogancję i poczucie wyższości. Wyglądali na zawziętych wojowników, choć nie obnosili się z bronią. Przypuszczam też, że na brak gotówki nie narzekali. Nie zdobyłem żadnego dowodu na to, że wysłał ich ktoś z zewnątrz. Aż do wczoraj.

– Co się stało wczoraj? – spytała Strzép, mrużąc oczy.

– Zauważyłem na ulicach Łoskotu tego, który kilka tygodni temu wjechał boczną furką do Tęgorza na rozmowę z Mchakami – tłumaczył cicho Bielik. – Stary, chyba najstarszy z nich wszystkich. Znużona twarz, zapuchnięte oczy, zgarbiona sylwetka, ale to tylko pozory, jak sędzę. Mam wrażenie, że to on prowadzi operację. Stał wczoraj nad przepaścią i wydawał się... – Zastanowił się nad doborem słów. – Wydawał się zaskoczony tym, co się stało. Wręcz niezadowolony. Potem, z korytarza na dnie przepaści, doszły mnie słowa, które chyba wypowiedziano po tuistańsku. Udało mi się je zapamiętać i zdaniem mojej matki przypominają: „Do roboty!” oraz serię przekleństw. A teraz to. – Wskazał półprzytomnego akademika, a następnie powiódł twardym spojrzeniem po reszcie. – Tam, gdzie pojawiają się Tuistanie, znika temat polityki rodowej. Być może się mylę, ale jeśli tak nie jest i Smoszczury na nowo interesują się Rozkrzyczanymi Krainami, mamy naprawdę przesrane. Bo ze względu na buntowników to królestwo łatwo byłoby rozsadzić od środka, a gdyby do tego doszło, nic już nie uratowałyby pozostałych krain. Wracajmy na górę. Musimy przeszukać to cholerne miasto.

*

Skalmir nie mógł się otrząsnąć z wyrzutów sumienia.

Bywały chwile – krótkie i ulotne – kiedy żałował, że pokochał Elinaare i że ona, ku jego szczeremu zdumieniu i niedowierzaniu, odwzajemniła tę miłość. Bez niej jego życie byłoby łatwiejsze. Skupiony wyłącznie na poszerzaniu swych magicznych umiejętności, nie martwiłby się o przyszłość. Nie wiedziałby, czym jest tęsknota. Nie poznałby smaku goryczy, która zalewała go po

klótni, byłby wolny od trosk i niepokojów, nie musiałby się przejmować tym, co Elinaare myśli i czym się martwi.

Chwile te mijały jednakże błyskawicznie, gdy uświadamiał sobie, że bez niej stałby się pustą skorupą. Bez miłości, jaka ich połączyła, on, Skalmir z Wichrogór, stanowiłby tylko cielesną materializację Mocy, obecną w dziejach świata zaledwie przez moment, pozbawioną większego znaczenia i łatwą do zapomnienia. Elinaare uczyniła go człowiekiem. Pokazała mu, że potrafi czuć i się troszczyć. Nauczyła śmiechu, zachwytu nad codziennością i przyjemności z konnych wycieczek. Przy niej poznał smak wina przy kominku, rozkosz płynącą z kobiecego dotyku, a także wagę tęsknoty.

Wypełniła go potęgą równie uzależniającą jak Moc.

Czasem myślał, że być może nigdy nie zdoła pogodzić w sobie obu tych potęg. Jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że z żadnej z nich nie potrafi zrezygnować.

Dlatego opuścił zamek królewski jakaś godzinę po tym, jak Elinaare trzasnęła drzwiami.

Nadszedł już świt i cienie zalewające wąskie uliczki Łoskotu stawały się coraz krótsze. Na nielicznych ocalałych szybach skrzyła się jesienna wilgoć. Skalmir szedł szybko, przeciskając się pomiędzy ludźmi podekscytowanymi wieścią o tym, że załoga miasta szykuje się do bitwy. Oczywiście nie dało się uniknąć typowego dla takich chwil zamieszania – gęstniejące gromady roztraçały wozy wyładowane dobytkiem tych, którzy zdecydowali się na ucieczkę, lub oddziały spieszącej na pozycje konnicy. Jeźdźcy krzyczeli ze złością i nakłaniali mieszkańców do znalezienia bezpiecznego schronienia. W odpowiedzi leciały w ich kierunku śmiechy i wyzwiska. Konie rżały, zaniepokojone wrzawą, powietrze co rusz przecinał ponury ryk rogów, skądś dobiegały strzępy wojennej pieśni.

Łoskot otrząsnął się z szoku i był gotów do obrony.

Skalmir zerknął na czyste niebo, upstrzone zaledwie kilkoma drobnymi chmurkami, i przyspieszył kroku. U wylotu ulicy dostrzegł barykadę, wzniesioną w nocy przez załogę miasta. Zgromadzony przed nią tłum kobiet i mężczyzn wymachiwał zaimprovizowanym orężem i wrzeszcząc oraz złorzecząc, domagał się pozwolenia na wzięcie udziału w walce, ale strzegący zapory strażnicy słuchali tego wszystkiego z obojętnymi minami.

– Rozejdźcie się! – krzyczał przez tubę sierżant. – Znajdźcie sobie schronienie! Przepaść została obsadzona przez załogę miasta i

poczty rycerskie! Wasz udział mógłby popsuć plan obrony opracowany przez samego króla!

– Niech szlag trafi króla! – odrzekł któryś z krzykaczy, natychmiast poparty przez dziesiątki innych. – Gdzie był wczoraj, gdy zapanowało to zamieszanie?!

– Gdzie jest teraz?! – krzyknęła tęga kobieta i zamachała toporem nad głową.

– Niech już umrze i odstąpi tron komuś męźniejszemu! – dodał brodac z długim łukiem.

Każde kolejne zdanie wywoływało coraz większy aplauz wśród zgromadzonych. Sierżant uniósł tubę, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, po ulicy rozległo się chrapliwe dudnienie rogu. Z głośnym tętentem kopyt nadciągał oddziałek kilku rycerzy z giermkami. Mieszczanie niechętnie rozsunęli się na boki, a sierżant krzyknął na swoich ludzi, którzy po krótkiej chwili natarli na wóz blokujący bramę w barykadzie i zrobili miejsce dla konnicy. Tłum zafalował, a co śmielsi ruszyli w ślad za rycerzami, ale zatrzymały ich wycelowane kusze. Wóz powoli wracał na miejsce.

Skalmir dotknął skrywanego pod płaszczem otoczaka i poczuł, jak przepelnia go płynąca z kamienia energia. Bez trudu przekształcił rzeczywistość wokół siebie tak, by nie zapamiętano ani jego twarzy, ani postury, ani stroju, i śmiało prześlizgnął się przez coraz ciaśniejszy otwór.

W istocie, nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Po drugiej stronie barykady panował większy spokój. Zewsząd zmierzali zbrojni, pojedynczo bądź grupkami, wszędzie widać było długie pawęże, włócznie, topory i kusze. Wściekle rozkazy oficerów ściągały żołnierzy w stronę przepaści, gdzie czarodziej dostrzegł kolejne, znacznie mocniejsze barykady, obok których stały rzędy żołnierzy ciężkiej piechoty, przetkane licznymi kusznikami. Odwody czekały w bocznych uliczkach, gotowe w każdym momencie dołączyć do walczących.

Rozkazy cichły, w miarę jak szyki obrońców zastygały na pozycjach. Zewsząd nadpełzała głuchoborska pieśń wojenna, podejmowana przez kolejnych żołnierzy. Skalmir nie rozumiał wszystkich słów – pieśń zapewne wywodziła się z dawnych czasów – ale zdołał wychwycić najważniejsze.

Krew, pomyślał z ironią. Śmierć. Stal. Kruki. Bitwa. Znowu śmierć. Nie ma co, potrafią sobie chłopaki dodać otuchy. Co ja tu, na przeszłość i chwilę obecną, robię?

Znów odruchowo dotknął zawieszzonego na szyi otoczaka. Nie przesadził w rozmowie z Elinaare – powierzony mu kamień był jednym z największych skarbów Wichrogór, a Skalmir złożył uroczystą przysięgę, że nigdy go nie straci. Tymczasem samowolna wyprawa do Głuchoborów, którymi nawet w czasie pokoju targały liczne niepokoje, równała się złamaniu danego słowa.

A teraz po raz drugi pcham się na pole bitwy, stwierdził w myślach. Oszalałem do szczytu.

Nie, wcale tak nie było. Ryzykował, ponieważ musiał odnaleźć Elinaare. Nie mógł pozwolić na to, by stała jej się krzywda.

A kamień potrafię obronić, uznał. Ale tak czy inaczej, drugi raz na podobną wyprawę nie dam się już namówić. Nigdy więcej.

Po tym, czego dokonał dla Wichrogór, przekazanie mu kamienia stanowiło niemalże oczywisty akt wdzięczności, ale Skalmir wiedział, że wśród jego konfratrów znajdowało się paru przeciwników tej decyzji. Przyczyną rozłamu była właśnie Elinaare, która przyjechała do Jesiennicy wraz z nim. Wichrogórzanie uważali bowiem, że dzielenie uwagi na Moc i miłość hamuje rozwój maga, a wszyscy czarodzieje z Akademii byli zatwardziałymi kawalerami. Gdyby się dowiedzieli, że zabrał kamień i potajemnie opuścił Jesiennicę, by wyciągnąć z opresji syna ukochanej, z pewnością by go stracił.

Nigdy więcej nie popełnię tego błędu, powtórzył w myślach i się rozejrzał.

Pieśń przybierała na sile, w szeregach obrońców ten i ów co rusz zerkał ku niebu, na którym rozlewał się już złocisty blask wstającego słońca. Do początku straszliwej bitwy pozostały raptem chwile.

Nigdzie nie widział Elinaare.

Zaklął pod nosem i skierował się do najbliższej z ocalałych kamienic. Wciąż osłonięty Mocą kamienia, prześlizgnął się obok wartowników i bezszelestnie wbiegł po schodach na najwyższe piętro, które, zgodnie z jego oczekiwaniami, zostało obsadzone przez zbrojnych. Przy każdym oknie czuwał łucznik z kilkoma kołczanami. Niektórzy zacierali dłonie, by je rozgrzać przed rozpoczęciem walki, inni w skupieniu oglądali swe pociski, jeszcze inni wpatrywali się w przepaść, nucąc po cichu pieśń wojenną.

Skalmir wyjrzał przez najbliższe okno. Przypomniały mu się fragmenty nocnej narady, na którą wciąż słabujący Malhorn ściągnął swoich dowódców, i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Teraz, w blasku rodzącego się dnia, przepaść wydawała się dwakroć większa i szersza niż w nocy. Z podziwem spoglądał na wysokie barykady, które ciągnęły się wzdłuż obu jej niekończących się krawędzi, odległe o kilkadziesiąt kroków od otchłani, niektóre wsparte o ruiny bądź ocalałe kamienice. Zadał sobie w duchu pytanie, ile pracy trzeba było włożyć w stworzenie tak imponujących umocnień w ciągu raptem kilku godzin. Przypuszczał, że dowódcy załogi musieli zapędzić do pracy setki mieszczan.

Pytanie brzmi – pomyślał – czy Malhorn zdołał obsadzić te umocnienia?

Łoskot miał z pewnością liczny garnizon, który wzmocniły orszaki przebywających w stolicy Dziedziców, wezwani z okolicy rycerze oraz garść ochotników, ale czy zbrojnych na pewno wystarczy? Co gorsza, większość żołnierzy z pewnością uczestniczyła we wznoszeniu umocnień. Na ile starczy im sił? Ile tych białoskórych potworów nadal skrywa się w ciemnościach? Zeszłej nocy zginęło wiele z nich, ale czy to wystarczy?

A nade wszystko – gdzie jest Elinaare?

Wśród oczekujących na atak obrońców dopatrzył się wielu kobiet, ale żadna nawet nie przypominała Elinaare. Serce biło mu coraz szybciej.

Gdzie jesteś? Na moc kamieni, ukochana, przecież nie mogę dopuścić do tego, by coś ci się stało! Dokąd zaprowadził cię gniew? Pokaż się, och, pokaż.

Pieśń wojenna, która jeszcze przed momentem grzmiała nad zamarłymi w oczekiwaniu szeregami obrońców, teraz całkowicie ucichła. Krawędzie wyrwy obiegały ostre rozkazy dowódców, ale po chwili i te zamilkły. Wszyscy spoglądali na cienie niknące wewnątrz przepaści.

I nagle nie było po nich śladu. Wnętrze otchłani zostało zalane złocistym blaskiem jesiennego słońca.

Mag wstrzymał oddech. Nadal nigdzie nie widział Elinaare.

Wtem wzdłuż krawędzi zaczęły się pojawiać białe, podłużne łby, najpierw kilka, potem kilkanaście, wreszcie kilkadziesiąt, i z każdą sekundą dołączały do nich nowe. Bładoskóre istoty zdawały się jednak zupełnie nie zwracać uwagi na ludzi – jak jeden wpatrywały się w kulę słońca, biorąc w posiadanie błękit nieba.

– Jeszcze nie! – krzyczeli dowódcy. – Jeszcze nie!

– Jeszcze nie! – powtórzył sierżant łuczników, stojący parę kroków obok Skalmira.

Głów przybywało, wśród przybyszów z otchłani zapanowało ożywienie. Niektóre z istot wypelzały na skraj gigantycznej szczeliny, inne wyskakiwały, jeszcze inne niczym żaby pelzały po plecach pobratymców. Były ich setki, może nawet tysiące, a wszystkie wpatrzone w krąg słońca. Z każdym uderzeniem serca dołączały do nich dziesiątki kolejnych.

Mam wielką nadzieję, że się pomyliłem i cię tu nie ma, pomyślał przerażony czarodziej.

Tu i ówdzie skrzypaneła naciągana cięciwa. Twarze łuczników wyrażały wręcz śmiertelną powagę.

– Jeszcze nie – powtórzył cicho sierżant.

Wtem jakaś białoskóra bestia zatoczyła się, bryzgając krwią z przebitej strzałą tchawicy. Po niej padła inna.

Zaryczały rogi, a strzelcy, skryci na barykadach, dachach i piętrach kamienic, uwolnili istic niszczycielski rój pocisków. Setki kamieni, strzał i beltów runęły prosto w mrowie białoskórych istot. Oszołomiony mag patrzył, jak pociski rozszarpują ciała wpatrzonych w słońce i najwyraźniej nieświadomych zagrożenia istot. Bryzgając krwią, osuwały się na bruk, wpadały na pobratymców lub zataczały się i znikwały w przepaści, z której wypelzły, a ich rozdzierające wrzaski zlały się w jedno z ochrypłymi okrzykami obrońców.

Wydawało się, że niszczycielska salwa nie pozostawi żadnego z przybyszów przy życiu, i przez moment krótki jak strzał z bicza Skalmir serdecznie im współczuł.

Swój błąd zrozumiał niemalże w tej samej chwili, gdy ocalałe z pogromu bestie odwróciły łby ku barykadom, a z głębi wyrwy wyskoczyły kolejne. Nowo przybyli zamierali na widok słońca, dając strzelcom kilka bezcennych sekund na wypuszczenie pocisku, po czym orientowali się w sytuacji i hurmą rzucali ku zaimprovizowanym fortyfikacjom.

– Strzelać! – krzyknął z rozpaczą sierżant łuczników. Wypuszczał strzałę za strzałą w błyskawicznie nacierające istoty.

Grad pocisków spadał na rozpędzone białoskóre istoty i wydzierał w ich ciałach krwawe rany, lecz wiadomym już było, że sam ostrzał napastników nie powstrzyma. Bestie najwyraźniej nie miały świadomości ponoszonych strat lub wykazywały na nią całkowitą odporność, bez namysłu bowiem rzucały się na najeżone ostrzami barykady, które nie stanowiły dla atakujących specjalnej przeszkody – bladuskórzy, szybcy i zwinni, wdrapywali się na nie z przerażającą sprawnością, a niektórzy odbijali się od

ziemi i wskakiwali na ich szczyty. Niejeden ginał, rozpruty toporem, nadziany na włócznię lub przeszyty wypuszczonym z bliska bełtem, ale tu i ówdzie dochodziło już do walk wręcz. Bładoskórzy mieli niespożyte wprost siły i nie ustawali w starciu, nawet gdy odnosili straszliwe rany. Skalmir widział, jak szyki obrońców pękają w paru miejscach, a istoty z otchłani miotają się i sieją śmierć długimi ramionami, poszerzając wylomy, w których zaraz pojawiali się ich pobratymcy. Tu i ówdzie rozbrzmiały już rozpaczliwie rogi przyzywające posiłki.

Mag przyglądał się bitwie z narastającą zgrozą. Nigdzie nie widział błysków ognia, którym Elinaare ciskała w walce. Była to jedyna rzecz, która przynosiła mu ulgę, bo bładoskórzy nadal mrowili się w przepaści niczym robactwo pokrywające jątrzącą się ranę.

Przeniósł wzrok na fortyfikacje wzniesione wzdłuż bliższej mu strony otchłani. Bitwa trwała od zaledwie kwadransa, a wróg przebijał się już w pięciu miejscach. Na przeciwnej krawędzi sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej.

To ostatni dzień tego miasta, pomyślał ze zgrozą. Gdzie jest Elinaare? Musimy się stąd wynosić, zanim...

I wtedy powietrze rozdarła pieśń rogu, a po nim zagrzmiały kolejne. Brzmienie instrumentów, niezłomne i tryumfalne, w niczym nie przypominało posępnego wycia, z którym walczący wzywali odwody, a przecinało zgiełk bitwy, napawając serca wątpiących nową nadzieją. Ten i ów odwrócił się w stronę, z której dobiegała pieśń, spojrzano tam też kilku bładoskórych.

Zerknął i Skalmir.

I wtedy zrozumiał, dlaczego fortyfikacje wzniesiono kilkadziesiąt kroków od krawędzi przepaści, choć gdyby stały bliżej, okazałyby się większą przeszkodą.

Wszak Głuchoborczy nie potrafili się bronić.

Byli narodem, który umiał przede wszystkim atakować.

– Król! Król! – krzyki zachwyconych obrońców przebiły się przez szcęk oręża i wrzaski rannych.

Skalmir dostrzegł najpierw stary, wypłowiały sztandar, a po nim kolejne, unoszące się dzięki nikłym powiewom wiatru i podskakujące w rytmie konnej jazdy. Potem pojawiły się długie, wzniesione ku niebu kopie, rycerskie hełmy, podłużne tarcze, połyskujące w blasku słońca napierśniki. Daleko stąd, w miejscu, gdzie kończyła się wyrwa, pojawiła się konna formacja, która podzieliła się na dwie części i runęła do szarzy wzdłuż obu

krawędzi przepaści, wypełniając całą przestrzeń między nimi a prowizorycznymi umocnieniami. Ogromne, grubokościste rumaki tłukły kopytami o bruk z impetem, który czarodziej wyczuwał nawet na drugim piętrze kamienicy, rycerze pospieszali je, powoli pochylając kopie.

A król szarżował na czele bliższego z dwóch oddziałów.

Skalmir widział niejedną bitwę i doskonale wiedział, że zbrojne starcia nie mają w sobie ani krzty wzniosłości, którą ociekają stare pieśni rycerskie. Wiedział, że o ich przebiegu decydują odpowiednio wyważone proporcje chłodnej logiki, dzikiej furii i silnej woli, i robiło mu się niedobrze na wspomnienie okaleczonych, zmasakrowanych ciał ludzi i zwierząt.

Ta szarża była jednak przepiękna.

Rycerze uformowali klin, a ich kopie opadły na kilka uderzeń serca przed uderzeniem we wroga.

– Grzmotunie! Grzmotunie! – huknęli nacierający.

Atak okazał się równie druzgocący jak żeleźce topora opadające na spróchniałe drewno. Niektóre z bladokórych istot próbowały odskoczyć, co skutkowało jedynie tym, że wpadały pod kopyta sąsiednich rumaków. Inne ginęły miażdżone impetem szarży bądź rozprute kopiami. Konie ślizgały się na stratowanych bestiach lub potykały o ich sterty, ale, zahartowane w bojach, parły naprzód, nie zwalniając. Któryś z rycerzy stracił kopię, lecz pochwycił za młot, inny rąbał kłębowisko wrogów mieczem. Ku niebu pomykały wysokie, świergotliwe wrzaski, z których przebijało przerażenie. Nie było siły na świecie, która potrafiłaby powstrzymać szarżę głuchoborskiego rycerstwa.

Któryś z bladokórych przedarł się na tyły nacierającej chorągwi i wskoczył na zad jednego z ostatnich rumaków. Ściągnął jeźdźca na ziemię, zdołał go nawet powalić, ale w tejże chwili z fortyfikacji wylała się masa żądnych zemsty piechurów. Pędzili na tyłach szarżujących, dobijając ranne stwory, a beltami wypuszczanymi z biodra posyłając w otchłań ostatnie, które przepelzały przez krawędź. W okamgnieniu dopadli powalonego rycerza i zarabali jego przeciwnika, a potem rozlali się szeroko w poszukiwaniu kolejnych wrogów.

Skalmir zauważył, że rycerze szarżujący po drugiej stronie wyrwy czynią podobny pogrom, a w ślad za nimi zza umocnień wypadają piesi, by dorzynać ocalałe potwory. Dostrzegł również, że wojownicy rzucają się z odsieczą tam, gdzie białokórzy przebili

się przez umocnienia. obrońcy miasta powoli odzyskiwali panowanie nad sytuacją.

Jego wzrok pomknął już do miejsca, gdzie bój był najcięższy. Prowadzący szarżę rycerze z królem na czele tratowali bladokórych bądź spychali ich z powrotem do otchłani, ale pozostali tworzyli coraz gęstsza masę, przez co w końcu ugrzęźli. Tymczasem Malhorn, który stracił już kopię, ciał przeciwników mieczem.

Skalmirowi stanęła przed oczyma wynędzniała twarz władcy, prezentująca się niemalże równie upiornie jak jego własna. Przypomnił sobie wychudłe ramiona, drżące dłonie i szkliste oczy.

Nie, pomyślał. Chyba nie wierzę w to, że antidotum Pokrzewki zaczęło działać. Na siedem kamieni, ten człowiek walczy tylko siłą woli!

W tej samej chwili ramię Malhorna opadło bezsilnie, a miecz wysunął mu się z ręki. Władca zachwiał się, jakby lada moment miał upaść na ziemię.

Prosto w gąszcz tratowanych, oszalałych z bólu, strachu i nienawiści stworzeń z innego świata.

Dłoń Skalmira natychmiast wsunęła się pod płaszcz i zacisnęła na kamieniu. Jak zwykle zakreśliło mu się lekko w głowie, gdy poczuł bezbrzeżną Moc, wlewającą się w jego ciało. Otrząsnął się z oszołomienia, zmrużył lekko oczy i ponownie skupił się na postaci króla. Otoczył ją ochronną magią i obronił przed upadkiem, a następnie, co było o wiele trudniejsze, zaczął wydierać życie z każdego potwora, który choć uniósł łeb w stronę królewskiego rumaka.

Zaciskał dłoń na kamieniu i czuł, jak zgromadzona w nim Moc wpływa do ciała i czyni kolejne czary dziecinnie łatwymi. Jednocześnie wiedział, że niebawem się skończy. Ponowne jej użycie wiązało się z długim odpoczynkiem. By znów móc czarować – musiał sięgać po własną moc.

A przed tym właśnie ostrzegala go Elinaare. Bała się, że ukochany zamieni całą swą energię życiową w magię, a potem ją zużyje.

W tej chwili jednakże Skalmir wcale o to nie dbał.

Skupiony na zadaniu, nie widział nikogo ani niczego poza zagubioną w środku bitwy postacią Malhorna, a wszelkie odgłosy docierały do niego z opóźnieniem.

Nie zwrócił więc uwagi na to, że do jego izby wpada uzbrojona grupa, a czający się przy oknach, chwilowo beczynni łucznicy padają ofiarą wymierzonych od tyłu ciosów. Z zagrożenia zdał sobie sprawę dopiero wówczas, gdy poczuł, jak ktoś łapie go za ramię i szarpnięciem obraca ku sobie.

Zaskoczony Skalmir odruchowo zastosował czar teleportacyjny. Świat wokół niego zniknął w nagłym rozbłysku płomieni.

Niestety, reakcja maga nie była wystarczająco szybka.

Czyjaś dłoń zdołała zacisnąć się na wichrogórskim kamieniu Mocy.

I urwać go gwałtownym szarpnięciem.

*

Mads stanął w strzemionach i się rozejrzył.

Droga wiodła starym, brukowanym traktem prowadzącym do Tęgorza, następnie do Spiżycy i do oddalonego o kilkadziesiąt mil Łoskotu. O tej porze roku powinno się na niej roić od wozów kupieckich, ale z niejasnych dla obu podróżnych powodów nikt nie widać. Voorten powitał to z pewną ulgą – nie miał szczególnej ochoty na rozmowy z kupcami.

Tak naprawdę to nie chce rozmawiać z nikim, uznał w duchu.

Gwaine najprawdopodobniej podzielał jego zdanie, choć z innych powodów. Jechał teraz z przodu i rozglądał się z uwagą. Po obu stronach drogi ciągnęła się bezludna równina porośnięta wysokimi trawami, pożółkły od upałów i kłaniającymi się pod naporem wiatru. Tu i ówdzie wznosiły się osobliwe skały, pokryte barwnymi porostami, im dalsze, tym większe, na skraju widoczności przeradzające się w podnóża Gór Dostojnych. Na prawo od szlaku wił się potok, gdzieś tam nikt nie widać za kępami krzewów.

Głowa elfa odwracała się to w jedną, to w drugą stronę. Kiedyś Mads pomyślałby, że Gwaine szuka zagrożenia, ale teraz wiedział, że interesuje go coś innego.

Równowaga, pomyślał z narastającą złością. Czyli właściwie co? Po mojemu tutejsza równowaga nigdy nie była stabilniejsza, pod warunkiem że coś takiego w ogóle istnieje. A może Gwaine to wszystko sobie tylko wymyślił? Może w trakcie trzech lat wędrówki, kiedy to musiał się borykać z systemem finansowym Rozkrzyczanych Krain, całkiem mu odpieprzyło?

Zaklął cicho. Po bruku traktu przemknęły z szelestem poźółkłe listki brzozy. Z kępy krzaków wysunął łebek zdumiony kulik.

Nagle Gwaine przestał się rozglądać i wbił wzrok w niebo.

– A to co? – mruknął zaskoczony.

Spomiędzy postrzępionych wiatrem chmur wynurzył się ogromny, przerażający, ale doskonale znany im obu kształt.

– Lharsin? – jęknął Mads. – Co ta cholerna krowa robi na niebie?

– Przesła na służbę do Malhorna, a leci prosto od Łoskotu – stwierdził elf. – Co oznacza, że niesie jakieś wieści.

A potem nabrał tchu i zamknął oczy.

– Nie! – wrzasnął Voorten. – Nie, nie! Nie ściągaj jej tutaj! Gwaine, nie mam najmniejszej ochoty słuchać o tym, jak bardzo za mną tęskniła! Gwaine, ulituj się nade mną!

Nagle Lharsin zmieniła rytm uderzeń skrzydeł, jakby chciała pospieszenie wyhamować, a łeb na długiej szyi skierował się w dół. Mads niemalże poczuł, jak smoczyca wbiła w niego spojrzenie.

– Na flaki Smoczyca, ja cię chyba uduszę... – rzekł do elfa słabym głosem.

I wtedy Lharsin runęła lotem nurkowym ku obu jeźdźcom.

Zarówno Żmijka, jak i rumak Gwaine'a były weteranami szlaków i bezdroży, widziały w życiu niejedno i mało co mogło nimi wstrząsnąć. Mimo to widok pikującego potwora, który na moment przed zderzeniem z ziemią rozrzucił skrzydła z ogłuszającym trzaskiem, przepelnił je strachem. Żmijka zarżał przeraźliwie i zawrócił, a Mads w ostatniej chwili zdołał go powstrzymać przed rzuceniem się do ucieczki. Koń Gwaine'a zeskoczył ze szlaku, gotów puścić się do ucieczki przez równinę, ale elf zdołał w porę sięgnąć po Moc i uspokoić jego emocje.

Obaj jeźdźcy zwrócili się w stronę smoczyca i natychmiast tego pożałowali, bo dokładnie w tym samym czasie uderzyła w nich fala powietrza spod rozpostartych skrzydeł. Liście, patyki, pył i piasek zawirowały w oślepiającym wirze, a gdy opadły, ujrzeli Lharsin stojącą na szlaku. Smoczyca powoli, jakby z niedowierzaniem, złożyła skrzydła, usiadła ciężko na zadzie, a potem wyciągnęła szyję.

– Panie pułkowniku – wyjąkała i zacisnęła powieki, po czym rozwarła je szeroko i potrząsnęła łbem, rozbryzgując smarki. – No nie – bąknęła. – Na trupa mojej szacownej mamusi, to chyba rzeczywiście pan. Och.

– Och? – Mads przetarł oczy z pyłu.

– No. – Lharsin pokiwała łbem. – Teraz to mi się oberwie. Och.

– Dobra, niech stracę. – Voorten splunął siarczyście w bok. Skrzywił się i splunął ponownie. – Skoro już zafundowałaś nam wstrząsające lądowanie, to porozmawiajmy. Za co niby ci się oberwie? Raczej wątpię, byś ostatnimi czasy zżarła coś, na czym mi zależy.

Lharsin, niczym ogromny, pokryty łuską pies, ułożyła łeb na trakcie, zamknęła ślepią i wciągnęła powietrze, jakby się szykowała do ciężkiego westchnienia.

– Nie – ostrzegł ją pospiesznie Mads, a Żmijka parsknął z przestraszonym. – Żadnego sapania, wzdychania czy parskania. Nie mam zamiaru szorować się przez resztę dnia. Mów, co cię dręczy, jak już musisz.

Otworzyła jedno ślepię. Ogromna tęczowa źrenica się zwięzła i skupiła na mężczyźnie.

– Jestem gotowa na mende – oświadczyła smoczyca.

– Na pamiątki spod ogona twojej mamuśki, ciężko ci, Lharsin, dogodzić... – stwierdził Mads. – Nie przyłożyłaś ostatnio w jakąś skałę podczas lądowania? Dużą skałę, na przykład?

– Może i przywaliłam – odparła smoczyca. – Ale co to ma do rzeczy? Ja się mendy spodziewam!

– Tutaj? – Voorten rozejrzał się po pustkowiu. – Widzę tu jedynie Gwaine'a, który na takie miano raczej nie zasługuje i...

– Chodzi mi o taką mende, że pan się drze i tupie – wyjaśniła cierpliwie Lharsin.

– O reprimendę? – podpowiedział nieco ubawiony Gwaine.

– Tak! – zgodziła się z zapalem Lharsin i grzmotnęła pyskiem o trakt, po czym znów zacisnęła powieki. – O rąb... No, reprimendę. Bo pan pułkownik to pewnie zły na mnie – wymamrotała, odsłaniając ogromne, pożółkłe kły.

– Na prochy po twej cholernej mamuśce – westchnął Voorten. – A niby czemu miałbym się na ciebie złościć, co? – Założył ramiona na piersi. Od gór powiał ostrzejszy wiatr, który wniknął pod jego płaszcz.

– Jak to? – Lharsin otworzyła drugie oko. – Przecież przyjechałam służyć u księcia Malhorna. Choć zaraz, nie. Nie księcia. Króla już chyba. Co prawda nie zaprosili mnie na koronację, skąpiradła, ale chyba zrobili wszystko co trzeba i dali mu tę koronę. No właśnie.

Mimo wcześniejszych ostrzeżeń smoczyca westchnęła. Pobliski krzak zakolysał się pod ciężarem zielonych smarków.

– A przecież przysięgę składałam – ciągnęła płaczącym tonem. – Miałam panu służyć. I Wiatrowi. Ale pan gdzieś zaginał i nie udało nam się pogadać, a książe Malhorn naglił i... obiecywał, że nie będzie mi w pysk zaglądał, jak jakaś krowa mi do niego wlezie, i ten... No, przeszłam do niego na służbę. Będzie już trzy lata... Ale tęsknię! – zawyła. – Bardzo tęsknię!

– Dobrze już – wymamrotał Mads, głęboko wstrząśnięty tym, co ujrzał w paszczy Lharsin. – Dobrze. Nie gniewam się wcale. Mieliliśmy... eee... ustną umowę, a taką to nie strach złamać, zwłaszcza że po rozprawie z Jaszczurem okoliczności się zmieniły i naprawdę nie chciałem, by ktoś mnie próbował znaleźć. – Rzucił niechętnie spojrzenie Gwaine'owi, który przyglądał się scenie z nieskrywanym rozbawieniem.

– Aha – bąknęła Lharsin. – To dobrze. Czyli nie będzie mendy?

– Nie.

– Tym lepiej. Bo ja naprawdę tęskniłam.

– Cudownie – westchnął teatralnie Voorten. – To coś. Miło cię było ujrzeć – ujął mocniej wodze – ale musimy już ruszać w drogę i...

– A nie będzie pan pułkownik chciał aby Wiatru wskrzeszać? – spytała z ożywieniem Lharsin.

Mads się skrzywił.

– Nie – odparł. – Widzisz, nie ma czego wskrzeszać. Wiatr, o ile mi wiadomo, stacjonuje w Brzasku i dowodzi nim Krzemień, a ty masz do Brzasku zakaz wstępu! – Wycelował palcem w smoczyce, która naraz uniosła łeb.

– Jakże to?! – zaryczała. – A przecież tam mnie właśnie Jego Wysokość posłał.

– Malhorn? – upewnił się Voorten.

– Tak po prawdzie to nie on, a jeden z jego rycerzy. Taki młody. Przedstawił mi się, ale akurat ziewałam i nie usłyszałam.

– A po co tam lecisz?

Lharsin z podejrzliwością rozejrzała się po targanej wiatrem równinie.

– To tajne – wyznała.

– A mam ci mendę urządzić? – Mads wziął się pod boki.

– Nie, tylko nie to, na wspomnienie mamuśki. Poza tym panu pułkownikowi chyba mogę powiedzieć. Kazał mi Kostura sprowadzić. I Otluka. – Zamrugnęła, po czym z chrzęstem zwięzła powieki. – Czyli jednak mogę wejść do Brzasku – uświadomiła

sobie. – No nie? – Spojrzała na Madsa z nadzieją. – Bo jak inaczej ich ściągnę?

– Cóż, pewnie tak – bąknął Voorten. – Kto by się z Jego Wysokością kłócił. A rzeknij mi – zwrócił się do smoczyca z nagłym ożywieniem – dlaczego Malhorn nagle zatęsknił za tym starym piernikiem?

– Nie wiem. – Lharsin uniosła skrzydła, co zapewne stanowiło odpowiednik wzruszenia ramionami. Oba konie prychnęły z przestrachem. – Może przez to, że umiera?

– Co? – spytał z nagłym zaskoczeniem Mads. – Malhorn umiera?

– No – potwierdziła. – Od tygodnia wyję z żalu, aż nudzić mi się zaczęło.

– Mieszkańcom Łoskotu pewnie również – burknął Voorten. – A co się właściwie stało? Odnosił jakąś ranę? Zapił się? Pomór jakiś naszedł Głuchobory?

– Chyba nie. – Smoczyca się zasępiła. – Ale co ja tam wiem. Mnie do porad nie dopuszczają, choć jestem weteranką i wiele mądrego mogłabym powiedzieć. Wiem tyle, że im się ten Łoskot rozpukł.

– Roz... co?

– No... może rozpruł – powiedziała z wahaniem. – Tak też się nie mówi?

– Mówi się, ale Łoskot to wielkie miasto. A miasta raczej się nie prują.

– Kurwa, jacy wszyscy mądrzy się nagle zrobili – rozeźliła się smoczyca. – Coś tam się stało w każdym razie, bo zrobiła im się wielka dziura w samym środku. Spora dziura. Bez trudu bym tam wlaźła, choć bywałam już szczuplejsza. No dobra, ale skoro się pan nie gniewa, pułkowniku, to bardzo mi ulżyło. Bardzo. Lecę więc do Brzasku! Bywajcie!

Mads uniosł rękę na pożegnanie, a smoczyca rozłożyła swe ogromne skrzydła, których błona natychmiast wydeła się od wiatru. Spięła mięśnie tylnych łap, by ułatwić sobie start, ale nagle odwróciła się i spojrzała na Voortena.

– Tak mnie jeszcze naszło... – odezwała się. – Jakbym się spóźniła z tym Kosturem i gdyby się Jego Wysokości zmarło, znajdzie pan mi jakiegoś hojnego dowódcę, u którego mogłabym zdobywać chwałę?

– Pomyślmy – odparł Mads. – No, leć już, paskudo. I lepiej wylądaj przed murami, a nie na centralnym placu.

Lharsin sapnęła z ulgą i pokiwała łbem, a Voorten popędził konia i pospiesznie ją wyminął. Po chwili się obejrzał: Gwaine podjechał do Lharsin i coś jej tłumaczył. Wtem smoczyca uderzyła parokrotnie skrzydłami, a następnie wzbiła się do lotu, unosząc znów ogromne kłęby pyłu i liści. Mads odczekał, aż elf do niego podjedzie.

– O czym rozmawialiście? – zagadnął. – Na mende to nie wyglądało.

– Chciałem przekazać pewną wiadomość – odparł Gwaine wymijająco. – Być może niepotrzebna.

– A rozumiesz coś z tego, co Lharsin wygaduje? – spytał Voorten. – Ród Malhorna słynie z długowieczności i nie sądzę, by Przekleństwo w pełni mu ten dar odebrało. A do tego owa dziura... Co tam się dzieje?

– Pojęcia nie mam – rzekł Gwaine. – Ale dziwnie się to splata z moimi odkryciami. Przyspieszmy, co?

Przyspieszyli.

*

Tęgorz, jedno z największych miast Głuchoborów, podobnie jak wszystkie inne zawsze był gotowa na najgorsze. Nauczony ponurymi doświadczeniami wojen domowych, starć z krasnoludami i okupacji tuistańskiej, krył się za wysokimi, posepnymi murami obronnymi, zwieńczonymi dziesiątkami wież. Dachy kamienic oraz mury twierdzy książęcej rozmywały się wśród dymów, buchających znad licznych odlewni, kuźni i manufaktur, a te zlewały się z poranną mgłą, snującą się wśród zabudowań podgrodzia.

Voorten od razu odgadł, że w Tęgorzu dzieje się coś ważnego. Żadna mgła nie zdołałaby bowiem ukryć rzędów namiotów na błoniach pod miastem, stad koni w prowizorycznych zagrodach ani setek uwijających się między nimi ludzi. Pomimo sporej odległości Mads i Gwaine widzieli powiewające na wietrze proporce, stare i wypłowiałe, wydawało im się też, że słyszą pokrzykiwania, śpiewy i walenie młotów w kowadła. Zza białych strzępów mgły przebijały dziesiątki siodłanych rumaków, rzędy ładowanych wozów i rozstawianych szeregów piechoty.

Mads poczuł, jak przeszywa go dawny, zapomniany dreszcz. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że przygląda się armii w chwili wymarszu.

– Na czaszkę i szpony Smoczycy – mruknął. – Kolejna zagadka.
– Niekoniecznie – rzekł elf. Jego oblicze pozostawało nieporuszone. – Głuchoborzanie to gniewny lud. Ciągłe z kimś wojują. Może więc tutejszy ród ma zwadę z sąsiadem? – Pokręcił głową, jakby nie potrafił znaleźć dla takich praktyk zrozumienia.

Voorten milczał przez moment, po czym powiedział:

– Nie. W tym się kryje coś więcej. To mi wygląda na całkiem sporą armię, a więc trochę za dużo jak na sąsiedzką awanturę.

Elf westchnął.

– Ktoś rzucił Malhornowi wyzwanie – stwierdził.

– A do tego popruł stolicę. Jest to spójne z twoimi wizjami?

– Bardzo.

Mads zaklął pod nosem. Przez kilka sekund wpatrywał się w zasnute dymami, drżące od wojennego niepokoju miasto, po czym przeniósł wzrok na szary masyw Gór Dostojnych, wzdłuż których ciągnęły się Głuchobory.

– Kilka tysięcy rycerzy, żołnierzy i ciurów – rzekł. – Armia, która za moment ruszy w drogę. Z całą pewnością ktoś mnie rozpozna, a ja nie cieszę się tu wielkim szacunkiem. Nie zjeżdżajmy do tego miasta. Proponuję, byśmy udali się do Łoskotu innymi traktami. Może wzdłuż północnego skraju Gór Grozy? Dobrze je poznałem podczas odwrotu Tuistan.

– Nie widzę problemu.

– To dobrze. I nie szcędźmy koni. Żmijka, nie obrazisz się?

Koń zarżał radośnie. Pomknęli w stronę nieodległego pasma, które po chwili przesłoniły drzewa.

Z tego powodu żaden z nich nie zauważył niewielkiego, ognistego rozbłysku w wyższych partiach gór.

Rozdział czwarty

Trzy dni do Zorzy

Madsa zbudziła świadomość, że coś jest nie w porządku. Otworzył szeroko oczy i płynnym ruchem uniósł się do pozycji siedzącej, odrzucił koc i bezszelestnie złapał za miecz. Konie pasły się nieopodal, zamiatając leniwie ogonami, a Gwaine siedział obok wypalonego ogniska w pozycji medytacyjnej, którą Voorten widział wielokrotnie. Przypuszczał, że w takich chwilach elf dostraja się do równowagi, którą tak wielbił. W tym momencie jednak nie miało to dla Madsa znaczenia. Istotne było to, że na pierwszy rzut oka nic nie budziło jego niepokoju, a mimo to miał wrażenie, że wychwycił jakiś bodziec alarmowy. Nie zwykł takich rzeczy ignorować.

Szarzało już, a wokół ogniska przetaczały się kłęby nieprzeniknionej mgły, przez co las jodłowy, z którego wyjechali poprzedniego wieczoru, zniknął niemalże całkowicie. Mads pamiętał, że ich trakt wiódł dalej przez puste hale, porośnięte wysoką, pożółkłą trawą, z których wyrastały ostre, postrzępione skały. Otaczała ich głęboka, wilgotna cisza, przerywana jedynie miękkimi stuknięciami kopyt spętanych koni.

Gwaine otworzył jedno oko.

– Coś słyszałem – szepnął Voorten. – Nie wiem co. Głos chyba jakiś. Rozejrzę się.

Gwaine otworzył drugie oko, a potem popatrzył dookoła, po czym wymownie zamknął oba. Mads wzruszył ramionami.

Nie chcesz mi pomóc, to nie. Głupi elf.

Zagłębił się w wysokie, zroszone trawy. Musnął mokrą sierść Żmijki, który tracił go pyskiem i powrócił do skubania źdźbeł. Voorten przeszedł kilkanaście, może kilkadziesiąt kroków, starając się zachować jak największą ciszę, ale powoli udzielał mu się obojętny spokój świtu. Wielkie kłęby mgły przetaczały się

wokół niego niczym na pół materialne istoty, całkowicie ignorujące obecność człowieka.

Przeszedł jeszcze kawałek, po czym zatrzymał się i załatwił swe poranne potrzeby. Następnie, by zaspokoić poczucie obowiązku, przeszedł jeszcze kawałek i znów się zatrzymał. Spojrzał za siebie – obozowiska już nie widział, ale mógł do niego trafić, idąc po wygniecionej trawie.

Spokój osiągnął już całkowity. Oddychał pełną piersią, wciągając hausty ożywczego, zimnego powietrza. Lubił góry, gdyż ich niewzruszona potęga potrafiła odgrodzić go od problemów targających ludźmi i od nich samych.

Niestety, na krótko.

Jego myśli błyskawicznie powróciły do Tęgorza, skąd wychodziła armia kierująca się na Łoskot. Szósty zmysł wojownika mówił mu, że właśnie staje się świadkiem kolejnej wojny domowej, której jedną ze stron jest jego przyjaciel Malhorn. Mimo to gotów był w każdej chwili zawrócić Żmijkę i skierować się na Pustać. Zrobiłby to, gdyby nie Gwaine.

Głęboko wierzył w to, że elf ściągnął go tu z uzasadnionych powodów. Wierzył w to, że świat ponownie znalazł się na skraju zagłady. Musiał w to wierzyć. Gwaine, choć był niezrozumiałym dziwakiem, wydawał się Madsowi jednym z najbardziej stabilnych filarów Rozkrzyczanych Krain. Posiadał ogromną, nieosiągalną dla innych wiedzę, a jednocześnie widział znacznie więcej od zwykłych ludzi. On nie mógł się mylić. Musiał mieć rację.

Voorten odetchnął po raz ostatni i odwrócił się, by wrócić do obozu. Wędrowali do Łoskotu bocznymi ścieżkami najpierw skrajem Pogórza, a potem u stóp Gór Grozy, dzięki czemu zapewnili sobie bezpieczeństwo, ale też powinni się pospieszyć, jeśli chcieli zdążyć do miasta przed obcą armią.

Dobrze będzie ujrzeć Malhorna, pomyślał wbrew sobie. Tym bardziej, jeśli Lharsin ma rację i skubaniec rzeczywiście cienko przedzie.

I w tym momencie usłyszał czyjeś głosy.

Znieruchomiał z dłonią zaciśniętą na rękojeści miecza, a uderzenie serca później już kuczał w nadziei, że wysokie trawy skryją jego obecność. Mgła przeredziła się na tyle, by mógł wyraźnie dojrzeć obrośniętą futrem porostów skałę, zza której wychodziło teraz kilku zbrojnych, czterech mężczyzn i kobieta. Ta ostatnia odwróciła się do towarzyszy i powiedziała coś ostro, na co ci skinęli głowami.

Mads wiedział, że ani trawy, ani mgła na dłuższą metę nie zapewnią mu schronienia. Wiedział, że musi się odwrócić i uciekać, ale nie mógł.

Nieznajomi rozmawiali bowiem po tuistańsku.

– To nasz jedyny trop – mówiła kobieta przyciszonym głosem, w którym Voorten wyczuł znużenie i zniecierpliwienie. – I nie obchodzi mnie, co ci przychodzi do tego pustego łba. Czas przypuszczalnie też nam się kończy, ty przekłety durniu!

Mads wpatrywał się w nieznajomych z oszołomieniem. Nie sądził, że kiedykolwiek jeszcze będzie miał okazję usłyszeć mowę, która jednoznacznie kojarzyła mu się ze złem i udręką. To, że szansę na ucieczkę stracił na zawsze, uświadomił sobie w momencie, gdy gdzieś z boku skrzypnęła naciągana cięciwa łuku.

– Valgerd! – krzyknął ktoś ochryplym głosem. – Mamy tu jakiegoś ciekawskiego!

Kobieta odwróciła się, zarzucając ciemnymi, splątanymi od wiatru włosami.

– Rzeczywiście – parsknęła. – W takiej chwili mam się jeszcze przejmować jakimś zabląkanym pastuchem! Wpakuj mu grot i ruszamy!

– Nie! – wybełkotał Mads, odruchowo przechodząc na tuistański. – Nie, nie! Oszczędźcie! Ja... Na łaskę Pani i Matki, ja się nie spodziewałem, że jeszcze usłyszę ojczytą mowę! Myślałem, że... że zostałem tu na zawsze! Że...

– Valgerd! – zawołał łucznik. – To jeden z naszych!

– Co takiego? – Tuistanka odwróciła gwałtownie głowę, znów odrzucając włosy. – Jak to jeden z naszych?

– A bo to naszym earlom udało się wszystkich ściągnąć? – spytał Mads, przekonująco zastępując zaskoczenie goryczą. – W zakład idę, że w tych górach żyje wielu naszych, którzy z jakichś tam powodów nie zdążyli uciec i codziennie budzą się w strachu, by ich głuchoborscy nie wytropili.

Tuistanka podchodziła do nich szybkim, nerwowym krokiem, w pełni skupiona na Madsie, który wyprostował się i założył ramiona na piersi. Była niewysoką, ale barczystą kobietą, bladą, lecz czujną i prawdopodobnie niebezpieczną. Voorten podświadomie wyczuwał w niej gwałtowność, teraz podsyconą jeszcze zmęczeniem.

– A ty jesteś jednym z nich? – spytała ostro.

Mads się skrzywił.

– Tak i nie – odparł. – Wycofywałem się wraz z naszym hucem broniącym Spiżycy, a oberwałem dopiero podczas odwrotu, gdy sukinsyn Voorten przebił się przez nasze obozowisko. Mój dowódca jakoś nie kwapił się, by pozbierać rannych, a gdy doszedłem do siebie, byliście już tylko wspomnieniem.

Stąpał po cienkiej linii i wiedział o tym. Wystarczyłoby, aby któryś z Tuistan spytał go o nazwisko earla, który dowodził odwrotem, a jego historia, oparta na własnych wspomnieniach i wrodzonej przebojowości, zaczęłaby się natychmiast kruszyć. Na szczęście do niczego takiego nie doszło – przez oblicze Valgerd przemknęło nawet coś na kształt współczucia bądź poczucia winy. Zaciśnęła jednak mocno usta i wyciągnęła dłoń na powitanie.

– Jak cię zwa? – spytała.

– Promyk – odparł.

Zza skał wyszło kolejnych dwóch, co razem z jej przybocznymi i łuczniakiem dawało siedmiu, nie licząc samej Valgerd. Nie nosili żadnych znaków ani herbów, ale co do jednego wydawali się tęgimi zabijakami. Nie miał żadnych szans w walce z nimi wszystkimi. Modlił się w duchu o to, by Gwaine, który zapewne już przyglądał się sytuacji schowany we mgle, doszedł do identycznego wniosku.

– Znasz te góry? – ciągnęła Valgerd.

– Trochę.

– A nie widziałeś – w jej głosie pojawiła się nadzieja – jasnego rozbłysku gdzieś w pobliżu? Pewien pasterz widział coś takiego wczoraj rano, ale nie pamięta dokładnie, w którym miejscu.

– Rozbłysku? – powtórzył niepewnie Mads.

– Tak – syknęła kobieta, już zniecierpliwiona. – Taki nagły wybuch płomieni czy coś. Gdzieś tu na zboczach.

Rozbłysk, pomyślał. Kojarzy mi się to z teleportacją...

– Nie – odpowiedział. – Ale znam te góry. Chętnie pomogę wam w poszukiwaniach.

Valgerd powoli i niechętnie skinęła głową.

*

Malhorn powoli wchodził po schodach, prowadzących na szczyt Bramy Tęgorskiej. Kroki stawiał miarowo, bez pośpiechu, oszczędzając siły. Nie mógł sobie wszak pozwolić na to, by zrobić przerwę na nabranie sił. Nie teraz, gdy śledziło go tyle spojrzeń.

Wieści o zbliżającej się armii pod sztandarami Mchaków i Głazińców obieżyły miasto już wczesnym rankiem, a w raportach kolejnych zwiadowców jawiła się ona jako coraz większa. Gdy pojawiła się plotka, że sam król opuścił zamek, by przyjrzeć się buntownikom z daleka, pod bramą zgromadził się spory tłum żołnierzy oraz mieszczan obu płci i wszelkich możliwych zawodów. W milczeniu przyglądali się, jak monarcha zsuwa się z konia, zarzuca płaszcz na ramię i w asyście trzech rycerzy wspina się na mury. W ich oczach podziw wobec władcy mieszał się ze zwątpieniem i niepokojem.

Cóż, pomyślał Malhorn z nagłym znużeniem. Nic dziwnego. Bo przecież nadziei ani widu, ani słychu.

Na szczycie murów powitał go zimny wiatr; król zachwiał się, uderzony powiewem. Któryś z rycerzy wyciągnął rękę, by go podeprzeć, ale Malhorn smagnął go wściekłym spojrzeniem. Niczego nie pragnął bardziej niż tego, by wszyscy wokół zapomnieli o jego słabości.

Bo i czuł się o wiele lepiej. Antidotum Pokrzewki najwyraźniej zaczęło działać i w jego ciało z każdą upływającą chwilą wstępowały nowe siły, tym bardziej że z wieczora wcisnął w siebie pożywną wieczerzę, a potem mocnym snem przespał kilka godzin. Jego twarz oczywiście nadal była wychudła, a oczy błyszczały gorączką, ale chodził już o własnych siłach i znów mówił donośnym głosem.

O koszmarze, który przeżył podczas szarzy wzdłuż krawędzi przepaści, najchętniej by zapomniał. Nikt postronny nie mógł się dowiedzieć, że wlał wówczas w siebie podwójną porcję Pokrzewkowego środka, zapił ją dzbanem wina, a następnie pozwolił, by przywiązano go do siodła, by się nie zsunął pod końskie kopyta. Otrzymał potulnego, starzejącego się ogiera, wydrażoną w środku lancę używaną do ćwiczeń i eskortę czterech rycerzy, którzy mieli za zadanie dbać wyłącznie o jego bezpieczeństwo.

A i tak na niewiele by się to zdało. Już przy pierwszym uderzeniu we wroga poczuł, że omdlewa. Za szczęście poczytywał sobie to, że w starciu kopia szybko pękła i mógł chwycić za swój miecz z żywej stali, który lepiej od niego wiedział, jak celnie uderzać. To też jednak nie pomogło. Z każdym kolejnym ciosem uchodziły z niego siły, aż ogarnęła go ciemność i poczuł, że zsuwa się z siodła. Najwidoczniej sznury, którymi go do niego przyrębowano, trafił gdzieś szlag.

Nie miał pojęcia, czym była niezwykła siła, która powstrzymała upadek, a następnie kierowała jego dłonią. Półprzytomny i oszołomiony, patrzył na to, jak jego własne ramię wyrwa topór z uchwytu przy siodle, wznosi go i rozpoławia jednego przeciwnika za drugim, dopóki szarża nie wytraciła impetu i rycerze nie zawrócili do drugiego uderzenia. W tym nie wziął już udziału. Podtrzymująca go siła znikła co prawda chwilę później, ale zdołał utrzymać się w siodle do czasu, gdy jeźdźcy walczący po obu stronach przepaści przegnali zagrożenie. Potem dał się odprowadzić do zamku, gdzie wreszcie zemdleł.

Poprowadziłem moich rycerzy do zwycięstwa, pomyślał, odnalazłszy wzrokiem przepaść rozdzielającą miasto. Przetrwiałem bitwę i ocaliłem swój honor. I na co to wszystko?

Tu i ówdzie na skrajach wyrwy czuwały jeszcze zbrojne posterunki, ale wyglądało na to, że mieszkańcy otchłani ostatecznie się wycofali. W wyniku ostrzału zginęły ich setki, a podczas szarży jeszcze więcej, co najwyraźniej ostudziło furie bestii, ale prawdziwy kres starciu położyły ciemne chmury, które napłynęły dosłownie znikąd i odcięły złocisty blask słońca. Bładoskórzy, rozczarowani i zniechęceni, jeli się wycofywać w głąb przepaści, żegnani gradem strzał i bełtów oraz tryumfalnymi wrzaskami zwycięzców. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Wrażenie to minęło jakieś dwie godziny później, gdy nadjechali pierwsi gońcy z wieściami, że armia Mchaków i Głazińców ruszyła na Łoskot.

Malhorn jeszcze przez moment wpatrywał się w przepaść. To, co wczoraj wydawało mu się tragedią dla miasta, dziś jawiło się jako prosty problem do rozwikłania. Bo teraz nadciągała armia buntowników, a pomysłu na to, jak się z nią uporać, nie miał.

Niechby mnie odór Smoczycy udusił, pomyślał, odwracając się w stronę traktu wiodącego ku Spiżycy. Ocaliłem miasto i honor, ale jednocześnie musiałem zrezygnować z zastawienia pułapki na przeklętych spiskowców. Co ci, na wichry i pomór, wykorzystali.

Ten sam chłodny wiatr, który smagnał mu twarz, unosił stare sztandary nadciągających Mchaków i Głazińców. Buntownicza armia ciągnęła się i ciągnęła, a jej koniec niknął hen w oddali, między porośniętymi lasem wzgórzami. Przodem podążały złożone głównie z rycerstwa orszaki najznacniejszych członków obu rodów, a za nimi regimenty ciężkiej piechoty, łuczników oraz kuszników. Malhorn nie widział lekkiej kawalerii ani znaczącego taboru, co wcale go nie zdziwiło.

Mchaki i Głazińce nie szykowali się do oblężenia. Ich armia miała jedynie wywrzeć wrażenie na mieszkańcach Łoskotu.

Władca zerknął na mury obronne, na których roilo się od mieszczan chcących się dowiedzieć, co ich czeka. Cisza, przerywana jedynie świstem wiatru, sugerowała, że zamiar buntowników się powiodł.

Umysł Malhorna pracował intensywnie.

Dwa tysiące, w tym wielu konnych. Brak taboru, brak machin. Przytrzymałbym ich przez kilka dni, a potem uderzył z flanki i rozpedził w cholere. Na połamane kły Smoczycy, wystarczyłoby mi wojska, nawet po walce z tymi pokrakami z przepaści. Mury też by wytrzymały, a tam, gdzie się zawaliły, ziejże przepaść! Nikt tamtędy przecież nie przejdzie!

Potrząsał głową, rozpędzając gorączkowe myśli.

Nie. Takie rozważania nie miały najmniejszego sensu. Doskonale wiedział, że to starcie nie rozegra się na polu bitwy.

Wedle prastarej tradycji, która wżarła się głęboko w mentalność Głuchoborzan, rodowi i królestwu może przewodzić tylko ten, kto zostanie uznany za najsilniejszego. Ową siłę rozpatrywano w wielu kategoriach – nie chodziło tylko o teźyznę fizyczną i umiejętność podejmowania właściwych decyzji na polu walki, ale także o mądrość życiową, poklask i trudne do zdefiniowania szczęście. Przywódca, który zawodził pokładane w nim oczekiwania, tracił swoich popleczników, a ci, usprawiedliwieni przez tradycję, przechodzili na stronę mocniejszego rywala.

Z tego właśnie powodu w Głuchoborach nigdy nie panował pokój i często dochodziło do tarć, a król nieustannie musiał udowadniać swoją silną pozycję. W teorii ów układ miał zapewnić państwu możliwie najlepszą władzę, ale w praktyce ciągle ją osłabiał, co doprowadziło do, kolejno, krwawych wojen z krasnoludami, Szarej Masakry w czasie starcia z Tuistanami i mało przekonującego poparcia dla Pierwszej Burzy. A teraz mogło zniszczyć z trudem odzyskaną równowagę.

Malhorn oparł się dłońmi o zimną blanke.

– Dwa tysiące – odezwał się głos tuż obok niego.

Król podniósł głowę i spojrział na wysokiego, brodatego starca o łysej głowie, wpatrującego się w nadciągającą armię. Jego oczy, niemalże tonące wśród zmarszczek, były mętne i pożółkłe, ale Malhorn doskonale wiedział, że potrafią przeniknąć każdą sytuację i dojrzeć rozwiązanie, na które on sam nigdy by nie wpadł. Uważał Turuna z Ostańców za mądrego człowieka i

solidnego sprzymierzeńca, ale zaczynał mieć go dosyć. Miał już powyżej uszu jego rad, spostrzeżeń i ostrzeżeń – głównie dlatego, że zaczynał coraz bardziej na nich polegać.

Nie mógł zaś dopuścić do tego, by ktokolwiek zawładnął nim tak mocno jak przeklęty Gulvard.

– Zda się, że byli bardziej gotowi, niż sądziliśmy. – Ostaniec oparł ogromne dłonie na kamiennym parapecie.

– Samo to, że zebrali ledwie dwa tysiące, pokazuje, że jednak nie – stwierdził Malhorn. – Ruszyli pospiesznie, zapewne tuż po tym, jak usłyszeli wieści o problemach w Łoskocie. Ich siły dopiero spotężnieją.

– Spotężnieją – przyznał starzec i pogładził siwą brodę, którą przycinał w kwadrat. – I nie da się ukryć, że nas wyprzedzili. Wyślizgnęli się z sideł, które na nich zarzuciłeś, bo my też jeszcze nie jesteśmy gotowi do stłumienia buntu.

– Drużyny naszych sojuszników potrzebowałyby dnia, góra dwóch... – zaczął król, ale Turun przeciął jego słowa parsknięciem.

– Nam zaś trzeba by jeszcze więcej czasu, by skoordynować ich działania – oznajmił. – Efekt zaskoczenia przepadł, Malhorn, i pogódź się z tym. Sukinsyny wyprzedziły nas i trzeba się z nimi uporać.

– Pieprzona przepaść – mruknął władca.

Czuł na sobie mocne, przenikliwe spojrzenie Ostańca.

– Skup się na faktach – syknął doradca. – Potem będziesz przeklinał, biadolilił i szukał winnych. Masz przed sobą buntowników i musisz się z nimi rozprawić, na utracone ramię Grzmotuna!

– Fakt – rzekł król. – Właśnie. Bo istnieje jeszcze jeden powód, dla którego ci wichrzyciele zdecydowali się stawić mi czoła. – Rozejrzał się. – Krigstav – odezwał się chrapliwym głosem.

– Panie. – Stojący za nim rycerz zrobił krok naprzód.

– Gdzie jest Lharsin?

Znał odpowiedź na to pytanie, ale mimo to musiał je zadać. Usłyszał, jak Krigstav wciąga powoli powietrze w płuca, jakby zrozumiał, że jego los właśnie się dokonał.

– Wasza Królewska Mość – powiedział powoli. – Postąpiłem wbrew twej woli. Wysłałem smoczycę do Brzasku, by sprowadziła Kostura. Kierowała mną troska o wasze zdrowie, panie – dodał głosem, który się zdradziecko załamał.

– Troską się kierowałeś – powtórzył Malhorn głosem wypranym z wszelkich emocji. – A nie przyszło ci do głowy, że smoczyca zapewnia mi przewagę nad tymi przybłędami?

Wzgardliwie machnął dłonią w kierunku nadciągającej wrogiej armii, od której właśnie się odłączył poczet jeźdźców. Przypuszczał, że nadciągają wśród nich przywódcy obu rodów.

– Najpierw mój genialny fortel z udawanym umieraniem, który obrócił się przeciwko mnie – wyliczał gorzko władca. – Potem przepaść i inwazja tych bladokórych popaprańców. Zniknięcie Lharsin. A teraz te zdradzieckie skurwysyny.

– Panie... – zaczął Krigstav, ale król uciszył go podniesieniem ręki, po czym się odwrócił i spojrzał spłoszonymu rycerzowi w oczy.

– Najwyraźniej źle wybrałeś stronę konfliktu – stwierdził cicho. – Zwalniam cię ze służby. Nim jednak odejdziesz, wykonasz dla mnie ostatnie zadanie. Dosiądziesz konia i pojedziesz do tych gnojników. – Machnął ręką ku zbliżającym się jeźdźcom. – Zatrzymasz się przed nimi i powiesz, że tylko skończony, parszywy skurwiel szykuje się, by wbić sztylet w plecy królowi, który właśnie ocalił stolicę królestwa przed inwazją z wnętrza ziemi. W związku z tym każesz im ustalić między sobą, który z nich jest większym sukinsynem, stary Mchak czy może ten grzyb Głaziniac, bo sam nie mam pojęcia, a bardzo chciałbym wiedzieć. A jak już dojdą do porozumienia, niech wykrzyczą imię pod bramami Łoskotu. Zapamiętałeś?

Krigstav, teraz blady jak trup, skinął głową. Przelknął ślinę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, a potem ukłonił się sztywno, odwrócił się i zszedł na dół.

Malhorn zaś znów oparł się o mur i bez emocji patrzył, jak samotny jeździec wypada z Bramy Tęgorskiej i mknie ku hamującemu pocztowi. Patrzył, jak gwałtownie zatrzymuje konia przed rumakami przybyszów, staje w strzemionach i wykrzykuje wiadomość. Widział, jak któryś z przybocznych w barwach Mchaków spina wierzchowca, podjeżdża bliżej i ścina Krigstava jednym ciosem.

– Zamknąć bramy – rzucił Malhorn do swojej eskorty.

Czuwający przy nim rycerz ukłonił się i popędził, by wypełnić polecenie.

Poczet obu buntowników, który ruszył ku bramie, wymijając bezgłowe ciało posłańca, powitała z grzmotem opadająca brama, a gdy na powrót zapadła cisza, król podszedł do znajdującej się tuż

obok długiej surmy sygnałowej. Gestem odpędził czuwającego przy niej wartownika i nabrał tchu, szykując się do dmuchnięcia.

– Malhorn! – wrzasnął ktoś z dołu. Monarcha rozpoznał starego Głazińca, którego miał za bystrzejszego od Mchaka. – Królu nieudaczniku! Żaloszny wypierdku Smoczycy! Co nam po władcy, który...

Resztę jego słów zagłuszył tubalny ryk surmy, który przeciągnął się w serię dźwięków osobliwie przypominających pierdnięcia.

– Gówniany ze mnie muzyk! – ryknął Malhorn, podchodząc do blanek. Jego głos niósł się szerokim echem. – Ale i tak te dźwięki mają więcej sensu niż wszystko, co chcesz powiedzieć, Głaziniac! Pokonałem ciężką chorobę, by ocalić me miasto! Zepchnąłem hordę demonów do otchłani, z której wypelzły, a ty? Co ty robisz? Knujesz przeciwko temu, kto ocalił twą ojczyznę, i to nie raz, a wielokrotnie! Zdrajco! Pieniaczu! Tchórzcu! Wyrachowany intrygancie!

– Zejdz tu do mnie! – zagrział z dołu stary magnat. – Zejdz do mnie i powtórz te słowa, uzurpatorze! Niemoto! Słabeuszu!

– Słabeuszu! – Monarcha się zaśmiał. – Módl się do Grzmotuna, Głaziniac, bym nie zszedł! Bo kiedy to uczynię, wyszarpnę ci jelita przez tę twoją oparszywiałą mordę, a potem ułapię Mchaka za gardziel i wytrę jego pyskiem ślad po tobie! Macie czas do jutra rana, by się opamiętać i wynieść stąd w cholerę!

– Piękna mowa – burknął Turun, który przyglądał się scenie z ramionami założonymi na szerokiej piersi. – Ino gówno ci, Malhorn, da. Decyzję musisz podjąć.

Król zmierzył Ostańca niechętnym spojrzeniem i bez słowa ruszył w dół.

*

Bielik po całej dobie poszukiwań był potwornie zmęczony, ale przeczuwał, że właśnie teraz nadszedł idealny moment na działanie.

Nie miał do końca pewności, co się dzieje za murami miasta, ale wystarczało mu to, że coś przyciągnęło uwagę większości mieszkańców. Jeśli w granicach Łoskotu w istocie działała siatka sabotażystów, nie mogła sobie wyobrazić lepszej sposobności do wyjścia z cienia i podjęcia działań. Na szczęście po mieście krążyli jego ludzie.

Nie udało mi się wczoraj dostrzec nikogo ze spiskowców, pomyślał, przypominając sobie ogarnięte zamieszczeniem ulice Łoskotu. Nic dziwnego, zważywszy na chaos, jaki wtedy panował. Mam nadzieję, że ujawnią się dzisiaj. Przy odrobinie szczęścia ktoś z nas na pewno przyuważy kogoś podejrzanego.

Bielik przeobraził się w drapieźnika.

Z mocno bijącym sercem prześlizgiwał się z jednej uliczki w drugą. Chował się za kolumnami, przemykał podcieniami, przywierał do narożników i co rusz omiatał pospieszonym spojrzeniem ludzi na ulicach. Nie było ich wielu, gdyż wszyscy, którzy mogli się oderwać od zajęć, stłoczyli się na murach. Dostrzegał głównie grupki czujnych wartowników, robotników uwijających się przy rozbiórce uszkodzonych kamienic przy przepaści, a także zdruzgotanych stratą nieszczęśników, którzy włóczyli się bez celu. Skądś dobiegał płacz, gdzieś niesło się pijackie rżenie, skuwane młotami ściany osuwały się z chrzęstem, brygadzysta przeklinał. Zza miasta nadbiegał ponury ryk trąb.

Nie wychwycając niczego podejrzanego, młodzieniec zerwał się do biegu. Przemknął obok wozu z uszkodzoną osią, prześlizgnął się za plecami trzech zaniepokojonych, zwróconych ku bramie żołnierzy, przywarł do nadkruszzonej ściany tawerny, wyjrzał zza niej.

Nic. Nie widział niczego, co budziłoby jakiegokolwiek podejrzenia.

Nad miastem zebrał się szary masyw chmur, który odebrał kolorom intensywność i ośmielił zimny wiatr do gwałtowniejszych natarć. Bielik zerknął w górę i odniósł wrażenie, że lada chwila zacznie padać. Przyjrzał się uważnie woźnicy, który zaprzęgał starego muła do wozu z odzyskanymi ze zgliszcz belkami, przeniósł spojrzenie na kulącego się pod ścianą żebraka, a potem na żołnierza, który siedział na złamanej latarni ulicznej i z fanatyczną zawziętością ostrzył miecz. Dostrzegł przyglądającego mu się ulicznika i mężczyznę z ręką na temblaku, który trzymał w zdrowej dłoni butelkę i popijał z niej długimi łykami, uśmiechając się sarkastycznie. Na piętrze kamienicy kobieta z rozpuszczonymi, potarganymi włosami szorowała z furją parapet.

Bielik miał wrażenie, że spogląda na widowisko odgrywane przez tych, którzy stracili wiarę w jutro.

Nadal nie dostrzegał nikogo, kto mógłby należeć do siatki szpiegów czy sabotażystów.

Nie spodziewałeś się chyba, że po wyjściu na ulicę ujrysz ich tłumy, co? – warknął sam do siebie w myślach.

Usłyszał za sobą ciche, prawie bezszelestne kroki. Zerknął odruchowo do tyłu i ujrzał Naparstek, która stanęła tuż za nim, oparła się plecami o zimne cegły kamienicy i popatrzyła nań koso.

– Nie chcesz wiedzieć, co tam się dzieje? – spytała szeptem, wskazując podbródkiem ulicę prowadzącą do głównej bramy miasta.

– To nie moja sprawa – mruknął, na nowo skupiając uwagę na okolicy.

– Jasne – prychnęła. Bielik miał pewność, że dmuchnięciem odrzuciła nierówną grzywkę znad oczu. – Twoim zadaniem jest uganianie się za duchami.

Zacisnął zęby. Tygodnie niewoli, nieprzespane noce, niemalże pusty żołądek i gonitwa myśli w głowie przeobraziły się w falę irytacji. Wierzył w to, że za plecami Malhorna zawiązał się spisek, który miał na celu zniszczenie wszystkiego, co udało się odbudować. Prowadziły do tego wniosku poszlaki, skojarzenia i przemyślenia, a jedynym, czego potrzebował, był ostateczny, przekonujący dowód.

Nie potrzebował natomiast kpin.

Już miał się odwrócić i huknąć na Naparstek – czego nie zrobił nigdy dotąd – gdy kątem oka dostrzegł coś, co natychmiast kazało mu zapomnieć o reprimendzie.

Wśród podcieni po drugiej stronie ulicy przemykał chudy, wysoki mężczyzna, który ścisnął pod pachą wypchaną sakwę. W półmroku mignęła jego twarz, blada i zawzięta, ale Bielik odniósł też wrażenie, że w oczach obcego błysnął przestach.

Zauważył również, że nosił bardzo krótko przycięte włosy, a na jego przygarbionych plecach podskakiwał obszerny kaptur.

Niewiele się zastanawiając, wyskoczył z kryjówki i szybkim krokiem ruszył w ślad za nim, starając się, by jego kroki były ciche. Człowiek z sakwą dotarł do końca podcieni, spojrzął za siebie i skręcił w boczną uliczkę, mijając obrosnięte rdzawym bluszczem wejście do tawerny i kamieniczkę złotnika.

Bielik przyspieszył. Miał wrażenie, że obcy go dostrzegł.

Przeskoczył rynsztok, wyminął grupkę ludzi spieszących ku murom i ostro skręcił w uliczkę, gdzie właśnie zniknął nieznajomy. Wpadł w nią, gdy ten ponownie zerknął za siebie. Tym razem nie było już wątpliwości, że go dostrzegł, bo natychmiast ujął mocniej sakwę, zgarbił się i rzucił do biegu.

Stukot jego chodaków odbijał się echem od fasad kamienic z porozbijanymi szybami. Serce Bielika biło szybko. Gdzieś w oddali ryczały trąby i rogi.

Uciekinier skręcił w wąskie przejście między budynkami, ale młodzieniec był już tuż przy nim. Poślizgnął się, padł na kolano, ale zdołał pochwycić szatę obcego i przyciągnąć go do siebie ostrym szarpnięciem. Tamten krzyknął, zamachał rękami i upuścił sakwę, w której coś chrupnęło i brzęknęło. Bielik, podrywając się, szarpnął po raz drugi i posłał nieznanego na ziemię. Przygniótł go kolanem i błyskawicznie przysunął mu sztylet do gardła.

– Kim jesteś? – wycedził.

Grdyka zatrzymanego poruszała się w górę i dół, gdy ten próbował przelknąć ślinę i nabrać tchu. Szeroko rozwarte oczy połyskiwały przerażeniem. Wojownik widział już, że to nie mężczyzna, ale młody chłopak z ledwie zaznaczonym zarostem pod nosem, a dłonią, którą przytrzymał jego ramię, wyczuwał jedynie skórę i kości. Chłopak śmierdział osobiwą, ale znaną Bielikowi mieszaniną krwi, suszonych ziół, wina i palonego ciała.

Pomocnik cyrulika? – przeszło mu przez myśl.

Mimo to wbił w zatrzymanego wściekle spojrzenie i potrząsnął nim.

– Kim jesteś? – powtórzył. – I dlaczego przede mną uciekasz?

– Oszczędźcie, panie! – wykrztusił nieznanomy. – Ja nic złego nie...

– Odpowiadaj na pytanie!

– Kasztan! – wymamrotał przerażony do granic chłopak. – Nazywają mnie Kasztan!

– Tak? – syknął przez zęby wojownik. – A czemu przede mną uciekałeś?

Chłopak nie wytrzymał napięcia i głośno się rozplakał. Bielik wsunął do pochwy nóż, by móc zdzielić złapanego otwartą dłonią, gdy wyczuł za sobą czyjaś obecność. Zerknął przez ramię i ujrzał Naparstek, która nachyliła się i podniosła upuszczoną sakwę. Z rogu worka ściekał jakiś płyn, jakby pękł trzymany w środku pojemnik. Dziewczyna powąchała go, a potem popatrzyła na Bielika z dezaprobatą.

– To środki medyczne – stwierdziła. – Pamiętam zapach z lazaretu Kostura, zanim opuściliśmy Brzask.

– Tak! – krzyknął chłopak. – To leki! Leki! Wybaczcie, panie, bo... bom je ukradł, ale... ale przecie nie dla siebie! Nie dla siebie!

Ja w szpitalu pracuję! W szpitalu dla rannych! Tam! Skończyły się nam leki, a ja wiedziałem o jednej aptece! Właściciele uciekli, a my... To na ból! Na ból wszystko!

Wyrzuciwszy z siebie te słowa, Kasztan odwrócił się na bok i znów się rozszochał, przyciągając do siebie ociekającą pachnącym intensywnie wywarem sakwę. Bielik zacisnął zęby. Jego przekonanie nagle osłabło. Wyprostował się, puszczając chłopaka, ale w tej samej chwili rozbudziła się w nim złość.

– Spójrz tylko na siebie – powiedziała chłodno Naparstek. – Zawsze imponowało mi w tobie to, że nad sobą panujesz. Że zawsze wiesz, co robić...

– Ja wiem, co robić! – warknął Bielik, odwracając się ku niej. Zapomniał już o pomocniku cyrulika. – Mam wrażenie, że jestem jedynym z nas, który jeszcze to wie!

– A moim zdaniem kompletnie ci odbiło. – W oczach Naparstek błysnęła drwina.

– W tym mieście zawiązał się spisek! – upierał się młodzieniec. – Muszę to tylko udowo...!

– Nie zrobisz tego, uganiając się za każdym, kto ci się nie spodoba! – przerwała mu dziewczyna. – Nigdy nie byłeś bliższy szaleństwu niż teraz!

– Malhorn mnie potrzebuje!

– Bez wątpienia! – prychnęła Naparstek. – Idź więc do niego. Stoi na murach! Przyda mu się sojusznik.

– Da sobie radę! – Bielik zacisnął pięści. – Bez dwóch zdań poradzi sobie z tym, z czym właśnie się mierzy. Ja zajmę się tym, o czym nie ma pojęcia.

– A ty, Dunstan, na pewno wiesz, co robisz? – spytała dziewczyna i zadarła hardo głowę.

Nie wiedział, co właściwie wytrąciło go z równowagi – to, że go skrytykowała, czy to, że miała rację? A może chodziło o to, że użyła jego dawnego imienia, którego nie cierpiał i którego używać pozwalał jedynie matce? Tak czy owak, niespodziewanie poczuł, że traci nad sobą resztki kontroli. Zrobił ku dziewczynie krok, potem kolejny, a ta cofnęła się, łapiąc za sztylet.

I wtedy zatrzepotały nad nimi czarne skrzydła.

– Pewnie przeszkadzam – oświadczył kruk. – Ha, na pewno przeszkadzam... Co tu tak śmierdzi, niech mnie podpalą? Eee, dobra. Bielik, może zainteresuje cię to, że twoja matka wpadła po uszy w gówno, co?

Elinaare uderzyła łokciem w tył, ale tym razem nie trafiła. Człowiek, który trzymał ją za warkocz, szarpnął natomiast mocno i była Smocza Strażniczka zatoczyła się, a potem upadła. Uderzyła plecami o bruk, co wybiło jej powietrze z płuc. Napastnik nachylił się nad nią.

– Tuistańska suka! – wysapał. – Ruda zdzira! Widzieliście... – Odwrócił głowę do pozostałych. – Widzieliście, jak ją posłałem w błoto? Prosto tam, gdzie jej miejs...

– Plucha, uważaj! – wrzasnął któryś ze stojących dookoła ludzi.

Ale Elinaare zdążyła już nabrać tchu, co wystarczyło, by na powrót zorientowała się w sytuacji. Uderzenie serca później jej stopa w mocnym bucie do jazdy konnej trafiła oprycha prosto między nogi. Spomiędzy wykrzywionych ust napastnika wyrwało się rozdzierające jęknięcie, a on sam pochylił się naprzód, jakby miał zamiar się na Elinaare przewrócić. Kobieta jednakże, choć odurzona ciosami, instynktownie przetoczyła się w bok i zerwała na równe nogi.

Wtedy rzucili się na nią dotychczasowi obserwatorzy kaźni. Któryś – zdołała zauważyć, że był to zarośnięty, jednooki starzec – uderzył ją wielką pięścią w twarz. Cios posłał ją w tył, przez co desperacki kopniak towarzysza starego trafił w pustkę. Niestety, Elinaare nie zdołała się zatrzymać i potknęła się o zwijającego się na ziemi Pluchę. Ponownie runęła na bruk, ale tym razem zdążyła się nieco obrócić i przyjąć impet upadku na ramię.

Drugą ręką namacała sztylet.

Sekundę później wbiła ostrze w stopę innego z napastników, który najwyraźniej szykował się, by zacząć ją bić. Mężczyzna odskoczył, wrzeszcząc z bólu, tymczasem na skraju pola widzenia Elinaare zamajaczyło oblicze jednookiego. Zdołała kopnąć go prosto w twarz. Stary cofnął się, plując krwią i zębami.

– Szuka! Jebana szuka! – wybełkotał.

Umysł kobiety działał błyskawicznie. Przeciwników było czterech, ale brakowało im zarówno wyszkolenia, jak i koordynacji działań. Na jakiś czas zdołała unieszkodliwić już trzech, i to bez wykorzystania smoczego ognia. Przeczuwała, że gdyby odpaliła ognistą strugę, niegdyś znak rozpoznawczy Smoczycy Strażniczek, wywołałaby o wiele większe zainteresowanie, które skończyłoby się krwawym linczem.

A ona przecież musiała znaleźć...

Poderwała się, ale wtedy zahaczył ją niecelny kopniak, niestety na tyle silny, że kobieta straciła równowagę i znów upadła, tym razem na kolana. Oparła dłoń o ziemię, by się poderwać i zwrócić ku czwartemu napastnikowi, kiedy zwijający się tuż obok Pluchy zbiorczy złapał ją za nadgarstek.

– Nigdzie nie idziesz, suko – wyrzeźił.

Kolejny kopniak trafił prosto w jej twarz i Elinaare zrobiło się ciemno przed oczami, a ból przesłonił wszelkie inne doznania. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Plucha, który zdążył się dźwignąć na kolana, dalej ją trzyma za rękę. Jak przez mgłę ujrzała jego obleśny uśmiech tryumfu.

– Kopnęłaś mnie w jajca, szmato – wycharczał. – Zobaczmy, czy czegoś mi tam nie popsulaś.

Wciąż jej nie puszczając, zdołał usiąść okrakiem na zamroczonej kobiecie, po czym zaczął majstrować przy pasku. Elinaare przymknęła oczy.

– He, he, he – zarechotał opryszek. – Chyba się jej podoba, co, chłopaki? Widzieliście, jak wiedźmę okiełznałem?

Ból i oszołomienie sprawiły, że Elinaare niemalże nie czuła na sobie ciężaru napastnika. Nie bez wysiłku spróbowała zebrać nieco Mocy. Niewiele jej zostało po bitwie z bladokórymi, ale wciąż była to ilość wystarczająca, by zamienić bandziora w płonącą pochodnię.

– Rety – rozległ się za nią znajomy głos, przemawiający z udawanym współczuciem. – Aleś ty się, człowieku, wpierdolił.

– Patrzcie, chłopaki! – Plucha się zaśmiał. – Gadająca wrona!

– Gadająca, fakt. I to mądrzej od ciebie. Wyżrę ci oczy.

– Wypląć który ptaszysku kopa, bo...

Umysł Elinaare przepełniała już Moc, która odurzyła ją do tego stopnia, że wszelkie odgłosy zaczęły się rozmywać. Zarejestrowała jednakże ptasi wrzask i łopot skrzydeł nad swą głową, a potem...

Potem jakaś potężna siła dosłownie zerwała Pluchę z jej ciała. Kobieta odruchowo podniosła się na łokciach i odepchnęła obiema nogami, by znaleźć się jak najdalej od napastnika, po czym zdusiła w sobie przyływ Mocy i potrząsnęła głową, częściowo odzyskując ostrość widzenia.

Ujrzała rozciągniętego na bruku Pluchę, broczącego krwią ze zmiążdżonego nosa.

Bielik z dzikim rykiem przypadł do niego, złapał za brudny kaftan, poderwał jednym szarpnięciem i pchnął go na ścianę. Plucha usiłował coś powiedzieć, ale młodzieniec wyszarpnął nóż i

bez wahania wbił mu go w genitalia. Odstąpił, pozwalając, by wrzeszczący z bólu człowiek osunął się na ziemię, po czym odwrócił się ku reszcie.

Za jego plecami śmignęła Naparstek, która zakreśliła młyńca włócznią, grzmotnęła jednego z pozostałych napastników tępym końcem w kostkę, poczekała, aż ten padnie, a następnie przygoździła go jednym pchnięciem do bruku. W tym samym czasie Bielik cisnął nożem w nasadę karku jednookiego i przypadł do człowieka, któremu Elinaare wbiła ostrze w stopę. Złapał go za włosy i jednym pchnięciem na ścianę zmiażdżył mu twarz.

Po chwili Bielik uklęknął przy matce i wyszarpnął skądś gałgan, którym zaczął ocierać jej twarz. Elinaare, wciąż oszołomiona, próbowała się uśmiechnąć.

– Nic ci nie jest? – szepnęła młodzieniec, ścierając z jej oblicza krew.

– Nie – wymamrotała. – Choć... choć było blisko.

– Blisko? – Jego twarz stężała, a ona, mimo tego, co przeszła, poczuła nagły przyływ miłości do syna.

– O mało go nie spaliłam – powiedziała cicho.

Młody wojownik prawie się uśmiechnął, a potem niemalże troskliwym gestem nasunął jej kaptur na warkocz.

– Schowaj włosy – mruknął. – Oni tu uważają rudych za szpiegów Smoszczurów, durnie pieprzone. Możesz wstać?

Elinaare wsparła się na ramieniu syna i z trudem się podniosła. Świat zawirował, w głowie zaszumiało, ale wnet złapała równowagę. Uświadomiła sobie, że Bielik mówi do niej ostrym tonem:

– ...zapuszczać sama w tak podłą dzielnicę!

Pokazywał przy tym otaczające ich liche kamienice, niektóre pozbawione okien, inne z dziurawymi dachami; każda z nich sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała runąć. Człowiek z nożem wbitym w krocze nie przestawał wrzeszczeć ku wyraźnemu rozbawieniu Naparstek, ale nie wywoływało to żadnej reakcji otoczenia. Elinaare dostrzegła kilkoro ludzi, którzy przyglądali się obojętnie poszkodowanym oprychom – żaden z obserwatorów nie zamierzał przyjść im z pomocą.

Czekają, aż odejdziemy, przeszło jej przez myśl. Chcą dobić rannych i okraść zwłoki. Parszywe miasto... Parszywe!

I wtedy przypomniało jej się słowo, które przed chwilą padło z ust Bielika.

„Sama”.

Świadomość tego, co się wydarzyło kilka godzin temu, opadła ją z taką mocą, że kobieta aż się ugięła pod naporem rozpaczy.

– Nie mogę go znaleźć – wyszeptwała.

– Kogo? – Bielik przyglądał się matce uważnie, podtrzymując ją mocno.

– Skalmira – odparła, unosząc głowę. – Coś się wydarzyło, Dunstan. Coś złego.

Kątem oka ujrzała, jak Naparstek ogłusza jęczącego Pluchę drzewcem włóczni i podchodzi bliżej. Kruk zatrzepotał skrzydłami, po czym wskoczył na drewniany parapet nad ich głowami, by nie uronić z rozmowy ani słowa.

– Nie mogę go znaleźć – powtórzyła. – Zniknął.

– Jak? Odjechał? – spytał zaskoczony Bielik. – Zaginał w bitwie?

– Nie wiem. – Elinaare zacisnęła powieki, po raz tysięczny przypominając sobie ostatnie momenty, które spędziła razem z ukochanym. – Nie wiem... Rozmawialiśmy i... – Urwała, nienawykła do dzielenia się emocjami z synem. – Pamiętasz, że odmówił pomocy Malhornowi, prawda? Nie chciał brać udziału w bitwie, podobnie zresztą jak i ja. Rankiem rozmawialiśmy i... i doszło między nami do kłótni. – Poczula, że się rumieni. – Wysłałam z twierdzy, by ochłonać, a gdy wróciłam... gdy wróciłam, komnata była pusta. Służba twierdziła, że wyszedł chwilę wcześniej. Mało brakowało, a byśmy się spotkali! Dunstanie, stało się coś złego!

– Nie przesadzasz? – Bielik wpatrywał się w matkę z mieszaniną niepokoju i niedowierzania. – Skalmir to potężny mag, nie dałby sobie zrobić krzywdy! Bitwy, o ile pamiętam, chciał uniknąć...

Mimo powagi sytuacji Elinaare nie mogła nie zauważyć ledwie dostrzegalnego grymasu, który zawsze pojawiał się na obliczu jej syna, gdy wypowiadał imię „Skalmir”. Wiedziała, że Bielikiem nie kieruje w tych momentach ani obawa przed mocą czarodzieja, ani odraza z powodu jego fizjonomii. Młody mężczyzna po prostu wciąż nie pogodził się z faktem, że jego matka znalazła sobie życiowego partnera.

– Ale właśnie tam się skierował! – przekonywała. – Widziało go kilku ludzi na murach zamku! Szedł ku przepaści, ale przy niej już go nie widziano. Próbowałam się tam wdrzeć, ale mnie nie wpuszczono... – Rozkaszłała się gwałtownie i otarła oczy.

– Jeszcze raz powtarzam: Skalmir by się do bitwy nie pchał... – zaczął chłopak, ale przerwał mu gwałtowny wybuch matki:

– Ale tak się właśnie stało! Udało mi się prześlizgnąć w poblizę walk i piętro jednej z kamienic na krawędzi przepaści dosłownie eksplodowało ogniem! Wielu ludzi to widziało. Czym prędzej dotarłam na górę i ujrzałam trupy kilku łuczników oraz sadzę na ścianach.

– To chyba o niczym nie świadczy – rzekł Bielik.

– Świadczy. – Elinaare wpatrywała się w niego ze znużeniem. – On się gdzieś teleportował.

– Może wrócił do Jesiennicy? – wtrąciła Naparstek.

Kobieta pokręciła głową.

– Przeniesienie się w konkretne miejsce wymaga wielkiego skupienia – wyjaśniła. – A na piętrze leżały trupy kilkunastu ludzi.

Bielik zamrugał. Najwyraźniej wreszcie pojął powagę sytuacji.

– Czyli ktoś wdarł się do kamienicy – stwierdził i popatrzył znacząco na dziewczynę, która uciekła spojrzeniem w bok. – A Skalmir uciekł w ostatnim momencie!

Elinaare zacisnęła zęby.

– A działo się to wczoraj – dodała z rozpaczą. – Nie znam się wiele na magii, ale myślę, że czar rzucony spontanicznie przeniósłby go gdzieś w okolicę. Szukam go i szukam, rozpytuję, rozglądam się, aż desperacja przywiodła mnie w to miejsce. Wniosek jest jeden: w Łoskocie go nie ma.

– A czy miał przy sobie – zaczął ostrożnie Bielik – ów kamień?

Kobieta pokiwała głową.

– Tak – odparła grobowym tonem. – W naszej komnacie go nie ma, a więc musiał go mieć ze sobą.

– Sytuacja staje się coraz poważniejsza – szepnął jej syn. – Chodźcie! Malhorn musi o tym usłyszeć!

– A nie moglibyście chwilę zaczekać? – spytał kruk. – Mam ochotę na świeżą gałę, a tamci, co chowają się po kątach, wyglądają mi na takich, którzy są gotowi obrzucić mnie kamieniami.

– Coś mi mówi, że wkrótce przysmaków ci nie zabraknie – oznajmił Bielik. – I to znacznie lepszej jakości – dodał.

*

Malhorn wezwał do siebie cyrulika, którzy rozczesał mu brodę i ułożył włosy. Jego odbicie w lustrze nadal było wychudłe, a oczy pozostawały zapadnięte, ale król czuł, że wracają mu zarówno

siły, jak i autorytet, co potwierdził chwilę później, wyrzucając z komnaty cyrulika oraz jego pomocnika z lustrem i narzędziami.

Niestety, wieści, z którymi przybyli Bielik, Elinaare i Naparstek, upuściły z niego sporą część odzyskanej energii.

– Na śmierć i lawiny – zaklął po głuchoborsku.

Stał i grzał dłonie nad ogniem buchającym w kominku, po czym odwrócił się ku oknu, z którego doskonale widział błonia pod murami miasta. Okoliczne szczyty wciąż spowijała ciemniejąca, wieczorna czerwień, ale w dolinie panowały już ciemności. Drgały tam niespokojnie setki, jeśli nie tysiące drobnych ogników, a wiatr, znacznie dokuczliwszy na wysokości zamku, darł na strzępy napływające z dołu pieśni. Z każdym jego podmuchem do komnaty wdzierало się dokuczliwe zimno, ale nawykły do kaprysów pogody Głuchoborzanin nie zwracał na to uwagi.

– Najpierw miasto pęka w pół, co naraża nas na atak jakichś bydlaków z głębi ziemi, a mnie psuje intrygę – powiedział głuchym głosem. – Potem pod mury przybywa armia sukinsynów od Mchaków i Głazińców, by się domagać mojego ustąpienia z tronu. A teraz – odwrócił się od okna – mówicie mi, że Skalmir zaginął. I to wraz z owym bezcennym kamykiem.

Stojący na tle ciemniejącego nieba ogromny, niemalże zwalisty Malhorn przypominał niedźwiedzia, który lada moment może ruszyć do ataku. Wiedział, że roztacza wokół siebie atmosferę grozy, ale akurat teraz nie miało to żadnego sensu. Być może wpłynąłby tym wizerunkiem na swoich przybocznych, ale nie na Bielika, Elinaare i Naparstek.

Ani na to przekłete ptaszysko, dodał w myślach, łypiąc przy tym na kruka, który skakał po wybrakowanym przedramieniu Grzmotuna.

I nie pomylił się. Bielik patrzył na niego bez lęku.

– Te wydarzenia mogą być ze sobą powiązane – oświadczył.

Król potrząsnął głową.

– Nie – mruknął. – To niemożliwe. Bielik, gadasz jak obłąkany!

Kątem oka dostrzegł, że Naparstek odrzuciła grzywkę na bok i rozparła się wygodniej na krześle, jakby i ona doszła do identycznych wniosków. O dziwo, dodało mu to pewności siebie.

– W jaki sposób mogą się ze sobą łączyć zaginięcie...

– Porwanie – wtrąciła martwym głosem Elinaare.

– ...porwanie wichrogórskiego maga, pojawienie się przepaści w mojej stolicy i ostra interwencja dwóch zbuntowanych rodów?! – spytał król podniesionym głosem.

– Nie zapomnij o ataku na Zgrozę parę miesięcy temu. – Bielik uśmiechnął się bezczelnie.

Malhorn oparł się o ławę i pochylił nad nią.

– Drwisz sobie ze mnie? – wycedził. – Jeśli ci się na kpiny zebrało, poszukaj sobie lepszego momentu. Ledwie zasiadłem na tronie, a Głuchobory znalazły się na skraju kryzysu, i to równie głębokiego jak ta pieprzona przepaść. Każdym z tych problemów trzeba się zająć z osobna, począwszy od tych kozich synów, co się rozbili pod murami miasta i żądają korony.

– Nie, Malhorn. – Bielik również się pochylił. – Te cztery wydarzenia łączą się w całość i należy...

– Niby jak? – zagrział Malhorn, z trudem nad sobą panując. – Niby jak się łączą?

– Nie wiadomo – skrzeknął kruk.

– Właśnie! – Władca uderzył pięścią w blat ławy, aż podskoczyły stojące na nim pucharki. – Niczego nie wiesz! Nawet głupia wrona ci to powiedziała!

Młodzieniec uśmiechnął się złośliwie.

– Po pierwsze, ta wrona jest krukiem, a po drugie, źle odczytałeś jego słowa. Owo „nie wiadomo” jest tu elementem łączącym – oświadczył. – Nie wiadomo, kto wtedy napadł na Zgrozę i wymordował krasnoludów. Nie wiadomo, dlaczego buntownicy ruszyli akurat teraz. Nie wiadomo, skąd wzięła się przepaść ani też kto miał możliwości i tupet, by porwać Skalmira. Niczego nie wiemy. Nie sądzisz, że wszystko to wyraźnie wskazuje, że ktoś cię wodzi za nos?

Słowa te, wypowiedziane mocnym, stanowczym głosem, w którym pobrzmiwała nutka ironii, okazały się podejrzanie przekonujące, ale Malhorn odepchnął je od siebie ze wszystkich sił. W przeciwieństwie do Bielika nie umiał połączyć tych problemów w jedno. Rzekomy rozległy spisek był dla niego po prostu kolejnym, czwartym już kryzysem, któremu zupełnie nie potrafił sprostać.

Złapał najbliższy puchar z winem. Pił duszkiem, nie bacząc na to, że czerwone strużki ściekają mu po rozczesanej brodzie.

– Bzdury gadasz – powtórzył. – I nie chcę tego słuchać. Mam poważniejsze...

– Nie. – Bielik zrobił ku niemu krok. – Zaproponowałem ci swą służbę dlatego, że obawiam się o przyszłość tego świata, Malhorn, a nie zwykłem lekceważyć żadnych sygnałów. Nauczyłem się tego,

gdy Gwaine pchnął mnie na poszukiwanie Jaszczura! Wierz mi: te sprawy mają ze sobą związek!

– Dowody! – ryknął Malhorn, waląc pucharem o blat. – Potrzebuję dowodów na te twoje dyrdymały, Bielik!

– Zbieram je – warknął młodzieniec w odpowiedzi. – I pewnie miałbym już coś konkretnego, gdybyś mnie nie posadził w lochu.

– To była konieczność. – Malhorn odsłonił zęby jak drapieżnik szykujący się do ataku. – Przykra konieczność. Zapędziłeś się za daleko i dałeś się zauważyć cholernym Mchakom, którzy już zaczęli kojarzyć to i owo. Musiałem cię pokazowo usunąć, by uwierzyli w to, że nie zdaję sobie sprawy z ich planów.

– Przykra konieczność – prychnął Bielik. – Ładnie żeś to ujął. Robię wszystko, by ci pomóc, a ty, niewdzięczny sukinsynu, najchętniej byś mnie wywalił za drzwi!

– Nie znasz się na rządzeniu! – wrzasnął rozjuszony król.

– Ty najwyraźniej też nie! – Młodzieniec zerwał się z krzesła, tracąc panowanie nad sobą.

Zgrzytnęły drzwi i do komnaty wpadł rycerz z dłonią zaciśniętą na rękojeści miecza. Malhorn obrócił na niego wściekle spojrzenie, rad, że może na kimś się wyładować.

– O, młody Puchacz – mruknął.

– Wasza Królewska Mość! – wyjąkał rycerz, puszczając broń i kłaniając się królowi w pas. – Usłyszałem krzyki i...

– I postanowiłeś sprawdzić, czy czegoś nam nie brakuje? – podjął Malhorn. – Przynieś więcej wina. I koc dla pani! – dodał, widząc, jak Elinaare, siedzącą nieruchomo z czołem wspartym na dłoni, przechodzą dreszcze.

Puchacz uklonił się ponownie, nieco skonfundowany rozkazami, które jego zdaniem zapewne bardziej przystawały do służki niż rycerza z królewskiej świty, i wyszedł bez słowa.

Malhorn westchnął ciężko, czując, że jego złość się wypaliła. Opadł na krzesło, zajrzał do najbliższego pucharka i niezadowolony stracił go na podłogę. Naczynie stuknęło o kamienną posadzkę i znieruchomiało. Bielik również usiadł i pokręcił głową, patrząc w ciemny kąt.

W kominku trząsał ogień, wprawiając cienie w chaotyczny taniec. Chrobotyły pazurki kruka skaczącego po posagu. Wiatry wyły to głośniejsze, to znów ciszej.

Elinaare wstała nagle i podeszła do okna. Zamknęła je z hukiem, po czym odwróciła się ku Malhornowi. Ze złamanym,

poczerniałym nosem, podbitym okiem i włosami, których nie miała zamiaru czesać, wygładała upiornie.

– Oto cały ty – warknęła. – Zamiast zamknąć okno, posyłasz przybocznego po koc. Dunstan ma rację, na proch z kości mojej Matki! O radzeniu sobie z kryzysami nie masz pojęcia. Proponuję zatem, byś zaczął słuchać swoich doradców, i to natychmiast.

Władca prychnął.

– Jeśli masz na myśli tych starych pierdzieli z rodu Koziorożców czy Ostańców, wiedz, że żaden z nich nie ma na celu dobra królestwa – rzekł. – Każdy z nich szuka głównie sposobu, by wzmocnić własną pozycję.

– Miałam na myśli mego syna. – Kobieta potrząsnęła głową. – Bo ja się sprawami Głuchoborów zajmować nie będę. A ta rada była ostatnią, jakiej ci udzieliłam. Teraz muszę odnaleźć Skalmira. Zdołasz mi jakoś w tym pomóc?

– Z tego, co mówicie, w mieście nie wylądował – zauważył król. – Rozesłałbym gońców, ale Łoskot jest otoczony i...

– Czyli nie zdołasz pomóc – przerwała mu Elinaare. – Albo nie chcesz. Lub, co jest chyba najbardziej prawdopodobne, nie masz pojęcia, jak się do tego zabrać. Weź jednak pod rozwagę to, że Wysoka Rada w Jesiennicy z całą pewnością będzie się domagać odzyskania kamienia, a na wojnę z państwem magów nigdy nie będziesz gotów.

Malhornowi pociemniało przed oczami.

– Mam już dosyć ludzi, którzy mi grożą! – ryknął.

– To spróbuj dla odmiany pogadać z krasnoludami – odezwał się nagle kruk.

– Co? – wycharczał król niczym raniony żubr, obracając się ku posagowi, na którym siedział gadający ptak. – Co powiedziałaś?

Kruk wskazał łebkiem na biurko. Ze szczelin szuflady sączyła się jasna emanacja.

– A ten czego chce? – wycedził z niechęcią monarcha i podszedł do mebla.

Ostrożnie wyjął kulę, z której rozlewała się oślepiająca biała poświata, a potem ustawił ją na ławie. Szykująca się do wyjścia Elinaare zatrzymała się, zaintrygowana, a Bielik i Naparstek nachylili się ku artefaktowi. Zatrzepotały skrzydła – kruk wylądował na blacie obok dziewczyny.

– Mów, krasnoludzie – rzekł Malhorn. – Czego chcesz?

Z mlecznej mgły wypełniającej wnętrze kuli wyłoniła się nieco zniekształcona twarz Callestra.

– Jeśli przemyślałeś sobie sprawę i chcesz się podzielić informacjami o tych bladokórych bydlakach, spieszę donieść, że roznieśliśmy to paskudztwo w pył – dodał król wzgardliwym tonem, zadowolony z tego, iż wreszcie może w czymś udowodnić wyższość.

Krasnolud nie zareagował na zaczepkę. Milczał i wpatrywał się w Malhorna złowrogim wzrokiem.

– Ostrzegałem cię – powiedział w końcu.

– Ostrzegałeś? – Głuchoborzanin zmarszczył brwi. – Przed czym? O czym ty, na strzępy flaków Smoczycy, gadasz, kurduplu zatracony?

– Widzę, że nie jesteś sam. – Callestr rozejrzał się powoli na boki. – Rozumiem, że próbujesz zaimponować reszcie, tak? No, dokładnie tego bym się po tobie spodziewał.

Król stłumił chęć podniesienia kuli i roztrzaskania jej o ścianę.

– Jeśli masz coś konkretnego do powiedzenia, lepiej się pośpiesz – oznajmił. – Mam tu parę spraw na głowie.

– Czy to dotyczy również Wężła, Malhorn? – Krasnolud przekrzywił nieco głowę. – Oskarżasz nas o to, że ryliśmy pod miastem i spowodowaliśmy trzęsienie ziemi, a tymczasem sam się próbujesz dobrać do Żył, co? Przysięgałeś, że nie ruszysz naszych szlaków, ale już ci pamięć szwankuje, wiarołomco? A może od początku zakładałeś, że obiecasz kurduplom wszystko, czego będą chcieli, a potem i tak zrobisz swoje? – Głos Callestra drżał z gniewu. – Cóż warte są twoje przyrzeczenia? Dałeś słowo, że nie ruszysz Wężła, i co? Zarzekałeś się również, że nie stoisz za wymordowaniem naszych braci i sióstr w Zgrodzie, ale może to jednak twoja robota? Mam ci przypomnieć, do czego moje plemię jest zdolne? Otóż zapewniam cię, Malhorn, że wszystkie twoje problemy zbledną, gdy poczujesz naszą wściekłość!

Władca Głuchoborów zebrał wreszcie myśli, po czym splótł palce obu dłoni i westchnął.

– Posłuchaj, kurduplu. Zetrzyj ślinę z kuli, byś mnie widział wyraźnie, i posłuchaj. Mam na głowie wojnę domową, do której zresztą szykowałem się od miesięcy, a ostatnimi czasy stolicę przedzieliła mi przepaść, z której wylażą białe paskudztwa. – Zerknął na Elinaare i dodał: – A to tylko niektóre z rzeczy, z którymi muszę się zmagać. Naprawdę sądzisz, że miałbym w tym wszystkim jeszcze czas na to, by ryc w ziemi i wszczynać wojny z upierdliwymi konusami?

– Tu nie chodzi o to, czy masz czas, czy nie – wycedził Callestr. – Mam cię za aroganckiego, chciwego gnojka bez krzty rozumu, a tacy nie zastanawiają się nad konsekwencjami swoich czynów!

– Cóż, to ciut za mało, by rzucać oskarżenia! Poza tym – Malhorn wyprostował się ze wzgardliwą miną – skoro nie możecie się do owego Wężła dogrzebać, skąd pewność, że udało się to komuś innemu?

– Musiałbyś sporo wiedzieć o naszym życiu, człowieku, by móc to zrozumieć – oświadczył z wyższością krasnolud. – Nasi Wyjaławiacze mają sposoby, by usłyszeć wszystko, co się dzieje pod ziemią na przestrzeni wielu, wielu mil. Dlatego też wiedzieliśmy o tej waszej przepaści w chwili, gdy się pojawiła. Doskonale wiemy także o plemienu Światłozerców, które na was wylazło. – Uśmiechnął się paskudnie. – Wiemy też o tym, że ktoś, wielu ludzi, nawiasem mówiąc, przedostał się do Wężła! Zamarzył ci się krasnoludzki szlak na własność, co?

Malhorn zamrugał i potrząsnął głową.

– Nie – wymamrotał. – Nie, Callestr. Nic o tym nie wiem!

– To akurat – przemawiający z kuli krasnolud wycelował w niego palec – wcale cię nie usprawiedliwia!

– Nie ruszyliśmy tego cholernego Wężła! – wykrzyknął zaskoczony władca.

– Nie wy? – Callestr wyszczerzył zęby. – To kto? Węzeł leży w zasięgu kilku mil od murów miejskich Łoskotu! Twojej pieprzonej stolicy!

Malhorn poderwał się, nabrał tchu, gotów do wścieklej tyrady, ale uprzedził go Bielik, który przetoczył kulę ku sobie i przytrzymał ją w dłoniach.

– Wołają na mnie Bielik – przedstawił się cicho. – Zbieram informacje dla króla Malhorna i pomagam mu we wszystkim, w czym sobie nie radzi, a trochę tego jest. Zadam ci, krasnoludzie, pytanie, na które nie jesteś gotowy. Gdybyśmy rzeczywiście chcieli do tego Wężła zejść, to gdzie należałoby zacząć?

*

Mads otulił się płaszczem i obejrzał na Valgerd.

Kobieta nadal dorównywała mu kroku, ale widać było po niej coraz większe zmęczenie. Zatrzymała się, niby po to, by spojrzeć na ciemniejące góry, ale przypuszczalnie zależało jej wyłącznie na tym, by odetchnąć. Podążający za nią wojownicy uznali to za

sygnał i jeden po drugim również się zatrzymywali. Któryś przysiadł na przydrożnym kamieniu, inny charknął i splunął, jeszcze inny wsparł się na włócznie.

Voorten przeszedł jeszcze kilka kroków i odwrócił się ku przygodnym towarzyszom. Z odległości wyglądało to, jakby na nich czekał, ale w rzeczywistości przyglądał im się uważnie.

W ciągu długiego, wyczerpującego dnia ustalili bez wątpienia tylko tyle, że wszyscy byli Tuistanami i doborowymi wojownikami, zebranych w oddział wedle nieznanego mu klucza. Przez cały czas wspólnej wędrówki nie usłyszał ani jednej skargi bądź aluzji odnośnie do tego, co właściwie robili w Głuchoborach, skoro cały ich naród odszedł z Rozkrzyczanych Krain trzy lata temu. Nic nie wskazywało na ich pochodzenie – żadne z nich nie nosiło rudych włosów, broń i stroje niczym się nie różniły od tych noszonych przez Głuchoborzan, a miejscową mową posługiwali się płynnie, bez śladu akcentu.

Sam nie odzywał się wiele, by nie zdradzić, że wcale Tuistaninem nie jest, i by nie zrazić towarzyszy nadmierną ciekawością. Liczył na to, że teraz, gdy są bardziej znużeni, będą się mniej pilnować. Rozejrzał się na boki.

– Nie czas na odpoczynek? – spytał w końcu.

– Będziemy szukać! – zawołała z gniewem kobieta. – Będziemy szukać, aż...

– Aż co? – spytał mężczyzna wsparty na włócznie. – Aż nogi sobie po ciemku połamiemy?

Valgerd zmełła przekleństwo i popatrzyła na Madsa.

– Ten szlak dokąd prowadzi? – spytała.

Wskazywała pasmo kolein, które ciągnęło się na wschód, oddzielając linię ciemniejszego lasu od rozległych, czesanych zimnym wiatrem hali, za którymi wyrastały szare, masywne góry. Zmrok zapadał szybko i na niebie zapalały się już pierwsze gwiazdy.

– W stronę zamku barona Blegorda – odpowiedział ponuro Mads i pokręcił głową z udawaną odrazą. – Znaczy się, kiedyś władał nim Blegord. Ale to schorowany pijak i pewnie już nie żyje. Nie wiem, kto przejął po nim schedę.

Wcale nie miał pewności, że ten akurat szlak doprowadziłby ich do twierdzy Blegordów – tej części Gór Grozy nie znał aż tak dobrze – ale postanowił zaryzykować. Tuistanie najwyraźniej nie czuli się pewnie w górach w tym rejonie, a ludzkich sadyb woleli unikać.

Nic dziwnego, przeszło mu przez głowę. Nie pożyliby długo, gdyby ktoś się domyślił, że są przedstawicielami narodu, który gnębił Rozkrzyczane Krainy przez ponad wiek.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Valgerd pokręciła głową.

– Za daleko byśmy się zapuścili – mruknęła i znów spojrzała ku górom. – Niech nas Zorza opuści, cały dzień na nic. – W jej głosie pobrzmiwał niepokój.

– Znajdziemy go jutro, Valgerd – odezwał się któryś z mężczyzn.

– Albo i nie – odparła z niewesołą miną. – A wówczas wszystko szlag trafi.

Voorten odwrócił głowę, by nie sprawiać wrażenia zaciekawionego rozmową, ale słuchał pilnie. Przez cały czas błądzili wśród skał i borów u podnóża Gór Grozy w poszukiwaniu kręgu sadzy i wypalanej trawy, o których Valgerd i jej towarzysze nie mieli zamiaru Madsowi nic więcej mówić. Kilku spośród napotkanych pasterzy i wędrowców w istocie coś podobnego widziało. Kierowali oni grupę w różne partie wzgórz, ale ponieważ żadna ze wskazówek nie była dość precyzyjna, poszukiwania okazały się bezowocne.

Znużenie Tuistan narastało, a wraz z nim lęk.

Czego oni właściwie szukają? Albo kogo? – myślał Mads. I co niby ma szlag trafić?

– Wzdłuż skraju lasu stoją szałas pasterskie – wtrącił. – Może byśmy się przespali, a skoro świt ruszemy...

– To ja tu podejmuję decyzje! – warknęła Valgerd. Jej zęby błysnęły w ciemności.

Voorten wzruszył ramionami.

– Tylko chciałem pomóc – bąknął i odwrócił wzrok ku górom, których wierzchołki niknęły wśród ciemnych chmur. W powietrzu, prócz zimna, czuć było wilgoć. Zanosilo się na deszcz.

– Promyk dobrze gada – rzekł któryś z wojowników. – Tarvann obedrze nas ze...

– Cicho bądź! – syknęła Valgerd, odwracając się ku niemu. – Ani słowa!

– Ciekawym – dobiegło z mroku – za co miałbym was tak pokarać. Coście spieprzyli, psubraty?

Zaskoczony Mads odwrócił się gwałtownie, podobnie jak reszta, i wytrzeszczył oczy. Z ciemności wyłonił się mężczyzna, który szedł ku nim dziarskim krokiem, podpierając się kijem. Nie miał plecaka ani sakwy, nie wydawał się też wojownikiem, choć jego obszerny płaszcz, unoszący się wraz z podmuchami wiatru, mógł

kryć niejedną niespodziankę dla nierozważnego złoczyńcy. Utykał lekko na jedną nogę, ale kroczył pewnie, niczym człowiek, który wszędzie czuje się jak u siebie.

– No, Valgerd? Opowiadaj – polecił, zatrzymując się parę kroków od nich.

– Tarvan – szepnęła, robiąc ku mężczyźnie kilka kroków. W jej głosie ulga mieszała się z niepokojem. – My... my próbowaliśmy cię znaleźć, ale nikt nie mógł dokładnie określić, gdzie się znalazłeś i...

Boi się go, stwierdził w myślach Voorten i cofnął się, jak uczyniłby to ktoś, kto automatycznie uznaje autorytet nowo przybyłego.

– Próbowaliście mnie znaleźć. – Człowiek zwany Tarvanem zaśmiał się głucho. – A skąd ta potrzeba, Valgerd? Skąd pomyśli, że może mi na tym zależeć?

W przeciwieństwie do reszty mówił głośno i sprawiał wrażenie, jakby wcale nie przejmował się tym, że posługuje się znienawidzoną na tych terenach tuistańską mową. Mads z miejsca dostrzegł, że Tarvan, choć młodość dawno miał za sobą, emanuje wręcz namacalną żywotnością, która osobliwie kontrastuje z twarzą – obrzmiałą i poprzecinaną głębokimi bruzdami, z zapuchniętymi, ledwie widocznymi oczami. Wydawać by się mogło, że człowiek ten walczy z ciężką chorobą i zdobywa nad nią przewagę, ale mnóstwo go to kosztuje.

– Zniknąłeś! – powiedziała hardo Valgerd. – W samym środku starcia z góralami! Eksplozja oślepiła nas wszystkich, a gdy zgasły płomienie, okazało się, że ciebie nie ma! Nie mieliśmy pojęcia, co się wydarzyło, ale jeden z naszych powiedział później, że widział podobną eksplozję na zboczach Gór Grozy, daleko na południe od miasta. Ktoś inny przypomniał sobie, że podobne rzeczy robiła Oriana.

Mads drgnął na wzmiankę o Smoczej Strażniczce, ale nikt tego nie zauważył.

Valgerd mówiła dalej:

– Poskładaliśmy fakty do kupy i uznaliśmy, że przeniosło cię daleko od Łoskotu i że trzeba cię znaleźć!

Tarvan prychnął.

– I nikomu nie przyszło do głowy, że mogę sobie tego nie życzyć? – spytał.

– A cóż innego mieliśmy robić? – syknęła kobieta, najwyraźniej tracąc panowanie nad sobą.

– Pilnować, czy operacja idzie naprzód!

– Operacja, która bez ciebie i tak nie miałyby dalszego sensu! – odparła z wyraźną już złością Valgerd. – Hadreigh z trudem panuje nad ślepakami, a Zorza się zbliża. Po co ryzykowałeś ów napad? Po co się mieszałeś w sprawę górali? Mieliliśmy się nie wychylać! Chcesz, by Królowa-Wieszczka cię pokarała?

Voorten złapał się na tym, że przysłuchiwanie się rozmowie pochłania go coraz bardziej. Operacja? Hadreigh i ślepaki? Królowa-Wieszczka?

Naraz przeszył go dreszcz, gdy Tarvan, jakby wyczuwając natłok jego chaotycznych myśli, wbił spojrzenie zapuchniętych oczu prosto w niego.

– Mnie grozisz? – spytał szyderczo. – Mnie zarzucasz nierozważność! Podczas gdy sama wciągasz do operacji ludzi z zewnątrz?

– To jeden z naszych! – Zmęczenie i wzburzenie sprawiły, że Valgerd trzęsła się na całym ciele. – Odniósł ranę w walce z Voortem i nie załapał się do Zorzy, a teraz służy nam jako przewodnik!

– Jako przewodnik – powtórzył sucho Tarvan, wciąż patrząc na Madsa.

Jego spojrzenie było ciężkie, zimne i obojętne.

– Jeden z naszych? – spytał kpiąco, odwracając wzrok ku Valgerd. – Tak ci powiedział?

– Panie – odezwał się zachrypniętym głosem Mads. – Nazywam się Promyk i...

– Ciebie – syknął Tarvan – nikt do wzięcia udziału w rozmowie nie zapraszał. – Raz jeszcze otaksował postać Voortena. – Przewodnik. Doskonale. – Skrzywił się. – Valgerd, zostaniesz z nim. Weźmiesz też Rughana i Durmuda i znajdziecie tego drugiego.

– Jakiego drugiego? – spytała zaskoczona Valgerd.

– Tego łysego maga – wyjaśnił ze znużeniem Tarvan. – Przecież to jego zauważyłem i jego chciałem odnaleźć. Rzucił czar teleportacyjny w ostatniej chwili, ale rozłączyliśmy się podczas materializacji i nigdzie go nie znalazłem. A dobrze by było, żeby zginął. To jeden z wichrogórskiej Wysokiej Rady. Nie spieprz tego.

Kobieta wpatrywała się w niego martwym spojrzeniem.

– Mamy we troje złapać i zabić wichrogórskiego czarodzieja... – powiedziała bez wyrazu.

– We czworo. – Tarvan wskazał kciukiem Madsa. – I to szybko, bo do Zorzy zostały dwa dni, a my mamy jeszcze kupę roboty. Chętnie bym ci pomógł, Valgerd, ale w jednym masz rację. Zorza nadciąga i trzeba się spieszyć. Na szczęście mylisz się w każdej innej sprawie i ów nieroztropny napad na górali przyniósł nam wprost ogromne korzyści.

Podrzucił w dłoni coś, co wyglądało na zwykły otoczek, przez który przewleczono rzemień, ale Voorten rozpoznał go od razu. Natychmiast opuścił wzrok, by nikt tego nie dostrzegł.

Na rozprute cielsko Smoczycy, pomyślał. Toż to wichrogórski kamień!

– Nie sędzę, by Królowa-Wieszczka miała mi za złe, że zdobyłem dla niej ten drobiazg – wycedził Tarvan. – Na pamięć Matki, cieszę się ogromnie, że udało nam się zauważyć i rozbroić tego Wichrogórzanina, bo dzięki tej zdobyczy – przyjrzał się kamieniowi kołyszącemu się na rzemyku – udało mi się, dla przykładu, zesłać pochmurną pogodę nad Łoskot. Skoro zaś znikło słońce, nasze ślepaki grzecznie powróciły do pracy w podziemiach. To potężna rzecz... – powiedział ni to do siebie, ni to do reszty. – Dzięki niej pewne... wyzwania stają się dziecinną igraszka. Tak czy inaczej, chyba już odzyskałem Moc po zmianie pogody nad Łoskotem. Pora na to, bym odtworzył czar teleportacyjny i przeniósł się z powrotem gdzieś w okolice naszych prac. Mówicie, że Haderigh nie radzi sobie już ze ślepakami?

Kątem oka Mads dojrzał, że emocje wśród Tuistan sięgnęły zenitu. Spoglądali na starszego kompana z niechęcią graniczącą z nienawiścią, ale ten nie zwracał na to uwagi.

– Wy tutaj – wskazał czterech żołnierzy – udacie się ze mną. Chodźmy. A tobie, Valgerd – popatrzył na kobietę – życzę dużo szczęścia. Możliwe, że jeśli się postarasz, też zasłużysz na łaskę Królowej-Wieszczki.

Następnie Tarvan, śmiejąc się głucho i podrzucając kamień w dłoni, przeszedł między zgromadzonymi i ruszył naprzód. Nie obejrzał się za siebie. Część drużyny podążyła za nim, odprowadzana wściekłymi spojrzeniami Valgerd i dwóch jej towarzyszy.

Zapanowała cisza. Po halach snuły się leniwie smugi mgły, a różowa poświata wokół gór ciemniała i przechodziła w fiolet. Twarze trójki Tuistan stawały się niewyraźnymi, szarymi plamami, które na parę sekund rozświetliła odległa eksplozja czaru teleportacyjnego.

– Nie wierzę w to – powiedziała cicho Valgerd, gdy Tarvan i jego towarzysze znikli w mroku. – Zostawił nas tu, byśmy jakiegoś czaromiota dorwali.

– Skazał nas na śmierć – warknął jeden wojowników, który nosił na plecach skórzany pokrowiec na topór.

– Może jakoś damy radę – odezwał się niepewnie drugi, wciąż wsparty na włócznie.

Kobieta spojrzała na niego z niedowierzaniem i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, po czym potrząsnęła głową z bezsilnością. Mads wybrał ten moment, by się odezwać:

– Skoro ponoć mamy zginąć, to może chociaż powiedzcie mi, o co tu chodzi? Na łaskę Króla-Wieszczka, przez lata marzyłem, by spotkać rodaków, i nawet mi do głowy nie przyszło, że gdy do tego dojdzie, wpakuję się w kłopoty!

– Nie ma już Króla-Wieszczka. – Valgerd zmierzyła go pogardliwym wzrokiem. – Chyba rzeczywiście za długo żyjesz na tym zadupiu. Naprawdę się spodziewałeś, że przetrwa na tronie po tym, jak dał nam wszystkim rozkaz do ewakuacji? Po tym, jak uciekliśmy przed nielicznymi, źle uzbrojonymi buntownikami, oddając im świat, który z takim trudem ujarzmiliśmy? Nie! – Potrząsnęła głową, a jej włosy się rozsypały na wietrze. – Zastąpiła go królowa. Królowa-Wieszczka! Módl się, byś przeżył tę noc i ujrzał pełnię jej wizji, Promyk.

– Mówisz, jakbyś sama ją znała – odparł z niechęcią Voorten, w nadziei, że zdola ją sprowokować.

– Oczywiście, że nie! – prychnęła. – Nikt jej nie zna! Nawet ten arogancki wieprz Tarvan! Dzieli się z nami tylko tym, co uzna za stosowne nam przekazać, a i to jest wielkim wyróżnieniem.

Nagle zacisnęła usta.

Mów! Mów więcej! – ponaglał ją w myślach Mads. Mówże, na zaplute ścierwo Smoczycy!

Wtem uświadomił sobie, że kobieta wpatruje się w coś ponad jego ramieniem, a jeden z towarzyszących jej wojowników wyprostował się i ujął włócznie w obie dłonie.

– Hej! – zawołał topornik i płynnym ruchem uwolnił broń z pokrowca. – Wy też to widzicie?

Zaskoczony Mads odwrócił się błyskawicznie.

Znieruchomiał.

Nad halami sunął potwór. Voorten dostrzegł ogromny łeb na długiej szyi, pazurzaste łapy przyciśnięte do baryłkowatego tułowia i długi ogon, drgający z każdym opadnięciem

gigantycznych skrzydeł. Ich uderzenia roztrącały zalegające nad łąkami mgły i wprawiły je w dziki tan.

– Co to jest?! – wykrzyknął włócznik. – Valgerd, słyszałaś coś o tym bydlaku?

– Nie – odpowiedziała kobieta, już z mieczem w dłoni. – Słyszałam, że wszystkie Smoczęta wyginęły lub uciekły, ale mówił to Tarvan, a więc trudno orzec, czy to prawda.

– To nie Smoczę – stwierdził topornik. – Za wielkie!

Bestia była już tak blisko, że Mads zaczynał rozpoznawać jej kształty. Zdawało mu się, że lada moment dojrzy dziury w błoniastych skrzydłach i kostne wypustki, ciągnące się wzdłuż grzbietu. Zacisnął oczy.

Nie, pomyślał. Tylko nie to. Nie patrz w dół, krowo, nie patrz w dół!

– Uciekamy? – spytał niepewnie wojownik z włócznią. – Valgerd, wiejemy?

– Nie – zdecydowała kobieta. – Chyba nas nie widzi.

– Ludzie! – wrzasnął topornik. – To bydle wiezie ludzi!

Mads otworzył szerzej oczy. Ogromna istota przybliżyła się błyskawicznie, pułkownik widział już maź oblepiającą jej pysk. Zauważył też dwie ludzkie postacie, które przylgnęły do kościanych wypustków, ciągnących się wzdłuż jej grzbietu, ale wciąż były zbyt daleko, by mógł je rozpoznać.

Po kogo Lharsin leciała do Brzasku? – zadał sobie w duchu pytanie. – Zresztą jakie to ma znaczenie? Na puste oczodoły Smoczycy, jeśli to wielkie bydlę mnie zauważy, Smoszczury wyprują mi flaki...

Smoczyca leciała nisko i gdyby nie rytmiczne uderzenia błoniastych skrzydeł, zdawałaby się jedynie monstrualną zjawą. Niespodziewanie rozchyliła szeroko ślepia i otworzyła pysk. Zmierzała prosto na nich.

– Będzie atakować! – jęknął włócznik. – Valgerd, wiejemy między drzewa!

– Sam uciekaj, jeśli chcesz – oświadczył jego towarzysz i trzęsącymi się dłońmi złapał za broń. – Przecież to bydlę dopadnie nas po kilku krokach.

W tej samej chwili Lharsin rozrzuciła skrzydła i wykonała łagodny zwrot ku ciemniejącym w oddali Góróm Grozy. Wzburzone nagłym manewrem mgły zafalowały, a kilka smug uniosło się, jakby chciało przylgnąć do jej ogona.

Skręciła! – pomyślał z nieoczekiwaną ulgą Mads.

Któryś z Tuistan klasnął w dłoń, a drugi sapnął. Valgerd odetchnęła z ulgą.

Lharsin kontynuowała majestatyczny manewr, a zarośnięte policzki Madsa owiał chłodny powiew wiatru. Voorten zmrużył oczy, by przyjrzeć się ludziom podróżującym na grzbiecie smoczy. Pierwszy, wysoki i zakutany w futra, nawet na niego nie spojrzął, ale siedzący za nim zwalisty osiłek odwrócił się, przechylił i pomachał rękami.

Nagle Mads przypomniał sobie, po kogo leciała Lharsin.

– Panie pułkowniku! – wrzasnął z radością Otluk. – Ooo, panie pułkowniku! Toż to pan! My do Łoskotu lecimy! Do Łoskotu!

Otluk, ty durniu... – jęknął Mads w duchu.

– Hej, Kostur! – krzyczał dalej osiłek, szarpiąc siedzącego przed nim człowieka, aż temu przekrzywiła się ogromna, futrzana czapa. – Kostur, to pan pułkownik nasz! Tęskniliśmy za panem w Brzasku! Na Smoczyce, aleśmy się stęsknili!

Czas zaczął płynąć wolniej. Voorten, świadom tego, że jego przybrana tożsamość właśnie się rozpadła, zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Panie pułkowniku? – syknęła wściekle Valgerd.

Pierwsze uderzenie padło, zanim zdołał się odwrócić. Odbił klingę zmierzającą prosto na jego czaszkę i cofnął się, ale kobieta nie ustępowała. Jej znużenie w jednej chwili pochłonęły dzikie płomienie furii. Skoczyła w ślad za nim z energią, o którą nie podejrzewałby jej nawet w najśmielszych marzeniach, i zasypała go gradem ciosów.

Podczas trzech lat życia na Pustaci Mads stoczył niejedną walkę, ale miało to miejsce głównie podczas polowań i nigdy nie musiał przy tym chwytać za miecz. Tymczasem kobieta, z którą przyszło mu się zetrzeć, należała do najlepszych szermierzy, jakich widział w życiu. Uderzenia spadały nań ze wszystkich stron i odbijał je z największym trudem. Z każdym kolejnym sparowanym ciosem cofał się o krok, przeświadczony, że lada moment potknie się o wystający z trawy kamień, a jego opór w okamgnieniu się skończy.

Nie miał czasu pomyśleć o Hunnie czy przekląć w myślach Otluka. Z trudem odparł pchnięcie wymierzone prosto w swoją pierś i wykorzystał okazję, by rąbnąć z góry, wkładając w uderzenie całą swą siłę, ale Valgerd uciekła spod jego klingi zwinnym piruetem i cięła w jego bok, co Mads zatrzymał z niemałym wysiłkiem.

W tejże chwili opadli go towarzysze Tuistanki. Instynktownie cofnął się przed toporem, który przeciął powietrze z głuchym świstem, a potem odbił wycelowane z przeciwnego kierunku pchnięcie włócznią. Ponownie się cofnął i zawirował, by rąbnąć włócznie w bok, ale Valgerd skoczyła w ślad za nim z gracją tancerki i cięła na odlew. Był to najmniej elegancki cios, jaki wymierzyła podczas starcia, ale nie miało to znaczenia, bo stał się pierwszym, który dotarł do celu.

Voorten poczuł ostre ukłucie bólu w ramieniu. Uskoczył w tył, a wtedy zrealizował się jego lęk sprzed chwili: prawa stopa zawadziła o wystający z trawy kamień. W ostatnim momencie zdołał jeszcze odbić wrogi topór, a potem poleciał na ziemię.

Na spotkanie śmierci.

Upadł na zdrowe ramię i odruchowo przetoczył się w bok, czym uraził to ranne. W okamgnieniu zalał go paraliżujący ból.

Kątem oka dojrzał, że topornik odepchnął towarzysza z włócznią. Uderzenie serca później stał już nad Madsem z twarzą wykrzywioną furją, przymierzając się do rozbicia mu czaszki jednym ciosem. Przez ból Voortena przebiegała się tylko jedna myśl.

Stałem się celem.

Ułamek sekundy rozciągnął się w nieskończoność, a Mads uświadomił sobie, że zaraz zaleje go ból, który nie będzie miał końca.

Uderzenie jednakże nie nastąpiło.

Voorten nie zwykł marnować okazji zsyłanych mu przez los. Mimo wściekłego bólu dokończył obrót i zerwał się na równe nogi, odpychając się zdrową ręką od wilgotnych traw. Zatoczył się i spojrzał na topornika, z którego ręki właśnie wysuwała się broń.

Z którego szyi sterczał ociekający krwią grot.

Valgerd najwyraźniej jako pierwsza zdała sobie sprawę z nowego zagrożenia, bo cofała się teraz w stronę linii lasu na nisko ugiętych nogach. Jej szeroko otwarte oczy połyskiwały ze strachu.

Mads, próbując ignorować ból z rozciętego ramienia, podniósł miecz lewą ręką. W tej samej chwili runął na niego włócznie. Błysnęło pokryte rosą ostrze, ale Voorten już złapał równowagę, a z przeciwnikami uzbrojonymi we włócznie radził sobie najlepiej. Prześlizgnął się pod opadającym ostrzem i znalazł się za przeciwnikiem. Niezgrabnie chlasnął Tuistanina po goleni.

Wtem w powietrzu zafurkotała strzała, która wbiła się dokładnie między łopatki wojownika.

Voorten rozejrzał się i dostrzegł Valgerd. Kobieta sadziła susami w stronę lasu, potykając się co kilka kroków.

– Zatrzymaj się! – wykrzyknął, nie wiedząc, czy kieruje te słowa do uciekającej Tuistanki, czy też do ciemnej postaci, która wyłoniła się z cieni między drzewami i napięła cięciwę do trzeciego strzału. Chciał powtórzyć okrzyk, ale rozkasłał się i zgiął w pół.

Gdy się wyprostował, Valgerd już padała w trawy.

Przybysz zarzucił sobie łuk na ramię i ruszył ku niemu.

– Niech cię szlag, Gwaine – jęknął Voorten. – Nie mogłeś oszczędzić choć jednego z nich? Nie masz pojęcia, kim byli ci ludzie!

Elf milczał. Nadal szedł w stronę Madsa, nie patrzył jednak na niego, a ku niebu nad górami, na którym wciąż widniała oddalająca się smoczyca. Oczy Gwaine'a były szeroko otwarte i szkliste, jak zawsze, gdy skupiał się na czymś odległym i niepojętym.

– Gwaine? – spyta Madsl. – Gwaine, coś się dzieje?

– Tak – odparł elf. – Choć jeszcze nie powiem ci co takiego.

– Coś złego?

Minęła długa chwila, nim Gwaine odpowiedział:

– Z całkowitą pewnością.

Rozdział piąty

Dwa dni do Zorzy

Madsa zbudziło zimno. Nie otwierając oczu, leżał nieruchomo, usiłując pozbierać myśli oraz wspomnienia. Po chwili jego umysł zalały błyskawicznie przesuwane obrazy. Tuistanie. Cyniczny starzec o imieniu Tarvan. Walka. Rana.

Rana?

Na próbę poruszył ramieniem rozorany ostrzem Valgerd, ale poczuł jedynie zeszywnienie połączone z lekkim mrowieniem, zupełnie jakby przygniótł sobie rękę podczas snu. Odkrycie to obudziło w nim osobliwe połączenie ulgi i niedowierzania – jako doświadczony wojownik wiedział, że takie cięcie, choć nie zagrażało życiu, odbierało pełną sprawność na długie dni, jeśli nie tygodnie, a do tego boleśnie się goiło.

Poruszył ramieniem raz jeszcze, tym razem mocniej. Nie zabolalo.

– Budzi się! Budzi! – usłyszał znajomy głos.

Nie, pomyślał Voorten. Niemożliwe.

Podniósł się ostrożnie na zdrowym ramieniu i zamrugał parokrotnie, by odpędzić senną mgiełkę. Klęczący naprzeciwko jego derki Otłuk uśmiechał się szeroko i składał dłonie jak do modlitwy.

– Obudził się! – wyszeptał z zachwytem i odwrócił wielką łysą głowę ku Gwaine'owi, który, przesłonięty kłębami dymu, kuczał przy wygasłym ognisku i próbował go na nowo rozniecić. – Widzieliście?

– Pewno, że się obudził! – zagrzmiała gdzieś Lharsin. – Głupi jesteś czy co?

Mads potrzęsnał głową, jakby nadal nie wyzwolił się z oparów snu; gwałtowny ruch obudził przenikliwy ból wewnątrz jego czaszki. Miał wrażenie, jakby ktoś stojący za nim ujął wielki, zardzewiały gwóźdź i jednym uderzeniem młota wbił mu go aż po

oczodół. Przez chwilę siedział nieruchomo, odliczając sekundy do czasu, gdy ból przeminie, a kiedy ten wreszcie odrobinę zelżał, Voorten rozchylił powieki i rozejrzał się wokół z niechęcią.

– Cieszę się – wycharczał – że was tu widzę. Gwaine, wiedz, że wymordowałeś wszystkich ludzi, którzy mogliby nam powiedzieć, o co tutaj właściwie chodzi. Otluk, barani łbie, tobie zaś serdecznie dziękuję za entuzjazm, z jakim mnie pozdrowiłeś. Wszyscy na tym zyskali: ja mam teraz ranne ramię, Gwaine mógł sobie postrzelać i dalej gównu wiemy.

– Mówiłam, że głupi – podsumowała Lharsin.

Mads przeniósł na nią rozeźlone spojrzenie.

– A ty się nie odzywaj bez pytania! – burknął. – Bo z pyska ci śmierdzi!

Rozglądawszy się, skonstatował, że obozowali na niewielkiej polanie, przeciętej spływającym po skałach potokiem. Dookoła rósł gęsty las jodłowy, na północy ustępujący miejsca szerokiej łące, nad którą ciągnęły się białe mgły, rozpalane wewnętrznym światłem w momentach, gdy słońcu udawało się przebić przez gęste chmury. Dym z ogniska ścielił się nisko i zlewał z mgłami. Voorten uniósł głowę i dojrzał za sobą szeroki ostaniec, na którym ułożyła się Lharsin. Nie pamiętał chwili, gdy tu dotarli. Nie pamiętał też spotkania z Otlukiem, Lharsin i...

– No, synku – mruknął Kostur, ucierający ziółka w drewnianym moździerz. Ich ostry zapach niósł się w wilgotnym powietrzu świtu. – Gadaj, gadaj. Ciekawe, za co mnie się oberwie.

Stary, niewidomy uzdrowiciel nosił na głowie futrzaną czapę, nasuniętą aż po krzaczaste, białawe brwi, a jego pomarszczona twarz była zarumieniona od zimna. Minę jak zwykle miał srogą, ale Mads nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w kącikach ust starego błąka się uśmiech.

– Ty żeś mi tak rękę poskładał? – spytał, zrzucając koc, którym okryto go z przesadną troską.

– Ja – odparł Kostur. – A niby kto? Choć i Otlukowi chęci przyjscia z pomocą odmówić nie można. Siłą go zatrzymywaliśmy, by nie wlaź ci pod koc i nie ogrzał własnym ciałem.

– Co takiego? – Voorten zmarszczył brwi i spojrzał ze zdziwieniem na wielkoluda. – Otluk, ani mi się, obsmarkańcu jeden, waź!

Ten w odpowiedzi rozdziawił gębę i wybałuszył oczy.

– Co? – wystękał. – Ja? Ja nie... Ja tylko...

Kostur parsknął śmiechem i dźwignął się, wsparty na lasce. W kolanie strzeliło mu głośno.

– Że się Otluk daje nabrać, jakoś się nie dziwię – oświadczył. – Ale ty widać całkiem w tej Pustaci zdziczałeś. Chodź tu do mnie, draniu.

Mads uśmiechnął się wbrew swej woli, czując, jak resztki rozdrażnienia ulatują. Podszedł do Kostura i uściskał go ze wszystkich sił, a ten poklepał go po plecach z zadziwiającą jak na tak sędziwego człowieka siłą. Roześmiał się przy tym z radością. Voorten dawno go takim nie widział.

– Ech, stary – mruknął, zaskoczony własnym wzruszeniem. – Nie sądziłem, że się jeszcze zobaczymy.

– Ani ja! – przytaknął uzdrowiciel i wytarł wilgoć ze zmarszczek wokół oczu.

Mads odwrócił się i wyściskał na powrót uśmiechniętego Otluka, zapewniając go przy tym, że wcale się nie gniewa.

– A ja? – burknęła Lharsin. – Ze mną to się już nikt nie przywita, co?

Voorten odwrócił się ku smoczycy, która uniosła pysk znad ostańca i przekrzywiła łeb z wyraźną pretensją. Oparł dłonie na biodrach i zmrużył oczy, po czym rzekł:

– Zaraz, zaraz... A czy my się już nie widzieliśmy? Na przykład zeszłej nocy?

– No – bąknęła Lharsin i wydmuchnęła zielony balon z lewego nozdrza. Mads zamknął oczy. – Widzieliśmy się, ale byłam trochę... No, nieobecna. Przez tego cudaka.

Wtedy Mads uświadomił sobie, że pod skałą siedzi ktoś jeszcze. Nie zauważył go w pierwszej chwili – obcy miał na sobie szary płaszcz, dzięki któremu idealnie zlewał się z granitem. Co więcej, trwał w całkowitym bezruchu, niczym rzeźba.

Lub wyschnięty trup, pomyślał odruchowo Voorten.

– Skalmir? – spytał cicho. – A co ty tu robisz?

Odkąd Mads pamiętał, wichrogórski mag zawsze wyglądał, jakby cudem wyszarpnął się z objęć śmierci, teraz jednak sprawiał wrażenie, jakby wreszcie jej uległ. Jego twarz i czaszkę szpecily skaleczenia i sińce, a skóra miała barwę popiołu. W reakcji na pytanie Voortena z ociąganiem uniósł głowę i wbił w niego znużone spojrzenie.

– Godzę się z klęską – odparł.

– A tak poza tym to nic mu nie jest – rzekł Kostur. – Przynajmniej na ciele.

– Z jaką klęską? – Voorten zmarszczył brwi. – Z Elinaare wszystko w porządku? A z Bielikiem? Pokrzewką?

– Chyba tak – wymamrotał czarodziej. – Nie wiem. Opuściłem... Cóż, nie jest to najlepsze słowo, ale... Kiedy opuszczałem Łoskot, nic im jeszcze nie groziło, ale nie wiem, czy nadal wszystko jest w porządku. Na Moc, Voorten, co ja narobiłem...

Zacisnął kościste pięści i opuścił głowę, z trudem tłumiąc szloch. Mads popatrzył po towarzyszach, ale z twarzy Gwaine'a jak zwykle nie mógł niczego wyczytać, Kostur się pochylił i powrócił do rozcierania ziół, a Otluk nie przestawał się serdecznie uśmiechać.

– Za dużo tego – stwierdził Voorten. – Skalmirze, możesz mi wszystko opowiedzieć?

– I ja też poproszę – wtrąciła Lharsin, przerywając na moment wylizywanie nozdrzy. – Bo mam w głowie istny mętlik. Co chwila ktoś coś ode mnie chce. Leć tu, przyleć tam, przynieś tego, olej tamtego, do miasta nie włącz. Ile można?

– Przede wszystkim powinniśmy zjeść coś ciepłego – oświadczył Kostur. – Otluk, zrób owsiankę, a ja przygotuję wywar z ziół, który uwolni was od chęci marudzenia. I zatwardzenia, choć niekoniecznie. A ty, Skalmirze, mów, bo jeszcze nam się smoczyca od myślenia zagotuje.

Czarodziej rozpoczął więc swą opowieść.

Opowiedział o tym, że wraz z Elinaare zdecydowali się na spontaniczne przybycie do Łoskotu, zaalarmowani wieściami dotyczącymi Bielika, który zaplątał się w jakieś gry polityczne i z rozkazu króla Malhorna trafił do lochu. I że w trakcie ich wizyty przez stolicę przeszło straszliwe trzęsienie ziemi, a z powstałej jamy zaczęły wylazić chmary białoskórych istot.

– A nie mówiłam, że się miasto rozpukeło? – przypomniała wciąż urażona smoczyca.

– Cicho już bądź – warknął Voorten, w pełni skupiony na próbach pogodzenia elementów opowieści z tym, czego sam się dowiedział. – I wróć lepiej do wylizywania pyska. A ty mów, Skalmirze.

Głos maga zadrżał, gdy zdawkowo nadmienił o kłótni z Elinaare, a kiedy przeszedł do tego, jak wspomagał władcę podczas bitwy, znów pojawiła się w nim gorycz.

– Udałem się nad przepaść przekonany, że gdzieś tam zastanę Elinaare – mówił cicho. – Nie dotarła w to miejsce i pozostaje się z tego cieszyć, bo po wschodzie słońca okolice rozpadliny stały się

sceną przerażających zdarzeń. Udało mi się ocalić Malhorna, co cieszy mnie jeszcze bardziej. Niemniej to, co stało się później... – Ucichł na chwilę, a potem podjął ze ściśniętym gardłem: – Na piętro kamienicy, z którego przyglądałem się starciu, wdarli się jacyś zbrojni. Nie wiem, kim byli, bo zanadto skupiałem się na czarach, by zauważyć ich wtargnięcie, a gdy zdałem sobie sprawę z obecności napastników, ci zdążyli wybić łuczników, których tam rozmieszczono. Odruchowo rzuciłem czar teleportacyjny, by wynieść się jak najdalej stamtąd. Niestety, spóźniłem się. Czar zadziałał, ale ktoś zdołał pochwycić mój kamień. – Dłoń czarodzieja obmacała pierś, gdzie kiedyś znajdował się otoczek, i opadła, jakby uszło z niej życie. – Urwał go jednym szarpnięciem, ale znalazł się w strefie działania czaru. Wyrzuciło nas gdzieś w górach, i to najwyraźniej w różnych miejscach. Nic dziwnego, nie zdołałem się wszak skupić na celu... Podczas upadku uderzyłem się w głowę i ocknałem dopiero późnym wieczorem na jakiejś grani, osłabiony i obolały. Na szczęście Moc się zlitowała i ujrzałem przelatującą Lharsin, którą udało mi się przywołać.

– Udało się. – Smoczyca pokiwała łbem. – Ale łatwo nie było, bo w tym samym momencie zaczął mnie wołać Gwaine. He, he, dawno nie miałam tak namieszane we łbie jak wtedy!

– Cicho bądź! – burknął Mads, skupiony jak rzadko. – Skalmir, to wszystko się kupy nie trzyma. Kto mógł cię napaść? I po co?

– Po co? – Czarodziej zmrużył bezwłose brwi. – Cóż, po to, by zabrać mi kamień. I, by uprzedzić twe kolejne pytanie, nie mam pojęcia, kto mógł o nim wiedzieć. Nie obnosiłem się z nim, ale skorzystałem z jego właściwości podczas walki z białoskórymi. Na pewno widziało to wielu ludzi, a zdaniem Bielika w Łoskocie działa jakaś wroga siatka. Nie byłbym zdziwiony, gdyby to właśnie jej członkowie mnie dopadli.

Owsianka, którą Othuk napełnił miski całej piątki, zawierała sporo miodu i kruszonych orzechów, ale Mads miał wrażenie, że nagle stała się gorzka jak popiół. Odłożył naczynie, splótł dłonie na kolanach i nabrał głęboko tchu.

– Pozwól, że zadam ci dziwne pytanie – zaczął, błędząc wzrokiem po wynurzających się z mgieł wierchołkach jodeł. – Choć ty akurat zapewne będziesz znał odpowiedź. Czy wśród Tuistan za czasów Smoczego Imperium byli magowie?

Wichrogórzanin zmarszczył brwi.

– Kogoś innego zwymyślałbym za zmianę tematu – powiedział ostrożnie – ale ty nie zwykłeś strzepić języka po próznicy.

Odpowiedź brzmi: tak i nie. W przeciwieństwie do plemion z Rozkrzyczanych Krain, które wypracowywały sobie różne, czasem ułomne metody pobierania czystej Mocy, Tuistanie korzystali jedynie z tego, co przekazywała im Smoczyca. Czyniło ich to bardziej kapłanami niż magami, ale dzięki temu Moc nie wpływała na nich tak niszcząco jak na ludzi, którzy czerpali ją bezpośrednio, a Smocze Strażniczki tak czy owak wyrastały na nie lada przeciwniczki.

– Tak – mruknął Mads. – Wiem coś o tym. Posłuchaj, a... Czy w sytuacji, gdy Smoczyca już dawno nie ma, Tuistanie mogliby stworzyć własną metodę pobierania Mocy? Innymi słowy, wykształcić sobie kastę czarodziejów?

Skalmir przyglądał się Voortenowi z narastającym napięciem.

– W ciągu raptem trzech lat? – spytał.

– Nie wiem, dokąd się udali – stwierdził Mads. – Ale wiem, że niejedno się u nich wydarzyło. Zdaje się, że ci, co pociągają w tym tuistańskim pierdolniku za sznurki, zdymisjonowali władcę zaraz po zakończeniu ewakuacji. I w sumie nie ma się co dziwić: nie dość, że jego wizje okazały się do dupy, to jeszcze zaprzepaścił dorobek całego stulecia. Kij mu jednakowoż w oko, przyjaciele, bo nastąpiła Królowa-Wieszczka, a ta postanowiła ugryźć nas po cichu.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, nawet plusk spadającego ze skał potoku jakby przycichł. Jedynie Otluk nadal pałaszował owsiankę, stukając łyżką o drewnianą miskę.

Pierwszy odezwał się Kostur:

– A co nas to, synku, obchodzi, skoro Smoszczurów już nie ma? – Wytarł usta wierzchem dłoni.

– Do wczoraj też machnąłbym na to ręką – rzekł Mads, po czym w prostych zdaniach, nie spuszczać oczu ze Skalmira, opowiedział o Valgerd, Tarvanie i reszcie Tuistan, których spotkał poprzedniego dnia. – Innymi słowy, nie dość, że Smoszczury wniknęły potajemnie do Głuchoborów, to jeszcze mają na swoich usługach przynajmniej jednego czarodzieja, a ten od wczoraj znajduje się w posiadaniu kamienia Skalmira – zakończył i ujął miskę z wystygłą owsianką.

Wichrogórzanin zacisnął mocno powieki i zwiesił głowę.

– No dobrze – odezwał się Kostur i potarł pobrużdżone czoło. – Ale po co to wszystko? Po co wracają?

– Tego, niestety, pewnie dowiemy się lada dzień – odparł Voorten z pełnymi ustami.

Przelknął i odstawiwszy pustą miszkę, odnalazł wzrokiem Gwaine'a. Elf, który podczas całej narady nie odezwał się ani słowem, pokiwał tylko zdawkowo głową.

Tak, mówiło jego spojrzenie. Moje wizje i przeczucia stają się rzeczywistością.

– I co my teraz zrobimy? – spytał głuchym głosem Skalmir.

Mads się podniósł, wytarł dłonie o spodnie i nadal patrząc na elfa, uśmiechnął się krzywo.

Dobra, pomyślał. Już wiem, po co mnie tu ściągnąłeś.

– Przede wszystkim, Skalmirze – odezwał się i trzepnął Otluka w łysą czaszkę, aż ten podskoczył, wystraszony – skontaktuj się z Elineare. Przekaż jej wszystko, co wiesz, i dowiedz się, co się dzieje w Łoskocie. Być może wie coś, dzięki czemu uda nam się odnaleźć Smoszczurów, bo zaglądać pod każdy kamień w tych przeklętych górach nie mam ochoty.

– A może powinniśmy zajechać do Łoskotu? – zaproponował Kostur.

Voorten się skrzywił.

– Głuchoborzanie jakoś przesadnie za mną nie przepadają – rzekł. – Chyba sobie odpuszczę.

– Chcesz beczynnie siedzieć w górach? – spytał uzdrowiciel. – Nie pasuje mi to do ciebie.

– Bezczynność – wtrącił się niespodziewanie Gwaine – wcale nam nie grozi. To, że zbliża się zagrożenie, przeczuwam od dawna, a strzępy wizji, jakie noszę w sobie, układają się w coraz bardziej realny scenariusz.

Skalmir wpatrywał się w elfa z napięciem, a Kostur znów tarł czoło. Jedyne Otluk porzucił pogoń za sensem rozmowy i zajął się wyskrobywaniem resztek owsianki z garnka.

– No właśnie. – Mads pokiwał głową. – Przecież mamy jeszcze ciebie, Gwaine, i twoje wizje. Opowiedz im o wszystkim, o czym powiedziałeś mnie i Hunnie kilka dni temu. Ale postaraj się bez metafor i innych takich, bo Lharsin zaraz coś pęknie pod czaszką z wysiłku.

Smoczyca poderwała łeb. Powstrzymywany przez niego strumień buchnął żywszą strugą.

– Wcale nie! – zaprotestowała obrażonym głosem. – Za wszystkim nadażam!

Mads nakazał jej ciszę, przykładając palec do ust, i wskazał Gwaine'a.

– Od miesiący zbieram znaki – zaczął cicho elf. – Widzę je w snach, pojawiają się wśród chmur, w plusku wody i śpiewie wiatru. Pojawiają się w dymie ogniska i w wrzasku kruków. Zignorowałbym je, gdyby nie to, że powtarzają się bez przerwy, a do tego stają się coraz silniejsze. Słyszę w nich rozkazy wydawane kobiecym głosem i łoskot kroków setek zbrojnych. Widzę smoczą łuskę na tle nieba i czerń krzyżujących się tuneli. Widzę czerwień płomieni i zielen zorky polarnej. Czuję, jak drży ziemia, na co ludzie, pogrążeni w bratobójczej wojnie, nie zwracają uwagi. Czuję chłód zagłady, wiszącej nad dumnym, choć niewinnym miastem.

– Wasze miny wskazują na to, że gówno żeście zrozumieli – zauważył Voorten niemalże rozbawiony. – Ja zresztą też, ale wobec tego, co sam przeżyłem i czego dowiedzieliśmy się od Skalmira, słowa Gwaine’a zaczynają nabierać sensu. Wobec tego przyczaimy się tu, w Górach Grozy, nawiążemy kontakt z Łoskotem i będziemy czuwać. Jeśli Gwaine rzeczywiście się nie myli, zagrożenie nadejdzie stąd. – Wskazał dłonią góry. – Z tych samych pieprzonych dolin, gdzie trzy lata temu zniknęły Smoszczury.

*

Elinare wiedziała, że pakuje się w zamieszanie, które nie powinno jej dotyczyć.

Wiedziała, że powinna się skupić na poszukiwaniu Skalmira, choć jak dotąd rozmijało się to z sensem. Nie miała wszak pojęcia, gdzie ten został wyrzucony przez czar teleportacyjny, a ponadto samotne opuszczenie miasta – zwłaszcza dla kobiety o rudych włosach – stanowiło nieliczne niebezpieczeństwo. Siły buntowników pod murami Łoskotu nie były zbyt liczne, ale co rusz docierały do nich kolejne zbrojne orszaki. Co więcej, teoria, w którą święcie wierzył Bielik, również i jej zaczynała wydawać się coraz bardziej prawdopodobna. Być może w istocie wszystkie te wydarzenia – pojawienie się przepaści, działanie tajemniczych spiskowców i zniknięcie jej ukochanego – jakoś się ze sobą wiązały.

Mam nadzieję, że się nie mylisz, zwróciła się w duchu do Bielika, wpatrując się w jego plecy, gdy opuszczali miasto bladym świtem, odprowadzeni przez królewskich rycerzy do tajnej furtki. Wierzę ci jak matka synowi i nigdy nie będę mieć do ciebie

pretensji, jeśli się okaże, że się pomyliłeś, ale też nie wybaczę sobie, jeśli w tym czasie coś się stanie Skalmirowi.

O ile jeszcze żyje, odezwała się ponura, mroczna myśl. Bo któż może wiedzieć, w jakich okolicznościach opuścił miasto? W izbie, z której się teleportował, leżały zwłoki pomordowanych głuchoborskich łuczników. Ktoś go zaatakował? Czy Skalmir odniósł ranę? A może teleportował się w przedśmiertnym odruchu i wylądował wśród ostrych skał? Na bagnach? W przepaści? Pytania się mnożyły i Elinaare odpychała je z całą surowością byłej Smocznej Strażniczki, ale czyniła to na próżno. Wszak całe szkolenie, które odebrała lata temu, chwiała się i waliło w gruzy w konfrontacji z miłością i tęsknotą.

Nalegała, by Bielik odespał zmęczenie nagromadzone w ciągu kilku dni, ale syn zignorował jej słowa z właściwym dla siebie uporem. Sama zresztą również ograniczyła się do dwóch, może trzech nerwowych drzemek, a na miejscu zbiórki pojawiła się jako pierwsza. Słudzy Malhorna przygotowali ich do drogi, a sam król, najwidoczniej dręczony bezsennością, zszedł, by się z nimi pożegnać.

Co ciekawe, nie był sam.

Pokrzewka sprawiał wrażenie, jakby z rzeczywistością wiązało go jedynie kilka wspomnień i potrzeby fizjologiczne. Elinaare wiedziała, że lata eksperymentów z ziołami są otwartym zaproszeniem dla pogłębiającego się obłędu, ale wszelkie próby uświadomienia mu tego kończyły się fiaskiem. Aż raz, po zażyciu szczególnie trującego wywaru, chwastownik niemal wyzionął ducha. Gdy tylko doszedł do siebie, Elinnare urządziła mu potworną awanturę, próbując wreszcie przemówić do rozumu, ale ten, miast wziąć jej słowa do serca, potajemnie opuścił Jesiennicę.

Okoliczności swej ucieczki najwyraźniej nie pamiętał, bo przywitał się z byłą Strażniczką beztrósco i obdarzył ją głupkowatym uśmiechem.

Kolejny mężczyzna, o którego muszę się martwić, pomyślała z udręką. Skalmir zaginął, Malhornowi rozsypuje się królestwo, Bielik ulega szaleństwu, a Pokrzewka już mu się poddał. Dobrze, że nie ma tu Madsa.

Wyruszyli z Łoskotu godzinę przed świtem, gdy świat wciąż spowijał usłany mgłami mrok. Król nalegał, by zabrali jakiegoś przewodnika, ale Bielik zbył go pogardliwym parsknięciem i zapewnił, że zna okolice stolicy lepiej od niego, a miejsce opisane mu przez Callestra widział już nie raz. Na twarzy Malhorna na

moment pojawiło się powątpiewanie, ale i on wiedział, że młodzieńcowi nikt nie przemówi do rozumu. Pożegnał się z nim mocnym uściśnięciem dłoni, a Elinaare objął mocno i pocałował w oba policzki. Ona zaś wejrzała głęboko w jego szkliste, udręczone oczy i zrozumiała, że go nie opuści.

Priorytetem byli dla niej Skalmir i Bielik, ale obiecała sobie, że jeśli zdoła zapewnić tym dwóm bezpieczeństwo, wytrwa przy Malhornie. Sprawy jego królestwa nie obchodziły jej wcale, ale zbyt wiele łączyło ją z tym dumnym, nierozważnym rycerzem, chwiejającym się na boki pod ciężarem swej korony, by mogła się teraz od niego odwrócić. Nie była już wszak Smoczą Strażniczką. Wiedziała, czym jest miłość, i doceniała wartość przyjaźni.

Kwadrans po tym, jak opuścili miasto, Elinaare zważyła w synowską orientację w terenie. Obrona przez niego ścieżka prowadziła na południe, ku porośniętym buczyną skalistym wzgórzom, gdzie buntownicy, nie mogąc rozłożyć się obozem, rozstawili jedynie niewielkie posterunki. Ryzyko natknięcia się na któryś z nich było jej zdaniem ogromne, tym bardziej że sama natychmiast straciła orientację wśród drzew.

Pogubimy się, myślała z desperacją, zerkając na niebo między konarami, które wydawało się jaśnieć i różowieć. Całkiem się pogubimy, a wtedy dopadnie nas świt, a chwilę po nim wrogowie Malhorna.

Bielik jednakże prowadził ich niewielką drużynę bez wahania. Pięcioro wojowników Widmowego Zagonu, była Strażniczka i na pół szalony chwastownik wędrowali przez okalające południowe mury bory, bezszelestni niczym upiory, niewidoczni wśród gęstych krzewów i kosmyków mgieł. Raz czy drugi zdawało im się, że słyszą rozmowy buntowników, ale okazały się one na tyle odległe, że Bielik nawet w tamtym kierunku nie spojrział.

Do celu dotarli niecałą godzinę później, gdy przejaśniło się na tyle, że Elinaare widziała już rysy twarzy idących za nią wojowników. Jej syn wszedł między obłe, omszałe głazy, leżące jeden na drugim niczym zabawki gigantów, a pozostali, jakby wyczuwając myśli dowódcy, bez słowa utworzyli czujne półkole, zwrócone ostrzami na zewnątrz.

– To tu – orzekł Bielik po chwili, wyłaniając się spomiędzy skał.

Były to pierwsze słowa, które wypowiedział od czasu opuszczenia Łoskotu, a Elinaare dostrzegła, że jego przymrużone oczy błyszczą entuzjazmem – po raz pierwszy od dawna miał bowiem wyraźny trop.

Pospieszyła za synem, który doprowadził ją do ciemnego zakamarka, utworzonego przez trzy sąsiadujące ze sobą skały. Przyłożył dłoń do wklęsłości w skale skierowanej na północ i wypowiedział krótkie zaklęcie, przekazane mu przez Callestra. Mrok w zagłębieniu zafalował, jakby kąt naraz utracił swą materialność.

Przez oblicze Dunstana przemknął drapieżny uśmiech.

– Zawsze mówiłem – mruknął – że z krasnoludami trzeba po dobroci. Durni ci Głuchoborzanie.

I wniknął w otwór, jakby była to zwykła studnia, z której należało usunąć nadmiar mułu.

Elnaare z bijącym sercem podążyła za nim i z ulgą natrafiła na wykute w skale wgłębienia dla dłoni i stóp. Ostrożnie wsunęła się do wnętrza czegoś, co Callestr nazwał nawietrznikiem, a co było jedyną znaną krasnoludom drogą do Wężła. Kierując się postanowieniami traktatu z Szeląga i świadomością ludzkiej niechęci, poddani Callestra od lat próbowali dostać się do Wężła przez któryś z podziemnych tuneli, ale prace nad ich udroźnianiem szły rzekomo nazbyt powoli. Dzięki Bielikowi, który w spokojnych, wyważonych słowach udowodnił władcy krasnoludów, że oskarżanie Głuchoborzan o sabotaż to błąd, ten zgodził się podzielić z nimi sekretem. Widać było, że obca interwencja w Wężle bardzo go niepokoi, nie miał jednak nic przeciwko temu, by zwiad przeprowadził za niego ktoś inny. Nie omieszkał przy tym pogrozić straszliwymi konsekwencjami, gdyby został oszukany, ale jej syn już tego nie słuchał.

On chciał działać. Chciał doprowadzić swą szaloną misję do końca, a Elnaare pragnęła mu w tym pomóc.

Powoli opuszczała się w głąb skalnej studni. Otoczyły ją całkowite ciemności, z czym na szczęście – jako była Strażniczka – problemu nie miała, ale znów ogarnęły ją wątpliwości. Droga wydawała się należeć do tych, z których nie da rady łatwo zawrócić. Może lepiej by zrobiła, pozostając przy Malhornie? Może jednak w Łoskocie należało szukać sposobu na odnalezienie Skalmira?

Niespodziewanie dotknęła stopą podłogi. Nabrała głęboko w płuca osobliwie suchego powietrza i pospiesznie rozejrzała się dookoła. W ciemnościach majaczyła twarz jej syna, otoczona białawą poświatą, i minęła chwila, nim Elnaare przypomniała sobie, że to emanacja kryształowej kuli, którą ten trzymał w plecaku.

– Wszystko w porządku? – odezwał się niemalże bezgłośnie.
– Tak – odpowiedziała równie cicho. – Poczekajmy na resztę.
– Zaczekamy – rzucił niecierpliwym, rozkojarzonym głosem, ale złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

Elinaare trzymała go mocno – dotyk jego silnych, lekko drżących dłoni zawsze sprawiał jej przyjemność – i pozwoliła mu się doprowadzić do miejsca, które w nikłym świetle wydawało się końcem tunelu.

– Posłuchaj! – wyszeptał rozemocjonowany młodzieniec.

Stłumione echo przynosiło odległy, miarowy, zniekształcony echem zgrzyt, jakby dziesiątki głązów toczyły się gdzieś po stromym zboczu.

– Co to? – spytała Elinaare.

– Rozwiązanie dręczącej mnie tajemnicy, to pewne – odparł Bielik.

Gdzieś w ciemnościach, jeden po drugim, nadchodzili wojownicy Widmowego Zagonu. Na końcu, cichutko pobrzękując fiolkami, szedł chwastownik.

– Ciemno, ciemno – mamrotał. – Ale ciemno...

– Zamknij się, Pokrzewka – syknął Bielik. – Krzyk, dawaj linę. Niech każdy się obwiąże, bo pochodni tu palić nie będziemy. Oczy i uszy szeroko otwarte!

Naraz Elinaare odniosła wrażenie, że przez jej myśli przemknęły jakieś słowa wypowiedziane przez Skalmira. Rozpoznała jego głos, domyśliła się również tego, że woła, ale nie zrozumiała sensu przekazu. Zawahała się, po czym zatrzymała i odwróciła ku studni oraz wyciosanym w ścianie stopniom, ale w tej samej chwili ktoś – chyba Naparstek – obwiązał ją liną.

Ruszyli.

*

Skalmir oderwał czoło od czaszki Otluka i zmarszczył brwi, po czym przeniósł spojrzenie na Madsa. Ten przypinał właśnie derkę do siodła Żmijki. Czując na sobie wzrok czarodzieja, odwrócił się ku niemu.

– Nie udało się? – spytał, widząc minę Wichrogórzezanina.

– Nie – stwierdził mag, zaskoczony i oszołomiony. – Nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale... ale to przecież proste, prawda? Należy wyobrazić sobie osobę, z którą chcesz nawiązać kontakt, skupić się i dotknąć czołem głowy Otluka?

– Nic ponadto – odparł Voorten. – I dodam, że im lepiej kogoś znasz, tym łatwiej nawiązać kontakt.

Skalmir zacisnął usta i pomógł osiłkowi się podnieść.

– Przez chwilę wydawało mi się, że ją odnalazłem – rzekł. – Ale potem kontakt się urwał. – Zmarszczył brwi, gdy przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Elinaare. – Czy to możliwe, by ktoś na kontakt nie przystał? By go... – szukał właściwego słowa – by go odtrącił?

– Nie. – Mads się skrzywił. – Przynajmniej mnie się to nie zdarzyło, a nie raz porozumiewałem się z ludźmi, którzy nie chcieli usłyszeć mego głosu w swej głowie. – Popatrzył na osiłka. – Otluk, otrząsnąłeś się już jakoś? Podprowadź no do mnie Kostura, co?

Skalmir odetchnął ciężko i odwrócił na moment głowę ku szczytom Gór Grozy. Ostre i poszarpane, przebijały całuny mgieł i groziły niebu, równie szaremu i ciężkiemu jak jego nastrój. Nie miał pojęcia, że wypad do Łoskotu, który miał nadzieję zamknąć w paru godzinach, zakończy się taką katastrofą. Wplątał się w wydarzenia, które nie do końca rozumiał, a do tego utracił więź z Elinaare i pozwolił, by tuistańscy spiskowcy skradli mu kamień.

Zacisnął powieki, a wtedy wspomnienia powróciły. Ujrzał oślepiający rozbłysk płomieni i przybliżającą się w ogromnym tempie skalną ścianę. Spiskowiec, który zerwał kamień, zakłócił czar i Skalmir zmaterializował się kilkanaście stóp nad ziemią, co nigdy dotąd mu się nie przydarzyło. Tylko ogromnemu szczęściu zawdzięczał to, że nie zginął podczas upadku i skończyło się jedynie na stłuczeniach i skaleczeniach.

A może mimo wszystko powinienem był roztrzaskać sobie głowę? – pomyślał Skalmir. Nie wyobrażam sobie reakcji Akademii, gdy przyznam się do utraty cudem odzyskanego artefaktu.

Ktoś dotknął jego ramienia. Jeszcze nim otworzył oczy, wiedział, że to Gwaine.

– Dobrze, że z nami jesteś. – Głos przypominał szelest wiatru wśród gałązek brzozy.

Czarodziej uśmiechnął się kwaśno.

– Nie, wcale nie jest dobrze – odpowiedział oschle. – Powinienem być daleko stąd. Daleko od tych spraw!

Chciał wstać, ale przykuło go spojrzenie elfa, który spoglądał na niego uważnie, jakby próbował wniknąć w jego duszę, całkowicie ignorując wszelkie zewnętrzne czynniki, którymi zadreślał się czarodziej.

– Przyszłość pokaże, czy masz rację – stwierdził Gwaine. – Ja się cieszę z twojej obecności.

Skalmir zdusił ostre słowa, które przysły mu do głowy.

– A czemuż to? – spytał gorzko.

– Przywabiłeś do siebie Lharsin – rzekł elf. – Zacząłem ją ściągać do siebie w tym samym momencie, co ty, ale wnet zauważyłem, że nie daję rady. A sądziłem, że w wabieniu smoków nie dorównuje mi nikt w Rozkrzyczanych Krainach.

Twarz Gwaine'a nie wyrażała żadnych emocji – w przeciwieństwie do słów. Mag w naturalnym odruchu uznał je za przejaw niedowierzania i zazdrości, ale wnet doszedł do wniosku, że elf powiedział to z podziwem.

– Zdarza się, że ból i desperacja wzmagają przepływ Mocy – oświadczył Skalmir. – Utknąłem wysoko w górach na skalnej półce i ujrzałem Lharsin w chwili, gdy zaczynałem tracić nadzieję.

– Dobrze – skwitował elf głosem, w którym pojawiło się rozkojarzenie. Jego wzrok zasnuła mgła. – Dobrze – powtórzył i wstał. – Weźmiesz mojego konia.

– Dlaczego dobrze? – chciał wiedzieć Skalmir. – O co ci chodzi?

Gwaine bez słowa podprowadził swego wierzchowca. Kilka kroków dalej Voorten uświadamiał Żmijkę, by powstrzymał się od brykania, dopóki nie znajdzie się wśród wysokich pokrzyw, a Otluk chichotał i zacierał dłonie. Wysoko między szczytami gór przemknęła Lharsin.

Tak naprawdę żaden z nas nie wie, co począć, uświadomił sobie zrezygnowany mag. Niech mnie Moc opuści, co ja tu robię? Dlaczego pozwoliłem, by wchłonęło mnie to szaleństwo?

*

Elinaare uwolniła cząstkę Mocy.

Migotliwy blask padł na ściany tunelu i natychmiast zgasł, ale pozwoliło to grupce śmiałków zorientować się w sytuacji. Wyglądało na to, że Callestr przekazał im prawdziwe informacje – niewielki, wąski korytarz, w którym się znaleźli, prowadził do innego, znacznie szerszego, o wysokim sklepieniu. Pomimo rosnącego napięcia Elinaare poczuła przyływ podziwu. Widywała już Żyły w okolicy Brzasku, ale były to krótkie, wilgotne i najczęściej zavalone gruzem odcinki podziemnych przejść, które nie dawały wyobrażenia o wielkości zbudowanej przez krasnoludy

infrastruktury. Tym tunelem zaś mogły swobodnie minąć się dwa wielkie wozy.

Wygląda na to, że krasnoludy w dawnych czasach stworzyły sobie system całkiem wygodnych dróg, do których nikt oprócz nich nie miał dostępu, przeszło jej przez głowę. Nic więc dziwnego, że budzą one coraz większe zainteresowanie.

Z chwilą, gdy weszli do większego tunelu, odgłosy miażdżenia i pękania stały się wyraźniejsze. Trudno było ocenić odległość, ale gdzieś w ciemnościach, daleko przed nimi, zachodziły wydarzenia, które być może łączyły się z rozgryzaniem przez Bielika spiskiem.

Co tam się dzieje? – myślała gorączkowo Elinaare. Powiedziałabym, że to jakaś ciężka, wytężona praca, ale... ale czemu ona ma służyć?

– Czysto – szepnął Krzyk, wysłany na zwiad.

W rozrzedzonej emanacji, sączącej się z plecaka jej syna, kobieta dostrzegła Naparstek, która wyłoniła się z ciemności i potwierdziła słowa kolegi skinieniem głowy.

– Ruszamy – rzucił dowódca. – Naparstek i Krzyk przodem, Buk i Strzęp straż tylna. Pokrzewka, trzymaj się blisko i ani słowa.

– Ani słowa. – Chwastownik zagrzechotał buteleczkami.

– Matko? – Bielik dotknął jej dłoni. Palce syna były ciepłe.

– Jestem – szepnęła kobieta, wzruszona zaufaniem, które wyczuła w jego głosie. – Mam jeszcze trochę Mocy od Ylli i w razie czego...

– Dobrze – przerwał jej. – Wiem. Ruszamy.

Gdyby nie wiedziała, że wojownicy Widmowego Zagonu są gdzieś przy niej, nigdy by się tego nie domyśliła. Ciemności bowiem pochłonęły zarówno ich sylwetki, jak i wszelkie odgłosy. Nie słyszała ani ich kroków, ani szcękę sprzączek, ani brzęknięć metalu. Gdyby nie Pokrzewka, którego buteleczki czasami stukały o siebie, kobieta nabrałaby przekonania, że została porzucona.

A nie chciałyby w tym miejscu pozostać sama, tym bardziej że odgłosy dochodzące z mroku na wprost stawały się coraz wyraźniejsze.

Ciemność, która odebrała jej zdolność widzenia, jednocześnie wyostrzyła słuch i zaczęła intensywnie karmić wyobraźnię kobiety. Elinaare zdała sobie sprawę, że coraz wyraźniejsze odgłosy towarzyszą wrywaniu odłamków skalnych i odrzucaniu ich na boki.

Czyżbyśmy wkraczali do kopalni? – pomyślała. Ale czyjej? Kto w niej pracuje? I dlaczego nie słychać kilofów ani łopat?

– Tak, tak – zamruczał Pokrzewka. – Ciemno.

Elnaare odwróciła gwałtownie głowę, by przypomnieć chwastownikowi o konieczności zachowania ciszy, i zorientowała się, że dostrzega jego twarz. Rozejrzała się pospiesznie. Z niejasnych powodów widziała teraz sylwetki dwojga wojowników Widmowego Zagonu, którzy szli przodem, choć jeszcze przed paroma sekundami skrywał ich mrok. Zerknęła w stronę Bielika – jego plecak nadal emanował białawą jasnością, ale odniosła wrażenie, że robiło się widno z innych powodów.

W powietrzu, jeszcze przed chwilą czystym i suchym, pojawiło się teraz coś, co drażniło jej oczy i zgrzytało między zębami. Pył? Kurz?

– Ciemno, ciemno – ponownie zamruczał Pokrzewka. – I nie ciemno.

– Dunstan – szepnęła, ale w tym samym momencie Naparstek klepnęła Krzyka w ramię. Ten się zatrzymał, a dziewczyna cofnęła się do reszty.

– Przed nami jakieś hałdy! – wyszeptała, choć nie było już potrzeby. Chrząst i łoskot, zwielokrotnione tysiąckrotnym echem, zagłuszyłyby nawet krzyk.

– I tam zapewne będą czuwać strażę – oświadczył Bielik. – Naparstek, Krzyk, łuki. Pokrzewka, przestań gadać. Naprzód!

Po kilkudziesięciu krokach dotarli do ogromnej sterty odłamków skalnych, która sięgała niemalże sufitu. Białawe światło stało się na tyle intensywne, że hałda rzucała długi cień. Krzyk i Naparstek zamarli u jej podnóża, wciąż przygotowani na pojawienie się straży, a Pokrzewka, Bielik i Elnaare wdrapali się na samą górę i wyrzeli ostrożnie zza kamieni.

Elnaare zmrużyła oczy, nieco zaskoczona intensywnością bladego blasku. Okazał się on na tyle jasny, że dało się w nim dostrzec kolejne hałdy, ciągnące się wzdłuż tunelu. Było ich kilkanaście, a być może więcej, bo unoszące się w powietrzu kłęby pyłu gęstniały i przesłaniały dalszy widok. Zakasłała i spojrzała pytająco na syna.

– Co tam się dzieje? – szepnęła.

– Nie wiem – odparł. – Ale istnieje tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

Ostrożnie, krok po kroku, prześlizgiwali się między kolejnymi hałdami, tak licznymi, że Elnaare straciła rachubę. Robiło się coraz jaśniej, ale z racji chmury gryzącego pyłu widoczność była ograniczona do ledwie paru kroków. Nawet zwinni wojownicy

Widmowego Zagonu potykali się i co rusz któryś zaczynał kaszleć. Na szczęście łoskot stał się już tak intensywny, że wszystko zagłuszał.

Mijali właśnie kolejną stertę odłamków, tak ogromną, że w zasadzie przegradzała Żyłę na pół, gdy Elinaare zauważyła coś nowego. Obłok pyłu kłębił się i rozpływał, jakby targał nim prąd powietrza, a światło przenikało przez dryfujące szpary i oślepiało ich białą zimną niczym sama śmierć.

Dotarli do miejsca, gdzie Żyły się krzyżowały. Tutaj wiedza przekazana im przez krasnoluda się kończyła.

Bielik wskazał Elinaare szczyt hałdy. Matka ruszyła w ślad za nim, ale po chwili zatrzymała się i rozejrzała w poszukiwaniu Pokrzewki. Serce zabiło jej mocniej, gdyż przez kilka sekund nigdzie nie mogła go dostrzec. Przez umysł kobiety przemknęły dziesiątki scenariuszy – nie sądziła, by chwastownik rozumiał wagę ich misji i skalę niebezpieczeństwa z nią związaną, a to oznaczało, że mógł ulec podszeptom odurzonego umysłu i zrobić coś szalonego.

– Pokrzewka? – powiedziała cicho. – Gdzie jesteś? Pokrzewka, chłopcze...

Odruchowo cofnęła się o krok, gdy chwastownik nagle zmaterializował się przy niej. Jego skóra pobladła, głowa drżała lekko na boki, jakby chłopak tłumił niekończący się dreszcz, a źrenice niemalże rozpływały się w białkach oczu. Najbardziej przerażający okazał się jednak jego uśmiech, w którym trudno było się doszukać wesołości, do tego pociemniałe wargi Pokrzewki wydawały się rozcinać twarz równo na pół.

W długich, szponiastych palcach trzymał pustą butelkę.

– Tu jestem – wyszeptał i wygiął swe ciało na podobieństwo łabędziej szyi. – Musiałem tylko... – Spojrzał na buteleczkę z niedowierzaniem, a potem wykonał zamach i cisnął ją w kąt.

– Cieszę się, że jesteś – oznajmiła Elinaare, ze wszystkich sił starając się zachować opanowany ton. – Tylko zachowaj ciszę.

– Ciszę. – Pokrzewka pokiwał głową z nienaturalną skwapliwością, jakby chciał ją zrzucić z ramion. – Nie lubię. Nie lubię tego światła.

Nie patrząc już na niego, Elinaare ruszyła w górę usypiska, kalecząc dłonie i kolana o ostre krawędzie odłamków. Szczypiący, dokuczliwy ból przestał mieć jednak znaczenie, gdy znalazła się na szczycie i ujrzała rozciągający się stamtąd widok.

Źródłem światła okazał się ogromny, owalny nawis wyrastający ze skalnego sklepienia i ledwie widoczny wśród przetaczających się kłębów pyłu. Emanująca z niego zimna jasność wypełniała wielką jaskinię, której jedną ze ścian dosłownie oblaży bladokóre istoty.

Elinaare wzdygnęła się z obrzydzenia i zerknęła na syna, ale ten wydawał się całkowicie pochłonięty obserwacją przerażającej sceny. Zdusiła więc emocje, w czym znów przydało się szkolenie Strażniczki, i zaczęła analizować szczegóły.

Bladokórzy – jak ich Callestr nazwał? Światłożercy? – cierpliwie drażyli dłońmi rowki w ścianie, a następnie wyrwali z niej wielkie skalne kawałki, które zrzucali w dół. Tam czekali już ich pobratymcy, którzy unosili odłamki i odrzucali je na bok, gdzie rosła kolejna hałda. Istoty z całą pewnością wykorzystywały do tego jakąś formę Mocy – nikt nie potrafiłby kruszyć granitu z taką łatwością, nie mówiąc już o dźwiganium niezwykle ciężkich fragmentów skały. Wcale to kobiety nie dziwiło. Wszak podczas walk nad przepaścią bestie zdradziły się z wieloma niecodziennymi, jakże groźnymi umiejętnościami.

Na pierwszy rzut oka cała ta krzątająca się przebiegała płynnie i Elinaare miała wrażenie, że przygląda się idealnie zsynchronizowanej pracy gromady mrówek, ale po chwili dostrzegła pewne nieprawidłowości. Przede wszystkim istoty, które zapamiętała jako niezwykle szybkie i zwinne, poruszały się powoli i anemicznie. Niektóre kulały, inne co rusz zatrzymywały się, by nabrać tchu, jeszcze inne ślaniały się na nogach i obmacywały ciemne pręgi na ciele. W kącie jaskini zauważyła nieruchome ciała nieprzytomnych, rannych bądź nawet martwych Światłożerców.

Skutki bitwy, domyśliła się.

Któraś z bladokórych bestii, usiłująca wyszarpnąć fragment skały, zachwiała się i runęła w dół. Elinaare przymknęła powieki.

Naraz poczuła pacnięcie w ramię. Natychmiast otworzyła oczy. Bielik, który wychylił się daleko poza najdalszy odłamek, pokazywał jej samotną postać, stojącą na skalnym występie przypominającym ambonę. Był to bez wątplenia człowiek, niemłody i stosunkowo niski, niewyróżniający się odzieniem i najwyraźniej nieuzbrojony. Zwrócony przodem do kruszących skałę Światłożerców, pochylał głowę, jakby się im kłaniał, ale Elinaare od razu skojarzył się z kapłanem, który szykuje się do wygłoszenia przerażającego, płomiennego kazania.

Sama kiedyś to robiła.

Bielik znów tracił ją w łokieć i oboje ześlizgnęli się na dół, a tam jej syn wydobył kryształową kulę. Następnie zaszyli się w najciemniejszym kącie, osłonięci przez wojowników Widmowego Zagonu.

– Callestr! – zawołał młodzieniec. – Jesteś w tej cholernej kuli czy nie?

Postukał kłykiem w popękana powierzchnię. Zniekształcone krzywizną oblicze krasnoluda pojawiło się niemalże od razu.

– Nikt ci, jak widać, nie wyjaśnił jeszcze mechanizmu działania tych kul, prawda? – wycedził Callestr. Jego słowa, wypowiedane w źle akcentowanym, chropowatym głuchoborskim, prawie zagłuszyły łomoty, będące dziełem pracujących Światłożerców.

– Później się będziesz wymądrzał – warknął Bielik stanowczo. – Teraz lepiej posłuchaj, co mam ci do powiedzenia, bo wygląda na to, że w istocie niesłusznie oskarżyłeś Malhorna.

– Co tam się dzieje? – Oblicze krasnoluda spotężniało, gdy ten nachylił się nad kulą.

– To te bladokóre paskudztwa ryją tu tunel – syknął młodzieniec. – Ci Światłożercy czy jak im tam. Callestr, to się wszystko zaczyna składać w całość! Wielu z nich nosi ślady po walce! To ci sami, których Malhornowi ludzie porąbali na ulicach miasta!

Elianaare dojrzała blask w oczach syna i poczuła, jak udziela jej się jego entuzjazm.

– Co więcej, ich wołą steruje jeden człowiek – dodała. – Najwyraźniej mag.

– Co czyni sprawę jeszcze bardziej skomplikowaną. – Bielik zacisnął pięść. – Bo gdy zszedłem w głąb przepaści, usłyszałem okrzyki po tuistańsku. Jeśli to ten sam człowiek... – Nie dokończył, pokręcił jedynie głową z mieszaniną niedowierzania i wściekłości.

Ze ściany, nad którą pracowali Światłożercy, posypały się z łoskotem kolejne odłamki. Minęła chwila, zanim Elianaare i Bielik usłyszeli, że Callestr coś mówi.

– ...kierunku?! – wołał. – Słyszycie mnie tam?!

– Co? – Młodzieniec pochylił się nad kulą.

– Czyli mam rozumieć, że Światłożercy, kierowani czyjąś wołą, ryją nowy tunel? – W głosie krasnoluda pobrzmiwało niedowierzanie przemieszane z gniewem. – A w którym kierunku?

– A skąd mam wiedzieć? – parsknął młodzieniec. – Pod ziemią jesteśmy. Tu się nie da określić stron świata.

– Oczywiście, że się da! – oświadczył ze wzgardą krasnolud. – Trzeba tylko...

– Południowy wschód – powiedziała Elinaare i wzruszyła ramionami, napotkawszy pełne zdziwienia spojrzenie syna.

– Południowy wschód – powtórzył Callestr, najwyraźniej nieco zaskoczony. – Dobra, dajcie mi się zastanović.

Urwał na moment, a potem, jakby przypomniawszy sobie o ludziach, zmarszczył brwi.

– A wy lepiej się stamtąd wynoście. Ze Światłożercami mamy na pieńku dłużej niż z wami i chyba wolelibyśmy nie mieć. Zajadłe, zapalczywe sukinsyny, które zlatują się do ognia jak muchy do gnijącego Głuchoborzanina.

– Dziękuję – odezwał się oschłym tonem Bielik. – To już odkryliśmy.

– Gratulacje. A że nie znoszą ostrych dźwięków, też wiecie? To może się wam przydać. I dobrze wam radzę: zabierajcie się stamtąd. Ta kula jest naprawdę bardzo cenna i nie chciałbym...

– Do worka z tobą, konusie – uciał Bielik i wrzucił kulę do plecaka, który zarzucił sobie na ramię. – Musimy teraz...

– Zaczekaj – przerwała mu Elinaare, którą od dłuższej chwili dręczyło przecucie, że coś dzieje się nie tak, jak powinno. – Gdzie jest Pokrzewka?

*

Elinaare, nie czekając na reakcję syna, opadła na jedno kolano i rozejrzała się uważnie. Natychmiast dostrzegła na ziemi porzuconą pustą butelkę, a potem drugą. Wzięła je w dłonie, po czym zauważyła trzecią.

Co ty zrobiłeś? – przeszło jej przez myśl. Pokrzewka, ty nieszczęsny durniu... Znów ci odbiło?

Poderwała się i spojrzała w zaniepokojone oczy syna.

– Widział go ktoś? – spytała.

Bielik popatrzył na stojącą najbliżej Naparstek, która zakasłała i wzruszyła ramionami. Pozostali, przywołani cichymi rozkazami, pokręcili głowami, nie odrywając wzroku od sceny rozgrywającej się w podziemnej sali.

– Nic dziwnego – rzuciła Elinaare, ponownie się rozglądając. – Drań ma niejedną sztuczkę na podorędziu. Potrafi przecież

sprawić, by nikt go nie widział.

– Matko! – Bielik złapał ją za nadgarstek. Głos miał ochrypliwy od pyłu. – Nie czas na przejmowanie się tym szaleńcem... – Urwał, najwidoczniej uświadomiwszy sobie, że powiedział jedno słowo za dużo.

– Tak, Pokrzewka jest stuknięty – wyszeptała Elinaare. – Ale jest jednym z nas. Róbcie więc, co do was należy, tym bardziej że z moimi płomieniami i tak niewiele wam pomogę. Tymczasem ja powstrzymam Pokrzewkę, zanim zrobi komuś krzywdę.

Albo sobie, dopowiedziała w myślach.

Wyswobodziła rękę, a potem złapała syna za dłoń, wspięła się na palce i pocałowała go w zarośnięty policzek. Przez oblicze Naparstek przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Uważaj na siebie – szepnęła mu Elinaare do ucha. – Zabij tego gnojka, który dyryguje Światłożercami, i wynoś się stąd!

Bielik chciał coś powiedzieć, ale matka była pierwsza.

– Nie będę się powtarzać – dodała z naciskiem. – Spotkamy się na powierzchni.

Ścisnęła szczupłą, choć silną dłoń Naparstek i rozejrzała się po raz trzeci. Nie chciało jej się wierzyć, by Pokrzewka pomknął ku hordom Światłożerców – zawsze miała go za człowieka, który potrafi stawić czoła niebezpieczeństwu, ale przede wszystkim woli go unikać. Uznała więc, że zapewne cofnął się w głąb tunelu, którym nadeszli.

„Nie lubię tego światła” – powtórzył w jej myślach chwastownik.

Elinaare, ostrożnie stawiając stopy, by uniknąć skręcenia kostki, obeszła wcześniejszą hałdę i jeszcze poprzednią, a wtedy dostrzegła pęknięcie w ścianie, które w pierwszej chwili wzięła za plamę cienia. Podeszła bliżej i poczuła na twarzy podmuch powietrza, tym razem wilgotnego.

Korytarz, przemknęło jej przez głowę. Czemu nikt wcześniej go nie zauważył?

Bez wahania wślizgnęła się do środka. Uwolniła cząstkę swej Mocy, by oświetlić przejście, i przekonała się, że ma do czynienia z wąziutkim korytarzem o równych ścianach, ewidentnie będącym dziełem ludzkich – a raczej krasnoludzkich – rąk. Biegł prosto jak strzeł, a powietrze w nim było wolne od pyłu i zdecydowanie łatwiej się nim oddychało.

Intuicja pchnęła ją naprzód.

Zawsze prześlizgiwał się ukrytymi przejściami, przypomniawszy sobie. Założył się, że gdzieś tutaj się schował.

Nie, nie schował, podpowiedziała jej przytomniejsza myśl. Gdyby chciał się tylko schować, nie wypiłby przynajmniej trzech eliksirów. Nie, Pokrzewka realizuje jakiś własny plan.

Tylko jaki? I jak daleko zdołał uciec?

Szła szybko przed siebie, czujna i uważna, a w jej sercu narastał niepokój.

Nie lubiła Pokrzewki. Zabrali go ze Skalmirem do Jesiennicy, ale towarzystwo młodego człowieka, który milczał całymi dniami bądź wygłaszał sarkastyczne komentarze, zniknął, by pojawić się w nieoczekiwanych miejscach i wypijał rzeczy, po których wpadał w kilkudniowy stupor, wkrótce zaczęło ją męczyć. Przez te trzy lata z niepokojącego osobnika, w którym czasami odżywał beztroski, wioskowy grajek, przeobraził się w trzymającego się na uboczu, ponurego szydercę, budzącego wśród ludzi większą niechęć od przypominającego ożywione zwłoki Skalmira. Elinaare nigdy tego nikomu nie wyznała, ale gdy okazało się, że Pokrzewka uciekł do Łoskotu, poczuła wielką ulgę.

Jednak choć źle się czuła w jego towarzystwie, zarazem uznawała siebie za odpowiedzialną za jego życie i czuła coraz większą zgrozę na myśl o tym, że coś mogłoby mu się stać. Pędziła więc co sił w nogach, zdyszana, z każdym krokiem oddalając się od Bielika i Widmowego Zagonu.

Dojrzała go w momencie, gdy korytarz się rozszerzył, i uświadomiła sobie, że znalazła się w sali. Błade światło, które zalewało zawalony hałdami korytarz, znikło już dawno, a Elinaare widziała drogę przed sobą tylko dzięki drobnemu ognikowi, który niosła na wyciągniętej dłoni. Jego blask ledwie się odbijał od ścian, a gdy wbiegła do sali, skurczył się jeszcze bardziej.

Ale i tak dostrzegła to, co zauważyć powinna.

Kilkanaście kroków dalej leżało ludzkie ciało.

Serce Elinaare zatrzępotało w piersi jak ptak usiłujący się wyrwać z sideł. Przypadła do leżącego i uklękła gwałtownie, raniąc sobie kolana.

– Och, Pokrzewka – szepnęła.

Strzepnęła ognek z dłoni, a ten wyrósł niczym kwiat na leżącym nieopodal odłamku skalnym i rozedrganym blaskiem zalał twarz o wciąż dziecięcych rysach. Kobieta ujęła ją w dłonie i ostrożnie obadała, ku swej uldze nie znajdując ran ani opuchlizny. Odetchnęła i powoli ułożyła sobie głowę chłopaka na kolanach.

– Pokrzewka – szepnęła i delikatnie poklepała go po policzku. – Pokrzewka, obudź się.

Lewą dłonią obmacała jego szyję i natrafiła na słabo pulsującą żyłę. Odetchnęła z niewysłowioną ulgą, zgola nie pamiętając już przyczyn, które sprawiały, że zachowywała wobec chwastownika dystans graniczący z niechęcią, a nawet odrazą. Przemawiała do niego łagodnie, cicho i co rusz poklepywała po policzku, czekając, aż wreszcie otworzy oczy.

– Co tu się wydarzyło, Pokrzewka? – pytała szeptem. – Czemu straciłeś przytomność? Któryś z eliksirów ci zaszkodził, tak? Głupcze, tyle razy ci powtarzaliśmy, byś uważał na siebie...

Wtem odniosła wrażenie, że z ciemności dobiegł jakiś szelest. Ze zgrozą uświadomiła sobie, że nawet się nie rozejrzała po sali, a przecież ta ciągnęła się zapewne na wiele kroków we wszystkich kierunkach. Przeklinając własną bezmyślność, skupiła uwagę na ogniku i wydłużyła go tak, by jego blask dotarł do ścian.

Oddech uwiązał jej w piersi.

Dookoła leżeli nieruchomo ludzie. Każdy z nich miał na sobie podróżne ubranie i był uzbrojony po zęby. Zaskoczona Elinaare widziała miecze i długie sztylety w skórzanych pochwach, topory za pasami i wypuszczone z dłoni włócznie. Pozycje, w których leżeli, sugerowały, że uderzyła w nich ogromna siła, która nie pozostawiła żadnych widzialnych śladów, ale rozrzuciła całą drużynę jak garść zwiędniętych liści.

Sercem tej siły najwidoczniej był sam Pokrzewka.

– Usłyszałeś ich? – spytała szeptem chwastownika, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. – Usłyszałeś ich dzięki swym miksturom, a następnie pomknąłeś, by ich zatrzymać?

Szelest rozległ się ponownie, tym razem głośniejszy, i Elinaare ujrzała, jak jeden z powalonych przez Pokrzewkę ludzi podnosi się na łokciu i potrząsa głową. Był to potężny mężczyzna o znękanej, pomarszczonej twarzy i zapuchniętych oczach, a dłoń, którą uniósł ku czołu, wyraźnie drżała.

– Co tu się, na łaskę Królowej-Wieszczki, wydarzyło? – wymamrotał.

Mówił po tuistańsku.

Oszolomiona Elinaare patrzyła, jak nieznajomy się podnosi i rozgląda, błyskawicznie rekonstruując sytuację. A potem wbił wzrok w nią i w stworzony przez nią płomień. Szparki jego oczu zwężyły się jeszcze bardziej, drżąca dłoń zacisnęła się na czymś kolistym i zawieszonym na szyi.

Kobieta poczuła, jak przepelnia ją zgroza. Nim opuściła Jesiennicę, Ylla pozwoliła jej uzupełnić Moc. Elinaare zużyła

większą jej część podczas walki ze Światłozercami, a resztę zachowała na sytuacje awaryjne. Teraz instynkt podpowiadał jej, że ważniejszego powodu, by sięgnąć po Moc, nie będzie.

Strumień złotego huczącego ognia, który pomknął w stronę Tuistanina, mógłby wypalić szlak w dębowym zagajniku albo wybić tunel w kamiennym zboczu, a podczas bitwy zdołałby zdzięsiatkować nacierającą kawalerię czy rozbić największą basztę. Aż do tej chwili Elinaare święcie wierzyła, że nie istnieje siła zdolna przeciwstawić się Mocy rozwścieczonej bylej Strażniczki.

Oślepiąca rozedrganymi płomieniami, nie widziała dokładnie, co zrobił Tuistanin, ale wydało się jej, że machnął dłonią, jakby opędzał się od natrętnej muchy. Ów gest wystarczył, by ognista struga zafalowała, a następnie pomknęła w bok i rozlała się na skalnej ścianie, na ułamek sekundy wypełniając salę oślepiającym blaskiem. Nim ten zgasł, Elinaare zdażyła zauważyć, że Tuistanin, nadal zaciskając dłoń na przedmiocie zawieszonym na szyi, ruszył ku niej.

Przez głowę wstrząśniętej kobiety przemknęła tylko jedna myśl:

Drugi mag! Muszę ostrzec Dunstana!

Sekundę później uciekała jak nigdy w życiu.

*

Skalmir raz jeszcze oczyścił umysł i skupił myśli na pragnieniu odnalezienia Elinaare.

Gdzie jesteś? – spytał niemo ogarniającą go szarość. Gdzie jesteś? Odezwij się do mnie! Na Moc, przecież wiem, że gdzieś jesteś! Przecież wiem, że mnie nie porzuciłaś. Wiem, że musisz gdzieś tam być!

Szarość jednak nie odpowiadała. Nie słyszał żadnego, najcichszego nawet głosu. Miał wrażenie, że zanurzył się prosto w śmierć.

Otrząsnął się ze zgrozą i wyprostował, a wtedy rzeczywistość znów nabrała barw. Ponownie znalazł się na górskim trakcie wśród złocących się buków. Między spiętrzonymi odłamkami skalnymi i czerniejącymi kłodami z łoskotem przelewał swe wody zuchwały potok. Mads i Gwaine, pojąc swoje konie, rozmawiali cicho, a Kostur, który siedział na dużym kamieniu przy brzegu, wystawiał twarz ku niebu w nadziei na to, że chmury się rozstąpią i nacieszy się ciepłem słońca.

Skalmir zamrugał i uśmiechnął się przepaszająco do Otluka, który patrzył na niego z oszołomieniem, a może nawet strachem.

Ciekawe, co zobaczył w moich oczach? – dumał z goryczą mag.

Bez słowa odwrócił się od Otluka i spojrział na południe, tam, gdzie leżał zasłonięty lasami Łoskot. Jego umysł pustoszał, jakby przepelniająca go rozpacz zaczęła pożerać wszystkie myśli.

Drgnął, usłyszawszy za sobą czyjeś kroki.

– Ciągłe nic? – spytał cicho Voorten, stając obok niego.

– Nic – odparł głuchym głosem.

– Wiesz, to jeszcze niewiele znaczy – stwierdził Mads. – Pomyślałem sobie, że może jest pod ziemią. Nigdy nie poprosiłem Otluka, by pomógł mi się skontaktować z kimś, kto jest pod ziemią, a samo to, że krasnoludy wymyśliły te swoje kule, może oznaczać, że...

– Daj spokój, Mads – przerwał czarodziej ciężkim głosem, nie patrząc na rozmówcę. – Nie próbuj mnie pocieszać. To wszystko nie było mi pisane. Wichrogórscy magowie nie powinni wchodzić w związek. Nie dość, że żyjemy krótko, bo wyniszcza nas Moc, to jeszcze spoczywa na nas zbyt wielka odpowiedzialność...

– Ja nie pocieszam ciebie – rzekł powoli Voorten. – Próbuje znaleźć pociechę dla siebie, Skalmirze. Elinaare jest mi bliższa od kogokolwiek, nie licząc Hunny, i nigdy nie zaakceptuję świata, w którym jej nie ma.

– Co my tu robimy?! – wybuchnął mag. – Po co włączymy się po tych górach? Ona jest gdzieś tam, w Łoskocie! – Wycelował drżącym palcem na północ, a potem, gdy przeniósł wzrok na elfa, w jego przymrużonych oczach błysnął gniew. – Podążamy za jakimiś mrzonkami! – wyszczał. – Za niewyraźną wizją! Za kilkoma oderwanymi od siebie obrazami! Jaki to ma sens?

– Podobnie było podczas wojny z Jaszczurem – rzekł Mads spokojnym głosem, choć dało się zauważyć, że w nim również wzbierają emocje. – Gwaine wysłał Bielika ku górą, by go wytropił i spotkał resztę Widmowego Zagonu.

– Widmowy Zagon był elfim pomysłem od samego początku. – Skalmir zacisnął zęby. – Gwaine realizował intrygę zamyśloną przez jego pobratymców! A teraz? Skąd wiesz, że mu po prostu nie odbiło? Słyszałeś te jego dyrdymały? Zielona zorza, smocza łuska, tupot stóp... Przecież to brednie! – Patrzył przez chwilę na elfa. – Zresztą spójrz tylko na niego.

Gwaine opierał dłoń na końskim zadzie i spoglądał na wschód, tam gdzie między konarami buków, pokrytymi rdzawymi liśćmi,

majaczyły kolejne przełęcz Górn Grozy.

– Znowu się w coś wpatruje – wycedził mag. – Nie pierwszy raz to widzę. Wierysz mu, Mads? Wierysz mu? Miał trzy lata, by oszaleć bez reszty!

– Ty też – oświadczył Voorten.

Skalmir odwrócił się ku niemu z furkotem szaty.

– Ja? – warknął, opryskując wojownika drobinkami śliny. – Ostatnie trzy lata w moim życiu były tak zbliżone do normalności, jak to w ogóle możliwe w przypadku takiego człowieka jak ja!

– O sobie mogę powiedzieć to samo. – We wzroku Madsa pojawiło się coś nieprzyjemnego. – Ale tu jestem. Oddałem tej przeklętej krainie więcej od ciebie, a mimo to postanowiłem wrócić na ścieżkę wojenną, bo o to poprosił mnie Gwaine. On, którego nazywałeś szaleńcem, przekazał Rozkrzyczanym Krainom jeszcze więcej niż my obaj. Myśmy się cieszyli ciepłem zwykłego życia, a on wędrował i szukał śladów naruszanej równowagi. Nie, ja też nie wiem, czym ta cała równowaga jest, ale w dupie to mam. Skoro Gwaine mówi, że to ważne, ja mu wierzę.

– Nie powinno mnie tu być! – Skalmir ponownie zacisnął zęby i pochylił głowę.

– Ale jesteś. I przestań skamleć.

– Skamleć? – Oczy maga pociemniały, a on sam poczuł, jak rozpacz przeobraża się w furję balansującą na krawędzi eksplozji.

– Straciłem święty kamień Mocy! Wiesz, co to oznacza?

Voorten bez wątpienia znał odpowiedź na to pytanie i przypuszczalnie odczytał też groźbę w oczach Skalmira, ale nawet nie drgnął.

– Nic nie wiesz o stracie – rzekł tylko z krzywym uśmiechem i ruszył w stronę Żmijki.

– Mads! – zawołał za nim czarodziej. – Dokąd my właściwie jedziemy?

Voorten odwrócił się i już miał odpowiedzieć, gdy zauważył coś między konarami. Odetchnął ciężko i wyrócił oczami, po czym zamachał ręką.

– No, dawaj no tutaj! – krzyknął. – Bo przecież nas szukasz, co?

Zaskoczony Skalmir natychmiast zapomniał o swojej złości, bo naraz ujrzał ogromnego kruką, który rozrzucił skrzydła i wylądował na wilgotnym głazie tuż przy potoku. Ptak przekrzywił łebek i spojrział na Madsa, a potem na Skalmira.

– No, czekam – oświadczył. – Zaraz któryś z was wyzwie mnie od gadających kur i zrobi jakąś uwagę na temat moich zwyczajów

żywniowych.

– Jesteś gadającą kura, która żre robale – oświadczył Voorten. – Wystarczy?

Ptaszysko westchnęło.

– Nie o to chodzi! – zaprotestowało. – Chciałem dać do zrozumienia, że wasze maniery kompletnie sparszywiały, a wy...

– Skąd przybywasz? – przerwał mu czarodziej.

Kruk podskoczył i uniósł skrzydła, jakby chciał wydać się większym.

– Jasne! – zaskrzeczał. – Po co nam kulturalna rozmowa? Na co wzajemny szacunek? Melduj, kuro, co masz do zameldowania, naści robala i won? Tak to ma wyglądać?

– Mniej więcej – przytaknął Voorten. – Tyle że tego robala to musisz sobie sam znaleźć.

– Któregoś dnia wyżrę ci gały – obiecał ptak, przeskakując z nogi na nogę. – Ale najpierw poczekam, aż zaśniesz z otwartymi ustami i...

Skalmir zmrużył oczy, a na jego dłoni pokazała się kula ognia. Zamierzył się jak do rzutu, ale kruk złożył skrzydła i przeskoczył na sąsiedni głaz.

– Rety, co się tak unosicie – bąknął. – Dobra, już mówię. Kulturalna rozmowa, też sobie wymyśliłem! Mam wieści od Elinaare.

Serce maga rozszalało się w chudej piersi. W ustach zrobiło mu się sucho.

– Mów! Mów, ptaku! – wychrypiał.

– Chciała wam przekazać, że zdobyli dowody na to, że w Łoskocie zawiązał się spisek – oświadczyło ptaszysko. – Spora sprawa. Nie wszystko zrozumiałem, ale wygląda na to, że ktoś ryje pod miastem, by się dostać do krasnoludzkich Żył. Wiecie, co to takiego? Nigdy nie jadłem krasnoludzkich zwłok, ale jeśli te ich żyły naprawdę są takie smaczne...

– Elinaare! – przerwał mu Skalmir rwącym się głosem. – Żyje? Nic jej nie jest?

– Nie wiem – odparł kruk. – Bo wraz z Pokrzewką, Bielikiem i jego chwatami zeszedli pod ziemię.

Czarodziej odetchnął z ulgą.

– A Malhorn? Jak się miewa? – spytał Mads.

– Poprawiło mu się. – Ptak zmarkotniał. – A szkoda, bo myślałem, że zakosztuję...

– Cicho już bądź – mruknął zamyślony Voorten. – Zasłużyłeś na nagrodę, a więc poszukaj sobie jakiegoś robala albo wskakuj na Kostura. W jego brodzie na pewno znajdziesz coś smacznego. Otluk, chodź. Przekazywałeś kiedyś wiadomość prawdziwemu królowi?

Osilek zachichotał i pochylił głowę, by Mads mógł przytknąć do niej czoło.

Pozostawiony sam sobie Skalmir popatrzył na kruka i uśmiechnął się.

– Dzięki – rzekł.

– No – burknęło ptaszysko. – Przynajmniej ty masz jeszcze jakieś maniery, truposzu.

Czarodziej uśmiechnął się szerzej i zwrócił wzrok w stronę, w którą wpatrywał się Gwaine. Między szczytami Gór Grozy wisiało coś, co w pierwszym momencie uznał za mgielkę, ale przyjrawszy się baczniej, doszedł do wniosku, że przypomina to na pół materialną błonę zawieszoną między dwoma górami. Widziane przez nią obłoki wydawały się rozmyte i niewyraźne.

Chwilę później Mads przekazał wiadomość przez Otluka, a Skalmir ponownie wsiadł na prowadzonego przez elfa konia. Przypadkowo spojrział tam, gdzie wcześniej wpatrywał się Gwaine, i odniósł wrażenie, że za błoną coś przemknęło.

Coś ogromnego.

*

Bielik raz jeszcze popatrzył w ślad za oddalającą się matką, a potem nabrał tchu i ponownie skupił wzrok na człowieku stojącym na ambonie. Obmyślony przed momentem plan już nie wydawał mu się aż tak szalony. Miny czwórki wojowników, z którymi podzielił się zamysłem, również nie wyrażały zaskoczenia, a Buk nawet mruknął z aprobatą.

Dowódca uśmiechnął się krzywo i dał znak do działania.

Zabicie człowieka, który sterował chmurą Światłozerców, wydawało się dziecinną igraszką. Mieli dość światła na celny strzał z łuku, tym bardziej że potencjalna ofiara praktycznie się nie ruszała. Problem polegał na tym, że gdy wszystko wydawało się nazbyt łatwe, Bielik stawał się zuchwały.

Przesadnie zuchwały.

Wypadli zza ostatniej hałdy cisi niczym duchy i błyskawicznie uformowali klin – z Bielikiem jako ostrzem. Młodzieniec z

satysfakcją zauważył, że żaden z białoskórych nawet na nich nie spojrział, z kolei mag na ambonie był całkowicie skupiony na kontrolowaniu przebiegu prac.

To zaś, pomyślał Bielik, przeskakując nad szczeliną w skalnym podłożu, powinno uczynić nasze zadanie jeszcze łatwiejszym.

Wróg pojawił się uderzenie serca później.

Biegnący na prawym skrzydle Krzyk zawołał coś, czego dowódca nie zrozumiał, ale głos towarzysza zaalarmował go na tyle, że odwrócił głowę w jego kierunku. Ujrzał wtedy czterech wojowników, którzy wypadli z cienia, powiewając płaszczami. Bielik zerknął w drugą stronę i dostrzegł kolejnych sześciu.

Dwóch na jednego, przemknęło mu przez głowę. Na flaki Smoczy, ci idioci powinni się porządnie nad sobą zastanowić.

Nadciągającym wrogom nie można było jednak niczego zarzucić. Żaden z nich nie marnował czasu na wrzaski czy pogrożki. Kilku nadbiegało w taki sposób, by odciąć wojownikom Widmowego Zagonu drogę ucieczki, inni zagrodzili drogę na ambonę. Uzbrojeni byli dobrze, większość nosiła hełmy, paru trzymało tarcze, a wszyscy mieli kolczugi lub przynajmniej skórzane kaftany. Ich ruchy znamionowały doświadczenie i znajomość żołnierskiego rzemiosła, ale mimo to...

Cóż, żaden z nich zapewne nie spotkał się wcześniej z Widmowym Zagonem.

Krzyk przykucnął, wyszarpnął z obejmy jedną z włóczni i cisnął nią z biodra, przesywając miednicę pierwszemu z nadbiegających, a potem złapał drugą, w samą porę, by zablokować opadający cios topora. Błyskawicznym kopniakiem w kostkę przewrócił topornika, zawirował włócznią i tępym końcem uderzył w głowę żołnierza, który już dwukrotnie próbował chlasnąć Strzęp. Dziewczyna stanęła przed okazją, by zmasakrować przeciwnikowi twarz kolczastym kastetem, ale zamiast tego przemknęła pod jego ramieniem i rzuciła się na innego, który właśnie szarżował z włócznią na Bielika.

Ten widział zarówno atak na siebie, jak i szaleńcze starcie po lewej. Kątem oka zauważył Naparstek, jak wiruje w dzikim pląsie i zatacza kręgi mieczem, wrywając z ciał wrogów strugi krwi, i potężnego Buka, który aż po jelec wbił miecz w pierś któregoś z wrogów, po czym wyrwał mu topór z ręki i chlasnął jego ostrzem innego.

Dowódca nie mógł im pomóc. Ktoś bowiem musiał pochwycić maga.

Ten odwrócił się w końcu, najwyraźniej wreszcie dotarły do niego szczęk oręża oraz wrzaski ginących. Bielik kątem oka zarejestrował, że masy Światłożerców zafalowały, jakby poraził je wewnętrzny impuls, a następnie białoskóre istoty jedna po drugiej zaczęły zamierać. Więcej nie dostrzegł, bo przypadł już do ambony, która zasłoniła zalaną bladym światłem jaskinię. Zdyszany, z mocno bijącym sercem, wskoczył na jeden kamień, potem na drugi...

Wróg już na niego czekał.

Przeciwnik w porę otrząsnął się z zaskoczenia. Na jego pobladłej i pobrużdżonej twarzy pojawiło się zdecydowanie. Zatoczył się, jakby zmagając się z fizyczną słabością, ale uniósł dłonie i rozcapierzył palce. Powietrzem targnęła niewidzialna siła; z nosa maga pociekł strumyk ciemnej krwi. Świat wokół Bielika nieoczekiwanie zgęstniał, jakby dookoła wyrosła niewidzialna zapora, która pozbawiła młodzieńca impetu. Przerażony odkrył, że traci panowanie nad własnym ciałem. Z najwyższym trudem dokończył stawiać krok, ale następnego wykonać już nie zdołał. Znieruchomiał w połowie ruchu w przejrzystej zawieszynie, w której wraz z nim zastygły kłęby białego pyłu. Mag otarł brzegiem dłoni krew pod nosem, rozmazując ją w makabryczną plamę.

A potem wyszarpnął spod płaszcza sztylet i zrobił krok ku Bielikowi.

W ramię trzymające broń wbiła się z młaśnięciem strzała, która pojawiła się znikąd.

Mag wrzasnął przeraźliwie, upuścił ostrze i zatoczył się, przyciskając dłoń do rany. Młodzieniec, niespodziewanie uwolniony z oków czaru, runął do przodu, potknął się i padł na kolana tuż przed chwiejącym się wrogiem, a następnie zerwał się i z sykiem nienawiści kopnął go między nogi. Przeciwnik zgiął się w pół. Bielik przyłożył mu kolaniem w żołądek, po czym, dysząc z wściekłości, pochylił się i zarzucił sobie krztuszącego się maga na plecy.

Naparstek, wsuwając sztylet do pochewki, skinęła dowódcy z figlarną miną. W tej samej chwili wpadł na nią któryś z ostatnich ocalałych przeciwników i zamachnął się maczugą.

Bielik z miejsca zapomniał o dźwiganym człowieku. Zapomniał o tym, że aby zejść z ambony, musi zeskokczyć po kilku kamieniach, co z takim ciężarem mogło się okazać niemożliwe. Zapomniał, że tam na dole wciąż toczy się walka, a mag na jego barkach lada

moment może odzyskać przytomność, co oznaczało dla nich wszystkich wyrok śmierci.

Liczyło się dlań wyłącznie to, by jak najszybciej znaleźć się przy Naparstek.

Pozwolił, by nieprzytomny czarownik ześlizgnął się na ziemię, i w kilku susach przypadł do leżącej na ziemi dziewczyny. W bladym świetle twarz Naparstek była biała jak papier. Bielik natychmiast dostrzegł szklistość jej oczu i pot na twarzy. Otwierała i zamykała drżące wargi, jakby chciała coś powiedzieć.

Młodzieniec zacisnął usta i odgarnął nierówną grzywkę z jej spoconego czoła.

– Ciii – szepnął. – Nic nie mów.

Padł na niego cień ogromnego Buka, który strzepnął krew z miecza, po czym wsunął go do pochwy i uklęknął.

– Gdzie oberwała? – spytał Bielik. Słowa z trudem przechodziły mu przez ściśnięte gardło.

Buk wskazał swoje plecy, a potem skinieniem głowy zwrócił jego uwagę na leżącą obok maczugę. Nieruchomy przeciwnik, otoczony rosnącą kałużą krwi, wciąż zaciskał na niej dłoń.

Dowódca zacisnął powieki. Uderzeniem ciężkiej maczugi w plecy można było wywołać rozległe krwawienie wewnętrzne. Na dodatek Naparstek miała szczupłą budowę ciała i nie nosiła pancerza. Bielik nie miał bladego pojęcia, jak można jej pomóc, wiedział tylko, że muszą jak najszybciej wydostać Naparstek z tej przeklętej Żyły.

Rozejrzał się, zbierając rozproszone myśli. Wszędzie widział ciała obcych wojowników, nad którymi stali Krzyk i Strzęp, spięci, ale gotowi do walki. Chłopak odzyskał już obie swe włócznie, a dziewczyna obracała się dookoła, celując z napiętego łuku. Gdzieś za nimi falował biały tłum Światłożerców, którzy najwidoczniej wciąż nie odzyskali nad sobą pełnej władzy. Młodzieniec zauważył, że kilku spośród nich nadal trzyma wyszarpięte ze ściany odłamki. Obcy mag, z twarzą pomazaną krwią, wciąż leżał nieruchomo na posadzce.

– Buk – wychrypiął Bielik, nachylając się nad nieruchomą dziewczyną. – Bierz tamtego sukinsyna. Krzyk, prowadzisz, Strzęp, zamykasz. Wynosimy się z tej pieprzonej dziury.

Wziął Naparstek na ręce. Okazała się nieprawdopodobnie lekka, zupełnie jakby wraz z uchodzącym życiem malał ciężar ciała. Jej głowa opadła i kołysała się bezwładnie z każdym krokiem, ale widział, że nadal na niego patrzy.

Była jedyną, która dostrzegła łyzy w jego oczach.

Świat wokół Bielika się rozmył. Podążał za wysoką, kościstą sylwetką wojownika, który przybrał imię Krzyk, za sobą słyszał posapywanie Buka. Potykał się o odłamki, ale uparcie brnął naprzód, zdyszany i na pół oślepiiony. Choć dziewczyna w pierwszej chwili zdawała się nic nie ważyć, jego mięśnie już sztywniały, a lewe ramię piekło w miejscu rany, z której dopiero teraz zdał sobie sprawę. Nic jednak nie mogło go zatrzymać.

Szybciej, ponaglał się w duchu. Szybciej, jak najszybciej!

Gdzieś z tyłu głowy kołatała się dokuczliwa myśl: cóż takiego pocznie, gdy wreszcie wydostanie się z Żyły? Czy na widok jesiennego nieba zyska magiczne moce, które pozwolą mu na wyleczenie strzaskanego ciała Naparstek? Czy może zdoła w krótkim czasie przerzucić ją do Łoskotu, gdzie zajmą się nią królewscy uzdrowiciele?

Łzy ściekały po brudnym, zarośniętym policzku i wnikały w brodę.

Niespodziewanie usłyszał okrzyk Strzęp. Odruchowo zwolnił, przepuścił Buka przodem i się odwrócił.

Idąca w tylnej straży wojowniczką właśnie kończyła piruet, wyciągając płynnym ruchem miecz. Wycelowała ostrze w goniącą ich postać. Bielik zamrugał parokrotnie, by pozbyć się wilgoci z oczu, i naraz uświadomił sobie, że całkiem zapomniał o własnej matce.

Elinaare biegła ku nim, słaniając się i potykając. W bladym, rzedniejącym świetle dostrzegł, że jest zakrwawiona, a do tego co rusz ogląda się za siebie. Mimo uporczywie napływających łez zdołał zauważyć, że na ich widok uśmiechnęła się z ulgą. Chwilę później przez jej oblicze przemknął grymas bólu, gdy spojrzała na ciało Naparstek. Wzrok matki mówił, że więcej nieszczęść już nie zniesie.

Zachwiała się i wsparła o mijaną skałę. Ponownie się obejrzała, nerwowo, z wyraźną obawą.

– Światło... – wycharczała, z trudem łapiąc oddech. – Światłożercy... dalej tam są? – Machnęła dłonią w kierunku końca korytarza.

Bielik nie spodziewał się takiego pytania.

– A co to ma do rzeczy? – warknął.

– Są czy nie? – W głosie Elinaare pojawiła się stanowczość.

– Są! Setki, ale...

Jego matka odwróciła się z wawo, aż jej potargany warkocz śmignął w powietrzu, a potem rozrzuciła dłonie. W przejściu wyrosła rycząca ściana ognia.

– Mam więc nadzieję, że wszystkie się tu teraz zlecą – syknęła, wyczerpana. – I rozerwą tego sukinsyna na strzępy.

Nie było czasu, by pytać, o kogo jej chodzi. Razem rzucili się do dalszej ucieczki.

*

Malhorn rozmasował skronie i potrząsnął głową, by pozbyć się resztek głosu Voortena, rozbrzmiewającego na skrajach jego umysłu. Następnie splótł dłonie i pochylił się ku pięciu siedzącym przed nim mężczyznom.

W komnacie panowała głęboka cisza, co władca Głuchoborów uznał za okoliczność sprzyjającą, bo musiał przemyśleć komunikat od Madsa; wiedział przy tym, że milczenie przy stole prowokuje niebaczne wyznania. A dobrze by się stało, gdyby siedzący przed nim ludzie zdradzili się z tym, co naprawdę myślał. Wiódł więc wzrokiem od twarzy do twarzy, ale wszędzie natrafiał na kamienne, wyczekujące spojrzenia.

Wedle tradycji Rada Dziedziców składała się z dziewięciu rodów. Niestety, ostatni z Jastrzębców zginęli podczas rozprawy z Tuistanami, Wyszulce nie zdążyli dotrzeć do stolicy, a Głazińce i Mchaki, połączywszy armie, stali pod murami Łoskotu. Potrzeba więc sprawiła, że przed młodym królem Głuchoborów zasiadło tylko pięciu wielmożów. Przewodzący im Turun Ostaniec siedział z boku, jakby chciał w ten sposób zaznaczyć, że nie jest odpowiedzialny za ostateczne decyzje, jakie zostaną tu podjęte, ale Malhorn był absolutnie przekonany, że przed spotkaniem starzec przekazał każdemu z pozostałych, co takiego władca chciałby usłyszeć.

– Cieszymy się, panie, że możemy cię ujrzeć w dobrym zdrowiu. – Kazah z rodu Wichurów odezwał się jako pierwszy, co nieco króla zdziwiło. Stary, jednooki wojownik, który w młodości ledwie wylizal się ze straszliwego ciosu toporem w czaszkę, słyszał z tego, że niechętnie się odzywał publicznie i wolno układał wszelkie wnioski.

Malhorn skinął lekko głową i zerknął na stojący w kącie kamienny posąg Grzmotuna Jednorrękiego.

– Ja również się cieszę z tego, że udało mi się odzyskać siły, moźny – rzekł. – Zwłaszcza że pora była ku temu najwyższa.

Z wyjątkiem Ostańca żaden z wielmożów nie zdawał sobie sprawy z nieudanej intrygi, która miała na celu sprowokować buntowników, a o mało nie skończyła się kompromitacją monarchii.

– Najwyższa – przytaknął Kazah.

– Dobrze, że się co do tego zgadzamy – odezwał się otyły Ulhard, głowa rodu Rozłupców, człowiek bystry i przenikliwy, ale pyszny i pełen arogancji. – Nie możemy przecież dłużej znosić tych durniów pod murami naszej zacnej stolicy.

– Głazińce i Mchaki nie marnują czasu, panie – dodał wysoki, zawsze śmiertelnie poważny Dugun z Kozioroźców, trudny partner do rozmowy nie tylko ze względu na niebagatelną inteligencję, lecz także z powodu permanentnie wytrzeszczonych oczu. – Ciężkim objeżdżają mury i na wasze dobre imię nastają. Krzyczą, żeś, panie, szczęścia pozbawiony. Żeś słaby. Że bóstwa – jego wzrok powędrował na moment w stronę Grzmotuna – niełaskę ci okazały, ową przepaść tworząc. Żeś korony niegodny.

Mówił to, patrząc Malhornowi prosto w twarz, ale ten zniósł jego spojrzenie bez trudu.

– Że koronę trzeba oddać godniejszemu – dodał Koziorożec.

– Zapewne smarkaczowi Głazińców, tak? – mruknął władca. – Bratankowi Gulvarda?

– W czym on niby lepszy od naszego władcy? – spytał zaczepnie ostatni z wielmożów, Waligóra Trzimir, najmłodszy z ich grona i najbardziej zapalczywy. – Zrobił coś dla królestwa?

– Nie – zabrał głos Turun. – Ale też nie wyrządził mu żadnej krzywdy. A to, co się wydarzyło w Łoskocie... – Urwał i pokręcił wymownie głową.

– Przecież to nie wina naszego pana! – huknął Trzimir i dla dodania wagi swym słowom uderzył pięścią w blat ławy.

Turun Ostaniec wpatrywał się w niego z politowaniem.

– To nie chodzi o to, kto ponosi winę – powiedział powoli, jakby rozmawiał z kimś niespełna rozumu. – Ważne jest to, w co uwierzą ludzie.

– Lub co się im wmówi – wtrącił Koziorożec.

– Co na jedno wychodzi – burknął Turun. – Krzykacze Głazińców i Mchaków zaś zdzierają sobie gardła pod murami miasta i, wierzcie mi, niejeden się zastanowi nad tym, co od nich

usłyszcy. Zwłaszcza ci, co potracili w przepaści majątki lub bliskich.

Malhorn przyglądał mu się z kamienną twarzą, choć w myślach śmiał się do rozpuku. Wyraźnie widział, w jakim kierunku zmierza Ostaniec, i był pewien tego, co starzec za chwilę powie.

– Dlatego też trzeba owym krzykaczom powiedzieć, by się zamknęli – ciągnął Turun.

– Przecież nas nie posłuchają – zauważył Trzymir.

Stary doradca zacisnął na moment powieki.

– Racja – rzekł. – Nie posłuchają. A co trzeba zrobić, by posłuchali?

– Mógłbyś wprost to powiedzieć, można – warknął Malhorn, by oszczędzić Waligórze dalszych upokorzeń. – Mógłbyś przestać napawać się brzmieniem własnego głosu i rzec krótko: panie nasz, czas podnieść sztandary i wyjechać na wroga.

– Ciekawym, czemu jeszcze tego nie zrobiliśmy – wycodził dobitnie Kazah z Wichurów.

– I ja jestem ciekaw. – Ulhard Rozłupiec wbił w Malhorna wzrok, który zdradzał wielkie rozbawienie. – Bo nawet z okien mych komnat widać, że do buntowników co rusz dołącza nowy orszak. Z okien królewskich – splótł dłonie, oparł je na blacie ławy i pochylił się ku władcy – widać to pewnie znacznie lepiej.

Czemuśmy jeszcze nie wyjechali? – pytały spojrzenia członków Rady Dziedziców. Czemu chowamy się za murami i przyglądamy, jak wróg podchodzi do naszych bram i otwarcie z nas szydzi? Czemu pozwalamy, by rósł w siłę? Co nas zatrzymuje? Czyżbyś, panie, naprawdę nie miał odwagi?

Malhorn odetchnął i wyprostował się, przez co wydał się jeszcze wyższy. Otaksował oblicza Dziedziców: Koziorożec przeszywał go wzrokiem, Rozłupiec uśmiechał się ironicznie, Kazah marszczył czoło, Trzymir patrzył w bok, przygryzając wargę, a Ostaniec przekrzywił lekko głowę, jakby prowokował monarchę do wyczekiwanego zabrania głosu.

Kiedyś rozpędzę was na cztery wiatry, pomyślał Malhorn. A każdemu, kto będzie próbował narzucić mi wolę, osobiście tak obiję mordę, że będzie mógł pozować rzeźbiarzom pracującym nad posagami Grzmotuna.

Kiedyś. Nie dziś.

– Z okien królewskiej komnaty widać niejedno – zwrócił się do Ulharda. – Zwłaszcza gdy się spojrzy dalej, niż uczyniłby to zwykły człek, popędliwy i pełen buty.

Rozłupiec poczerwieniał lekko, natychmiast zrozumiałwszy, do kogo Malhorn skierował aluzję.

– Cieszę się, możni – mówił dalej król – że pytacie mnie o przyczyny, dla których nie wyszedłem w pole. Ktoś mógłby, dla przykładu, zarzucić mi brak woli walki, a wtedy musiałbym takiemu roztrzaskać łeb. – Kątem oka dostrzegł, że Kazah Wichura drgnął. – Przyczyny są, niestety, złożone. Wyjechałbym naprzeciwko buntownikom jeszcze i dziś – stwierdził, zaciskając pięści – gdybym miał pewność, że przywiodła ich tutaj wrodzona pycha przemieszana z głupotą. Wiem jednak, że tak nie jest. Mam dowody na to, że Głazińce i Mchaki działali z czyjegós poduszczenia. Moi wysłannicy byli świadkami tajnych spotkań przedstawicieli tych rodów z nieznanymi nam, aczkolwiek niewątpliwie wpływowymi ludźmi, których celem jest zburzenie równowagi w Głuchoborach.

W oczach członków Rady Dziedziców pojawiło się niedowierzanie.

– Kto? – parsknął Rozłupiec. – Komu miałyby zależeć na zamęcie w stolicy?

– Pohorcy są na to zbyt honorowi, krasnoludy zbyt zajęte, Wichrogórzanie zanadto pochłonięci nauką, a Wilcy zbyt głupi – podsumował Koziorożec i pokręcił głową. – Nie uroiłeś sobie tego, panie?

– Nie – odparł cicho Malhorn. – Przed spotkaniem z wami otrzymałem raport, który uporządkował bałagan w mojej głowie i pospinał niektóre fakty ze sobą. Posłuchajcie więc, a...

– Mamy słuchać? – Głos Ulharda przybrał piskliwy ton. – Pokaż nam! Pokaż ów raport!

Monarcha wbił w niego spojrzenie zimne jak dotyk lodowca.

– Twój ton – warknął – to pierwsza na liście rzeczy, które mi się w tobie nie podobają, Rozłupiec. Dlatego teraz zawrzesz pysk i będziesz mnie słuchał, bo od tego między innymi zależy, czy przejdziesz do przeszłości, czy zaczniesz ze mną budować przyszłość.

Następnie opowiedział Dziedzicom o wszystkim, co usłyszał od Madsa, nie poskąpił przy tym własnych komentarzy. Tym razem możni nie zadawali wielu pytań, a te, które padły, okazały się konkretne i precyzyjne.

Gdy temat został wyczerpany, władca Głuchoborów się podniósł.

– Ale wyjadę w pole – oświadczył. – Macie rację. Nie mogę czekać dłużej, lud Łoskotu nie zasłużył sobie na obłączenie. Chciałem zebrać dowody na to, że Mchakami i Głazińcami ktoś steruje, i oskarżyć ich o zdradę, dzięki czemu być może udałoby się uniknąć bratobójczej wojny. Niestety, z tego, co mi się udało dowiedzieć, nie ułożę przekonującego oskarżenia, a niecierpliwość poddanych rośnie. Pozostaje więc rozstrzygnąć konflikt na polu walki. – Wstał i oparł się pięściami o blat. – Wyszukujcie swe orszaki. Wyjeżdżamy jutro o świcie.

*

Mads bezwiednie poklepał Żmijkę po pysku, a następnie jeszcze raz otaksował wzrokiem okolicę. Przygryzł wargę i pokiwał głową.

– Nie jedziemy dalej? – spytał Kostur, siedzący na koniu obok.

– Nie – odparł Voorten. – Nie trzeba. – Odwrócił głowę i popatrzył na Skalmira. – Pytałeś, dokąd właściwie zmierzamy. Otóż zmierzaliśmy tutaj i jesteśmy wreszcie na miejscu.

Mag wbił w niego spojrzenie, w którym zaskoczenie walczyło o lepsze z ciekawością, a potem potoczył wzrokiem dookoła. Mads zatrzymał się na skraju niewysokiego urwiska, gdzie kończyły się rdzawe bukowe lasy. Dołem ciągnęła się szeroka, porośnięta roztańczonymi trawami przełęcz, której środkiem wił się wygodny, choć pusty trakt. Jakaś milę dalej teren znów zaczynał się wspinać, upstrzony coraz wyższymi skałkami, by wnet przejść w skalny labirynt, a dalej w łańcuch gór. W powietrzu niczym zapomniane myśli wirowały zeszcłe listki.

– Oto Przełęcz Paniki – ciągnął Mads. – To tu po raz ostatni widziano wycofujących się Tuistan, a ludzie, by poprawić sobie samopoczucie, uznali, że ci na pewno zwiewali w panice. Stad też wzięła się nazwa.

– A skąd wziął się pomysł – Skalmir z niedowierzaniem spojrzął na Voortena – że cel naszej podróży jest tu?

– Łoskot kroków setek zbrojnych. – Mads ponownie popatrzył na kołyszące się łąki. – Rozkazy wydawane kobiecym głosem. Smocza huska. Płomienie i pożoga.

– Co ty wygadujesz?

– To słowa proroctwa Gwaine'a – odparł wojownik z zadumą. – Jeśli się mylisz i nasz przyjaciel jednak wie, co mówi, zagrożenie pojawi się właśnie tutaj.

– Jakie zagrożenie? – Czarodziej zmrużył bezwłose brwi.

– Od dwóch dni borykamy się ze Smoszczurami, synku – odezwał się Kostur. – Chyba mocno za tą dzierlatką tęsknisz, skoro przestałeś łączyć fakty.

– To zaś jedyna przełęcz, która prowadzi na południową stronę Gór Grozy, za którymi zniknęli Tuistanie – dokończył Mads. – Jeśli postanowią wrócić, to tędy.

Skalmir pokręcił głową.

– Grubymi nićmi to szyte – mruknął.

– Przynajmniej się nie popruje – stwierdził Kostur.

Siedzący na futrzanej czapie starca kruk zarechotał głośno, Othuk mu zawtórował.

– A ty – Voorten przeniósł spojrzenie na ptaka – nie ciesz się za bardzo, bo zaraz z rozkazami polecisz.

– Cholera – zakrakowało ponuro ptaszysko. – Trzeba było cicho siedzieć.

Mads uśmiechnął się pod nosem, ale gdy dostrzegł Gwaine'a, z miejsca spoważniał. Elf znów spoglądał jak zaczarowany na spękane szczyty Gór Grozy, między którymi nadal wisiała nieprzejrzysta błona.

I ponownie coś za nią przemknęło.

Rozdział szósty

Jeden dzień do Zorzy

Elinaare wykorzystała wszystkie sztuczki i metody znane Smoczym Strażniczkom, ale mimo to Tuistanin uległ dopiero nad ranem.

Wyczerpany, głodny, ranny i zewsząd otoczony przez wrogów, bronił się z podziwu godną zaciekłością, ale kobieta odkryła w sobie wprost nieskończone pokłady siły i zawziętości. Gdy czuła, że ogarnia ją znużenie, odwracała głowę i spoglądała na udrećzonego Bielika, który nadal czuwał przy Naparstek. Jej syn nie zmienił pozycji od chwili, gdy delikatnie ułożył dziewczynę na rozścielonym przez Strzęp kocu. Nachylał się nad nią i ocierał pot z jej rozgorączkowanego czoła, a na jego wymizerowanej twarzy widniała udręka, jakiej Elinaare nigdy dotąd u niego nie widziała.

To wystarczało, by w sercu kobiety na powrót pojawiał się lodowaty ogień zaciekłości. Odwracała się ku Tuistaninowi i na nowo wyteźała umysł, stosując jedną technikę przesłuchań po drugiej.

Kiedyś była w tym dobra. Nie dorównywała oczywiście mistrzyniom takim jak chociażby Oriana, które potrafiły przebić się myślami przez opór przesłuchiwanego w ciągu kwadransa, ale wyciągając informacje, wykazywała się pomysłowością i konsekwencją. Jej myśli umykały co chwila ku Ylli, dzięki której oba magiczne talenty Smoczycich Strażniczek – ogniste pociski i telepatia interrogacyjna – znów znalazły się w zasięgu Elinaare.

Nigdy bym nie uwierzyła, pomyślała raz czy dwa, że los Rozkrzyczanych Krain będzie kiedyś zależeć od tego, czy Strażniczka renegatka zdoła wykorzystać dar pochodzący od samej Smoczycy, by złamać opór swego rodaka.

W końcu osiągnęła sukces.

Spękane, pokrwawione wargi Tuistanina drgnęły i wydobyły się spomiędzy nich pierwsze słowa. Elinaare słuchała cierpliwie, a

następnie zaczęła zadawać pytania, krótkie, proste i zawczasu przygotowane. Potem zadała je ponownie, choć wiedziała, że ofiara, której skruszyła siłę woli, nie potrafi kłamać.

Wstrząśnięta tym, co usłyszała, siedziała nieruchomo i wpatrywała się w waziutki rożek księżycy, powoli sunący w kierunku szczytów gór czarniejszych od nocy. W końcu wstała, rozprostowała ścierpnięte nogi i powoli podeszła do ogniska, przy którym położono Naparstek. Bielik, siedzący z nisko pochyloną głową, wyglądał, jakby wreszcie udało mu się zasnąć. Starając się nie robić hałasu, nachyliła się nad plecakiem syna i wyjęła z niego jaśniejącą białą kulę.

Krzyk, który drzemał przy ogniu, uniósł głowę i spojrzał na nią badawczo. Była Strażniczka położyła palec na ustach, na co wojownik zerknął na dowódcę oraz Naparstek i pokiwał lekko głową.

To, co usłyszała chwilę później od Callestra, potwierdziło jej domysły.

Elianaare odetchnęła i ukucnęła przy synu. Bielik z trudem otworzył oczy i spojrzał na matkę półprzytomnie. Wyprostował się przy tym z trudem, jakby na barkach dźwigał ogromny ciężar, ale ani na moment nie wypuścił dłoni Naparstek z ręki.

– Dunstan – szepnęła kobieta. – Muszę cię opuścić. Wiesz już, że do Żyły dostał się kolejny mag, przypuszczalnie silniejszy od tego, którego pojмалиście? Skradł Skalmirowi kamień...

Bielik pokiwał powoli głową, jakby fakty docierały do niego z trudem.

– Ale to nie wszystko – ciągnęła. – Przesłuchałam tego tutaj, ma na imię Hareigh, i poznałam przerażające fakty, które muszą jak najszybciej dotrzeć do Malhorna.

Jej syn zdawał się budzić.

– Nie uwierzą ci – wychrypiał. – Gluchoborzanie to uparte sukinsyny i dla nich... dla nich wciąż jesteś rudą wiedźmą i Smoczą Strażniczką. Lepiej weź ze sobą tego maga.

– Nie wiem, czy zdołam go upilnować. – Przygryzła wargi. – Złamałam mu silną wolę, ale to wciąż czarownik.

– Weź Strzęp, Krzyka i Buka. Mi tutaj eskorta niepotrzebna. – Bielik znów otarł pot z czoła Naparstek. W blasku ogniska jej bladeść wydawała się niemalże śmiertelna, a twarz sprawiała wrażenie drobniejszej niż zwykle, prawie dziecięcej.

– Dobrze. – Elianaare powstała i ucałowała syna w czubek głowy. – Udamy się więc do Łoskotu, a ty czuwaj. Pomoc w drodze.

Malhorn przymknął oczy i wsłuchał się w ryk rogów.

Mówiono, że wchodzi on w głąb ziemi i przenika góry, by móc dotrzeć do wszystkich wrogów królestwa. Powtarzano również wiele innych bzdur, które miały podnieść rycerzy z Głuchoborów na duchu i sprawić, by poczuli się najlepszymi w Rozkrzyczanych Krainach, ale w tę jedną Malhorn wierzył święcie.

Tego mglistego poranka, gdy w pełnej zbroi dosiadł czarnego jak noc rumaka bojowego i poprowadził swój orszak ku bramom, miał wrażenie, że pieśń dziesiątków prastarych instrumentów przepelnia jego umysł dumą i potęguje stanowczość w sercu. Choć jeszcze dwa dni temu z trudem mógł wsiąść na konia, teraz czuł się silniejszy i potężniejszy niż kiedykolwiek. Świadomość, że po raz pierwszy w życiu staje na czele głuchoborskiej armii i wyjeżdża w pole w słusznej sprawie, była odurzająca i uskrzydająca.

Nie zmieniało to jednak faktu, że umysł króla pracował precyzyjnie. Dokładnie wiedział, co należy zrobić i jak tego dokonać.

Rogi ryczały tak donośnie, jakby dmący w nie mężczyźni pragnęli strzaskać niebo. Zgrzytała otwierana brama, dudnił most pod kopytami licznych wierzchowców. Od gór napłynął silny wiatr, jakby zaciekawiony spektaklem. Targnął końskimi grzywami, poruszył starymi, wyblakłymi proporcami.

Most grzmiał i się trząsł. Malhorn prowadził rumaka w sam środek wrogiej formacji, rozstawionej w czarny, milczący półksiężyc. Wedle ocen jego doradców, w tym samego Turuna, buntownicy mieli niewielką przewagę liczebną. Choć ich armia reprezentowała jedynie dwa rody, dołączyło do nich wielu pomniejszych władyków i przynajmniej jeden oddział najmnej lekkiej kawalerii. Malhorn wyprowadził przeciwko nim drużynę królewską, część załogi miasta oraz orszaki pozostałych Dziedziców.

I w tym upatrywał własnej przewagi. Ruszał do boju jako prawowity król Głuchoborów, zmuszony do walki nie tylko z buntownikami, ale i ze spiskowcami, za plecami mając stolicę, tysiące poddanych i sztandary Dziedziców – Ostańców, Kozioroźców, Trzimirów, Rozłupców i Wichurów.

A poza tym miał plan.

Wilgotna, poranna ziemia drżała pod kopytami setek rumaków, a szare chmury, raz ciężkie, to znów przejrzyste jak niesiona

wiatrem pajęczyna, przesłaniały słońce, jakby chciały mu oszczędzić widoku bratobójczego starcia. Malhorn, wpatrzony w przeciwników, oczami wyobraźni widział, jak żelazne chorągwie rycerskie rozstawiają się pod miastem i pochylają kopie w stronę nieruchomego wroga.

Szkoda, że tego nie widzisz, Mads, pomyślał nieoczekiwanie. Teraz ja jestem ostrzem burzy.

Kontakt, jaki Voorten nawiązał z nim poprzedniego dnia, obudził w sercu władcy nadzieję. Zasiadał na tronie potężnego państwa i mógł się zwrócić z prośbą o radę do Turuna Ostańca czy któregoś z Dziedziców, ale ci, udzielając mu odpowiedzi, zawsze choć po części kierowali się własnym interesem. Madsowi zaś zależało głównie na tym, by nie ucierpieli ci, którzy sobie na to nie zasłużyli.

Malhorn od miesięcy szykował się do zgniecenia buntowników i liczył na to, że uda mu się osiągnąć nad nimi przewagę. Jego fortel się nie powiódł, a teraz został zmuszony rzucić wrogom wyzwanie przed murami własnej stolicy. Nie był na to gotowy, tym bardziej że jednocześnie musiał myśleć o innym, znacznie poważniejszym wrogu. Świadomość, że może liczyć na przekłętego Voortena, sprawiała, że było mu lżej na duszy.

– Hufce sprawione, Wasza Królewska Mość – zagrział Turun, który pomimo dostojnego wieku nie miał zamiaru wymigiwać się od walki.

– Dobrze. – Malhorn dłonią w stalowej rękawicy gniótł wodze, a drugą wspierał o rękojeść rodowego miecza z żywej stali. – Pora uciąć sobie pogawędkę z tymi durniami. Pojedziesz ze mną, možny?

– Będę zaszczycony, panie. – Ostaniec uklonił się lekko.

– Czyżby? – parsknął władca. – Mchakom śmierdzi z gąb, a Głazińce nie potrafią sensownego zdania sklecić.

Turun zaśmiał się krótko.

– Trzymir, pojedziesz z nami – polecił król. – Może się czegoś nauczysz.

Znów zagrzmiały rogi, dostojnie, wyzywająco. Malhorn dotknął lekko piętami końskich boków, a jego rumak wystrzelił ku wrogim szeregom. Turun Ostaniec i Waligóra Trzymir pognali za nim.

Od hufca buntowników również odłączyło się trzech jeźdźców. Władca był przekonany, że przyjdzie mu rozmawiać z Torianem z Mchaków i Hogalfem Głazińcem, których nie znosił z wzajemnością, oraz z młodym, niedoświadczonym, ale za to

przesadnie aroganckim synem Głazińca, Aldanem, którego nie umiał traktować poważnie. Czekająca go rozmowa zapowiadała się na bardzo trudną, zwłaszcza że Malhorn jechał ku wrogom z osobliwym postanowieniem. Wbrew głuchohorskiej tradycji uznał bowiem, że zrobi wszystko, by uniknąć bitwy.

Nie żeby szczególnie się przejmował losem buntowników. W historii Głuchohorów krwawe rozprawy między rodami wcale nie należały do rzadkości i Malhorn, głuchohorski szlachcic z krwi i kości, w pełni rozumiał konieczność pokarania wichrzycieli. Gdyby nie świadomość, że zbuntowane rody zostały omotane, a prawdziwe zagrożenie czai się gdzieś indziej, nie miałby żadnych, nawet najmniejszych skrupułów. W zaistniałej sytuacji jednak należało przemówić tym durniom do rozumu.

A był tylko jeden na to sposób – musiał poprzeć nadal niekompletne fakty siłą swej perswazji.

Przywódcy buntowników wryli swe rumaki i zastygli w oczekiwaniu, Hogalf założył nawet ramiona na pierś, chronioną przez starożytną zbroję. Król zrobił lekki zwrot i zatrzymał rumaka bokiem do nich.

– Książę Malhorn – powitał go Torian z szyderczą miną. Był wysokim mężczyzną w sile wieku, ale wychudła twarz i wystrzępiona broda dodawały mu lat. – Odważyłeś się wyjechać z miasta bez asysty swej smoczy? –

– Odesłałem ją – warknął Malhorn. – Byś się, Mchak, ze strachu nie posrał. A ponadto jestem twoim królem, a nie księciem.

– To – parsknął pobladły z gniewu arystokrata – przyjdzie nam dzisiaj ustalić.

– Ustalić? – Monarcha splunął na ziemię z obrzydzeniem. – Niczego nie będę z tobą ustalał, głupcze! Ty jesteś dla mnie niczym od chwili, gdy wbito ci do łba pomysł tego niedorzecznego buntu! Wszystko, co powiem – popatrzył na Aldana Głazińca – kierować będę do tego oto człowieka.

– Możesz mówić do mnie. – Aldan przechylił lekko głowę. – Możesz też wsadzić łeb do cebra i tam wyrzeszczyć wszystko, co cię dręczy, książę. – Złośliwie położył akcent na ostatnie słowo. – Skutek będzie ten sam.

Malhorn widział Aldana zaledwie kilkakrotnie. Wszystko w tym młodzieńcu budziło jego odrazę. Mówił piskliwym, nieprzyjemnym głosem, który przenikał przez każdy gwar i drażnił królewskie uszy do żywego. Jego lekko wylupiaście, zielone oczy były osobliwie mętne, więc nie szło wybadać, co naprawdę myśli, a brak zarostu

i blada cera sprawiały, że wydawał się znacznie młodszy niż w rzeczywistości, przez co łatwo go było zlekceważyć. Na domiar złego Aldana otaczała atmosfera wrodzonej arogancji i buty, co tylko potęgowało niechęć.

– Ten sam? – Król uśmiechnął się z udawanym smutkiem. – Twój ojciec i przywódca Mchaków to przeszłość Głuchoborów. Gdybym miał wiązać nadzieję na sojusz z którymkolwiek z was, wybrałbym ciebie, Aldan.

– Chcesz namieszać chłopakowi w głowie? – odezwał się Mchak. Wiatr unosił jego rzadką brodę. – W obecności jego ojca? Niezły masz tupet, Malhorn.

– Nie chcę nikomu namieszać w głowie – odparł władca. – A już z całą pewnością nie w twojej, bo przez pokłady twej durnoty bez taranu człowiek się nie przebije. Próbuje dociec, czy młodemu zostało jeszcze choć odrobinę zdrowego rozsądku.

– Mam go więcej, niż ci się wydaje – prychnął pogardliwie Aldan. – Wystarczająco, by dostrzec prawdę. Tę zaś zawrzeć można w kilku zdaniach. Nasze królestwo odrodziło się po wieku niewoli i nie stać nas na to, by przewodził nam król tak młody i tak... – skrzywił się z niesmakiem – podatny na choroby.

– Nikt nie uwierzy w króla, za którym wlecze się tak okropny pech – dodał Mchak. – Najpierw choroba, a potem tragedia, która dotknęła to miasto... Ilu niewinnych ludzi właśnie zginęło pod twoimi rządami, Malhorn? Ilu pochłonęła ta przepaść? Setki? A może tysiące?

– Nikt nie uwierzy w króla, który wcześniej dogadał się z przebrzydłymi krasnoludami, a swe rządy wzmocnił sojuszem z zasmarkaną smoczycą, potomkinią bydłęcia, które nas niewoliło – wycedził z nienawiścią młody Głazinieć.

– A do tego, miast dbać o interesy królestwa w byłej Dzielnicy Centralnej, wolał się sprzymierzyć z renegatem Voortenem i urządzić dzikie harce po górach – wyrzucił z siebie Hogalf.

Malhorn przeniósł na niego wzrok i znów poczuł dreszcz, jak zawsze, gdy spoglądał na głowę rodu Głazińców. Hogalf był bowiem niemalże bliźniaczko podobny do swego rodzonego brata Gulvarda, który przewodził niefortunnej delegacji do Brzasku, co przypłacił życiem. Władca znał okoliczności jego śmierci i żywił przekonanie, że Gulvard, którego zresztą nie znosił, w pełni sobie na nią zasłużył. Spojrzenie jego brata, lodowate i aż drżące od z trudem powstrzymanej nienawiści, sugerowało, że ma całkowicie odmienne zdanie na ten temat i cokolwiek by dziś

usłyszał, nie poprzestanie, póki nie przejmie korony z rąk człowieka, którego uważał za zdrajcę.

To zaś oznaczało, że musiał kontynuować wywieranie presji na młodego Głazińca.

– Dobrze, żeście przyjechali we trzech – stwierdził ironicznie król. – Jeden nie dałby rady tego wszystkiego spamiętać. Mówił ci ojciec – ponownie wbił wzrok w Aldana – o ludziach, którzy się z nim skontaktowali parę miesięcy temu? Podali się za przedstawicieli starych, niemal wymarłych rodów i mówili znakomicie po głuchoborsku, a wszelkie wątpliwości co do ich tożsamości zniknęły na widok złota, którymi byli skorzy się dzielić.

Rybie oczy młodego Głazińca pozostały absolutnie nieruchome.

– Ostatnimi czasy przyjmowaliśmy na swoich dworach wielu niezadowolonych z twoich rządów – zauważył ze wzgardą Hogalf. – Bywali i tacy, którzy gotowi byli oddać nam cały swój majątek, jeśli zgodzimy się odebrać ci władzę!

– A jak ci się żyje ze świadomością, że byli wśród nich Tuistanie? – spytał król.

Hogalf prychnął i pokręcił głową, a Torian zaśmiał się sucho.

– Chyba nie wydobrzałeś do końca, Malhorn – oświadczył Torian. – A w tym stanie walka nie ma sensu. Nie ma żadnej chwały w pokonaniu chorowitego szaleńca. Oddaj koronę i wracaj do łóżka, co?

– Tuistanie odeszli – westchnął Aldan z miną, którą przybiera znużony rodzic w rozmowie z wyjątkowo mało roztropnym dzieckiem. – Przegnaliśmy ich i uciekli.

– Dokąd? – dążył Malhorn. – Szli wzdłuż południowego krańca Gór Grozy i co dalej? Dokąd dotarli? Fakt, nie śledziliśmy ich długo, gdyż trzeba było się zająć Jaszczurem i Bękartami. Nie słyszeliście o Bękartach? – Udał zdziwienie. – Nie wiecie o drugiej bitwie o Brzask? Cóż, nie dziwię się. Pewnie byliście bardzo zajęci szarpaniną o miedzę. – Ponownie spojrzął na Aldana. – Ja w każdym razie, jak na chorowitego szaleńca przystało, uczestniczyłem w pokonaniu Jaszczura od początku do końca – cedził z narastającą złością. – Mając na celu przyszłość zarówno waszą, jak i całego królestwa, dodam. W związku z tym, że Bękarty sprawiły nam mnóstwo kłopotu, odpuściliśmy sobie śledzenie Tuistan, przez co nie mam pojęcia, dokąd się udali. Wiemy tylko tyle, że w Rozkrzyczanych Krainach ich nie ma. Widno znaleźli sposób, by się stąd niepostrzeżenie wynieść. Dlaczego więc nie mieliby równie ukradkowo wrócić? Tym bardziej

że nie ma już Króla-Wieszczka! Smoszczurami włada Królowa-Wieszczka, co, jak widzicie, oznacza zmianę w ich polityce! Teraz, skoro Smoczyca nie żyje, usiłują nas podgryźć od dołu.

– Królowa-Wieszczka? – Mchak uniósł brwi.

– Bredzisz, Malhorn – skwitował stary Głazinieć.

– Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać do końca?! – huknął Malhorn. – Boisz się tego, co chcę powiedzieć? Boisz się, że zgromadziłem dowody na twoją zdradę?

– Zebrałem armię, by odebrać ci władzę – powiedział Hogalf z udawanym zmęczeniem; jego oczy nadal błyszczały nienawiścią. – W twojej szalonej jaźni być może w istocie wygląda to na zdradę, ale kieruje mną tylko troska o Głuchobory.

– Chwyciłeś za broń dlatego, że ciebie i Mchaka zmanipulowali wysłannicy Tuistan, którzy na powrót przemknęli do naszego świata! – Monarcha mówił głośno, z gniewem, jakiego dawno nie czuł. – Sukinsyny nie zrezygnowały z Rozkrzyczanych Krain i najwyraźniej zależy im na tym, by w Głuchoborach zapanował chaos. Kiedy bowiem skupimy się na wrywaniu sobie korony, oni przeprowadzą własne zamysły. Mam dowody na to, że ryją na południe od Łoskotu! – Wskazał drżącym palcem kierunek.

– Ryją? – spytał z niedowierzaniem Aldan, jakby na moment zapomniał, że ma lekceważyć wszystkie słowa padające z ust króla-uzurpatora.

– Zniewolili plemię podziemnych istot zwanych Światłożercami! – krzyczał Malhorn. – I przekopują się przez podziemia, by dostać się do krasnoludzkiego Węzła! Sukinsyny uprawiają własne gierki naszymi rękami! Co ja mówię... Naszymi? To wyście, durnie, dali im się zmanipulować!

– Dość już tych bredni. – Mchak patrzył na króla z politowaniem. – Cud, że zdołałeś swoich przydupasów przekonać. – Zerknął na Ostańca i Trzimira i pokręcił głową.

– Poddaj się, Malhorn – dodał Głazinieć. – Oszczędź sobie tych konwulsji.

– Lub przekaz dowody na to, co powiedziałeś – rzekł Aldan.

Hogalf spojrział na syna z zaskoczeniem.

– Dowody – mruknął władca. – Dowody... A co sobie życzysz ujrzeć, Aldan? Mam cię osobiście do owej dziury zaprowadzić? A może przywlec ci tu któregoś z tych jegomości, z którymi twój stary postanowił królestwo przehandlować?

– Życzyłbym sobie ujrzeć cokolwiek, co potwierdzi twoje słowa – oświadczył chłodno młody arystokrata.

– Cokolwiek konkretnego – dodał jego ojciec. – Bo na twoją histerię nie mamy czasu.

Malhorn zacisnął zęby.

– Tylko dureń rzuca się na sąsiada, gdy w lasach czai się wróg! – wyrzucił z siebie drżącym z emocji głosem.

– Czyli nie ma dowodów. – Torian Mchak pokiwał głową z udawanym zrozumieniem.

– Ostatnie! – zawołał stary Głaziniac. – Przekonaj swojego króla do złożenia broni. A potem wspólnie zasiądziemy do stołu i zastanowimy się, co z tym bajzłem zrobić.

Wypowiadając ostatnie słowa, zawracał już wierzchowca. Pozostali poszli w jego ślady.

– Stójcie! – krzyknął Waligóra Trzimir.

Mchak odwrócił się ze wzgardliwą miną.

– Co, Trzimir? – prychnął. – Trzeba coś powiedzieć, bo nie wiadomo, kiedy znów pojawi się okazja, by zabrać głos wśród dorosłych?

Waligóra nie zareagował na drwinę i patrzył za siebie, na szeregi obrońców stolicy. Spomiędzy drużyn Trzimira i Koziorożca wypadła na pędzącym rumaku kobieta o ciemnorudych włosach, a za nią kilkoro wojowników. Malhorn od razu zauważył, że jadący obok niej mężczyzna, roślejszy od pozostałych, jest spętany i chwije się w siodle.

– To ona, panie! – zawołał zaskoczony Waligóra. – Jak wyście ją zwali?

– Elinaare – szepnął władca. – Stój, Głaziniac – odezwał się głosem ochryplym jak ocierające się o siebie skały. – Ty też, Mchak.

– Bo co? – prychnął Torian.

– Bo tak ci właśnie, kurwa, kazałem. Królem twoim jestem! – zagrział Malhorn.

Elinaare nadjeżdżała szybkim galopem. Sierść jej konia parowała w chłodzie poranka, a z jego pyska kapały płaty piany. Malhorn poznał, że kobieta trzyma się w siodle tylko dzięki sile woli. Twarz miała zakrwawioną i brudną, włosy potargane i posklejane, ale z jej oczy szły iskry. Jedną ręką trzymała wodze, a drugą zaciskała na sznurze, którym spętano mężczyznę.

Malhorn domyślił się, że towarzyszący jej wojownicy należą do Widmowego Zagonu, ale więźnia nie rozpoznawał. Mimo to poczuł przypływ irracjonalnej nadziei.

– Zawracanie głowy – burknął stary Głaziniec i znów ponaglił konia.

– Stój! – huknął na niego Malhorn z iście królewskim autorytetem.

Buntownik zatrzymał konia i spojrzął na monarchę; jego oczy pały wzgardą i nienawiścią

Kilka uderzeń serca później była Strażniczka wtargnęła między obie grupy i wryła konia. Ześlizgnęła się z siodła, po czym gwałtownym szarpnięciem ściągnęła spętanego na ziemię. Ten wylądował na boku, przygniatając sobie ramię, i jęknął rozdzierająco. Malhorn zdążył dostrzec wynędzniałą, wręcz wyniszczoną twarz z zapuchniętymi oczami, ale zaraz skupił pełnię uwagi na kobiecie. Elinaare, niewyobrażalnie wprost zmęczona, przywozowała na myśl wojowniczkę, która jako jedyna przebiła się przez szeregi wroga, by móc przekazać wiadomość. Emanowała osobliwym połączeniem zawziętości, furii i desperacji.

– Wasza Królewska Mość – wycedziła, ponownie pociągając za sznur. – Przedstawiam ci niejakiego Hadreigha, maga i ważnego członka tuistańskiej grupy sabotażystów, który nadzorował masy Światłozerców drażące Węzeł.

Szarpnęła jeszcze raz i zmusiła czarownika, by powstał.

– Mów! – syknęła. – Powiedz królowi Głuchoborów to, co mi zdradziłeś.

Twarz więźnia była pomazana zaschniętą krwią i brudna od pyłu. Hadreigh co chwila mrugał, jakby pył dostał mu się do oczu, przez co sprawiał wrażenie, że nie do końca wie, gdzie się znajduje. Zataczał się przy tym jak pijany i byłby upadł, gdyby Elinaare w ostatnim momencie nie złapała go za ramię.

– Mówże – powtórzyła po tuistańsku.

– A to co znowu za przedstawienie? – spytał z niesmakiem Mchak. – Będzie kalać moje uszy tą przekłętą mową?

– Ja cię pamiętam! – Stary Głaziniec wycelował palec w Elinaare. – Ty jesteś tą tuistańską wiedźmą, która zagarnęła Brzask. Pieprzona zdrajczyni...

– ...która zrobiła więcej, by pokonać Jaszczura, niż ty i twój brat – zauważył ze złością Malhorn, a potem wbił spojrzenie w więźnia.

– Mówże – rzekł po tuistańsku. – Po co wam to wszystko? Po co usiłujecie się przebić do Węzła?

Głuchoborscy arystokraci z grubsza znali ten język, na tyle by móc porozumiewać się z earlami, najwyższymi przedstawicielami arystokracji tuistańskiej, którzy przez ostatnie stulecie władali

Głuchoborami. Swą pogardę do najeźdźców i ich języka wyrażali choćby tym, że nie przestrzegali zasad gramatyki, a wymowę świadomie kaleczyli. Spętany mówił niewyraźnie, ale mimo to nie było wątpliwości, że Elinaare cisnęła pod nogi króla człowieka, który tuistańskim władał od urodzenia.

– Chcemy odnaleźć Żyłę, która... która prowadzi do Jesiennicy – wymamrotał, chwiejąc się. – Znamy mapy. Mamy je od... od napadu na Zgrozę. – Wyrzucał słowa coraz szybciej, jakby marzył tylko o tym, by koszmar wreszcie minął. – Zdobyliśmy wszystkie. Wiemy, gdzie kopać. Potrafimy... potrafimy zmusić ślepaki, by nam służyły. Niewiele brakuje. Bardzo niewiele...

– A teraz wyznaj Jego Wysokości, dlaczego chcecie się wdrzeć do Jesiennicy – zasyczała Elinaare. Jej oczy ciskały błyskawice.

– Musimy zdobyć wichrogórskie kamienie... To jedyne, co nas może powstrzymać... Jedyne, co zagrozi Królowej-Wieszczce. Tylko to... – bełkotał mag.

Malhorn zacisnął powieki. Czuł, że elementy układanki powoli wskakują na swoje miejsca i coraz mniej pytań pozostaje bez odpowiedzi. Na moment zapomniał o obecności buntowników, a gdy ponownie otworzył oczy, na jego ustach pojawił się bardzo nieprzyjemny uśmiech.

– Pytałeś o dowody. – Popatrzył na młodego Głazińca. – Rozumiem, że możemy zajrzeć do jaskini, z której wywlekleś to ścierwo, Elinaare?

– Nie – wychrypiała kobieta. – Chyba że chcesz się spotkać z drugim z tuistańskich czarodziejów, niejakim Tarvanem. Tym, który skradł kamień Skalmirowi!

Władca poczuł, jakby ktoś dźgnął go w bok zaostrzonym soplem. Z najwyższym trudem utrzymał zarówno krzywy uśmiech, jak i wzrok wbity w Aldana.

– Czyli jednak nie ma dowodów! – warknął Mchak i machnął lekceważąco ręką. – Pograżasz się, Malhorn! Jestem za stary, by uwierzyć w przedstawienie z jakimś Smoszczurem i sprzedaną zdzira, która rozkładała nogi przed Voortenem! Dostyc już tej maskarady...

Któryś z koni zarżał nagle, a inny targnął łbem, wyraźnie przestraszony. Rumak Waligóry o mało go nie zrzucił. W szeregach obu armii pojawiło się nieoczekiwane zamieszanie, a wtedy ziemia się zakołysała i skądś dobiegł stłumiony ryk. Malhorn usłyszał krzyki przerażonych ludzi i z przestachem popatrzył na mury Łoskotu, ale te trwały niewzruszenie.

– Ów Tarvan ma wichrogórski kamień? – spytał ochryplym głosem, spoglądając na spętanego Tuistanina.

Hadreigh pokiwał głową i osunął się na kolana.

– Smoszczury skłoniły was do buntu przeciwko mnie, byście, durnie, patrzyli w innym kierunku, gdy sięgną po władzę w Rozkrzyczanych Krainach – stwierdził król z mściwością w głosie, a następnie spojrzął na Aldana. – Przeszłość i przyszłość – powiedział niemalże bezgłośnie.

Ale młody Głaziniac go usłyszał.

Na bladej twarzy Aldana nie było widać żadnych emocji, kiedy jego dłoń opadła na rękojeść krótkiego toporka.

A potem rąbnął nim prosto w twarz Toriana Mchaka.

*

Bielik rozchylił powieki, całkowicie zaskoczony niespodziewanym hałasem.

Wypuścił dłoń Naparstek i odruchowo rozejrzał się za bronią. Nie miał przy sobie miecza i nie przypominał sobie, gdzie go zostawił. Dwa, może trzy uderzenia serca później dostrzegł go wraz z pasem przy całkiem już wygasłym ognisku. Wiedział jednak, że nie zdoła do niego dopaść.

Jak oczarowany wpatrywał się w rozgrywającą się przed nim scenę.

Stworzenie przypominające ogromnego, puszystego kota z nieco wydłużonym pyskiem i skośnymi oczami wpatrywało się w niego intensywnie i co rusz obracało łeb to w jedną, to w drugą stronę, a jego długie, orle skrzydła rozchyłały się powoli. Istota, widząc, że skupiła na sobie pełną uwagę człowieka, rozłożyła nagle skrzydła na całą szerokość, czemu towarzyszył trzask równie głośny jak ten, który przed momentem obudził Bielika.

Dym znad ogniska zafalował. Młodzieniec z trudem powstrzymał odruch cofnięcia się.

Istota wywaliła różowy język i zmrużyła ślepią. Wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną, a siedzący na jej grzbiecie jeździec gładził ją po łbie dłonią w skórzanej rękawicy.

Wtedy rozległo się kilka słów w nieznanym Bielikowi, zgrzytliwym, nieprzyjemnie brzmiącym języku. Z każdą chwilą rejestrował nowe szczegóły, jak choćby to, że sylwetkę podobnego do kota stworzenia oplata mocna, skórzana uprząż, a na jego grzbiecie znajduje się wysokie siodło. Właśnie zsuwał się z niego

jeździec, o wiele niższy od człowieka, ale za to o karykaturalnie szerokich ramionach. Miał na sobie grubą kurtkę z kapturem, a jego oblicze przesłaniał szal, ale młodzieniec od razu odgadł, że ma naprzeciwko siebie krasnoluda.

– Wybacz memu rumakowi – odezwał się przybysz poprawnym, lecz źle akcentowanym głuchoborskim. – Ma paskudne poczucie humoru. Ty jesteś Bielik.

– Tttak – wymamrotał chłopak.

Podczas Drugiej Burzy nieraz widywał krasnoludy i ich gryfy, ale nadal nie mógł się otrząsnąć po nagłym pojawieniu się jeźdźca.

– To nie było pytanie – mruknął krasnolud. – Widziałem cię parokrotnie. Służyłeś Voortenowi.

– Nikomu nie służyłem! – parsknął młodzieniec, powoli odzyskując rezon.

– Tak to w każdym razie wyglądało. – Przybysz ukucnął przy ogniu, zebrał nieco chrustu i ułożył pośród popiołu. – Zresztą nieważne. Kto by was, ludzie, zrozumiał. To ta kobieta, która jest dla ciebie ważna? – Dłoń w grubej rękawicy wskazała nieprzytomną Naparstek.

– Tak! – wykrztusił Bielik, nie spuszczać z krasnoluda wzroku. – O co tu chodzi? Czego tu szukasz?

– Tego, co moje. – Przybysz zmrużył oczy. Jego tęczęwki były ledwie widoczne na tle białek. – Twoja matka o wszystkim mi opowiedziała. Nazywają mnie Callestr i to ja z was wszystkich zostałem najdotkliwiej okradziony. Na szczęście wiem już, kto wyciągnął łapy po nasze skarby. Zbieraj się, chłopcze.

– Dokąd mam się zbierać?! – huknął Bielik, w pełni odzyskawszy panowanie nad sobą. – Nigdzie nie idę! Muszę zostać przy Naparstek!

– Gównu się jej przydasz – stwierdził Callestr. – Chyba że nagle wykształciłeś w sobie moce uzdrowicielskie. Moi kompani się nią zajmą. – Wskazał palcem w górę.

Bielik ujrzał kolejne gryfy, kołujące na tle nieba.

– Nie masz narodu, który lepiej dba o tych, co ocalili – szepnął krasnolud z mocą. – Nie masz też takiego, który lepiej okazuje wdzięczność. Gryfy natomiast zatroszczą się o każdego, kto spróbuje zrobić jej krzywdę. Twoja kobieta jest bezpieczna. Zbieraj się. Idziemy pod ziemię.

I wtedy świat zakołysał się i zadudnił.

Mads patrzył w niebo.

Od szczytów Gór Grozy nadchodziły ciężkie, szare chmury i zdawać by się mogło, że nie ma na świecie wichrów, które mogłyby się przez nie przebić. Dla Voortena oznaczało to złe nowiny. Takie chmury bowiem z całkowitą pewnością niosły deszcz.

Westchnął ciężko i dorzucił do ognia, który strzelił wyżej, nieświadomy, że za chwilę jego płomienie przygasną pod naporem strug wody.

– Miałeś opowiadać, co się dzieje, synku – przypomniał mu Kostur, pochylając się ku palenisku i grzejąc nad nim sękatę dłoń.

– Nic się nie dzieje – oświadczył Mads i raz jeszcze spojrzął na szczyt najbliższego wzgórza, na którym Skalmir i Gwaine stali nieruchomo i wpatrywali się tam, gdzie jeszcze niedawno rozciągała się szara błona, teraz przesłonięta chmurami. – W każdym razie nic od czasu owego wstrząsu.

Nie miał pojęcia, jak tłumaczyć drżenie, które przebiegło przez ziemię kilka godzin temu, ale gdyby potrzebował dowodu na to, że w Głuchoborach dzieje się coś niedobrego, wystarczyłoby mu to w zupełności. Doświadczał trzęsien ziemi lata temu, gdy w Rozkrzyczane Krainy uderzyła seria kataklizmów zwana Końcem. Ludzie mądrzejsi od niego mówili później, że wszystkie te straszliwe wydarzenia były skutkiem zakłóceń w równowadze wywołanych pojawieniem się Jaszczura i śmiercią Smoczycy.

Mads miał nadzieję, że nie przyjdzie mu przeżywać kolejnego Końca.

– A te dwa cudaki ciągle tam stoją? – spytał Kostur.

– Stoją.

– A Otluk ciągle robi głupie miny?

– Nie przestaje.

Otluk, który od czasu do czasu nachylał się nad ogniskiem, by dorzucić do niego drwa bądź zamieszać w kociołku, uśmiechnął się szeroko, jak zwykle, gdy ktoś wspomniał jego imię.

Stary uzdrowiciel sapnął gniewnie, owinął się ciasniej kocem i burknął:

– Nie podoba mi się to wszystko.

– Wiem – westchnął Mads. – Mielicie dotrzeć do Łoskotu, a ty miałeś się zająć Malhornem. Sęk w tym...

– Kiedy ja nie o tym – przerwał mu Kostur i pociągnął głośno nosem. – Na deszcz się zbiera, a ja nie lubię moknąć.

– Deszcz. – Otluk spojrział ze zgrozą w niebo.

– Skoro siedzimy sobie przy ogniu i gadamy o pogodzie, możemy uważać się za szczęściarzy – oznajmił Voorten z przekąsem. – Inaczej wyglądały nasze rozmowy przy ogniu kilka lat temu.

– Inaczej. – Starzec pokiwał głową. – Opowiadałeś o różnych rzeczach. O miłości, o nienawiści, o tęsknocie. O pogodzie raczej nie.

– Mieliśmy ważniejsze sprawy na głowie – prychnął Mads. – Na przykład przyszłość Rozkrzyczanych Krain.

– Właśnie – przytaknął Kostur. – A nie sądzisz, synku, że to, co wyczyniają te dwa cudaki, ma coś z przyszłością wspólnego?

Mads przeniósł spojrzenie na elfa i człowieka. Obaj stali absolutnie nieruchomo, najwyraźniej obojętni na wiatr, który targał ich szatami, i na resztę świata. Voorten, któremu surowo przykazali, by im pod żadnym pozorem nie przeszkadzał, wzruszył ramionami.

– Pewnie ma – odparł i z nudów tracił kijem płonące bierwiona. – A nie zastanawia cię, stary, co my tutaj właściwie robimy? Przejechałem z Gwaine'em całą drogę z Pustaci i parokrotnie próbowałem pociągnąć go za język, ale dowiedziałem się tylko tyle, że pasuje do jego planu.

– Planu? – zdziwił się stary.

– Tak – potwierdził Mads. – Gwaine obwołał się strażnikiem równowagi Rozkrzyczanych Krain, która jego zdaniem znowu znalazła się w niebezpieczeństwie. Istnieje wiele dowodów na to, że rzeczywiście kroi się coś cuchnącego, i nie wiem, czego ten przekłety elf właściwie ode mnie chce. – Odłożył kij i splótł dłonie, z zadumą spoglądając na rozległą, bezludną równinę porośniętą żółtawymi, kołyszącymi się trawami. – Jak on to mówił? Usłyszał w tych swoich wizjach rozkazy wypowiedane przez kobietę, ujrzał smoczą łuskę i zbrojne szeregi, po czym uznał, że wygląda to na robotę dla mnie – dodał i zaśmiał się głucho.

– Myślisz, że zanoszą się na kolejną wojnę? – spytał uzdrowiciel.

– Niczego nie wykluczam. – Voorten wyprostował się i z trzaskiem wyłamał palce, a potem rozejrzał się po okolicznych wzgórzach. – I jestem pewien, że jeśli Smoszczury się pojawiają, uczynią to właśnie tu. – Uśmiechnął się krzywo.

– Kto by pomyślał, że nasz Gwaine taki łeb ma – mruknął Kostur. – Wygląda na to, że utkał niezły plan. A ja go za szajbusa

miałem.

– Sam w tym nie jesteś. Poczekamy, zobaczymy. Osobiście nie mam najmniejszej ochoty na kolejną wojnę, ale jeśli się okaże, że niepotrzebnie wyciągnął mnie z Pustaci, usłyszysz ode mnie to i owo. – Mads zgrzytnął zębami.

Szósty zmysł, który pozwalał mu wielokrotnie wymykać się niebezpieczeństwu i układać wprost nieprawdopodobne plany bitew, podpowiadał, że coś wisi w powietrzu. Nienazwany niepokój sprawiał, że co rusz przesuwał wzrokiem po szczytach wzgórz, jakby się obawiał, iż w każdej chwili ujrzy na nich sylwetki wrogich jeźdźców.

Otoczała ich jednak cisza. Ogień trzaskał, wiatr świstał, konie skubały trawę. Otluk mamrotał do siebie.

– Ja do niego pretensji nie mam – bąknął starzec. – Bo mnie, wyobraź sobie, z Brzasku wyciągnęła Lharsin. Rzeknij mi, co ona taka marudna się zrobiła? Ciężko gada ino: pan pułkownik powiedział mi to, a potem powiedział tamto, a potem krzywo na mnie spojrział...

Rozległ się głośny trzepot skrzydeł. Wszyscy trzej zadarli głowy. Na ziemi tuż obok Madsa wylądował kruk.

– Długo cię nie było – zauważył Voorten, patrząc na ptaka spod uniesionych wysoko brwi. – Jakaś ciekawa padlina się trafiła?

– No co ty? – odparł ptak piskliwym jak na siebie głosem i odskoczył w tył. – Ja... ja z ważnymi wiadomościami przybywam! – oświadczył i dumnie uniósł łebek.

– No to opowiadaj. – Mads uśmiechnął się krzywo. – Jakie to wiadomości?

– Po pierwsze, wiem już, skąd się wzięło to drzenie. – Kruk zafalował rozpostartymi skrzydłami. – No, wiecie chyba, o czym mówię? – zaniepokoił się. – Ziemia wam zadygotała parę godzin temu. Konie wam się spłoszyły, a ten żywy truposz o mało z siodła nie zleciał!

– No, pamiętam. – Voorten zmarszczył brwi. – Mów.

– Jakaś godzinę lotu stąd w stronę Łoskotu pojawiła się w ziemi ogromna dziura. Ogromna, mówię wam! – Ptaszysko przemawiało z emfazą, robiąc trzy kroki w jedną, to znów w drugą stronę. – Tego waszego obsmarowanego smoka byście tam wcisnęli, a starczyłoby jeszcze miejsca na konie. I na mnie!

– Ciekawe – mruknął Mads i pożałował, że nie może się porozumieć z Gwaine'em.

– Ciekawe? – Ptak podskoczył. – Poczekaj więc, aż ci opowiem resztę! Nigdy nie odgadniesz, kogo zauważyłem kolejne pół godziny lotu dalej! No po prostu nigdy, przenigdy nie zgadniesz!

– Dawaj.

– Otóż. Za. Wzgórzami. – Kruk cedził słowo po słowie, przeciągając oczekiwanie. – Zauważyłem. Nikogo. Innego. Jak. Tylko...

I wtedy świat się rozpruł.

Dosłownie.

Gdzieś za gęstymi, nieprzeniknionymi chmurami rozległ się trzask przypominający uderzenie pioruna, ale cichszy i dłuższy, jakby nieznaną potęgą pochwyliła rzeczywistość za skraj i rozszarpała ją jednym ruchem. Voorten instynktownie się poderwał. Spojrzał na chmury, ale te zazdrośnie skrywały swój sekret. Zauważył natomiast, że Skalmir się zatoczył, a Gwaine poruszył gwałtownie rękami, jakby usiłował zerwać gałąź nad swoją głową.

Naraz masyw chmur został rozerwany przez ogromny kształt.

Wielki smok leciał, koziołkując, ku ziemi. Oszupiały Mads patrzył na wijący się węzowy ogon, ogromne błoniaste skrzydła, którymi potwór tłukł rozpaczliwie, by uniknąć zderzenia, i rozcapierzone szponiaste łapy. Zdawało się, że tuż nad ziemią smok odzyskał panowanie nad ciałem. Uderzył mocno skrzydłami, a pęd powietrza zdmuchnął ognisko i zrzucił Kosturowi czapę, ale wtedy Gwaine wykonał jeszcze jeden gest, tym razem przypominający gwałtowne wyciągnięcie liny z wody, i smok rąbnął brzuchem o ziemię, aż poniósł się pył.

– Na flaki Smoczycy! – wrzasnął Mads i przeniósł spojrzenie na pobladłego elfa. – Szkoda, Kostur, żeś tego nie widział.

– Ogromna, synku – wymamrotał oszołomiony uzdrowiciel i nasadził sobie czapę podaną mu przez Otluka. Odwrócił niewidzące, białe oczy w stronę źródła hałasu. – Ogromna. A dałbyś radę mnie wtajemniczyć?

– Nie wiem, jak to opisać! – zawołał podekscytowany Voorten. – Zdaje się, że te dwa cudaki, jak ich nazywasz, właśnie wyszarpnęły skądś smoka!

Starzec, potykając się, ruszył w stronę Madsa, który złapał go za ramię.

– Skądś?

– Przyznaję, że to wszystko mnie przerasta! – oznajmił Voorten.

– Miejmy więc nadzieję, że nasze cudaki wiedzą, co robią – rzekł uzdrowiciel. – Tak czy owak, Otluk, chwyc no za młot, bo masz ponoć ku temu dryg, co?

Osilek skwapliwie pokiwał głową, posłusznie chwycił za broń, zerwał się i stanął obok Madsa. Gdzieś rżały przestraszone konie, nad głowami kołował kruk.

– No, co tam się dzieje? – spytał Kostur nieco zrzędlivym, ale spokojnym głosem, jakby chciał usmierzyć niepokój Voortena. – Ruszył się ten smok?

– Nie – odparł Mads. – I może lepiej, żeby tak zostało.

Naoglądał się w życiu smoków i potrafił celnie ocenić ich potencjał bojowy. Przybysz był niemalże tak potężny jak Lharsin, ale znacznie smuklejszy. Miał też dłuższe skrzydła, co przy bardziej opływowych kształtach mogło dać mu przewagę w walce powietrznej lub podczas atakowania z góry. Voorten patrzył na długi, mocny ogon, zdolny jednym machnięciem rozpedzić szarżę kawalerii, na łapy, muskularne, zwieńczone długimi pazurami, na tyle silne, by rozbić mur obronny, i smukły łeb na długiej szyi, gotów uderzać na odległość wielu kroków. Potwór przerastał rozmiarami każdego Bekarta i większość Smocząt, które Mads widział w trakcie obu Burz.

Skupił uwagę na łbie bestii. Ten nadal kołysał się na boki i obracał gwałtownie to w jedną, to w drugą stronę, jakby smok usiłował się otrząsnąć. Pokryty łuskami, nierówny grzebień podnosił się i opadał, co sprawiało wrażenie, jakby istota walczyła z silnymi emocjami. Mads nabierał przekonania, że smok jest stosunkowo młody. Świadczyły o tym obłe, wręcz miękkie kształty pyska, dzikość ruchów i brak jakichkolwiek blizn na ciele czy dziur w błonach skrzydeł.

Nie uspokoiło go to odkrycie. Z doświadczenia wiedział bowiem, że młody potwór to niezwykle trudny przeciwnik, gdyż nie zdaje sobie jeszcze sprawy z własnej śmiertelności.

Przeniósł wzrok na Gwaine'a.

Czy ty na pewno wiesz, co robisz? – zwrócił się do niego w myślach.

Przez blade oblicze elfa, rozmyte niczym jesienne słońce za mgłą, przemknął lekki uśmiech. A potem Gwaine machnął ręką, jakby kogoś przyzywał.

Znów rozległ się głośny trzask rozkładanych skrzydeł, a nad obozowiskiem przemknął ogromny cień. Lharsin opadła z nieba z poświstem i hukiem, przeleciała tuż nad ziemią, także strącając

Kosturowi czapkę, a następnie nabrała nieco wysokości, wyrzuciła szpony i bez śladu gracji runęła prosto na usiłującego rozłożyć skrzydła młodego smoka. Rozległ się łoskot, a po nim przeszywający wizg z obu potężnych gardeł, gdy smoki splotły się i potoczyły po trawach, wzbijając tumany kurzu.

– A to była chyba ta nasza, co? – spytał z wahaniem uzdrowiciel.

Mads nie mógł odpowiedzieć, bo wrzaski zmagających się ze sobą stworów przybrały na sile, by po chwili ucichnąć. Gdy kotłowanina zamarła, a kurzawa opadła, okazało się, że Lharsin trzyma obie łapy na gardzieli młodego. Ten zdołał unieść łeb, spojrzeć na nią, a nawet coś wychrypieć, a potem opadł bez sił.

Lharsin przyjrzała mu się uważnie, po czym obróciła łeb, rozbryzgując smarki. Patrzyła teraz prosto na Gwaine'a.

– Nie znam go, ale niech będzie – wysapała. – Chudzielec i jakby ciut za młody, ale w sumie może być.

Elf uklonił się jej lekko, niemalże po dworsku.

– Synku? – odezwał się niepewnie starzec. – Co tam się dzieje?

Lharsin wbiła pazury w bezwładne ciało smoka i zaczęła z pasją tłuc skrzydłami. Po kilku uderzeniach wzniosła się nad wywołane przez siebie tumany kurzu oraz liści i nie puszczając młodego, skierowała się ku odległym szczytom Gór Dostojnych. Leciała z zauważalnym wysiłkiem, czasem opadając tak nisko, że zwisający luźno łeb pokonanej bestii muskał trawy, ale ani myślała lądować.

– Zeżre go – oświadczył z fascynacją Otluk, po czym spojrział na Madsa i spytał: – Zeżre go, no nie?

– Niewykluczone – wymamrotał wojownik. – Choć być może smoczyca ma na myśli inny rodzaj konsumpcji, o którym nie chcę nawet myśleć. Tobie też nie radzę.

– Powiecie mi czy nie? – rozłożył się Kostur.

– Lharsin odeszła właśnie bez pożegnania do cywila – rzekł Mads. – Gdzie zajmie się życiem rodzinnym. Szczegóły wyjaśni nam swat – dodał, spoglądając na elfa, który pomagał wstać Skalmirowi.

Nieopodal z furkotem wylądował kruk.

– Podjąć to się w waszym towarzystwie nie da – stwierdził z niezadowolaniem. – Ale przynajmniej nie jest nudno. Możemy, szanowny panie pułkowniku, wrócić do tego, z czym tu naprawdę przyleciałem?

Skalmir nie słyszał Madsa, który wołał coś na odchodne. Nie patrzył na niego ani na elfa, szykujących się do odjazdu. Dla wichrogórskiego maga liczyło się teraz tylko to, że wreszcie ma okazję, by poprosić Otluka o przysługę.

Odzyskał już siły po magicznym rytuale, do którego zaprosił go Gwaine, ale wciąż nie przestawał o nim myśleć. Przypuszczałnie był jedynym człowiekiem w Rozkrzyczanych Krainach, który kiedykolwiek połączył swój umysł z elfim, by utkać wspólny czar, a więc również jedynym, który miał okazję doświadczyć tego, jak działa magia tego tajemniczego ludu. Nie mógł się nadziwić temu, z jaką precyzją Gwaine dobierał rozmaite odcienie Mocy i budował z nich niewidzialną uprząż, którą później zarzucił na smoka, miotającego się na granicy między dwoma światami. Elf dołożył wszelkich starań, by jego czar był kompletny, a Skalmir mógł jedynie używać mu swej Mocy i wzmacniać istniejącą konstrukcję.

I kręcić głową z niedowierzaniem i goryczą. Gdyby bowiem magię przyrównać do melodii, elfie czary byłyby niczym urzekająca gra na mandolinie, a ludzkie nie wydawały się wiele lepsze od zwykłego rąbania w bęben. Świadomość, że gdyby miał skradziony kamień, zdołałby jednym uderzeniem ów bęben roztrzaskać, bynajmniej nie poprawiała mu humoru. Obiecał sobie, że kiedyś, jeśli nadarzy się okazja, spróbuje porozmawiać z Gwaine'em o elfiej Mocy. Teraz jednak miał pilniejsze zadanie do wykonania.

Na moment odwrócił głowę w stronę oddalających się jeźdźców, po czym uklęknął przed Otlukiem i spojrzął w jego roześmiane oczy.

– Muszę porozmawiać z Elinaare – powiedział. – Pomożesz mi?

Dobroduszny Otluk uśmiechnął się szeroko i pochylił głowę. Skalmir podziękował mu skinieniem i przytknął własne czoło do łysej czaszki osiłka, a następnie skupił umysł na jednym imieniu.

Elinaare, wyszeptał w myślach. Ukochana... Jesteś tam? Słyszysz mnie?

Niespodziewanie oblekła go nicość i czarodziej stracił wszelki kontakt z rzeczywistością. Wszystkie zmysły przycichły lub zgoła całkiem zamarły, nie słyszał szeptu wiatru, nie czuł twardego podłoża, na którym klęczał, zapomniał o upływie czasu. Zawsąd oblepiała go gęsta, lepka szarość, która naraz odezwała się ukochanym przez głosem.

„To ty? Skalmir?”

„Ja – odparł. Na skraju świadomości zarejestrował, że pochwyciły go czyjeś silne dłonie. Pewnie zachwiał się z ulgi, a Otluk w porę go przytrzymał. – Ja, ukochana”.

„Nic ci nie jest? – dopytywała z troską Elinaare. – Nie forsujesz się zbyttnio?”

„Ja? – Prawie się zaśmiał. – Nie, skądże. Gwaine mnie namówił, bym wziął udział w takim rytuale... Razem wyciągnęliśmy tuistańskiego smoka, a potem go Lharsin dorwała i gdzieś zanosła... Żebyś ty to widziała!”

„Skalmir? – Głos ukochanej stał się poważniejszy. – Co ty wygadujesz? Na pewno wszystko z tobą w porządku?”

„Tak... Tak, na pewno. Nie martw się. Ja... – Uświadomił sobie, że mówi nieskładnie, zupełnie jak nie on. – Próbowałem się z tobą skontaktować od chwili, gdy znalazł mnie Mads”.

„Byłam w podziemiach – oznajmiła Elinaare z wyraźnym znużeniem. – Skalmirze, twój kamień wpadł w ręce bardzo złego człowieka. Nie wiem, czy uda nam się go odzyskać”.

Mag poczuł, że zaczyna mu się udzielać znużenie ukochanej.

„Wiem – rzekł z goryczą. – Zaraz poproszę Otluka, by pomógł mi się skontaktować z Akademią. Opowiem im o wszystkim, nawet jeśli...”

Nie miał pojęcia, co usłyszy od swoich przełożonych i konfratrów. Wiedział, że to, iż swego czasu pomógł Wichrogórom odzyskać część kamieni, nie będzie miało teraz znaczenia. Wszak złamał jedno z najważniejszych praw uczelni – dla prywatnych celów potajemnie opuścił Jesiennicę, zabierając ze sobą jeden z kamieni. Spodziewał się wykluczenia z elitarnego grona, jakim jest Najwyższa Rada, zarządzająca wichrogórką Akademią Magii, ale musiał też brać pod uwagę inne, o wiele surowsze kary.

Co ciekawe, teraz, gdy wreszcie mógł porozmawiać z Elinaare, żadna z nich nie wydawała mu się straszna.

„Opowiedz im o wszystkim. – Głos kobiety nabrał mocy. – Twoi konfratry muszą wiedzieć, w czyje ręce wpadł kamień. Muszą wiedzieć o tym, że Tuistanie wrócili do Rozkrzyczanych Krain. Muszą też wiedzieć, że ich celem jest Jesiennica”.

Wstrząs był tak ogromny, że Skalmir o mało nie zerwał kontaktu.

„Co takiego?”

„Poskładaliśmy fakty – Słowa jego ukochanej wypełniał ból. – Nie ma wątpliwości, że Tuistanie planują powrót do

Rozkrzyczanych Krain i chcą wykorzystać Żyły, by z zaskoczenia zająć Jesiennicę”.

Oszołomiony, z trudem rejestrował kolejne fakty, przekazywane mu przez Elinaare. Gdy ukochana skończyła relacjonować, zdobył się jedynie na krótkie:

„Nie mogę się doczekać chwili, gdy to wszystko będziemy mieli już za sobą”.

„Ja też – przyznała kobieta miękkiem głosem. – Czy... Myślisz, że uda nam się wówczas dokończyć naszą wcześniejszą rozmowę? Tę z twierdzy w Łoskocie?”

Skalmir przełknął ślinę.

„Liczę na to. Bo znam już odpowiedzi, którymi się z tobą podzielę”.

*

Madś śmiało się jak rzadko.

Odgłosy wesołości niosły się daleko, aż po gęste chmury, nadal grożące zimnym deszczem. Radość, nazbyt głośno okazywana, zdradzała, że witający się chcieli zagłuszyć własne wahania i niepokoje. Z całkowitą pewnością jednak była szczerą.

– Krzemień, durniu ty jeden! – wrzeszczał Mads, ze wszystkich sił ściskając zwykle ponurego kawalerzystę, który teraz aż się zarumienił. – Niech mnie Smoczyca w łajnie przeturla, ale żeś zdziadzia! Ja pieprzę, zaraz, a to kto? Chryja? Umyłeś się w końcu czy co? Kompletnie człowieka nie poznaje! Czochor, gdzie jest ten półdupek?

– Tu jestem! – Wzruszony porucznik wybiegł spomiędzy swoich towarzyszy. – Tu jestem...

Zawahał się, a Mads wycelował w niego palec.

– No! – warknął. – Powiedz to! Powiedz!

– Wasza miłość! – sapnął Czochor.

– Powiedział to! – Voorten wywrócił oczami. – Resztki szacunku do mnie straciłeś, kutasie cuchnący!

I padli sobie w objęcia.

Rytuał trwał jeszcze długo. Mads witał się ze wszystkimi znanymi sobie weteranami, których uzbierała się całkiem spora grupa, a następnie ściskał ręce nowych członków oddziału, którzy słyszeli o nim niejedno, a teraz pchali się, by wyrazić swój szacunek. W tym czasie reszta dawnych towarzyszy z pochodów i wojen witała się, choć z większym dystansem, z Gwaine'em.

Śmiechy i pokrzykiwania nie cichły, konie rżały, kruk się wydierał, na kilku włóczniach załopotały niebieskie chorągiewki Wiatru, wreszcie należycie skrojone i obszyte.

Minęła dłuższa chwila, nim zachrypnięty od wrzasków Mads na powrót wskoczył na Żmijkę, który wydawał się równie rozradowany ze spotkania jak jego jeździec. Skinął na Czochora, Krzemienia i Chryję, po czym we czworo odjechali na bok, gdzie już czekał na nich Gwaine.

– Przejdźmy do konkretów – zaczął rzeczowo Voorten. – Nie żebym się jakoś zasmucił na wasz widok, ale... Co wy tu właściwie robicie? Nie strzeżecie aby Brzasku?

– Juści, że strzeżemy – odezwał się Krzemień. – Ino ostatnio nie ma przed czym, a słowa pana Gwaine'a były wyraźne.

Zaskoczony Mads zerknął na nieporuszonego elfa, a potem na swego byłego podkomendnego.

– A od kiedy to słuchacie rozkazów elfa włóczęgi? – spytał z niedowierzaniem.

– Jakich tam rozkazów – zachnął się Krzemień. – Rozkazy to my od rady miejskiej bierzemy. Pan Gwaine przekazał nam ino, że w Głuchoborach kroi się awantura i pan pułkownik może potrzebować trzystu włóczni.

– A jak Lharsin powie coś z sensem, to człowiek bierze to do serca – dodał Chryja i obtarł nos.

– Nie powie, a wyrzeczy – poprawił go Czochor. – A potem powtórzy.

– Gwaine przekazał wam informację przez Lharsin. – Mads przypomniał sobie, że przecież widział, jak elf rozmawia ze smoczycą, a potem spojrział na Gwaine'a przeciągle, co ten zniósł ze spokojem.

– Zdaje się, że pomyślałeś o wszystkim – rzekł w końcu. – Szkoda tylko, że nie informujesz mnie na bieżąco.

– Nic by ci ta wiedza nie dała – stwierdził Gwaine. – Poza tym, że zacząłbyś zadawać kolejne pytania, na które nie umiałem jeszcze odpowiedzieć.

– Dobrze. – Voorten skinął głową z kamiennym wyrazem twarzy. – Powiedziałeś: „jeszcze”. Czy wiesz już coś więcej? Czy potrafisz uzasadnić naszą obecność czymś innym niż tylko własnym przeczuciem czy mglistą wizją? Chłopaki – wskazał kawalerzystów kciukiem – najwidoczniej cieszą się wycieczką za miasto i dałbym wiele, by na tym się skończyło.

Elf milczał, a po chwili odwrócił wzrok. Mads wciągnął ze świstem powietrze.

– Aha – mruknął. – Czyli nie będzie to wycieczka za miasto.

– My już wiemy – odezwał się Chryja. – Wiemy też, że zaczęliście bez nas, pułkowniku, choć w łeb zachodzę jak.

– Co? – Voorten spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Widzieliśmy Lharsin raz jeszcze – wtrącił się Czochor. – Leciała na północ z jakimś bydlakiem w szponach. Smoczął dawno już tu nikt nie widział, a więc z kim mamy do czynienia? – Jego głos zadrżał lekko. – Tuistanie wrócili?

– Tak – warknął Mads i znów wbił wzrok w elfa. – Wrócili. Jeszcze nie wiemy po co, ale chyba w niewielkiej sile. Jak dotąd knują w Łoskocie, a to trochę za mało, by wzywać Wiatr z Brzasku, zwłaszcza że to ziemie cholernych Głuchoborzan. Pora, byś nam wyjaśnił coś więcej, Gwaine.

Nagle obudził się zimny wiatr i elf nasunął na głowę kaptur.

– Wyjaśnić nie potrafię – rzekł. – Ale wiem, że wy, ludzie, lubicie fakty, a więc przedstawię ich kilka. Pamiętacie, jak w trakcie ewakuacji Smocze Strażniczki wabiły do siebie smoczyce?

– Pewnie – odparł Voorten. – Lharsin chciały mi podwędzić, więdźmy przekłete. Moją latającą krowę, wyobrażacie sobie?

– Tak było – zgodził się Gwaine. – Uznaliśmy wówczas, że Tuistanie chcą zawęzić Jaszczurowi możliwości płodzenia potomstwa, ale z drugiej strony, co ich to mogło obchodzić? Przecież i tak wynosili się z Rozkrzyczanych Krain. A więc los potomstwa był im zapewne obojętny. Przypuszczalnie zabierali więc potomkinie swej Smoczycy z innych względów, których dziś już nie rozgryziemy, ale zaczynam się skłaniać ku przekonaniu, że chcieli wyhodować sobie całą armię smoków. Pytanie brzmi, czemu Król-Wieszcz nie wpadł na ten pomysł wcześniej.

– Całe szczęście, że do tego nie doszło – wtrącił Mads. – Niestety, zastąpiła go Królowa-Wieszczka, która ma ciekawsze pomysły. Źle nam to wróży, na smród z pyska Smoczycy.

Gwaine pokiwał głową. Trzymał teraz brzegi kaptura obiema dłońmi.

– Moja teoria nie wyjaśnia, skąd wzięli samce. Nie wiemy, czy zaczęli smoki hodować, czy może obłaskawiać te, które żyją w ich nowym świecie – stwierdził. – Niczego nie wiemy, ale Królowa-Wieszczka przejawia zupełnie inne podejście do magii niż jej poprzednik. W nowej ojczyźnie Tuistan wydarzyło się coś, co dało im nowe możliwości.

– A teraz, kurwa, leżą tu z powrotem – stęknął Krzemień.

– Przestań biadolić – rzucił Mads i zwrócił się do elfa: – W tym, co mówisz, jest sporo sensu. Smoczęta się znały, a tego młodego skubańca Lharsin nigdy wcześniej nie widziała.

– Wyczuwałem jego obecność od kilku dni – oznajmił elf. – Był w istocie młody, a więc niedoświadczony, ale pełen zapału, przez co trzymał się za blisko przejścia między światem Tuistan a naszym. Postanowiłem go odebrać wrogom. Nie wiem, w jaki sposób zostałby wykorzystany, ale z pewnością na naszą niekorzyść.

Voorten wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Nie wiem, co mi trudniej pojąć – powiedział powoli. – To, że istnieje coś takiego jak inny świat, do którego Tuistanie zdołali przeleźć i się w nim osiedlić, czy to, że zabrałeś im smoka. Tak po prostu wyszarpnąłeś bydlaka z innej, niewidocznej dla nas rzeczywistości. Ha, na rozdęte dupsko Smoczycy, ale to nie wszystko! Potajemnie ściągnąłeś tu Wiatr. Pofatygowałeś się na Pustać, by sprowadzić tu mnie. Wkręciłeś do swej intrygi Lharsin. Niech mnie, elfie. Kim ty właściwie jesteś?

Przez oblicze Gwaine'a przemknął blady, niemalże ludzki uśmiech.

– Włóczęgą – odpowiedział. – Z obsesją na punkcie równowagi.

Mads skinął lekko głową z aprobatą.

– I co teraz? – spytał Krzemień. – Smoka jużście sami zdmuchnęli. To co teraz?

Voorten się zawahał.

– Ja bym nie spuszczał wzroku z miejsca, gdzie wisiała zorza – zaproponował. – Ale do mnie takich pytań nie kieruj, Krzemień. Teraz ty dowodzisz Wiatrem.

Wojownik zmarszczył krzaczaste brwi i potrząsnął gniewnie głową.

– Wolne żarty – burknął, po czym wyciągnął z tulei włócznię z błękitną chorągiewką i wcisnął ją zaskoczonemu Madsowi do ręki. – Nie będę przed panem pułkownikiem durnia z siebie robił. Poza tym kiepsko sobie radzę z końcami świata. Prać po gębie potrafię, ale ta cała równowaga... Nie, to nie na mój łeb. Jadę sprawić szyk.

– Pomogę mu – rzucił Czochor i zasalutował, a Chryja czmychnął w ślad za nimi.

– Skurwiele – mruknął Mads, ściskając włócznię. – Zwalili na mnie całą robotę.

– Bo też chyba – przez usta Gwaine'a ponownie przemknął lekki uśmiech – po to cię tu ściągnąłem.

– Niechby was wszystkich Smoczyca obszczała – podsumował Voorten. – Wracamy do Skalmira, Kostura i Otluka? Chyba się już za nami stęsknili!

Rozdział siódmy

Dzień po Zorzy

Zorza pojawiła się w nocy.

Nadeszła o wiele wcześniej, niż się jej spodziewano, bo przecież jesień trwała jeszcze w najlepsze, co więcej, rozlała się na wschodzie, a nie na północy, lecz to nie te anomalie zaniepokoiły ludzi najbardziej. Ci, którzy stali tej nocy i wpatrywali się w pulsującą na niebie zieleni, odnieśli przemożne wrażenie, że przyglądają się czemuś złowieszczemu.

Ciągnące się po nocnym niebie pasma zieleni miały ciemniejszy odcień niż zazwyczaj, a miejscami zieleni ta przechodziła w ponury, jakby brudny odcień. Jej masy sunęły po niebie szybko, niemalże nerwowo, by niespodziewanie nieruchomieć, a tworzyły kształty, które raz po raz układały się w wijące się, węzowate, splecione ze sobą smoki. Wiatry z południa usiłowały przesłonić spektakl postrzępionymi chmurami, co tylko przydawało widowisku niesamowitości, bo owe smocze kształty wyglądały wówczas, jakby czaiły się za chmurami, by znienacka wyskoczyć na świat i go rozszarpać.

Najjaśniejsze fragmenty zorzy zdawały się wisieć tuż nad ziemią, co również przeczyło wcześniejszym obserwacjom. Wpatrujący się w nie ludzie nie mogli się oprzeć wrażeniu, że zorza gęstnieje i osiąga stan zbliżony materialnemu, co tylko wzmagало niepokój i złe przecucia. Wszak bardzo podobnie wyglądała zorza, gdy Tuistanie odchodzili z Rozkrzyczanych Krain, zdawałoby się, że na zawsze.

Tej nocy nikt nie był wolny od negatywnych myśli i mrocznych przecuć. W zieleni zorzy wpatrywał się głuchoborski król Malhorn, dzielący się winem z bukłaka z siedzącą obok niego była Smoczą Strażniczką Elinaare, która nadal rozmyślała nad tym, co właśnie przekazał jej Voorten. Patrzył na nią wichrogórski czarodziej Skalmir, który wciąż nie doszedł do siebie po trudnej rozmowie z

przełożonym Akademii. Nie spuszczał z niej oczu pogrążony w myślach Gwaine, ostatni elf w Rozkrzyczanych Krainach, który zmysłami niedostępnymi dla człowieka wnikał w strukturę równowagi i badał zadane jej rany. Zerkał na nią pułkownik Mads Voorten, weteran dwóch Burz i rozprawy z Jaszczurem i opisywał ją prostymi słowami uzdrowicielowi Kosturowi, karmiąc nad wyraz poważnego gadającego kruka. Daleko na Pustaci spoglądała na nią piołańska wróżbitka Hunna, która wyszła przed namiot, nie mogąc zaznać snu. Odwracała ku niej łeb smoczyca Lharsin, wciąż czekająca na ocknięcie się młodego, wyrwanego Tuistanom smoka. Nawet Bielik, przywódca Widmowego Zagonu, i Callestr, władca Dominium Gór Miedzianych, prowadzący grupę Wyjaławiaczy w głąb pokalanego przez Tuistan Wężła, czuli niewytłumaczalną niepewność.

Wszyscy wiedzieli, że zanoszą się na wydarzenia, których pojąć czy przewidzieć nikt jeszcze nie potrafi.

A zaczęło się od tego, że do podziemnego kompleksu Żył weszła przedziwna drużyna, za to jakieś dziesięć mil na wschód od wyrwy w ziemi, którą odkrył kruk, zauważono obce wojska.

*

Bielik nigdy wcześniej nie czuł się tak nieswojo.

Do Callestra dołączyło kilku jego pobratymców, z których żaden nie dawał po sobie poznać, że dostrzega młodzieńca. Zwracali się jedynie do swego przywódcy, a czynili to w zgrzytliwym języku, z którego Bielik nie rozumiał dosłownie nic. Ich blade twarze, typowe dla istot rzadko widujących słońce, przypominały mu twarze Światłozerców, a szeroko otwarte, niemalże sowie oczy budziły w nim lęk i niepokój.

Wyrzucał sobie, że zostawił Naparstek pod opieką ich towarzyszy, ale czy miał jakiś wybór? Callestr zarzekał się, że tamci opanowali sztukę uzdrawiania, a miejsce Bielika było w drużynie, która miała zejść do podziemi. Wszak gdzieś tam przebywał przeklęty tuistański czarodziej, który najpierw odebrał Skalmirowi potężny artefakt, a teraz przebił się do Wężła i najprawdopodobniej realizował ostatni element zdradzieckiej intrygi.

Młodzieniec wiedział, że nie ma czasu do stracenia. To, co usłyszał od matki, wystarczyło mu, by pozbyć się wątpliwości, ale mimo to za każdym razem, gdy pomyślał o bladokórych

krasróludach wokół nieprzytomnej, być może umierającej Naparstek, przeszywał go dreszcz.

Ze wszystkich sił usiłował się więc skupić na zadaniu.

Osadzony w suficie kamień nie zalewał już podziemi białym światłem i w momencie, gdy znikły resztki blasku słonecznego, Bielik zaczął się potykać. Krasróludy, doskonale widzące w ciemnościach, światła nie potrzebowały i minęła dłuższa chwila, nim Callestr uświadomił sobie, z jakimi trudnościami mierzy się ich ludzki towarzysz. Nałożył wówczas na głowę żelazną obręcz, w którą wprawiono białe, jaśniejące kamyki, a te oświetlały okolice w promieniu kilku kroków.

Gdy tunel i częściowo blokujące go hałdy stały się widoczne, któryś z krasróludów mruknął coś głośno, a inny dorzucił dźwięk brzmiący jak przekleństwo. Po plecach Bielika przebiegł zimny dreszcz, gdy tylko uświadomił sobie, na co spogląda.

W powietrzu nadal unosił się wyraźny zapach spalenizny przemieszany z ohydą wonią palonych ciał. Korytarz przecinał szeroki na kilka kroków pas sadzy, który wspinał się na ściany i rozszerzał na suficie. Dookoła zalegało kilka poczerniałych trupów długorękich Światłożerców, a znacznie więcej – setki, wiele setek! – zaścielało dalszą część przejścia.

Wśród krasróludów zapanowało wyraźnie poruszenie i Bielik wcale się im nie dziwił. Masy Światłożerców, które zbiegły się do ognia, natrafiły na eksplozję siły, której nie potrafiły się przeciwstawić. Wstrząśnięty wojownik spoglądał na rozerwane na strzępy ciała, urwane kończyny, roztrzaskane głowy i zmiażdżone zwłoki wbite w zagłębienia terenu. Kilka ciał zwiślało ze stalagmitów, parę zostało wtartych w ścianę, inne zbiły się w skrwawioną miazgę.

– Wiesz, co tu się wydarzyło? – Oczy Callestra błyszczały na czerwono w bladej poświecie rzucanej przez diadem.

– Moja matka postawiła ścianę ognia – wykrztusił Bielik. – By zatrzymać Smoszczura i jednocześnie ściągnąć te blade skóry. Liczyła na to, że go rozszarpia...

– Przeliczyła się. – Krasrólud zgrzytnął zębami. – Choć skąd mogła wiedzieć, jak wielką Mocą dysponuje ten sukinsyn? – dodał nieco łagodniejszym tonem.

– Te stworzenia – młodzieniec wiódł spojrzeniem po zmasakrowanych zwłokach – są wam bliskie?

– To już nie ma znaczenia.

Poszli dalej.

Krasnoludy poruszały się w ciemnościach bezszelestnie i czasem całkowicie znikwały Bielikowi z oczu, ale mimo to wyczuwał w ich zachowaniu większą ostrożność. Nie miał pojęcia, jaką Mocą dysponują krasnoludscy Wyjaławiacze, ale wiele wskazywało na to, że tuistański mag z wichrogórskim kamieniem zrobił na nich duże wrażenie.

Na nim zresztą też. Nie miał żadnych powodów, by lubić białoskórych, ale teraz robiło mu się ich niemalże żal.

Krasnoludy ożywiły się nieco, gdy ich niewielka drużyna dotarła do ogromnej sali, gdzie uprzednio Światłozercy drażyli tunel. Dzięki skromnemu kręgowi światła bijącemu z obręczy na głowie Callestra Bielik zauważył, że skalne rumowisko, przy którym harowali Światłozercy, znikło. W jego miejscu ziała ogromna, czarna jama, gdzie hulał przeciąg.

Któryś z krasnoludów wydał dźwięk, który młodzieniec uznał wcześniej za przekleństwo, powtórzył go inny, a pozostałe kręciły głowami, co najwyraźniej było uniwersalnym znakiem zaskoczenia i niedowierzania. Przez chwilę wpatrywały się w tunel, który wcześniej nie istniał, a potem zaczęły głośno mówić jeden przez drugiego.

Uwagę Bielika przyciągnęło coś innego. Nikt nie uprzątnął trupów wojowników, którzy stoczyli zacieklą walkę w obronie maga. Ich zwłoki nadal leżały rozrzucone wokół skalnej ambony, w kałużach ciemnej krwi. Młodzieniec odnalazł wzrokiem tego, który uderzył maczugą Naparstek, i znów poczuł ukłucie niemalże fizycznego bólu. Zacisnął powieki.

Ocknął się dopiero w momencie, gdy stanął przy nim Callestr. Oczy krasnoluda płonęły.

– Ten czarodziej w niespełna dobę usunął rumowisko, co drużynie Wyjaławiaczy zajęłoby dobrych kilka dni, a plemieniu Światłozerców dwa razy tyle – zauważył Callestr. – Jest niezły.

Bielik mógł się mylić, ale wydało mu się, że w słowach przywódcy Dominium pojawił się niechętny podziw.

– To zasługa skradzionego kamienia – rzekł ze znużeniem.

Nie mógł się pogodzić z tym, że pierwszego maga, wyeliminowanego z takim trudem, zastąpił inny, który dokończył robotę w okamgnieniu. Do tego nieomal utracili przy tym Naparstek. Znów przeszył go ból.

– Na pierwszy rzut oka to zwykły otoczak – podjął, siląc się na spokojny ton – ale wydatnie wzmacnia Moc czarownika.

Krasnolud zacisnął zęby, po czym spytał:

– Da się to jakoś zablokować?

– Nie jestem magiem – rzucił Bielik. – Ale znam jednego czarodzieja, który chętnie z kamienia korzysta. Niezłe go to wyczerpuje. A po takiej robocie – obrzucił spojrzeniem tunel – nasz przeciwnik musi ledwo stać na nogach. To nasza szansa, a więc musimy się pospieszyć.

Callestr skinał głową.

*

Mads zaklął cicho, patrząc z oddali na równe szeregi ciężkiej piechoty maszerujące przez trawiaste równiny.

Nie bez trudu odepchnął od siebie wszelkie emocje i skupił się na wychwytywaniu szczegółów. Maszerujący żołnierze mieli na sobie kolczugi, hełmy i długie płaszcze, trzymali wysokie tarcze i halabardy z długimi szpicami, byli więc znakomicie przygotowani do stawienia czoła jeździe. Ich rozciągniętej kolumnie nie towarzyszył tabor, co oznaczało, że szykowali się do szybkiego, zdecydowanego uderzenia.

Nad oddziałem nie powiewał żaden sztandar, jakby nowo przybyli nie chcieli się afiszować ze swoją tożsamością, ale weteranowi wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że ma do czynienia z Tuistananami. Mads przygryzł dolną wargę i ponownie odepchnął emocje.

– Około dwóch tysięcy – powiedział do stojących za nim oficerów. – Doborowa ciężka piechota. Idą, z tego, co widzę, prosto na ową jamę, którą wypatrzył kruk.

Wiatr, ciepły, prawie wiosenny, roztrącił żółknące liście nad ich głowami. Kępa młodych drzew na szczycie niskiego wzgórza, jedna z nielicznych w okolicy, nie stanowiła należytej osłony przed oczami przeciwnika. Skłębione, wilgotne chmury, od poprzedniego dnia grożące deszczem, szły nisko nad ziemią.

– Wygląda na to, że wiedzą, co robią – odezwał się Krzemień. – Mimo tego – obrzucił kosym spojrzeniem milczącego elfa – że wyłupiliśmy gadom oczy.

– Masz na myśli tego smoka? – spytał Voorten, znów wpatrzony we wrogą kolumnę. – Nie wiem, Krzemień, nie wiem. Ale zastanawiam się, czy nie wolałbym mieć Lharsin gdzieś bliżej.

Natychmiast przeklął się w duchu za te słowa. Zabrzmiały niemalże tak, jakby się przyznawał do lęku przed wrogiem.

Bo jest źle! – pomyślał z wściekłością. W konfrontacji z dwoma tysiącami ciężkiej piechoty wycieczka za miasto zamieni się dla Wiatru w masakrę!

A przecież były jeszcze inne czynniki do rozważenia.

– Poza tym – dodał ciszej – czy nie wygląda to dla was zbyt pięknie? Samotny oddział piechoty na otwartej przestrzeni to przecież zaproszenie dla dumnych, żądnych sławy i zemsty Głuchoborzan.

Przeniósł wzrok na wzgórza, spomiędzy których wyłoniła się kolumna. Wśród pierzastych, postrzępionych chmur, które zasłaniały ich szczyty, połyskiwały resztki brudnej zieleni.

– Piechota dałaby radę związać szarżę na długo – podjął Krzemień. – Gdyby się okazało, że wśród tych wzgórz stoi konnica, Tuistanie mogliby uderzyć z boku i odnieśliby łatwe zwycięstwo. Sukinsyni!

– W walce ze Smoszczurami nie ma oczywistości. – Mads zgrzytnął zębami. – Żadnych.

– To co? – spytał podkomendny. – Uderzamy, panie pułkowniku?

– Powoli, Krzemień. Powoli. Na szybko to się jedynie wysikać można – odparł Voorten i ponaglił Żmijkę.

Podjechał powoli do zamyślnego Gwaine'a.

Tego poranka przyjaciel wydawał się bardziej nierzeczywisty niż kiedykolwiek i Mads odniósł wrażenie, że gdyby zmrużył oczy, mógłby spojrzeć przez elfa. Gwaine wpatrywał się w dal, ale wyglądało to tak, jakby nie zauważał kolumny. Wiatr bawił się kosmykami włosów, które wyślizgnęły się z jego warkocza.

– Widzisz coś, czego my nie dostrzegamy? – zagadnął Voorten. – Czy ta... Czy równowaga nie popruła się gdzieś jeszcze?

Minęła dłuższa chwila, nim elf odpowiedział:

– Nie wiem. Dotarłem chyba do granicy swoich możliwości. Nie potrafię... – Urwał i machnął ręką w stronę maszerującej formacji.

– Nie potrafisz zejść na ziemię – dokończył Mads bez złośliwości.
– Rozumiem, przyjacielu. Pochłania cię przyszłość. Równowaga. Smoki. Widzisz przeznaczenie i splatasz je dla innych. Nie martw się jednak. – Klepnął go w ramię, na co elf aż podskoczył. – Twoja rola się zakończyła. Pora, byś wstał od tej gry i popatrzył na to, jak pionki dają sobie radę same. Bo po to mnie tu ściągnąłeś, no nie?

Gwaine uśmiechnął się blado w odpowiedzi.

– Za co i tak będę cię, zmoro, przeklinać – dodał Voorten z udawaną niechęcią, po czym zawrócił konia. – Krzemień? Gdzie jest ten przeklęty kruk? Zwab go tu jakimś flakiem czy czymś, bo mam dla niego robotę! Otluk? Chodź no tu. Ty też mi się przydasz.

Nad maszerującą w oddali formację wzbił się ochryply ryk trąb, kojarzący się z wyzywającą drwiną.

*

Elinaare zachwiała się w siodle, całkowicie zaskoczona telepatycznym przekazem.

Szarość wypełniła jej umysł z takim impetem, że kobieta w ostatniej chwili złapała się lęku. Wszelkie odgłosy wokół niej – tętent kopyt, chrzęst oręża, gwar toczonych ochryplymi głosami rozmów – ucichły, po czym znikąd napłynął głos Madsa.

„Jesteś tam? Elinaare, jesteś tam?”

„Mads? Co się dzieje? Czy ze Skalmirem wszystko w porządku?”

Rozmowa z ukochanym dała jej bardzo dużo. Świadomość, że ten żyje, zalała ją wprost bezbrzeżną ulgą, a słowa, które padły na koniec, rozbudziły nadzieję, że dla Skalmira i dla niej istnieje przyszłość. Co więcej, czuła satysfakcję, że choć ich rozdzielono, każde zdołało pomóc przyblokować tuistańską intrygę. Ona rozgryzła spisek i w porę dostarczyła jeńca Malhornowi, a on dzięki Otlukowi ostrzegł Jesiennicę.

Potem, gdy entuzjazm zaczęło przeganiać zmęczenie, przypomniła sobie o ciężko rannej Naparstek. O Bieliku, który przy niej czuwał. O potężnym tuistańskim magu i skradzionym wichrogórskim kamieniu. O dziesiątkach niewiadomych. Iskra uniesienia zgasła niemalże natychmiast.

Mimo wyczerpania fizycznego i psychicznego Elinaare źle spała tej nocy, ale głos Madsa odsunął znużenie i zastąpił je niepokojem.

„Nic mu nie jest – rzucił Voorten. – Chyba. Nie gadałem z nim dzisiaj”.

„Ale nadal nic mu nie jest?” – Musiała się upewnić.

„Zupełnie nic. – W głosie Madsa pobrzmiiała niecierpliwość. – Posłuchaj uważnie, bo sytuacja mocno się komplikuje”.

„Co się dzieje?”

„Nasza flakożerna gaduła odnalazła jamę, którą wybił ten tuistański mag! – zawołał Mads. – Na linii między Łoskotem a

Przełączą Paniki, ale bliżej tej drugiej! Będzie z kilkanaście mil, może dwadzieścia! Durna kura nie umie liczyć!

Elinaare głęboko wciągnęła powietrze.

„Spodziewałam się tego – oznajmiła. – W Łoskocie czuliśmy silne drgania”.

„To nie wszystko! – krzyczał Voorten. – Elinaare, Tuistanie się pojawili! Już nie ma żadnej wątpliwości, że to oni za tym wszystkim stoją. Przyszli podczas zorzy, jak gdyby nigdy nic! Jak gdyby zawsze tu byli! W tej chwili patrzę na silny oddział ciężkiej piechoty, który zmierza w stronę jamy. Chcą zejść do Żył, tak?”

„Tak. – Była Smocza Strażnicza z trudem przełknęła ślinę. – I dostać się prosto do Jesiennicy”.

Cisza po stronie Madsa kazała jej przypuszczać, że ten zrozumiał rozmiar zagrożenia.

„Posłaliście tam ostrzeżenie?” – spytał w końcu.

„Tak! Skalmir się tym zajął. Jeśli wszystko dobrze poszło, Wichrogórzanie szykują się do obrony”.

„Przynajmniej udało się podstępnych Smoszczurów ubiec – parsknął Voorten. – Choć nie wiadomo, dokąd doprowadzi ich Żyła. Może wyleżą w samym środku Jesiennicy, a wtedy mury obronne psu na budę”.

Znowu zamilkł, jakby podejmował trudną decyzję.

„Postaram się im uprzykrzyć pochód – powiedział po chwili. – A ciebie poproszę, byś przekazała kilka słów Malhornowi.

„Mads. – Głos Elinaare zadrzał. – Nie wpakujesz się w kłopoty?”

„W nie większe niż zwykle. A teraz posłuchaj...”

*

Bielik ze zgrozą patrzył na niezliczone zwłoki Światłożerców, które mijali w drodze do sali z amboną, ale wkrótce pokonał pierwszy wstrząs, a wtedy zaczął główkować.

Czy w starciu z tuistańskim magiem zginęli wszyscy białoskórzy? – spytał siebie w duchu, idąc za krasnoludami odkrytym przed chwilą korytarzem. Wielu z nich padło pierwszej nocy w Łoskocie. Tysiące rozgnietli Głuchoborzanie podczas kontrataku po wschodzie słońca. A ci tutaj... Na rozdęty kałdun Smoczycy, czyżby rzeczywiście żaden z nich nie ocalał?

Dreńczyły go też inne myśli. Nie miał wszak wieści o tym, co się dzieje z Naparstek. Nie wiedział, czy matce udało się wypełnić zadanie i czy Malhorn zmienił losy swego królestwa. Nade

wszystko zaś nie przestawał myśleć o czarowniku, który czuwał gdzieś daleko przed nimi, człowieku, który skradł wichrogórski kamień i dzięki niemu zdołał przebić się przez rumowisko skalne do nowej Żyły.

Od czasu do czasu zerkał na oblicza krasnoludów, które w blasku diademu Callestra zdawały się nieludzkie, wręcz upiorne. Dostrzegał na nich zawziętość, a nawet nienawiść. Co chwila któryś rozglądał się na boki i obrzucał ściany Żyły uważnymi spojrzeniami. Zaciskał przy tym zęby i pięści, jakby nie mógł pogodzić się z faktem, że to nie jego plemieniu przypadł zaszczyt dotarcia do dziedzictwa ojców.

Krasnoludy szły coraz szybciej, pochylając głowy, jakby szykowały się do starcia z tym, kto się poważył sięgnąć po ich skarb. Szły w stronę, z której wiał wilgotny wiatr, bez wątpienia wnikający w podziemia znad równin. Szły przepelnione złością, gotowe na starcie z przeciwnikiem, który gdzieś tam zapewne czekał. Parły naprzód, zaślepione żądzą zemsty.

I być może dlatego żaden z nich nie zauważył pułapki.

Żyłą poniósł się skrzek z setek gardzieli, a w ciemnościach zamigotały białe, rozpędzone kształty, sadzące nieprawdopodobnie długimi susami. Zaskoczony Bielik zatrzymał się w pół kroku, chwycił za miecz i się obejrzał.

Kształty wylewały się z odnóg Żyły i gnały na nich zarówno od przodu, jak i od tyłu. W jednej chwili ich niewielka drużyna została otoczona, a od starcia, które mogło skończyć się jedynie krwawą masakrą, dzieliło ją zaledwie kilka uderzeń serca.

– Czyli jednak nie wytlukł ich wszystkich – mruknął z rezygnacją Bielik. – Co gorsza, zawiadnął tymi, które przetrwały, i urządził nam zasadzkę. Na skopane dupsko Smoczycy, to dopiero będzie beznadziejna śmierć...

Omiótł wzrokiem ściany Żyły, ale nie dostrzegł żadnych drzwi czy balkonów. Nad ich głowami ciągnęły się kamienne rozpory, ale nie zdołałby ani na nie wejść, ani też – gdyby to się udało – skutecznie się na nich bronić. Światłożercy wszak doskonale skakali i jeszcze lepiej się wspinali, a do tego potrafili kruszyć kamienie.

Callestr spotęgował światło swego diademu i wykrzyknął kilka rozkazów w chrapliwej mowie krasnoludów. Bielik zerknął na nich kątem oka i ku swej zgrozie ujrzał, jak klękają na ziemi, a potem wszyscy co do jednego w okamgnieniu przeobrażają się w obłe głazy.

– Hej! – krzyknął z wściekłością. – Co to ma oznaczać? Sam mam z tymi skurwielami walczyć? Wy pieprzone...

Naraz zrozumiał, że dla krasnoludów petryfikacja to odpowiednik przybrania postawy obronnej u wojownika; towarzysze Callestra ani myśleli zaprzestać walki. Zaskoczony patrzył, jak rozrzucone tu i ówdzie głowy unoszą się i z ogromną prędkością lecą ku gromadom Światłożerców, wydzierając wśród nich krwawe bruzdy. Przez podłoże przeszło ostre drganie, które wywróciło kolejne stada napastników i wywołało zamieszanie w obu końcach korytarza. Ze ścian oderwały się masy gruzu i uderzyły prosto w Światłożerców, ale po chwili obie watahy, choć przetrzebione i skrwawione, znów rzuciły się do natarcia z przeraźliwym skowytym.

Bielik miał wrażenie, że zostało im do niego jeszcze jakieś sto kilkadziesiąt ludzkich kroków. Mocniej zacisnął dłoń na mieczu.

W stronę nacierających uderzył grad ostrych kamieni, masakrując pierwsze szeregi, lecz bynajmniej nie zrażając kolejnych.

Sto kroków, może mniej, pomyślał młodzieniec i stanął w pozycji do walki.

Kątem oka ujrzał jakiś ruch nad sobą. Na kamiennym łuku ktoś siedział. Bielik uniósł głowę z niedowierzaniem, a wtedy zgiełk natarcia przeszła wesoła, krótka melodia zagrana na fujarce.

– Hop, hop! – zawołał Pokrzewka, a następnie stanął na łuku, uklonił się i wypił coś z małej butelki, po czym nachylił się, jakby chciał zawiązać sobie but, i ze świstem wciągnął powietrze.

Twarz chwastownika zdawała się fizycznie przeobrażać, gdy z szeroko rozwartych ust pomknął przeraźliwy, przebijający bębenki w uszach wrzask.

*

Skalmir parokrotnie w życiu widział szarżę, ale po raz pierwszy był świadkiem ataku tak błyskawicznego, a jednocześnie tak straceńczego.

Oddział kawalerii zwany Wiatrem wychynał zza wzgórz równie płynnie i bezszelestnie jak jego imiennik, po czym sprawnie uformował klin, wycelowany w środek wolno maszerującej tuistańskiej kolumny. Słońce przebiło się wreszcie przez chmury, jakby zaintrygowane wydarzeniami rozgrywającymi się na równinach. Jego błady blask przemknął po setkach hełmów i

grotów włóczy, a następnie przygasł, jakby przegnała go powaga chwili. Potem oddział straceńców, obojętny na wszelkie znaki i sygnały, runął do ataku.

Skalmir zmrużył oczy i wypatrzył galopującego w szpicie Voortena. Wbrew swym zasadom Mads dosiadał Żmijki, który jednak najwyraźniej nie miał nic przeciwko uczestnictwu w szarży, bo pędził z niespotykanym wigorem, potrząsając grzywą. Pułkownik zaś stał w strzemionach, wrzeszczał i wymachiwał mieczem nad głową. Jego słowa tonęły w huku setek kopyt, ale Skalmir nie musiał ich słyszeć, by wiedzieć, że Voorten był, jest i zawsze będzie Ostrzem Burzy. Że na czele swych wojowników dokonuje cudów, o których inni wielcy dowódcy mogą tylko pomarzyć.

Niebieskie chorągiewki zafurkotały w powietrzu, pod szare niebo wzbil się okrzyk z setek gardeł, ziemia dudniła pod kopytami rozpędzających się rumaków. Klin rozszerzał się, nadal celując w środek formacji, a Skalmir poczuł, że jego serce bije coraz szybciej. Tuistanie zorientowali się w sytuacji – kolumna zatrzymała się, a żołnierze sprawnie wykonali zwrot. Ich tarcze uformowały żelazny mur, najeżony szeregiem ostrzy, wzmocniony kolejnymi, równie mocnymi rzędami.

Wroga formacja błyskawicznie przeobraziła się w ruchomą twierdzę.

Dwa tysiące, stwierdził w duchu mag, nagle przytomniejąc. Dwa tysiące przeciwko trzem setkom...

Spojrzał na stojącego obok niego elfa, który uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie i skinął głową.

Obaj zamknęli oczy i przywołali Moc.

Skalmir nie miał swego kamienia, a do tego od paru dni nie zdołał należycie wypocząć, przez co Moc, nadwerężona rytuałem przywołania smoka, wracała doń powoli. Nie wiedział, jak bardzo wyczerpany jest elf, który korzystał z własnych zasobów wedle zupełnie innej zasady, ale przeczuwał, że obaj dysponują jedynie częścią swoich możliwości.

Trudno, pomyślał. Musi wystarczyć.

Zebranie Mocy nie przyszło mu łatwo, ale jakoś uformował czar i pchnął go ku szeregom wroga. Włożył w to tyle siły, że aż się zatoczył, a gdy rozwarł powieki, świat był niewyraźny i mglisty. Stojący w pobliżu Gwaine nadal koncentrował się na własnym zaklęciu. Skalmir uśmiechnął się mimo woli.

Skubaniec, przeszło mu przez myśl. Jest potężniejszy ode mnie.
O rząd wielkości!

Wtem elf otworzył oczy i spojrzął na maga z przestrachem.

– Czujesz to? – spytał, a potem gwałtownie odwrócił głowę ku Przełęczcy Paniki.

*

Mads zatracił się w pędzie.

Nie pamiętał o Głuchoborach i Wichrogórach, odsunął myśli o Hunnie. Liczył się tylko zwierający tarcze szereg wrogów.

Jego błękitne oczy załśniły żelazem. Błyszczały w nich włócznie uniesione podczas ataku w korycie Burzycy. Zamigotał nieoczekiwany atak spomiędzy drzew Zamglonego Lasu. Rozjarzyło się natarcie podczas Bitwy Pogodzonych. Dudniło szaleństwo natarcia pod Grzywaczem, wibrowała szarża podczas Bitwy z Bękartami, pobrzmiwało zuchwałe wyzwanie rzucone Jaszczurowi. Tętniła ziemia, zawodził wiatr, świsnęły ostrza. Wyły wilki.

Jak śmieliście, sukinsyny, wrócić? – syczał w myślach. Na kopytach was, kurwa, rozniosę. Tłukł będą, póki ostatniego z was szlag nie trafi...

– Burza! – huknął.

– Wiatr! – ryknęło trzystu jeźdźców i oddział, choć zdawało się to zgoła nieprawdopodobne, jeszcze przyspieszył.

Pędzący na czele poderwali niewielkie kusze i ku żelaznym szeregom Tuistan pomknął rój beltów, gasząc tu i ówdzie ludzkie życie. Mads widział osuwających się na ziemię wojowników, ale poległych już zastępowali kolejni, którzy zwierali tarcze z sąsiadami i dodawali swe halabardy do rzędów ostrzy. Zauważył też, że ostrza unoszą się powoli, wręcz anemicznie.

Nie tego się spodziewał po doborowej tuistańskiej piechocie. Przez jego nieogolone oblicze przemknął chytry uśmiech.

– Burzaaaa!

– Wiatr!

Rąbnęli we wrogi szereg z ogłuszającym traskiem. Mądry Żmijka sekundę przed zderzeniem uskoczył lekko w bok przed ostrzem halabardy, a Mads wychylił się do przodu, prawie kładąc się na końskiej grzywie, i śmignął mieczem, odtrącając sąsiednie ostrze. Koń, nawet nie draśnięty, wbił się głęboko we wrogi szereg.

– Won! – darł się Voorten, zdzierając sobie gardło. – Won! Wracajcie tam, skąd wypelzliście, pieprzone przybłędy! Burza! Burza!

Tuistanie odwracali się ku niemu, niektórzy unosili nawet halabardy, ale ich ruchy były wolne i niezdecydowane. a miecz Madsa migotał wśród nich jak srebrzysta błyskawica. Ciął w trzonki halabard, walił po hełmach, pchał ostrze prosto w twarze, siekł po wyciągających się ku niemu ramionach. Żmijka, niewielki, ale silny i odważny, roztracał kolejne szeregi, kopał i gryzł, niosąc swego jeźdźca ku przeciwnemu skrajowi kolumny. Kątem oka Voorten zauważył Chryję, który rąbał naokoło toporem, dostrzegł też okrwawionego, śmiejącego się Czochora, niezmordowanie dźgającego włócznią, oraz Krzemienia, który z ponurym obliczem siał naokoło spustoszenie.

A oniemiał, oszłomieni, niemalże pozbawieni woli życia Tuistanie cofali się przed nimi i umierali.

Kilka uderzeń mieczem później Mads uświadomił sobie, że przedostał się na drugą stronę. Natychmiast pochwycił gwizdek i zagrał umówiony sygnał, który przebił się przez zgielek bitwy. Spiał Żmijkę i popędził przed siebie, a oddział, wyswobodziwszy się ze ścisku, pognął za nim. Wojownicy pokrzykiwali i wymachiwali bronią, a konie rżały. Chorągiewki łopotwały zuchwale pod szarym niebem.

Musieli oddalić się od wroga, by zawrócić i ponownie uformować szyk do szarzy. Voorten rozglądał się na boki. Wiedział, że nie ponieśli wielkich strat, a gdy stanął w strzemionach i odwrócił głowę, spostrzegł, że we wrogiej kolumnie wyszarpnęli ogromną wyrwę. Tuistanie usiłovali zewrzeć szyk, ale szło im niesporo.

Mads uśmiechnął się pod nosem i odszukał wzrokiem Skalmira i Gwaine'a. Obaj gwałtownie do niego machali. Już chciał odpowiedzieć tym samym, gdy tuż nad nim załopotwały czarne skrzydła, a na głowie Żmijki wylądował kruk.

– No – sapnęło ptaszysko. – Wreszcie cię znalazłem.

– Słuchaj, kuro, mamy tu trochę roboty... – zaczął Voorten, ale ptak nie dał sobie przerwać.

– Tak, wiem, dziękuję serdecznie! Już się cieszę na wyżerkę! – zaskrzeczał posłaniec. – A jeszcze bardziej cieszę się z tego, że wnet tej roboty będzie więcej!

Na dłoń Madsa spadła kropla deszczu. Kolejna spłynęła po karku Żmijki. Mężczyzna zmarszczył nieufnie brwi.

– O czym ty gadasz?

Wierzchowiec targnął łbem i kruk wzbił się do lotu, trzepocząc skrzydłami.

– Głupi koń, głupi! – wydarł się. – Oby cię coś kiedyś zeżarło! A wy, nieloty, spójrzcie lepiej na przełęcz.

Voorsten odwrócił głowę i znieruchomiał.

W rozległym zagłębieniu terenu między dwoma wzgórzami, tam, gdzie w nocy pulsowała złowroga zieleń Zorzy, wyrastał szereg ciężkiej jazdy. Kawalerzyści zjeżdżali powoli ku równinie, unosząc ku niebu las kołyszących się kopii. Po chwili ich szereg się przełamał – konni rozstępowali się na boki i nieruchomieli w dwóch zwartych hufcach. Choć od przegrupowującego się Wiatru dzieliła ich ponad mila, Mads widział, że szyk wroga jest niezwykle równy. Zdawać by się mogło, że żaden koń nie wysunął się przed inne nawet o krok.

Wrogie proporce, na ogół krwistoczerwone lub jaskrawożółte, łopotały na dzikim wietrze. Oba tuistańskie oddziały czekały z gadzią cierpliwością.

– Pułkowniku?! – zawołał z niepokojem Krzemień. – Uderzamy?!

– Poczekaj! – Mads poskromił roztańczonego, rwącego się do walki Żmijkę. – Poczekaj, muszę...

Pomyślał, że Tuistanie, rozdzielając się na pół, szykują jakąś demonstrację, i wnet się przekonał, że ma rację. W przejściu między oddziałami ukazał się bowiem smok, ogromny, o rozdętym tułowiu i długich jaszczurzych łapach, ledwie ciągnących ciężkie ciało naprzód. Przy każdym kroku łeb stwora, osadzony na krótkiej szyi, przesuwiał się to w jedną, to w drugą stronę, co potęgowało wrażenie wysiłku, jaki smok wkładał w poruszanie się.

Mads wyteżył wzrok. Smok był w istocie wielki, ale zdawał się niezdarny, a przez to żałośnie niegroźny. Ewidentny szacunek, jaki okazywali mu tuistańscy konni, wydawał się przez to niezasłużony, niemalże nie na miejscu.

Wtedy dostrzegł coś jeszcze.

Na grzbiecie smoka znajdowało się wgłębienie, w którym płonął wysoki ogień.

Z niejasnych powodów przejęło go to niepokojem.

– Na moje oko przynajmniej tysiąc konnych w każdej chorągwi – rzekł szorstko do Krzemienia, udając opanowanie.

– Mielicie rację, pułkowniku – odparł tamten, ścierając czyjaś krew z twarzy. – Pułapka jak nic.

– Głuchoborzanie pewnie by w nią wpadli. – Czochor zaśmiał się ponuro. – Całe szczęście, że my jesteśmy mądrzejsi.

– Całe szczęście – podchwycił Voorten. – Przebijamy się raz jeszcze przez tych gnojków. – Wskazał zboczonym mieczem piechurów, którzy powoli, potykając się o poległych, zwierali szeregi. – A potem zgarniamy Gwaine’a, Otluka, Skalmira i Kostura i wnosimy się pod Łoskot. To – kiwnął głową w stronę dwóch oddziałów i smoka – już nie nasza robota.

Stanął w strzemionach. Coraz liczniejsze krople deszczu uderzały o jego twarz, kruk odlatywał, kracząc głośno, odległy ogień na smoczym grzbiecie łopotał.

– Burza!

– Wiatr!

Kilkaset włóczni ozdobionych błękitnymi chorągiewkami znów się pochyliło i najsłynniejszy oddział lekkiej kawalerii w historii Rozkrzyczanych Krain runął do ataku.

Chwili uderzenia we wroga Mads jednakże nie doczekał.

*

Skalmir był przekonany, że traci kontrolę.

Na widok Wiatru, który zerwał się do kolejnej szarży z ewidentnym zamiarem ponownego przebicia kolumny ciężkiej piechoty, jeszcze raz przyzwał całą dostępną mu Moc. Poprzedni czar, który miał na celu odurzyć wrogich żołnierzy i odebrać im szybkość działania, najwyraźniej podziałał, bo kawalerzyści Madsa bez trudu przebili się przez tuistańską formację, zostawiając za sobą dziesiątki rannych i zabitych. Musiał zrobić wszystko, by i tym razem ułatwić Wiatrowi uderzenie.

Sęk w tym, że Skalmir napotkał poważne trudności.

Nie dość, że zostało mu już bardzo niewiele Mocy, to jeszcze nie mógł po nią sięgnąć z taką łatwością jak wcześniej. Nad polem bitwy zawisła bowiem obca emanacja, niezwykle silna i przytłaczająca, która blokowała jego myśli i przeszkadzała w koncentracji. Nie wiedział, co lub kogo ona reprezentuje, ale w zasadzie miał pewność, że jej źródłem jest osobliwy płomień szalejący na smoczym grzbiecie. Niepewne spojrzenia, jakimi Gwaine obrzucał oba hufce jazdy, zdradzały, że on także spodziewa się stamtąd zagrożenia.

Obca siła przetaczała się nad nimi niczym fale rozszalałego oceanu, a Skalmir miał wrażenie, że jest jak żeglarz, który mimo wszelkich wysiłków nie może postawić żagla. Czuł się zduszony,

bezsilny, niemalże osaczony. Tymczasem Wiatr pędził na złamanie karku ku szeregowi tuistańskiej piechoty.

Czas jakby zwolnił i mag ujrzał, że wzdłuż nieprzyjacielskiego szyku wyrasta rząd śmiercionośnych halabard.

Wiatr pędził na pewną śmierć, a Mads, ku jego przerażeniu, chwiał się w siodle.

Wyteżył raz jeszcze wszystkie siły, aż przed oczami zrobiło mu się ciemno, a w ustach poczuł żelazisty smak krwi. Moc przybywała do niego powoli, opornie, jakby lękała się obcej emanacji, duszącej i złowrogiej. Skalmir krzyczał i zaciskał pięści, ale jego wysiłek wciąż nie przynosił żadnych efektów.

Ech, gdybym miał mój kamień... – przemknęła mu przez głowę rozpaczliwa myśl.

Wtem na jego ramieniu zacisnęła się czyjaś mocna, ciepła dłoń.

– No, skup się jeszcze raz, synku – mruknął Kostur. – Ze spokojem.

Ręka starca emanowała uzdrawiającą Mocą, która natychmiast rozeszła się po ciele Skalmira, przepędzając znużenie i ból. Duszące ograniczenia niespodziewanie umknęły, a umysł maga z łatwością zgromadził nieco Mocy, by utkać czar.

Który zaraz pchnął w stronę tuistańskiej piechoty.

Choć słyszał piekielny łoskot oddziału jazdy przebijającego się przez szeregi wroga, nie otwierał oczu, by lepiej skupić się na podtrzymaniu czaru. Wiedział, że znów mu się udało wpłynąć na umysły wroga, a wojownicy Wiatru nie ugrzęzną na tarczach i halabardach przeciwnika. Kostur zaś przez cały czas trzymał dłoń na jego ramieniu.

Skalmir otworzył oczy dopiero wtedy, gdy usłyszał łomot kopyt tuż przy sobie. Potrząsnął głową, zaskoczony – jego szata nasiąkała już deszczem, a on właśnie zdał sobie sprawę, że zaczęło padać.

– Na koń! – krzyczał potężny jeździec, którego zwano Krzemieniem. – Pomóż który Kosturowi! Dajcie tu luzaki! Otluk, ruszcie się!

Czarodziej, przytomniejąc, spojrzął za siebie. W szeregach tuistańskiej piechoty ziała ogromna wyrwa, tymczasem oba hufce wrogiej jazdy powoli ruszyły ku wojownikom Wiatru. Smok dzierżący ogień podążał między oddziałami.

To Smoczy Płomień! – pomyślał ze zgrozą mag.

Zbliżała się zagłada.

– Poczekaj! – krzyknął do Krzemienia. – Poczekaj, zanim ruszymy!

Mieli jeszcze trochę czasu. Przecież upłynie dłuższa chwila, zanim ciężka jazda Tuistan się z nimi zrówna.

– Muszę przekazać wiadomość Elinaare! – dodał.

Krzemię skinął głową, a Skalmir, nim przytknął czoło do czaszki przerażonego Otluka, dostrzegł, że osilek zerka z niepokojem na Madsa.

Voorten zwiślał z siodła Żmijki.

*

Mads miał wrażenie, że unosi się wśród płomieni. Nie parzyły one jednak, nie raziły ani nie kaleczyły. Kołysały się łagodnie, całkowicie bezgłośnie, i wyciszały jego umysł, w którym jeszcze chwilę temu rozbrzmiewał ogłuszający zgiełk bitwy. Wszelkie dźwięki i doznania stopniowo się oddalały. Voortena otoczyła obca, nieprzyjemna cisza.

Gdzie ja jestem? – zadał sobie w duchu pytanie.

Chciał się rozejrzeć, ale uświadomił sobie, że nie może tego zrobić, gdyż jego ciało znikło.

Był jedynie świadomością.

Co tu się dzieje? – pomyślał z gniewem, który powoli ustępował zgrozie. – Co to za miejsce?

Parokrotnie odnosił ciężkie rany i często ocierał się o śmierć, ale z takich chwil pamiętał jedynie bezkresną ciemność, przeszywaną atakami wściekłego bólu. Nigdy dotąd nie utknął w świecie łagodnych, niegroźnych płomieni.

Wiedział, że dzieje się coś niedobrego. Jego lęk przybierał na sile.

„Wybacz – odezwał się nagle obcy, kobiecy głos. – Nie mogłam się oprzeć”.

Minęło kilka sekund, nim Mads pobierał myśli na tyle, by móc odpowiedzieć.

„Kim jesteś?”

Niemal natychmiast pożałował pytania. Wcale nie chciał poznać tożsamości istoty, która przemawiała w jego głowie, tym bardziej że, co uświadomił sobie zaraz potem, mówiła po tuistańsku.

„Jestem głosem Królowej-Wieszczki – usłyszał. – A kogo innego spodziewałeś się usłyszeć?”

„Spodziewałem się, że nie usłyszę już nikogo, kto przemawia waszą mową” – odparł.

Milczała przez moment. Płomienie falowały bezgłośnie, kojąco.

„Mówiono mi, że jesteś krnąbrny i buńczuczny. Że nie ma dla ciebie świętości. Że nie uznajesz niczego za rzecz niemożliwą. Wygląda na to, że nie była to przesada”.

„Wypuść mnie!” – zażądał Mads, ze wszystkich sił próbując nie okazać narastającej frustracji.

„Długo zastanawiałam się nad przyczynami, dla których Król-Wieszcz, mój żaloszny poprzednik, zdecydował się opuścić Rozkrzyczane Krainy. Wiele mówiono o tym, że jego prorocтва okazały się niecelne, co wydaje się prawdą. Nie można jednak umniejszać roli uporczywych buntowników, wśród których to ty, Voorten, wybijasz się na pierwsze miejsce”.

„Do czego ta rozmowa ma prowadzić?” – warknął.

„Chcę, choć niechętnie, okazać ci mój podziw, a także swoiste rozczarowanie – ciągnął głos. – Z czego dla ciebie będzie istotne raczej to drugie. Przygotowywałam moją operację bardzo starannie w przekonaniu, że ani Głuchoborzanie, ani krasnoludy nie domyślą się moich planów. Niestety, pojawiliście się ty i ten przeklęty elf, który wcześniej doprowadził do zagłady Jaszczura. Nie podoba mi się to, marny pyłku.

„Wypuść mnie! – wrzasnął Mads, a płomienie po raz pierwszy zakolysały się gwałtowniej, niczym zarośla, w które uderzył podmuch wiatru.

Królowa-Wieszczka parsknęła wzgardliwym śmiechem.

„Cóż to za ton, Voorten? Nie nauczono cię szacunku wobec potężniejszych od ciebie? O, na pamięć Matki, toż to koszmarnie zaniedbanie, pyłku”.

Zamilkła na chwilę.

„Wyczuwam w tobie osobliwą niechęć. Jakbyś nie chciał już brać udziału w tym wszystkim. Jakbyś uznał, że tak naprawdę powinieneś być daleko stąd”.

Mads się nie odzywał, czując, że zaraz usłyszy decydujące słowa.

„Wróć więc. – Głos mówił teraz ciszej. – Wróć do miejsca, które uznałeś za swoje. Nie przeszkadzaj nam, pyłku”.

Królowa-Wieszczka ponownie zamilkła. Voorten skądś wiedział, że się uśmiecha, i świadomość ta przepełniła go zgrozą. Płomienie przygasły, po czym eksplodowały. Wciąż były jedynie iluzją i Mads nie odczuwał ich gorąca, ale przeraziła go gwałtowność

fantomowego ognia. Nieraz bez wahania stawał do walki ze Smoczętami czy Bękartami i bez strachu wiódł swych żołnierzy ku starciu z liczniejszym, doskonale uzbrojonym przeciwnikiem, ale z magią walczyć nie potrafił, a zwłaszcza z taką, która odarła go z ciała i zamieniła w więźnia.

W owym przedziwnym, przepelnionym falującym bezgłośnie ogniem świecie nie było sposobu, by zmierzyć upływ czasu, ale mimo to Mads wiedział, że ten ucieka.

Że na coś się zanosi.

„Zawróć!” – Wrzask Królowej-Wieszczki uderzył w niego z siłą sztormowej fali.

Voorten, choć pozbawiony ciała, poczuł się jak ostatni liść na szerniałej gałęzi, który lada moment zerwie się i odleci z wiatrem.

„Zawróć! Wynos się! Zabieraj się stąd! – krzyczała z furją zdolną miazdżyć góry, a płomienie szalały, rozbudzone wściekłością w jej głosie. – I nie waż się zlekceważyć mego rozkazu! Masz natychmiast zawrócić! Znam twą historię! Oriana pozostawiła dokładne raporty, pyłku, i wiedz, że jeśli natychmiast nie złożysz broni i nie zabierzesz stąd tych cuchnących koniuchów, odnajdę krainę, w której mieszkasz, i wymorduję wszystkich, których kochasz! W tym tę jedyną! Twą ukochaną. – W jej głosie pojawiła się pogarda. – Zawziętością oraz głupotą doprowadzisz do tragedii! Zrozumiałeś, pyłku?”

Ucichła, nie domagając się odpowiedzi. Płomienie zgasły i Madsa na powrót otoczyła absolutna cisza. Nie słyszał nic, nawet bicia własnego serca, nie mówiąc już o bitwie, toczącej się gdzieś tam, w realnym świecie.

Ciemność jednakże nigdy nie była jego wrogiem. W ciemności chował się w najtrudniejszych chwilach, układał plany i analizował klęski, dochodził do siebie po ciężkich obrażeniach, koił umysł po doznanej rozpaczce. Bywało, że w mroku nawiedzały go największe koszmary, ale tam też odżywały jego marzenia i wspomnienia.

To tam, podczas miesięcy zaciekłych bojów z Tuistanami, przechowywał gasnące wspomnienie oblicza Hunny.

W ciemności Mads odżywał. Na nowo nabierał sił i powstawał.

– Jestem Mads Voorten, Ostrze Burzy – powiedział w mrok. – Raz kiedyś zrezygnowałem z walki, bo ktoś potężniejszy ode mnie zagroził bliskiej mi osobie. Lęk nakazał mi się wycofać. Ale teraz tego nie zrobię. Gdybyś bowiem naprawdę była tak potężna, jak sądzisz, nie dałabyś sobie odebrać smoka i wyjechałabyś

przeciwko nam w pole, a nie próbowała mnie wystraszyć. Staw nam czoła, królowo! – wycedził pogardliwie. – Wyjedź nam naprzeciw, a poznasz, kim jest Ostrze Burzy! A jeśli przyjdzie mi zginąć, wiedz, że nie jestem sam! W ślad za mną wyjadą inne Ostrza Burzy, każde wycelowane prosto w ciebie!

Mrok zaczynał rzednąć, aż ustąpił sieczonej deszczem szarzyźnie pola bitwy. Mads poczuł, jak dotykają go czyjeś mocne dłonie.

– Synku? – mruknął Kostur tuż przy jego uchu. – Wszystko z tobą w porządku? Bo brzmisz, jakby coś ci się we łbie poprzestawiało...

– Nic mi się nie poprzestawiało – wychrypiał Voorten.

Chwycił za łąk, a potem rozsiadł w siodle; nagły ruch sprawił, że zakręciło mu się w głowie. Żmijka zarżał radośnie, a na kilku otaczających go twarzach, brodatych i mokrych od deszczu, pojawiły się nieśmiałe uśmiechy.

– Musiałem się zdrzemnąć – zażartował. – Nie dziwcie się, chłopaki, w życiu nie prowadziłem nudniejszej szarzy.

Stanął w strzemiionach i się rozejrzył. Strugi deszczu ograniczały widoczność, ale mimo to dostrzegł równe, zwarte na nowo szeregi ciężkiej piechoty, które przebili dwukrotnym atakiem, oraz oba hufce jazdy, objeżdżające smoka z płomieniem na grzbiecie. Tuistanie szykowali się do natarcia. Lekko przygryzł wargę, gorączkowo się zastanawiając.

– Co robimy, panie pułkowniku?! – zawołał Krzemień.

Mads spojrzął na towarzyszy.

– Przywiążcie Kostura do siodła, żeby mi już dupy nie zawracał! – odparł. – A ty, Otluk, chodź no tu, chłopie. Pora urządzić Królowej-Wieszczce iście królewskie powitanie.

*

Elinaare wyteńczyła wzrok.

Po rozległej równinie, ciągnącej się między Górami Dostojnymi a Górami Grozy, hulały coraz zimniejsze wiatry, a trawy kłaniały się pod naporem kolejnych podmuchów. Chłodne powietrze wyciskało łąy z oczu, a Elinaare ścierała je uparcie i wpatrywała się w dal, którą przesłaniały sunące na północ ulewy.

Umysł kobiety był odrętwiały ze zmęczenia; co rusz przymykała oczy, kołysząc się w rytmie końskich kroków. W pierwszym

momencie nie zwróciła więc uwagi na to, że świat wokół niej szarzeje. Oprzytomniała dopiero, gdy usłyszała swe imię.

„Elinaare! – wołał z oddali Mads. – Elinaare, to znowu ja! Jesteś tam gdzie?”

Była Strażniczka natychmiast oprzytomniała i wyprostowała się w siodle. Kątem oka ujrzała, że jadący obok niej Krzyk, Buk i Strzęp drgnęli i spojrzeli na nią badawczo.

„Elinaare?”

„Jestem, Mads! – odezwała się, pokonując zaskoczenie. – Wszystko w porządku? Nic ci nie jest?”

„Nie. Chyba nie, poza tym, że dawno się tak nie wściekłem jak chwilę temu! – Głos Voortena drżał pod wpływem tłumionych emocji. – Posłuchaj, gdzie jest Bielik? Nie mogę się z nim porozumieć!”

„Nie możesz? – Elinaare poczuła ucisk w żołądku. – Czyli zapewne zszedł w podziemia z krasnoludami?”

„Z kim? – Mads wydawał się autentycznie zdumiony. – Czy ja cię dobrze zrozumiałem? Masz na myśli Callestra?”

„Tak. Krasnoludy włączyły się do gry. Callestr obiecał, że ściągnie drużynę Wyjaławiaczy i dopadnie tego Tuistanina w podziemiach”.

Voorten się zaśmiał.

„Doskonale! – skwitował z radością. – Doskonale. Już ja tej pieprzonej zdzirze urządzę powrót do Rozkrzyczanych Krain. Zastanowi się dwa razy, zanim postawi tu stopę, wredna córka rozdeptanego padalca”.

„Mads? – Elinaare się zawahała. – Czy aby na pewno wszystko w porządku?”

„O, tak, tak. Nic mi nie jest. Tylko się zdrzemnąłem podczas szarży”.

„Mads?”

„Tak, już. Słuchaj, masz ty może jakiś sposób, by się skontaktować z Callestrem?”

„Mam” – Dotknęła dłonią sakwy, w której spoczywała kryształowa kula.

„Znakomicie. A więc przekażesz mu następujące rzeczy...”

Voorten mówił. Elinaare kręciła z niedowierzaniem głową. Na jej twarz spadły pierwsze krople deszczu.

Bielik złapał Pokrzewkę za rękę i obaj cofnęli się za rumowisko, powstałe chwilę wcześniej, gdy w ścianę Żyła rąbnęła magiczna siła wroga.

W tej samej sekundzie pchnięty kolejnym uderzeniem Callestr przetoczył się po ziemi i z głuchym stęknieniem uderzył w skałę. Mimo bólu machnął ręką, a ze ściany tunelu kilkanaście kroków dalej oderwał się z chrzęstem kolejny ogromny odłamek. Rąbnął o podłoże, aż Żyła zadygotała i na jakiś czas wszystko utonęło w białawym pyłe, ale Bielik zdołał dojrzeć, że do krasnoluda przypadło dwóch towarzyszy, którzy przenieśli go za wyszarpiętą przed momentem skałę. Jeden z nich nachylił się nad dowódcą i przytknął dłonie do jego klatki piersiowej, jakby próbował zbadać obrażenia, a drugi wychylił się zza krawędzi i machnął dłonią.

Przez łoskot kamieni i okrzyki krasnoludów przeniknął okrzyk tryumfu ich przeciwnika.

Tuistański sukinsyn! – pomyślał Bielik i zatrzymał Pokrzewkę, który uparcie próbował wyrzeć zza rumowiska. Okazał się jeszcze twardszy, niż myślałem.

Krasnoludy przystąpiły do kontrataku. W kierunku Tuistanina pomknął rój skalnych odłamków, ale ten skruszył je wszystkie niedbałym ruchem ręki. Jedna z Wyjaławiaczy – Bielik dopiero teraz zauważył, że to kobieta – złożyła dłonie i ziemia pod nogami maga rozpadła się w proch. Wtedy Callestr uruchomił kolejną chmurę odłamków, tym razem z sufitu, ale Tuistanin zniknął.

– Możesz im jakoś pomóc? – zwrócił się do Pokrzewki Bielik.

Chwastownik, który jeszcze przed chwilą spłoszył Światłożerców przeraźliwym wrzaskiem, najwyraźniej stracił zainteresowanie starciem. Wyrzwał raz czy drugi, po czym odwrócił się plecami do walczących i zaczął przedmuchiwać fujarkę. Słyszac pytanie Bielika, spojrział na niego z taką obojętnością w oczach, że ten westchnął ze złością i znów wychynał zza usypiska. Przez korytarz przemknęła fala gryzącego, kęsającego mrozu. Młodzieniec cofnął się szybko, ale było już za późno – lodowate powietrze wniknęło do płuc, które natychmiast zapłonęły bólem. Upadł na ziemię, po czym przetoczył się w kierunku Wyjaławiaczki. Ta podniosła go szarpnięciem. Na jej dłoni już tańczył wysoki płomień; powietrze ogrzewało się błyskawicznie.

Bielik podziękował jej skinieniem i cofnął się w mrok.

Nigdy w życiu nie widział tak zawziętej walki. Tuistański czarodziej, którego dopadli przy końcu tunelu, stawiał im zacieklej opór. Krasnoludów było ośmiu i każdy z nich zdawał się mieć

niewyczerpane magiczne moce, podsycane dodatkowo gniewem i żądzą zemsty. Oszołomiony Bielik patrzył, jak bez wytchnienia zwalają na Tuistanina kamienie i bombardują go ostrymi odłamkami. Napierali nań, coraz bardziej rozwścieczeni jego oporem, ale mag nie pozostawał im dłużny. Już dwóch krasnoludów padło w walce – jeden z szyją przebitą na wylot którymś z całej serii nadlatujących sopli, a drugi porwany wyczarowanym wiatrem i z ogromną siłą ciśnięty o ścianę – a opór człowieka wcale nie słabł.

Bielik nigdy też nie czuł się tak zbędny. Nie miał jak się przydać w walce, tym bardziej że oślepiały go tumany pyłu, które krasnoludom najwyraźniej wcale nie przeszkadzały. Pozostała mu jedynie obserwacja toczonej w podziemiach bitwy, co przywiodło go do wniosku, że rodacy Callestra znakomicie władają żywiołem ziemi. Umiejętność ta czyniła doskonałymi budowniczymi i sprawiała, że ich ataki nie miały sobie równych, ale nie nadawała się specjalnie do obrony.

Mag tymczasem głównie na tym się skupił.

Jego wytrwała obrona doprowadzała krasnoludy do szału, tym bardziej że Tuistanin powoli cofał się w stronę wyjścia z tunelu. Bielik czuł już powiew wiatru i wilgoć deszczu. Miał wrażenie, że z chwilą, gdy czarownik się wydostanie, Wyjaławiacze stracą panowanie nad sytuacją. Sądząc po ich coraz bardziej nerwowym zachowaniu, nie był daleki od prawdy.

A ja nie mogę im w żaden sposób pomóc, pomyślał z frustracją.

Łoskot uderzających o siebie kamieni niespodziewanie przerwała wesoła melodia zagrana na fujarce. Bielik zerknął przez ramię – Pokrzewka wyczekiwał momentów, kiedy nacierający przesuną się naprzód, a potem, gdy odłamki przestawały latać, dołączał do nich i nagradzał ich beztróską piosenką.

Bielik już chciał go ofuknąć, gdy usłyszał przyzywające warknięcie Callestra:

– Pokrzewka! – syknął, a chwastownik oderwał się od gry i skoczył w ślad za Bielikiem.

W kilku susach obaj przypadli do zwałowiska, za którym ukrywał się Callestr. Wojownik wiedział, że krasnolud zawdzięcza upiorną biel oblicza tumanom pyłu, ale mimo to poczuł ukłucie lęku, tym bardziej że biel przecinały strużki ciemnej krwi ze skaleczenia na czole.

– Musimy zatrzymać go w podziemiach – oznajmił Callestr. – Chcemy zaważyć wyjście i próbowaliśmy już parokrotnie, ale

sukinsyn rozprasza naszą połączoną Moc. Ten cholerny kamień czyni go zbyt silnym.

Młodzieniec wpatrywał się w niego ponuro.

– Czyli co mam zrobić?

– Nie wiem! – Krasnolud potrząsnął głową. – Weź tego grajka i wymyślcie coś. Zajmijcie go czymś choć na kilka sekund.

– Rozgniecie mnie głazem w okamgnieniu! – warknął Bielik, a potem zaniósł się kaszlem.

– Rozumiem cię doskonale, chłopcze! – Callestr się skrzywił. – O wiele lepiej, by ginęły krasnoludy, co?

Chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył. Nigdy się też nie dowiedział, czy Pokrzewka podsłuchiwał ich rozmowę i uznał, że warto pokazać krasnoludom prawdziwe męstwo, czy też może odbiło mu do reszty. Chwastownik jednym susem wskoczył na skalne rumowisko, za którym skrywali się Bielik i Callestr, wykręcił piruet, zatupał i znów zagrał na fujarce.

Tym razem jednak w jego muzyce kryło się coś obcego i nie chodziło tu bynajmniej o echo, które zniekształcało dźwięki. Bielik wychylił się zza krawędzi usypiska i ujrzał ledwie widoczną sylwetkę obcego maga, który zatoczył się nagle, jakby pod wpływem wściekłego ataku bólu głowy.

– Teraz! – syknął Callestr.

Bielik już pędził. W biegu zahaczył biodrem o jakiś głaz, ale ledwie to zarejestrował. Przeskakiwał słabo widoczne kamienie, potykał się, przewracał, ale zaraz ponownie zrywał się dobiegu, nie wypuszczając miecza z dłoni. Szum krwi i dudnienie serca co rusz przenikały dźwięki wygrywane przez Pokrzewkę, które to słaby, to znów potężniały.

Tuistanin był coraz bliżej i w dalszym ciągu się słaniał.

Wtedy krasnoludy przystąpiły do ataku. Ziemia pod stopami przeciwnika pękła z głośnym trzaskiem i ze środka buchnęła gęsta lawa. Mag odskoczył, a wtedy od skalnej ściany oderwały się dziesiątki ostrych drzazg i pomknęły ku niemu.

Bielika dzieliło odeń jeszcze kilkanaście kroków.

Tuistanin machnął ręką i zamienił drzazgi w pył, a drugą skierował ku szczelinie, w której lawa natychmiast zastygła. Przygasł jej czerwony blask, ale i tak można było dostrzec oblicze czarownika, wycieńczone, pokryte pyłem i zakrwawione. Z szat mężczyzny pozostały strzępy, a jego ciało zdawało się składać z sińców, blizn i strupów. Wyglądało na to, że odparcie szturm

Światłożerców, sprowokowanego przez Elinaare, kosztowało maga mnóstwo sił. Mimo to wciąż walczył.

Dziesięć kroków, może mniej.

Ziemia pod nogami maga zadrżała i buchnął z niej strumień gorącej pary, lecz ten zatrzymał go dłonią. Drugą wycelował gdzieś w głąb korytarza i nagle melodia Pokrzewki urwała się, zastąpiona bolesnym wrzaskiem. Wichrogórski kamień podskakiwał na piersi wroga.

Osiem kroków. Siedem.

Mag spojrział na Bielika. Twarz miał obrzmiała, a oczy, zapuchnięte jak wtedy, gdy wojownik szedł za nim ulicami Łoskotu, były tak zaczerwienione, że wydawały się niemalże krwawić. Wyglądał, jakby stał jedynie dzięki sile woli, ale tej najwidoczniej miał jeszcze mnóstwo, bo nagle skrzywił się sardonicznie i pokiwał głową, jakby litując się nad pożałowania godnym losem młodego straceńca.

A następnie uniósł ku niemu drżąca, pokaleczoną dłoń.

Pięć kroków.

Z płuc Bielika wyrwał się nieartykułowany wrzask bojowy. Wznosząc miecz, przyspieszył jeszcze bardziej, gotów jednym cięciem rozrąbać magowi głowę, ale wtedy z całej siły uderzył w niewidzialną przeszkodę. Zatoczył się, zaskoczony i oszołomiony eksplozją bólu, w ostatniej chwili broniąc się przed upadkiem. Miecz z brzękiem wypadł mu z dłoni.

Mag parsknął wzgardliwym śmiechem i uniósł drugą dłoń.

Odruch wojownika nakazywał Bielikowi odepchnąć się od ściany i rzucić do ucieczki, ale przytłumiona z powodu bólu logika wytknęła mu, że to bez sensu. Że przed czarem rozwścieczonego maga nie ucieknie.

Że nie ujrzy już Naparstek.

Kątem oka dostrzegł nagły ruch. Zatrzepotały czarne skrzydła, posypały się pióra, rozległ się dziki skrzek, a po nim o wiele głośniejszy ludzki wrzask. Młody wojownik instynktownie podniósł miecz, po czym wyciągnął go przed siebie i zrobił krok.

Bariera znikła.

Tuistanin zataczał się, przyciskając dłoń do oczodołu, z którego ciekły strużki krwi. Wrzeszczał z bólu i unosił rękę, by cisnąć kolejny czar, a ogromny kruk wzlatywał pospiesznie, unosząc w dziobie strzęp ludzkiego ciała. Nadbiegały krasnoludy, ziemia znów drżała, serce Bielika biło jak szalone.

Została mu sekunda, może mniej.

Ze wszystkich ciosów mieczem, jakie w życiu zadał, ten należał do najbardziej niezgrabnych. Ciało od lewej, zbyt słabo, zbyt płytko. Czubek klingi rozorał jedynie skórę na żuchwie maga, co sprawiło, że ten odwrócił się ku napastnikowi. Ocalałe oko rozbłysło przerażeniem, ale Bielik już uderzał ponownie, tym razem celniej. A potem jeszcze raz.

Wichrogórski otoczek wysunął się z dłoni Tuistanina i przetoczył niemrawo w rosnącej kałuży krwi. Zapadła cisza.

Bielik oparł się o skałę i opuścił broń.

– Z Jaszczurem poszło jakoś łatwiej – wymamrotał.

– Ale tyle dobrego żarcia nie było – oświadczył siedzący powyżej kruk. Z jego ogromnego dzioba zwisał krwawy flak. – Zostawić ci trochę?

– Nie.

– A mogę drugie?

– Możesz.

Młodzieniec schylił się, by podnieść kamień Skalmira. Ptak zatrzepotał skrzydłami i sfrunął na trupa. Usłyszawszy kroki nadbiegających krasnoludów, podskoczył i odwrócił się w ich stronę.

– Wieczerał będę za moment – oznajmił. – Przecież mam jeszcze robotę. Któryś z was to Callestr? – spytał, przekrzywiając łebek.

– Ja – odpowiedział przywódca Dominium.

– Dobra. Mam dla ciebie wiadomości od Madsa Voortena. Dość pilne.

*

Malhorn spał konia.

Potężny rumak bojowy, szkolony od źrebaka, błyskawicznie reagował na wszystkie polecenia jeźdźcy, a do tego emanował spokojem i ogromną, niewyzwoloną jeszcze siłą. Król, dobrze pamiętający posłuszną, acz pozbawioną energii chabetę, na którą posadzono go przed szarżą przy rozpadlinie, uśmiechnął się do siebie. Czuł, jak wierzchowiec użycza mu swej siły, podobnie jak armia podążająca za jego plecami.

W powietrzu tętniła prastara, głuchoborska moc. Malhorn nigdy wcześniej nie doświadczał jej w takim stopniu. Po raz pierwszy jechał wszak w pełnej zbroi na spotkanie wroga swej ojczyzny, wiodąc połączone siły królestwa. Podążał, by wyznaczyć bieg dziejów. By wyrąbać mieczem ich nowy kształt.

Zerknął przez ramię na szeregi ciężkozbrojnych jeźdźców, ciągnące się hen daleko i niknące w szarości dnia. Wiatry nadbiegające ze wschodu, z doliny między Górami Dostojnymi a Górami Grozy, podnosiły wiekowe sztandary i wydymały płaszcze zbrojnych. W chłodnym powietrzu krzyżowały się okrzyki dowódców, skądś niosła się ponura, złowieszcza pieśń o śmierci i zabijaniu, gdzieś dalej dęto w rogi. Z południa nadciągał oddział lekkiej kawalerii, godzinę wcześniej wysłany na zwiad, a kolejny właśnie wyruszał na północ.

Powietrze drżało od wskrzeszonej potęgi Głuchoborów. On zaś był jej sercem i mózgiem.

Sam jestem Ostrzem Burzy, pomyślał nagle z rozbawieniem.

Uśmiechnął się do Elinaare, która jechała obok niego, otoczona trójgciem wojowników z Widmowego Zagonu. Dzięki informacjom, które odbierała drogą telepatyczną od Madsa i za pomocą kuli od Callestra, Malhorn wiedział dokładnie, jaki obrać kierunek, a słowa schwytanego maga, którego sprowadziła w najlepszym możliwym momencie, przekonały buntowników do zaniechania oporu.

Gdyby nie ona, nie udałoby się to wszystko.

Uśmiech znikł z ust Malhorna, gdy ten przeniósł spojrzenie na towarzyszących mu Dziedziców. Odjechał kilkadziesiąt kroków i zawrócił rumaka, po czym gestem dał im znać, by się zbliżyli. Nadjechali wszyscy: śmiertelnie poważny Dugun z Kozioroźców, co rusz ocierający załzawione oczy, drwiąco uśmiechnięty Ulhard Rozłupiec, zarumieniony, pełen zapachu Waligóra Trzimir, nieco pijany Kazah Wichura, posepny Turun Ostatniec oraz obaj Głazińce, stary i młody.

– Chcę powtórzyć wszystko, co usłyszeliście jeszcze w Łoskocie – odezwał się głośno władca. – Przypominam, że nie będziemy korzystać z flag.

Powiódł uważnym wzrokiem po obliczach Dziedziców.

Przed nadejściem Tuistan armią głuchoborską dowodzone za pomocą skomplikowanego systemu barwnych flag i sygnałów dźwiękowych, który uczynił Głuchoborzan niepokonanymi i przeszedł do legend. Chcąc uniknąć klęski, Smoczyca rzuciła na Głuchoborzan Przekleństwo i odebrała im umiejętność rozpoznawania kolorów, przez co walną bitwę, w której Tuistanie odnieśli zwycięstwo, nazwano później Szarą Masakra.

Przekleństwa po śmierci Smoczycy utraciły swą moc i Głuchoborzanie znów rozpoznawali kolory, ale nie wszyscy czynili

to równie dobrze, a system, podobnie jak wiara w Grzmotuna, został w znacznej mierze zapomniany. Malhorn nie miał zamiaru opierać swej strategii na metodach, które pamiętano jedynie częściowo, i na szczęście większość Dziedziców wydawała się z nim zgadzać. Jedynie Wichura i Rozłupiec sprawiali wrażenie niezadowolonych, ale żaden z nich nie zdradził się z tym ani słowem.

– Nasłuchujcie królewskich rogów – polecił król. – Jeden długi sygnał oznacza atak, dwa krótkie przegrupowanie, trzy krótkie odwrót. Bez względu na to, jak będzie rozwijać się sytuacja, obowiązuje was ten sam szyk. Idziemy ławą! – mówił coraz szybciej, podekscytowany własnymi słowami. – Ja, Koziorożec i Trzimir atakujemy w centrum, Wichura, Rozłupiec i Ostaniec prawe skrzydło, hufce Mchaków i Głazińców lewe skrzydło. Niech was Grzmotun prowadzi.

– Wasza Królewska Mość... – odezwał się Rozłupiec z niedowierzaniem.

– Zapamiętaj to, co chcesz mi teraz powiedzieć, možny – przerwał mu Malhorn. – Po bitwie uznasz, czy było warto, bym to usłyszał. Bitwa jest już przygotowana i nic, co powiesz, tego nie zmieni. Wracajcie do swoich drużyn. Wroga zobaczymy za jakąś godzinę.

Dziedzice jeden po drugim kiwali głowami i zawracali konie, wszyscy, łącznie z zaczerwienionym ze złości Ulhardem.

– Głazińce, zostańcie – rzekł Malhorn.

Obaj, stary i młody, z ociąganiem wstrzymali konie. W oczach głowy rodu odbił się przestach, jakby się domyślał, że kolejne słowa zadecydują o jego życiu.

Żebyś wiedział, pomyślał monarcha i ponaglił konia, który zbliżył się do byłych buntowników.

– Hogalf – powiedział cicho. – Sprawisz szyki tak, by twój syn mógł je poprowadzić do boju.

W wyłupiastych oczach młodego Głazińca odbiło się zaskoczenie.

– To on powiedzie szarżę lewego skrzydła – podkreślił dobitnie Malhorn. – Ty będziesz czuwał nad tym, by atak przebiegł jak należy i by nikt nie odebrał twojemu szczeniakowi chwały. Zadbasz również o to, by w szczytowym momencie starcia polec chwalebną śmiercią. Zrozumiałeś mnie?

Hogalf Głaziniac umknął spojrzeniem w bok, a potem nabrał tchu i na powrót popatrzył królowi w oczy. W jego spojrzeniu

pojawiła się rezygnacja.

– A więc tak to chcesz załatwić? – zapytał głucho.

– Stałeś się buntownikiem i nic tego nie zmieni – odparł król. – Dobrze, że w ostatniej chwili dałeś się przekonać synowi i znów mnie poparłeś, ale nasze prawo nie ma dla zdrajców litości. Pozwolę ci więc zginąć śmiercią wojownika, a Aldanowi pomogę zmasakrować twoje winy i zdobyć własną chwałę. Więcej dla ciebie zrobić nie mogę. – Milczał przez kilka sekund, po czym dodał: – I nie chcę.

Hogalf pokręcił głową i splunął.

– Niech cię szlag – wychrypiął.

– Wasza Wysokość, ja... – zaczął Aldan wysokim głosem, ale Malhorn gestem nakazał mu ciszę.

– Wypełnijcie moją wolę – polecił. – Nie mam wam nic więcej do powiedzenia. Mchakami zajmę się zaś po bitwie. Wracajcie do drużyny.

Na twarzy Turuna Ostańca, który celowo powoli zawracał konia, by usłyszeć ostatnie słowa króla, pojawiło się uznanie. Władca nie skomentował tego ani słowem. Zawrócił rumaka i spojrzał w głąb rozległej doliny, sieczonej coraz gwałtowniejszą ulewą.

Tam miały się rozegrać losy jego królestwa.

*

Mads popędził Żmijkę, a wojownicy Wiatru wdarli się w ślad za nim na niewysokie wzgórce. Zdawałoby się, że oddział zatracił wszelką dyscyplinę, ale gdy tylko konie wyhamowały, ich jeźdźcy zaczęli formować szeregi i po chwili Wiatr znów utworzył klin o idealnie równych krawędziach. Mads zerknął z aprobatą na podkomendnych, a potem na jadącego obok niego Krzemienia.

– No, no – mruknął. – Nie marnowałeś czasu w Brzasku.

Krzemień był prostym człowiekiem i nie bardzo wiedział, jak reagować na komplementy, zwłaszcza od kogoś takiego jak Voorten, więc po prostu przemilczał jego słowa. Wpatrywał się w równinę, gdzie maszerował czworobok tuistańskiej ciężkiej piechoty, poszczerbiony dwoma szarżami, ale nadal wyzywająco groźny, przypominający ruchomą, najeżoną ostrzami twierdzę. Voorten poszedł za jego wzrokiem. Miał wrażenie, że piechurzy, uwolniwszy się wreszcie od czaru Skalmira i Gwaine'a, pałają żądzą zemsty i wręcz prowokują ich do natarcia.

Zmrużył powieki i spojrział dalej, na przesłonięte kurtyną ulewy dwa oddziały jazdy, które zbliżały się niewzruszenie, acz wolno. Ich dowódcy realizowali własne rozkazy, czujnie obserwując ruchy Madsa.

– Uderzymy jeszcze raz? – spytał Krzemień.

– Aż tak bardzo ci się pali do walki? – odrzekł z przekąsem Voorten. – Nie możesz się, chłopie, doczekać, aż znów znajdziesz się w jakimś lepszym towarzystwie?

Czochor zarechotał. Chryja, który właśnie pociągnął tęgi łyk z bukłaka, parsknął głośno.

Deszcz przybrał na sile i Mads, lustrujący pole przyszłej bitwy, poczuł, jak przeszywają go dreszcze zimna. Dostrzegł pełznącego w oddali smoka, który nadal niósł na grzbiecie wysoki płomień. A potem przypomniał sobie słowa Królowej-Wieszczki i ogarnęła go złość.

– Szarża na tych drani byłaby samobójstwem – mruknął. – Ale dobrze byłoby ściągnąć uwagę ich jazdy. Atak pozorowany! – rzucił głośniej do trójki poruczników. – Kusze, łuki, cokolwiek. Ostrzelamy suchych synów z odległości pięćdziesięciu kroków i zawrócimy. Gotowi?

Rozległy się okrzyki aprobaty.

– Burza!

– Wiatr!

Kopyta zacmokały w błocie, zafurkotały mokre od deszczu niebieskie chorągiewki. Oddział rzucił się do ataku.

*

Skalmir starł deszcz z twarzy i wyteżył wzrok.

Pole bitwy zalewały strugi deszczu i ciemne kształty przesuwających się oddziałów były rozmazane, ale czarodziej miał wrażenie, że odczytuje intencje dowódców. Formacja ciężkiej piechoty niewzruszenie zmierzała do odległej o kilkanaście mil jamy, a obie chorągwie jazdy przesunęły się na jej flankach, gotowe bronić bądź ruszyć do ataku. Niewielki oddział Madsa Voortena tańczył przed nimi niczym zwinny ulicznik, nabijający się z masy muscularnych dokerów.

Skalmir był niemalże pewien, że Voorten chce sprowokować Tuistan do jakiegoś działania, i obawiał się, że pułkownik narazi się potędze, która najwyraźniej sterowała natarciem. Czarodziej wyraźnie wyczuwał jej istnienie i wiedział, że jest o wiele silniejsza

od niego, nawet gdyby połączył siły z Gwaine'em. Wiedział, że to ona tłamsiła jego magię, że gdyby nie Kostur, nigdy nie zdołałby wpłynąć na umysły piechociarzy, a szarża Voortena skończyłaby się krwawą masakrą.

Usiłował przeniknąć wzrokiem ulewę, która przesłaniała postać kroczącego ociężale smoka z płomieniem na grzbiecie. To w nim doszukiwał się źródła owej siły.

Potwór się zbliżał, a świat przeszywały targnięcia obcej mocy, która zaczynała tężeć. Dzięki swoistemu szóstemu zmysłowi, charakterystycznemu dla magów, Skalmir czuł, że ta wszechpotężna istota zaczyna składać moc w czar, a jej natura, z początku zamazana i niejasna, nagle stała się dla czarodzieja czytelna.

– Posłuchajcie no mnie – odezwał się niepewnie Kostur. – Coś mnie pod czaszką łupie. Nie dzieje się aby co złego?

– Dzieje się – wymamrotał Skalmir.

– A co konkretnie? – zaciekawiał się uzdrowiciel. – Poza tym, że pada jak cholera?

Wtem smok rzucił się do niezdarnego biegu. Płomień na jego grzbiecie kołysał się z każdym krokiem. Nieopodal Wiatr przypadł do formacji ciężkiej piechoty, rozwinął szyk i zasypał szeregi wroga pociskami z luków i kusz, po czym umknął, ścigany tuistańskimi bełtami. Obca moc przybierała na sile, falowała, wzbierała i huczała.

Skalmir zrozumiał, że zaraz wydarzy się coś decydującego.

Jeden z jeźdźców galopujących na czele Wiatru spadł z siodła, a po nim kolejny i następny. Szyk załamał się i zafalował, przewrócił się któryś z rumaków, a inny stanął dęba. Oddział niespodziewanie wyhamował, a szeregi się przemieszały. Przez szum ulewy przedzierały się wykrzykiwane rozkazy, ledwie słyszalne wśród rżenia przestraszonych bądź cierpiących koni.

– Teraz to chyba się naprawdę porobiło – odezwał się grobowym głosem Kostur.

– Oni ugrzęźli! – zawołał Gwaine. – Ziemia przeobraziła się w błoto!

Teraz Skalmir również to widział. Co więcej, zauważył, że oddział piechoty rusza prosto na zatrzymany Wiatr, powoli i nieubłaganie, wystawiając naprzód halabardy.

– Złapali ich w pułapkę! – szepnął. – A teraz ich rozgniotą...

Ponownie przeniósł spojrzenie na smoka, a potem na Gwaine'a. Elf zrozumiał go bez słowa.

Nie myliłem się. To ów smok, a raczej płomień na jego grzbiecie jest źródłem obcej mocy, pomyślał czarodziej. I choćby była to ostatnia rzecz, którą zrobię w życiu, spróbuję go powstrzymać. Spróbuję ocalić Madsa i jego straceńców. Wybacz, Elinaare.

Tymczasem Gwaine już spinał konia.

– Hej – odezwał się uzdrowiciel. – Stać. Ani kroku, zanim się, huncwoty jedne, z kimś starszym nie naradzicie.

– Zrobiło się naprawdę niedobrze – powiedział czarodziej i spojrzął na Kostura. – Spróbujemy z Gwaine’em położyć temu kres, ale... – z trudem przełknął ślinę – ale szans wielkich nie mamy.

– Boście durnie – skonstatował starzec. – A ja już mam dość moknięcia po próznicy. Otluk, synku, gdzieś ty się zapodział...? O, jesteś. Jedziemy.

– Kostur, istnieje ogromne ryzyko, że nie wyjdziemy z tego żywi! – zaoponował gwałtownie Skalmir.

Uzdrowiciel parsknął głośnym śmiechem.

– Komu ty to mówisz, synku? Staremu dziadowi, który już przestał liczyć własne lata? – spytał drwiąco, po czym niespodziewanie łagodnym głosem dodał: – Jedziemy, synkowie.

I pojechali.

Elf, czarodziej, uzdrowiciel i osiłek-telepata popędzili po rozmokłej od deszczu równinie, wymijając czarny czworobok tuistańskiej piechoty, który kroczył niewzruszenie w stronę unieruchomionych, miotających się z rozpaczą kawalerzystów Madsa. Skalmir miał wrażenie, że Voorten spieszył już cały oddział i usiłował zorganizować odwrót, ale wydostanie się z błota dla ludzi było równie trudne jak dla koni. Poza tym wiedział, że niektórzy z jeźdźców, w tym sam Mads, będą woleli zginąć, niż porzucić swe rumaki.

Musiał ocalić tych durniów.

We czterech, powiewając mokrymi płaszczami, gnali w stronę smoka, który najwyraźniej zdał sobie sprawę z ich obecności. Zasyczał chrapliwie, rozwierając zębatą paszczę, a następnie uderzył ogonem o ziemię. W powietrze strzeliły kępy traw, a obca moc nagle zgęstniała nad nimi.

Skalmirowi huczało w uszach, a w ustach czuł suchość, bynajmniej niezwiązaną ze strachem. Ba, wcale strachu nie odczuwał. Osiągnął punkt, w którym skupienie i pragnienie zakończenia zadania odpychały wszelkie emocje.

Minęła chwila, nim pojął, że Gwaine coś do niego krzyczy:

– Z koni! Musimy zejść z koni!

Czarodziej pokiwał głową i ściągnął wodze. Obca moc mogła przecież przejąć umysły ich rumaków, a on nie uważał się za dobrego jeźdźcę nawet w spokojnych okolicznościach. Ześlizgnęli się z siodła i pomogli zejść Kosturowi, a potem wszyscy czterej zwrócili się ku smokowi.

Skalmir poznał wcześniej sposoby działania Gwaine'a i spodziewał się, że ten wniknie do smoczego umysłu powoli i będzie opanowywał go stopniowo, aż przejmie nad nim całkowitą kontrolę. Był więc bardzo zaskoczony, gdy wyczuł brutalność, z jaką elf przystąpił do ataku. Gwaine wdarł się do umysłu potwora z gwałtownością taranu rozbijającego bramę, a następnie zmusił smoka, by uniósł łeb jak najwyżej, po czym kazał mu go z całej siły opuścić. Stali w odległości kilkudziesięciu kroków, a rozmokła ziemia utraciła swą twardość, ale mimo to Skalmir usłyszał trzask pękającej żuchwy.

Ryk bóleści był ogłuszający.

Czarodziej uśmiechnął się z rezygnacją.

No dobra, pomyślał. Skoro Gwaine wziął się za smoka, mi pozostaje to, co to bydlę przyniosło na grzbiecie.

Skupił resztki swej Mocy i pchnął je w kierunku kołyszącego się nad bestią ognia.

Nie zamierzał atakować. Chciał obadać wrogą emanację, lepiej ją poznać i zaplanować strategię walki, ale nie dostał takiej szansy. Wyczuwszy jego obecność, obca potęga natychmiast runęła na niego z gwałtownością przerastającą wszystko, co było mu znane. Miał wrażenie, że stanął przy tamie i ledwie dotknął jej dłońmi, ta pękła i wypuściła nań masy wody. Oślepiiony i ogłuszony, cofnął się o kilka kroków. Już miał upaść, ale wtedy złapały go czyjeś dłonie, silne, ciepłe i niewzruszone.

– Stój, synku – szepnął mu do ucha Kostur. – Stój prosto i rób swoje. Ja ci pomogę.

Skalmir chciał zaprotestować. Chciał wytłumaczyć staremu, niezłomnemu uzdrowicielowi, że jego zdolności na niewiele się tu zdadzą. Chciał mu powiedzieć, by odstąpił i salwował się ucieczką, póki jest to jeszcze możliwe...

Naraz poczuł, jak jego ciało przepelnia dobrotliwa, jasna Moc uzdrowiciela.

Nim się zorientował, stał wyprostowany, a jego oczy skrzyły. Nagle znów był gotów do walki.

Nie wiem, kim jesteś – stwierdził w duchu z przekonaniem, które go zaskoczyło. Ale wynoś się stąd. Wynoś się!

I uderzył w obcą obecność całą swą Mocą. Wiedział, że niewiele to da, że jego wysiłki przypominają uderzenie młotkiem w kamienny mur. Ale czuł, że tak postąpić powinien.

Obca siła cofnęła się, ale bynajmniej nie ze strachu. Odniosł wrażenie, że chce się z dystansu przyjrzeć śmiałkowi, który odważył się rzucić jej wyzwanie, by parę sekund później runąć nań z całą potęgą. Mimo to się nie ugiął. Nadal wdzierał się w nią własną Mocą. Chciał wejść jak najgłębiej, zadać jej ból, rozszarpać na strzępy. Nie przejmował się już tym, że lada moment obca potęga skupi się i zmiażdży go jednym uderzeniem.

Wybacz mi, Elinaare, przeszło mu przez wyteżony umysł. Robię to, co zrobić należało. Wybacz mi i dziękuję ci za każdą chwilę, którą przyszło nam razem przeżyć.

Kątem oka zauważył, że Gwaine uniósł ręce. Okrwawiony łeb smoka posłusznie poderwał się ku górze, a potem znów uderzył o ziemię. Błuznęła krew, strzeliło błoto.

Mag uśmiechnął się złośliwie, wciąż skupiony jak nigdy wcześniej. Po jego twarzy spływały krople potu przemieszane z deszczem, ale nawet tego nie zauważał. Jego serce wypełniała straceńcza buta. Obca moc ponosiła wszak stratę za stratą. Najpierw odkryli jej plany, potem odebrali smoka, poszczerbili piechotę, a teraz wykańczali kolejnego służącego jej potwora.

I dobrze! Dobrze! Won! Wynoś się!

Obca potęga zgęstniała wokół niego i Skalmir poczuł ostry napór na skronie.

Teraz, pomyślał z zawziętym fatalizmem. Nadchodzi koniec. Teraz mnie zniszczy.

Ledwie zarejestrował trzepot wielkich czarnych skrzydeł i głośny skrzek. Nie zwrócił uwagi na pazury wpijające się w jego ramię.

– Nie mogliście gdzieś bliżej tej waszej wojny rozgrywać?! – darł się ktoś. – Cholerne dwunogi... Za kogo wy mnie macie?! Za gołębia pocztowego?! Masz ten swój pieprzony breloczek i nie gub go już więcej, truposzu!

Mag nic z tego nie rozumiał. Duszony, rozgniatany przez obcą obecność uznał, że słowa nie są skierowane do niego.

Ocknął się dopiero, gdy poczuł w dłoni znajomy ciężar lepkiego od krwi otoczaka.

Malhorn uniósł głowę.

Wiatr zmienił kierunek i cisnął w niego deszczem, ale król wyprostował się w siodle i zmrużył oczy. Niewyraźne, ciemne plamy, które śledził od dłuższej chwili, powoli nabierały kształtów. Władca wiedział, że prowadzi swą armię prosto na zwarty czworobok tuistańskiej ciężkiej piechoty, który zszedł z Przełęczy Paniki. Widział też, że ten zmierza prosto na niewielki oddział konnicy, z niejasnych powodów stojący w miejscu.

Wyteżył wzrok. Dostrzegł, że to Wiatr i że wśród jeźdźców panuje osobliwe zamieszanie, zupełnie jakby unieruchomiła ich nieznaną siłą. Co gorsza, wojownicy Madsa zeskakiwali z koni i uwijali się wokół nich.

Czyżby wpadli w jakieś trzęsawisko?

Zatrzymana jazda nie miała z ciężką piechotą żadnych szans. Ludzi Madsa czekała masakra.

Nie, jeśli ja ma coś jeszcze do powiedzenia, pomyślał Malhorn z satysfakcją. Zdążyliśmy, Voorten. Już mi nie powiesz, że rycerstwo głuchoborskie zawsze odwraca się od decydujących bitew.

Od maszerującego w stronę ludzi Madsa czworoboku dzieliło go niewiele ponad milę i w zasadzie Tuistanie powinni już zauważyć królewską armię, choć nadal szli w stronę spieszonego Wiatru. Oddział ciężkiej piechoty, zasłonięty wysokimi pawężami, doskonale okryty i zbrojny w halabardy i miecze, przypuszczalnie potrafił wytrzymać szarżę konnicy, tym bardziej że okazał się naprawdę spory. Malhorn był przekonany, że liczy grubo ponad tysiąc żołnierzy.

Pożyjemy, zobaczymy, stwierdził w duchu.

Już miał unieść rękę i dać sygnał do ataku, gdy spostrzegł coś jeszcze i przeklął się w myślach za własną głupotę. Wszak zwiad ostrzegał go przed obecnością dwóch chorągwi ciężkiej kawalerii u stóp Przełęczy Paniki. Jedna z nich wynurzyła się właśnie z ulewy i rozwijała szarżę, by uderzyć prosto na lewą flankę Głuchoborzan. Gdyby królewska armia wbiła się w formację piechoty, wróg uderzyłby na jej oddziały od tyłu, co dla konnych Malhorna oznaczałoby klęskę.

Teraz już rozumiał, dlaczego piechota nie zwalniała. Jej dowódcy wiedzieli, że tuistańska kawaleria wyłoni się lada moment i zatrzyma atakujących Głuchoborzan.

Władca zaklął w myślach i odważył się rzucić jeszcze jedno spojrzenie na Wiatr. Podjechawszy bliżej, miał już pewność, że

jeźdźcy Madsa wjechali w trzęsawisko, z którego nie potrafili się wydostać.

Decyzję podjął w okamgnieniu.

– Pędź do Ostańca! – huknął do jednego z giermków odpowiedzialnych za przenoszenie meldunków. – Każ mu poprowadzić prawe skrzydło na odsiecz Voortenowi! A my ruszamy na Smoszczurów – dodał z mściwym uśmiechem i stanął w strzemionach. – Głuchobory! – ryknął, wznosząc włócznię. – Do ataku!

– Grzmotun!

Po raz pierwszy od stu lat armia głuchoborskiego rycerstwa runęła do szarży.

*

Mads ryczał zachrypniętym głosem:

– Szybciej, psubraty! Równy szereg! Równy! Kto ma tarczę, idzie naprzód!

Ubłocony i przemoczony do suchej nitki, złapał jakiegoś żołnierza i pomógł mu wyczołgać się z błota, po czym klepieniem w plecy posłał go naprzód. Pochwycił rżącego, miotającego się dziko konia za ogłowie i szarpnął razem z próbującym go wyprowadzić jeźdźcem, potem pomógł ciągnąć innego. Odsunął mokre włosy z czoła i odwrócił głowę, by zbadać sytuację.

Między formującymi nierówny szereg spieszonymi jeźdźcami widział już żelazną, najeżoną ostrzami formację nadciągającej piechoty. Szli wolno, równym krokiem, który rozbrzmiewał echem, mimo że ziemia pod ich butami już dawno rozmokła. Wiedzieli, że Wiatr nigdzie nie ucieknie.

Będą się mścić na zimno, stwierdził w duchu Mads.

– Równaj, na rozprute dupsko Smoczycy! – wrzasnął, wpadając między swoich ludzi.

– Równaj! – powtórzył Krzemień, a Chryja uniósł topór i pogroził niewzruszonym Tuistanom.

– Chodźcie tu, psie mendy! – zawył. – Będę was kroił i rąbał, aż żaden z was się nie ostanie!

Kilku innych wojowników potrząsnęło bronią i wykrzyczało własne obelgi, ale utonęły one w szumie ulewy, przeraźliwym rzeniu koni i przekleństwach usiłujących je wyswobodzić podkomendnych. Ponad połowa oddziału wciąż desperacko próbowała uwolnić swe rumaki, ale wysiłki większości spełzały na

niczym. Ubłocony po oczy Czochor usiłował koordynować te działania, lecz kawalerzyści zdołali wyprowadzić jedynie kilkanaście zwierząt, a z wielu nadal tkwiących w trzęsawisku niektóre miały połamane nogi. Wiatr był unieruchomiony. Groziła mu zagłada.

Straceni Madsa Voortena mieli walczyć pieszo po raz pierwszy i zapewne ostatni w swej historii. Trudno wszak, by kilkudziesięciu wojowników, którzy zdołali wydostać się z grzęzawiska, długo wytrzymało napór żelaznego potwora.

Myśli Madsa umknęły ku Hunnie, a serce skrzyknęło mu się z żalu.

Pamiętam każdy dzień z tych trzech lat, które były nam dane, zwrócił się do niej w myślach. Dziękuję ci za wszystko, ukochana. Jestem pewny, że zrozumiesz. Posłuchałem tego cholernego elfa niejako wbrew sobie, ale teraz wiem, że zrobiłem to, co należy.

Rzucił jeszcze spojrzenie za siebie. Żmijka stał po kolana w błocie i powoli poruszał mokrym ogonem. W przeciwieństwie do innych koni zachowywał całkowity spokój i wpatrywał się w Madsa z cierpliwością w mądrych oczach.

Voorten zgrzytnął zębami i odwrócił się ku nadciągającym Tuistanom.

Jeśli któryś z tych chujków cię skrzywdzi, koniku, znajdę sposób, by wrócić z krainy poległych i rozpruć suczemu synowi gardziel.

– Pułkowniku! – zawołał nagle Krzemień. – Co to takiego? Odsiecz?

Mads już wcześniej zauważył potężny oddział głuchoborskiej konnicy. Poczul przyływ uniesienia i ulgę na myśl o tym, że rycerze Malhorna znaleźli się w pobliżu, ale potem dostrzegł, że nowo przybyła armia skrzyknęła w kierunku jednej z nadjeżdżających chorągwi tuistańskich. Nie mogła pomóc Wiatrowi. Przemknęło mu przez myśl, że może wytrzymają do czasu, gdy Głuchoborzanie osiągną przewagę, ale nie wiązał z tym wielkich nadziei. Starcie oddziałów ciężkiej kawalerii mogło trwać godzinami, a im zostało naprawdę niewiele czasu.

Naraz spostrzegł, że Malhorn oddelegował część swej armii na odsiecz Wiatrowi. Wyłaniający się z ulewy jeźdźcy – zakuci w stal, brodaci mocarze na masywnych, grubokościstych koniach – przypominali upiory z górskich legend. Voorten przyglądał się im z mieszaniną niedowierzania i nadziei.

– Kilka setek – mruknął Krzemień. – Siedem, może osiem. Jeśli teraz uderzą...

Mads przygryzł wargę. Sojusznicza armia miała odpowiednio dużo miejsca, by rozwinąć szarżę, a do tego była na tyle liczna, by związać Tuistan walką na dłuższą chwilę. Może udałoby się w tym czasie wyciągnąć więcej koni z bagna, może zdołaliby się przeorganizować, by wspomóc Głuchoborzan w walce.

W formacji tuistańskiej zapanowało lekkie zamieszanie – Voorten miał wrażenie, że widzi odwracające się głowy żołnierzy, a pierwszy szereg chwieje się tu i tam – ale seria ostrych rozkazów szybko je uspokoiła. Wroga formacja nadal nadchodziła równym krokiem.

– Co ci Malhornowi, kurwa, robią? – wycharczał nagle Chryja.

Głuchoborzanie, zamiast się rozpedzić, zaczęli zwalniać, by ostatecznie się zatrzymać. Oszołomiony Mads wpatrywał się w ich ciemne, nieporuszone sylwetki i czuł na sobie spojrzenia, w których wyczytywał ostateczność.

Uderzą, owszem, pomyślał z goryczą. Ale najpierw się upewnia, że pieprzony zdrajca Voorten zginie pod tuistańskimi razami.

– Co oni robią? – powtórzył kpiąco. – Cóż, przyglądają się, jak walczą prawdziwi mężczyźni. Może się czegoś, wypierdki Smoczycy, nauczą.

I powoli odwrócił spojrzenie ku Tuistanom, postanawiając, że nie zmarnuje już na Głuchoborzan ani jednej z ostatnich chwil swego życia. A tych nie pozostało wiele, bo pierwszy szereg Smoszczurów znajdował się w odległości dwustu kroków.

Nagle w rzeniu koni i pokrzykiwaniach ludzi pojawiła się nuta zaskoczenia. W tym samym momencie nadciągający szereg znów się zakołysał, a karni żołnierze, do tej pory całkowicie skupieni na marszu w stronę wroga, zaczęli unosić głowy i mylić krok. Ktoś się potknął, ktoś inny przewrócił, ponownie rozległy się ostre krzyki dowódców, ale nawet oni nie zdołali zapanować nad rosnącym zamieszaniem w szeregach.

Nad głowami Madsa i jego żołnierzy śmignęło ogromne stworzenie, które wyciągnęło długie łapy jak do skoku, po czym uderzyło orlimi skrzydłami i runęło ku tuistańskiej piechocie. Za nim pojawiły się kolejne, pięć, dziesięć, piętnaście, a każde z nich z jeźdźcem na grzbiecie. Z kocich pysków pikujących potworów dobywały się ostre, przeraźliwie dźwięki, które tylko pogłębiały chaos we wrogim oddziale. Voorten z niedowierzaniem patrzył, jak zdyscyplinowani piechurzy upuszczają tarcze, zrywają helmy i

zaciskają dłonie na uszach. Niektórzy padali na kolana, inni rzucali się do bezładnej ucieczki, jedynie nielicznym udało się pokonać strach i przeczekać falę nieprzyjemnych odgłosów. Ci ostatni zresztą szybko tego pożałowali – każda z latających bestii rozrzuciła skrzydła nad głowami falującej piechoty i opadała w ciżbę, by rozpocząć rzeź. Kłapały kły, śmigwały pazury, a topory jeźdźców opadały to na jedną stronę, to na drugą.

– Krasnoludzkie gryfy! – zawołał z uniesieniem Krzemień.

Wojownicy Wiatru zaczęli wiwatować.

W niespełna minutę dyscyplina wśród Tuistan przestała istnieć. Potwory, kierując się własnym instynktem lub też wolą jeźdźca, atakowały w różnych miejscach, ale najczęściej z dala od siebie, by móc szaleć bez przeszkód, stąd też wkrótce wszystkie szeregi zaczęły się załamywać, a głosy dowódców nie mogły się przebić przez piski gryfów, krzyki krasnoludów i wrzaski rannych. Dziesiątki Tuistan uwalniały się od broni i uciekały w popłochu, ale krasnoludy kontynuowały rzeź, a niektóre gryfy, okrwawione i na wpół oszalałe od zapachu krwi, wzbijały się w powietrze i rzucały w pościg.

Cóż, wszak oni również nie mieli powodu, by kochać Tuistan.

Mads nie mógł oderwać wzroku od przerażającego widoku i dopiero po chwili zauważył, że jeden z gryfów wylądował z trudem tuż obok ich szeregu i wrzasnął z niezadowoleniem. Na jego grzbiecie siedziało dwóch jeźdźców – zakuty w szale i skóry krasnolud oraz przemoczony, trzęsący się z zimna człowiek, który natychmiast zeskoczył na ziemię. Rozejrzał się, a gdy ujrzał Madsa, skrzywił się.

– Niech mnie Smoczyca obsiura – rzekł, szczękając zębami. – Voorten, czy ty nie potrafisz niczego ogarnąć samemu?

– Bielik – wyjąkał Mads. – No fakt. Niech mnie też obsiura.

Padli sobie w objęcia.

*

Elianaare galopowała tak szybko, że zostawiła eskortę z Widmowego Zagonu daleko za sobą. Tocząca się wokół niej bitwa przerażała ją – lada moment ktoś z jej bliskich mógł stracić w tym szaleństwie życie. Skupiła więc swą uwagę na tym, na co wpłynąć potrafiła. W chaosie dostrzegła bowiem coś, co wydało jej się równocześnie znajome i złowieszcze.

Plomień, kołyszący się nad smoczym grzbietem, bez wątpienia był częstką Smoczego Ognia. Do Rozkrzyczanych Krain zstąpił ktoś, kto obwołał się spadkobiercą Smoczycy.

Nie odwróciła się, gdy za jej plecami rozległy się wrzaski gryfów, nie patrzyła tam, gdzie z ogłuszającym łoskotem zderzyły się dwie konne armie, nie zwróciła uwagi na drugą z tuistańskich chorągwi, która zawracała teraz, by uderzyć w bok wojsk Malhorna. Patrzyła w Smoczy Plomień.

Kopyta jej konia waliły w ziemię, rozbryzgując kałuże. Mokry warkocz kobiety podskakiwał jej na plecach.

Dostrzegła już Gwaine'a, który wyciągał dłonie w kierunku smoczego łba i korzystając z Mocy, tłukł nim o ziemię, aż bryzgała krew. Zauważyła też Skalmira, który celował dłonią w stronę drżącego Smoczego Ognia. Ujrzała Kostura, który najwyraźniej dodawał sił człowiekowi i elfowi, oraz Otluka, który stał z młotem w dłoniach i niezdecydowany rozglądał się na boki.

Na widok ukochanego poczuła ucisk w sercu. Doznała ogromnej ulgi, ale jednocześnie przeszył ją lęk. Smoczy Ogień był wszak manifestacją czyjejś obecności – może nawet samej Królowej-Wieszczki – a żaden samotny czarodziej nie zdołałby stawić czoła takiej potędze.

Na szczęście wiedziała, co począć, by go zgasić.

A przynajmniej tak jej się wydawało.

Potęga, której zamierzała rzucić wyzwanie, najwidoczniej zdała już sobie sprawę z jej obecności. Niespodziewanie świat wokół byłej Strażniczki się rozmazał i pociemniał, po czym wszędzie wykwitły płomienie, niby groźne, ale wcale nie parzące.

„Elinaare, prawda? – W jej głowie odezwał się kobiecy głos. – To niezwykle, że kapłanka naszej Matki uznała świat tych barbarzyńców za ciekawy na tyle, by w nim pozostać. Chętnie wysłucham twoich wyjaśnień!”

– Nie będzie... żadnych... wyjaśnień! – wycedziła Elinaare.

Pochyliła się nad końskim karkiem i poczuła wilgoć grzywy, a potem, jakby ów przelotny kontakt z rzeczywistością dodał jej sił, skupiła myśli i ze wszystkich sił odepchnęła wrogą obecność. Podniosła głowę i znów ujrzała zalaną deszczem równinę.

Smok znajdował się zaskakująco blisko, zmaltretowany, poraniony, ale wciąż żywy, a blady jak trup Gwaine osunął się na kolana. Skalmir stał tylko dzięki sile woli i pomocy Kostura, z jego nozdrzy i uszu sączyła się rozcieńczana deszczem krew. Elinaare zostały sekundy, nim Królowa-Wieszczka odbierze mu życie.

Wryła spoconego rumaka ledwie kilkanaście kroków od smoczego pyska, leżącego w czerwonym od krwi błocie.

– Trzymaj go! – krzyknęła do elfa, a następnie poszukała wzrokiem osiłka. – Otluk! – wrzasnęła przeraźliwie. – Chodź tu! Masz w tym wprawę!

Znów zatańczyły wokół niej płomienie. Królowa-Wieszczka ponownie spróbowała zawładnąć jej umysłem, ale była słabsza niż poprzednio, tak jakby Skalmir na widok ukochanej zdwoił swe wysiłki. A może to determinacja uczyniła umysł Elinaare nieprzeniknionym?

Nie miało to teraz znaczenia.

Zostało jej niewiele Mocy, ale wystarczająco, by uformować długi, potężny, wypalający wszystko pocisk. Ten wbił się w oczodół, przedarł się do smoczego mózgu i przepalił go na chwilę przed tym, jak młot Otluka zmasakrował drugie ślepię. Z pyska zabitego stworzenia popłynęła krew zmieszana ze śliną.

A płomień zgasł.

*

Malhornowi przeszło przez myśl, że ta szarża jest najpotężniejszym i najcudowniejszym doznaniem w jego życiu, ale zderzenie z szeregiem Tuistan okazało się potwornym szokiem. W okamgnieniu znalazł się w duszącej ciżbie, gdzie wpadały na siebie rozpedzone rumaki, a stał zderzała się ze stałą. Upadek z siodła pod ciężkie kopyta oznaczał pewną śmierć, tymczasem wszystko dookoła sprzysięgło się, by jak najszybciej zrzucić króla z rumaka – wrogie ostrza i tarcze, ścisk, miotające się końskie łby. Wiele tuistańskich wierzchowców miało naczółki z żelaznymi kolcami, szkolono je też, by podczas walki gryzły i kopały.

Przez długą, bardzo długą sekundę król był całkowicie oszłamiony.

Ocknął się, gdy jego kopia pękła po uderzeniu w napierśnik jakiegoś Smoszczura, co wyrzuciło przeciwnika z siodła, a jego samego zmusiło do sięgnięcia po miecz z żywej stali.

Zaczął rąbać jak szalony, unikał wrogich ciosów, odbijał obce włócznie, wbijał ostrze gdzie mógł, a jednocześnie popędzał rumaka do biegu. Zwarł się z jakimś rycerzem, ale ich rozdzielono, zachwiał się, gdy ktoś rąbnął toporem w jego tarczę, zmiotł innego z siodła, a potem sam otrzymał cios, który omal go nie strącił.

Ktoś walnął go w hełm, w odpowiedzi pchnął jakiegoś rycerza w gardło, przebijając kołnierz zbroi.

Walczył, nie przestając ryczeć, a jego umysł intensywnie pracował. Wiedział, że przeciwnik jest mniej liczny, ale za to bardziej karny i lepiej wyposażony. Wydawało mu się jednak, że w starciach jeden na jeden górę biorą Głuchoborzanie, wściekli i lepiej zmotywowani. Liczył na to, że opór Tuistan lada moment zacznie słabnąć.

Oby sukinsyny nie szykowały czegoś jeszcze, pomyślał.

Na kilka uderzeń serca odważył się stanąć w strzemionach, by się rozejrzeć, a wtedy wydarzyło się coś dziwnego.

Malhorn nie był wyczulony na działanie Mocy, ale mimo to wyczuł, że przez smagane ulewą pole bitwy przemknęła jakaś niewidzialna fala, która najwyraźniej pozbawiła Tuistan determinacji. Widział, że tracą ochotę do walki i nieświadomie przechodzą do obrony, co dodało mu śmiałości, by ponownie stanąć w strzemionach.

Wrogi smok leżał martwy, a jego płomień zgasł. Nad formacją ciężkiej piechoty latały skrwawione gryfy. W stronę lewej flanki jego armii pędziła druga chorągiew tuistańska, ku której powoli zawracał Turun Ostaniec na czele swego hufca.

A Voorten...

– O ja pierdołę, Mads... – wyjąkał król Głuchoborów.

*

Mads szarpnął za ogłowie po raz kolejny i Żmijka wreszcie uwolnił przednie nogi. Zarżał głośno, z tryumfem, a potem potrząsnął mokrą grzywą, opryskując jeźdźca. Ten spojrzał raz jeszcze na krasnoluda, który przed sekundą ześlizgnął się z grzbietu gryfa, a teraz chodził między uwięzionymi w błocie końmi, klękał i dotykał dłońmi ziemi. Gleba, pomimo nieustannego deszczu, niemalże natychmiast wysychała, dzięki czemu rumakom udawało się uwolnić kopyta. Ludzie wiwatowali i pokrzykiwali z entuzjazmem, a ten i ów nawet poklepywał krasnoluda po plecach. Callestr, najwyraźniej nienawykły do podobnej poufałości, łypał na nich złowrogo, ale nie ustawał w pracy.

Wygląda na to, że jestem mu winien nie jedną przysługę, a dwie, pomyślał Voorten i pospiesznie wyprowadził Żmijkę na w miarę twardy grunt, po czym z westchnieniem ulgi wspiał się na siodło.

Wystarczyła chwila, by sytuacja na polu bitwy odmieniła się diametralnie. Z liczącego wiele setek oddziału piechoty pozostało kilka grup żołnierzy, którzy nie uciekli i bronili się desperacko, siekąc halabardami każdego gryfa, jaki odważył się przypuścić na nich atak. Krasnoludy zmieniły więc taktykę i napastowały piechurów magią, krążąc wysoko nad ich głowami. Mads zauważył, że jedno z kolisk rozerwały niespodziewane wybuchy rozgrzanego powietrza, a żołnierze tworzący drugie kulili się pod naporem wściekłych uderzeń wiatru. Gryfy zaś wykorzystywały każdą okazję, by przypuścić kolejny morderczy atak z powietrza. Piechota jako oddział przestała być dla Wiatru zagrożeniem.

Sięgnął wzrokiem dalej. Widział armię Malhorna, toczącą zaciekły bój z Tuistanami, zauważył oderwaną od niej drużynę, która nadal stała nieruchomo, jakby jej dowódca nie mógł zdecydować, kto tak naprawdę jest wrogiem. Wydawało mu się też, że dostrzega nieruchomego, przypuszczalnie martwego smoka.

Wtem zwrócił uwagę na drugą z tuistańskich chorągwi, wyraźnie zamierzającą uderzyć w bok Malhornowej armii.

Przynajmniej tysiąc konnych, przeszło mu przez myśl. Na rozdeptany jęzor Smoczycy, sporo...

Tuistańskie konie tłukły kopytami w ziemię, a sztandary łopotwały wyzywająco, ale Mads miał wrażenie, że Smoszczury nie kwapią się do starcia. Jako doświadczony dowódca potrafił odbierać subtelne sygnały z zachowania zbrojnych oddziałów i na ich podstawie odczytywać postawę ich wojowników. A teraz miał wrażenie, że wyczuwa w ich ruchach jakąś niepewność.

Zupełnie jakby stracili wiarę w zwycięstwo, uświadomił sobie niespodziewanie.

Jego serce tłukło jak szalone, a w głowie huczało. Jednocześnie formował się w niej szalony pomysł.

– Hej, Krzemień! – wrzasnął ochryple, nie spuszczać oczu z jadącego powoli tuistańskiego hufca. – Trochę żeśmy dupy dali, co?

W jego oczach płonął ogień i Krzemień musiał to zauważyć, bo na jego obliczu pojawił się szeroki uśmiech.

– Tak?! – zawołał, ważąc w dłoni włócznię. – A czemu, panie pułkowniku?

– Bo – Voorten wbił wzrok w Głuchoborzan – mieliśmy pokazać tym utaplanym w ścierwie piździelcom, jak się walczy.

– Chyba jest jeszcze pora, by to naprawić – wtrącił Chryja.

Mads się roześmiał.

– To właśnie chciałem usłyszeć – powiedział.

– Że co? – Czochor wybałuszył oczy. – Chcecie w sześćdziesiąt koni uderzyć na ten hufiec?

– Dokładnie to chcemy zrobić. – Pułkownik zakręcił włócznią w dłoni. – Młody, jedziesz z nami?

– Chyba cię posrało, jeśli myślisz, że sobie odpuszczę – rzucił Bielik z dzikim entuzjazmem i się rozejrzał. – Dacie mi jakiegoś konia?

Mads znowu parsknął śmiechem, po czym odwrócił się do zgromadzonych.

– Chcę pokazać Głuchoborzanom, dlaczego ledwie nadają się do tego, by nalewać nam piwo! – wykrzyknął, zawracając konia. – Kto za mną? Burza!

– Wiatr!

I pomknęli naprzód, przez deszcz i rozmokłe łąki u stóp Przełęczy Paniki. Wyminęli napastowane przez gryfy resztki tuistańskiej ciężkiej piechoty, przemknęli tuż przed czołem ślamazarnie rozpedzającego się głuchoborskiego hufca, witając pierwszy szereg gwizdami i obelżywymi gestami, a potem wykonali ostry skręt, rozrzucili szyk tak, jak wzbijający się do lotu ptak rozkłada skrzydła, i z niewyobrażalnym impetem wbili się we wrogą chorągiew od tyłu. Zakrwawieni i ubłoceni, śmiejący się dziko i na wpół odurzeni własnym entuzjazmem, parli naprzód, rąbiąc, kłując i zrzucając wrogów z siodeł. Nim Tuistanie oprzytomnieli na tyle, by zewrzeć szyki, wojownicy Wiatru przebili się przez formację przeciwnika. Pędzili jak obłąkani i ktoś mógłby rzec, że wreszcie otrząsnęli się na tyle, by zrozumieć własne szaleństwo, ale byłaby to nietrafna ocena.

Jeździec na ich czele, niewysoki, wymachujący mieczem męczyzna o zawziętym wyrazie twarzy, dosiadający niewielkiego srokacza, zawrócił bowiem i poprowadził ich do kolejnego uderzenia.

I znów wyprzedził Głuchoborzan.

*

Spotkali się wszyscy pod wieczór, gdy resztki zdecydowania Tuistan wyparowały, a grupy niedobitków rzuciły się do ucieczki, ścigane przez Waligórę Trzimira i Aldana Głazińca; gdy zmęczone gryfy wreszcie wylądowały na ziemi, a szare niebiosa ulitowały się

nad walczącymi i deszcz ustał. Znużony walką Malhorn zbył swoich doradców i zsunął się z siodła, by zamknąć w niedźwiedzich objęciach równie wykończonego Madsa. Bielik ucałował czoło matki i uścisnął dłoń wyczerpanemu Skalmirowi, który obdarzył go bladym uśmiechem. A potem młodzieniec spojrział za siebie, ku niewidocznym z doliny skałom na południe od Łoskotu, gdzie zostawił Naparstek, ale Callestr, ściągający brudne od krwi rękawice, nakazał mu gestem, by się nie martwił. Jeźdźcy Wiatru witali się z wojownikami Widmowego Zagonu, prowadzony przez Ołłuka Kostur łajał najbardziej poszkodowanych i opatrywał im rany, nażarty jak nigdy wcześniej kruk bełkotał bez ładu i składu, gdzieś krzyczały gryfy.

Ostrza Burzy świętowały swe zwycięstwo i swą przyjaźń.

Gwaine zaś wpatrywał się intensywnie w ciemniejące niebo nad Przełęczą Paniki. Nie dostrzegął tam nawet najmniejszych zielonych akcentów.

Epilog

Dni po Zorzy

Malhorn ukucnął przy ogniu i zamiast wołać służącego, sam zaczął dorzucać bierwiona. Celowo odwracał się od goszczącego w jego komnacie Turuna Ostańca. Chciał, by przedłużająca się cisza obudziła w starym doradcy niepokój.

Kątem oka widział, że gość złożył ogromne dłonie na ławie i siedział wyprostowany. Wodził wzrokiem za władcą i co rusz marszczył krzaczaste brwi, jakby próbował dociec przyczyn nagłego wezwania, ale milczał.

Malhorn zaś zbierał myśli.

Od dawna czekał na tę rozmowę, a teraz chciał po prostu nacieszyć się chwilą oczekiwania na nią.

W końcu podniósł się i podszedł do ławy. Jak zasady dobrego wychowania nakazywały, nalał wina sobie i gościowi, ale sam nawet nie umoczył w nim ust. Zamiast tego podszedł do stojącego w komnacie Grzmotuna i postawił kielich przed posągiem, a potem dopełnił ofiarę ukłonem. Kątem oka zauważył, że Ostaniec, który zdążył już wypić co najmniej łyk, pospiesznie ociera wasy, maskując zakłopotanie.

Monarcha ukrył rozbawienie i usiadł przy ławie. Wbił wzrok w swego dotychczasowego sojusznika i mentora.

– Chciałem podzielić się z tobą moim ostatnim pomysłem, Turunie – zaczął. – Wymyśliłem, że wzniosę twierdzę na zboczach Przełęczu Paniki, by móc od razu zatrzymać każdy kolejny tuistański pochód.

– Znakomity pomysł, mój panie – rzekł stary wielmoża i ukłonił się lekko.

Malhorn znał go już jednak na tyle, że natychmiast zauważył dobrze skrywaną urazę w jego spojrzeniu.

Nie nawykł do tego, że przedstawiam mu własne projekty, pomyślał. Zapewne spodziewa się, że wszystko będę z nim

omawiał.

– W uznaniu twych zasług dla królestwa nazwę twierdzą Ostańcem – dodał, nie spuszczać ze starca wzroku.

Ten znów się uklonił.

– To wielki zaszczyt, Wasza Królewska Mość.

– A i odpowiedzialność niemała – dodał Malhorn, błędząc wzrokiem po kamiennych ścianach komnaty. – Bo sam zapłacisz za jej budowę. I dopilnujesz, by wzniesiono ją w dwa lata.

Ostaniec, który już brał kielich do ręki, znieruchomiał. Zmarszczył brwi tak, że na jego czole powstała bruzda, i z niedowierzaniem przechylił na bok głowę.

– Wasza Królewska Mość raczy...

– Cóż, trochę przesadziłem – przerwał mu władca. – W końcu umyśliłem sobie potężną twierdzą, a takowa sporo kosztuje. Przekażę ci więc trochę pieniędzy ze sprzedaży skonfiskowanych majątków Mchaków, ale odpowiedzialność za całą resztę spocznie na tobie.

– Panie. – Turun skrzywił się z niechęcią. – Od dawna jestem twoim sojusznikiem i nie życzę sobie, byś mnie obrażał podobnymi pomysłami. – Jego ton brzmiał, jakby zwracał się do ociężałego umysłowo służącego, któremu chce dać ostatnią szansę. – Gdyby nie moje rady i wsparcie...

– Zdradziłeś mnie – stwierdził cicho Malhorn.

Słowa przywodziły na myśl brzęk klingi wyszarpywanego z pochwy miecza.

– Mój panie! – Turun Ostaniec poderwał się, rozlewając wino. – Jakże to? Jakże możesz zarzucać mi coś takiego?

Monarcha nie zareagował na jego gwałtowność. Siedział nieruchomo, panując nad własnymi emocjami, i wpatrywał się w doradcę, a jego głos był cichy i zimny jak lód.

– Nie mnie wspierałeś, ale siebie, moźny – ciągnął. – Popierałeś mnie, by jednocześnie polepszyć własną pozycję. Popierałeś królestwo, by z czasem zdobyć w nim jak największą władzę. Kierując się troską o przyszłość Głuchoborów, wpływałeś na moje decyzje i zdanie innych Dziedziców. Od dawna podejrzewałem cię o małostkowość, Ostaniec, ale dowody na to uzyskałem dopiero podczas Bitwy w Ulewie.

Turun trząsł się z gniewu, ale wpatrujący się w niego Malhorn odnosił wrażenie, że jest to demonstracja, która maskuje inne emocje.

– Szanuję cię, młody królu – wycedził wielmoża. Górował teraz nad siedzącym władcą, jakby chciał przytłoczyć go autorytetem. – Nie zapomnij jednak, że twoje rządy są bezpieczne dzięki moim słowom, a te znaczą bardzo wiele...

– Wystarczy jednakże jedno moje, byś zamilkł na zawsze, zdrajco! – wrzasnął Malhorn, podrywając się. – A twoja śmierć, wierz mi, nie byłaby tak chwalebna jak koniec starego Głazińca, którego ciało znaleziono ponoć w kręgu trupów Smoszczurów!

– Grozisz mi? – Stary Dziedzic uniósł krzaczaste brwi z niedowierzaniem. – Mi?

– Grozę? – Monarcha się zaśmiał. – Ja sobie groźbami głowy nie zawracam. Mnie interesują fakty. Powiedz mi więc: co cię zatrzymało na polu bitwy, starcze? Tępotą, zawiść czy może połączenie jednego z drugim? Dlaczego nie ruszyłeś na odsiecz Voortenowi i jego chłopakom?

– Zmierzałem mu na pomoc! – Ostaniec wydał wargi. – Ale nie zdażyłem! Gryfy tych przeklętych knypków mnie wyprzedziły i...

– Mam wielu świadków na to, że zatrzymałeś hufiec i czekałeś, aż Tuistanie zaatakują Voortena! – ryknął władca. – A potem zapewne czekałbyś dalej! Patrzyłeś, jak setki ciężkozbrojnych piechurów idą na garstkę spieszonych wojowników! Skazałeś na śmierć człowieka, który latami walczył nie tylko o Głuchobory, ale o całe Rozkrzyczane Krainy! Co za szczęście, że los pokrzyżował ci plany!

– Szczęście? – prychnął starzec. – Nie pamiętasz, młody królu, co się wydarzyło pod Grzywaczem? To Voorten jest zdrajcą! Jego należy ukarać, by już nigdy...

– Stul pysk, dziadygo! – Malhorn z trudem nad sobą panował. – To ja zasiadam na tronie. To ja obroniłem Łoskot, ja rozprawiłem się z buntownikami i ja powiodłem armię do zwycięstwa w Bitwie w Ulewie. W związku z tym to ja ustalą, kto jest zdrajcą, a kto nie! Ludzie na ulicach Łoskotu już śpiewają balladę o „sześciu dziesiątkach przeciwko tysiącom”! Wiesz, co mnie powstrzymuje, by nie zlecić napisania piosenki o „starym pierdzielu, co się boju wystraszył”? Tylko to, że w sumie lubię twój ród i jest mi on potrzebny.

Uspokoił się nieco i przez chwilę oddychał miarowo.

– Przyślesz mi swego syna, Ostaniec – podjął, nie patrząc na czerwonego ze złości wielmożę. – Porozmawiam z nim o tym, jak widzę przyszłość waszego rodu, i z chęcią posadzę między Aldanem i Waligorą w Radzie Dziedziców. Napomknę o twoich

przewinach, by przypadkiem jego lojalność wobec rodu nie przeważała nad zdrowym rozsądkiem, a tobie proponuję, byś zajął się przygotowaniem do budowy. I niczym innym.

Po tym, jak upokorzony doradca wyszedł z komnaty królewskiej, Malhorn długo jeszcze siedział i patrzył na dogasające płomienie. Robiło się coraz ciemniej, posąg Grzmotuna wydawał się rosnąć i potężnieć. Gdy król podniósł nań wzrok, odniósł wrażenie, że kamienny bóg się uśmiecha.

– Mam nadzieję, że nie popełniłem błędu – powiedział Malhorn chrapliwym głosem. – Ale nie mogę pozwolić na to, by mnie lekceważono. Nie zgadzam się na zawiść i brak lojalności. Tak jak ty, Grzmotunie, gotów jestem odrąbać sobie rękę, by Głuchobory pozostały całe.

Zamilkł i nalał sobie wina. Siedział samotnie przy ławie i odzywał się tylko po to, by wyrzucać zagląających co jakiś czas do komnaty służących czy rycerzy z gwardii przybocznej. Pił puchar za pucharem, rozpamiętując spisek Tuistan, opowieści Bielika, Skalmira, Elinaare i Madsa, własny udział w bitwie oraz jej konsekwencje. Wspominał przeszłość i układał przyszłość, a w miarę jak pił, jego myśli stawały się coraz bardziej mętne.

W końcu doczłapał do łóżka i padł na nie, po czym zachrapał. We śnie, realistycznym jak nigdy wcześniej, wznosił się wysoko nad dachy Łoskotu i ujrzał ogromną wyrwę przecinającą miasto.

„Odrąbałem sobie ramię – przemówił doń odległy głos zapomnianej istoty. – Ale zniosłem ból i stratę, bo tak należało postąpić dla większego dobra. Z tego samego powodu naznaczyłem ci miasto. Mam nadzieję, że zrozumiesz”.

Wrażenie było tak silne, że ledwo głos ze snu wybrzmiał, monarcha się obudził i otworzył oczy. Wiedział już, skąd się wzięła przepaść.

– Gdyby nie powstała, Światłozercy nie wyleźliby na ulice – szepnął do siebie, trzeźwiejąc w okamgnieniu. – Gdyby nie wyleźli, ryliby dalej, a wtedy Tuistanie przeszliby Żyłami aż do Jesiennicy. – Poderwał się i spojrzał na kamiennego boga. – My też zniesiemy ból i stratę dla większego dobra. Na flaki Smoczycy, Grzmotunie. Naprawdę do nas wróciłeś.

*

Skalmir odkaszlnął, a potem zawołał jeszcze raz:

– Pokrzewka! – Jego głos odbił się echem w głębi tunelu. – Pokrzewka, wyłaź!

– Pokrzewka! – zawtórowała mu Elinaare. Po pożegnaniu z Bielikiem kobieta miała wilgotne oczy i wciąż odwracała się za siebie, by odprowadzić wzrokiem wzbijające się do lotu gryfy, ale jej głos był mocny. – Wyłaź, łobuzie. Jutro wracamy do Jesiennicy.

W ciemnościach coś się poruszyło, a następnie rozległo się kilka wzmocnionych echem taktów zagranych na fujarce. Gdy muzyka ucichła, padła zdecydowana odpowiedź:

– Nie.

– Nie? – zdziwiła się Elinaare. – Chcesz tu zostać? W Głuchoborach?

– Nie. Tu, w tunelu. Ciemno i cicho. Nikt nie gada. Nikt nie zawraca głowy. Cicho.

I znów rozległa się grana na fujarce melodia, zupełnie jakby Pokrzewka chciał muzyką powstrzymać ewentualny sprzeciw rozmówców.

Elinaare spojrzała pytająco na Skalmira, a ten wzruszył ramionami.

– A wiesz, że ten tunel należy do krasnoludów? – spytał mag, gdy Pokrzewka przestał grać.

Chwastownik zagrał ponownie. Przez moment oboje mieli wrażenie, że widzą, jak tańczy.

– Zdaje się, że nie stanowi to dla niego różnicy – mruknął Skalmir.

– Powiedziałabym więcej: Pokrzewka chyba wie, czego chce. A na pewno ustalił, czego nie chce.

– A nie chce nas. Lub w ogóle ludzi – dodał mag i zamilkł na chwilę. – Myślę, że – dodał z lekkim wzruszeniem – trzeba mu pozwolić żyć tak, jak tego chce.

– Bywaj, Pokrzewka! – zawołała Elinaare łamiącym się głosem. – Wiesz, gdzie nas znaleźć, prawda?

Muzyka ucichła, a potem usłyszeli odgłos oddalających się stóp biegnącego człowieka. Innej odpowiedzi nie było.

Skalmir westchnął i ujął ukochaną za dłoń. Wyszli na świeże powietrze i odetchnęli wilgotnym jesiennym powietrzem. Od kilku dni nie padało i wśród postrzępionych, pędzonych wiatrem chmur połyskiwało słońce. Kobieta westchnęła ciężko, przetarła wilgotne oczy i spojrzała na towarzysza, który z zadumą spoglądał na odległą Przełęcz Paniki.

Niebo, na którym jeszcze niedawno rozlewała się brudna zieleń złowieszczej Zorzy, wydawało się teraz osobiście niewinne. Skalmir wyobraził sobie szeroki, wydeptany w trawach szlak po przejściu wrogich oddziałów, szczątki smoka rozszarpanego przez gryfy i wielkie mogiły kopane dla poległych Tuistan przez ich wziętych do niewoli rodaków, którym bacznie przyglądali się głuchoborscy żołnierze.

– Jeszcze tydzień i znikną wszystkie ślady po tym koszarze – zauważył z niedowierzaniem. W jego ochryplym, znużonym głosie pobrzmiwała ulga.

– Przetrwaliśmy – powiedziała cicho kobieta i wsunęła rękę pod jego ramię. – A to znak.

– Znak – powtórzył Skalmir. – Zastanawiające. Przed moją wizytą w wyzwolonym Brzasku, kiedy to ujrzałem cię po raz pierwszy, nawet nie przyszłoby mi do głowy, by brać istnienie znaków na poważnie.

– A teraz? – Elinaare patrzyła na niego.

– Cóż. – Czarodziej się zamyślił, a potem uśmiechnął i wyjął zbląkany, pożółkły listek, który zaczepił się o włosy ukochanej. – Przez ostatnie dni pożerały mnie dziesiątki niepokojących myśli. Martwiłem się o to, jak przełożeni z Akademii zareagują na moją niesubordynację. Przejmowałem się tym, co się stanie z wichrogórskim kamieniem w rękach człowieka, który najwyraźniej wie, do czego służy Moc. Bałem się nadciągającego, coraz bardziej realnego zagrożenia i zadawałem sobie pytanie, czy ten, który niby ma nas na nie przygotować, elf Gwaine, sam przypadkiem nie stracił kontaktu z rzeczywistością. – Odwrócił się ku niej. – Nade wszystko jednak – mówił teraz cichym, niemalże nieśmiałym głosem – bałem się o ciebie. Trzeba było, jak widzisz, inwazji Smoszczurów, bym zrozumiał, jak ogromną wartość ma każda chwila z tobą. – Zaśmiał się z nieudanego żartu, po czym dodał: – Pojąłem też, że oddam wszystko, by tych chwil było jak najwięcej.

– Wszystko? – Elinaare wpatrywała się w niego uważnie.

Skalmir zaśmiał się, zawstydzony.

– Jestem człowiekiem drobnej postury. Nie ma we mnie miejsca na Moc i miłość jednocześnie.

Elinaare przymknęła oczy, jakby chciała, by kolejne wypowiedziane przez niego słowa zostały w jej pamięci na zawsze.

– Pożyczymy konie od Malhorna – uznał Skalmir. – I w ten sposób wrócimy do Jesiennicy. Konno, jak inni ludzie.

– A co będzie potem? – spytała cicho.

– Pójdę do Akademii i oddam mój kamień – rzekł mocniejszym już głosem. – A następnie... Sam nie wiem. Może spróbujemy po prostu żyć?

– Jak inni ludzie? – dopytała lekko drżącym głosem.

– Właśnie. – Czarodziej przełknął ślinę. – Pod warunkiem, że będziemy potrafili. Co o tym sądzisz?

– Co o tym sądzę? – Elinaare oparła głowę o jego pierś. – Nie mogę się doczekać, by spróbować.

*

Bielik poklepał jedwabistą sierść gryfa, który starannie złożył skrzydła, a następnie poskarżył się głośnym krzykiem na podwójny ciężar, który musiał wytrzymywać. Drgnął, gdy ręka młodzieńca przypadkiem musnęła jedno ze skaleczeń pozostawionych przez tuistańskie halabardy.

– Wybacz – mruknął Bielik i rozejrzał się z niepokojem. – Naparstek! – zawołał. – Naparstek?

Callestr, który zeskoczył w ślad za młodzieńcem, pokręcił z dezaprobatą głową.

– Co cię tak do niej ciągnie? – mruknął w zgrzytliwym głuchoborskim. – Żeby to chociaż ładna była...

Bielik odwrócił się ku niemu gwałtownie i zmarszczył brwi, na co krasnolud parsknął głośnym śmiechem.

– Co się tak oburzasz? – spytał. – Na żartach się nie znasz?

– Chyba nie – odparł zdeorientowany chłopak. – A na pewno nie na waszych.

Callestr chciał coś powiedzieć, ale przerwała mu sama Naparstek.

– Bielik! – zawołała z trudem.

Dziewczyna stała wśród granitowych skał, mając za sobą wejście do podziemi, gdzie młodzieniec zapuścił się już dwukrotnie. Wydawała się wiotka i krucha, ale na jej drobnej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

Podbiegł do niej i ujął jej ciepłe dłonie. Serce biło mu jak nigdy wcześniej.

– Na czerep Smoczyca, Naparstek... – wyszeptał. – Nic ci nie jest?

Powiał wiatr i roztracił złote listki niezłomnej jarzębiny, która wyrastała spomiędzy dwóch ogromnych głazów. Na twarz dziewczyny padł przelotny promień słońca.

– Nie wiem – odparła. Nadal się uśmiechała, ale wzrok miała mętny, jakby wciąż nie wybudziła się z głębokiego snu. – Chyba nie. Popatrz tylko. Stoję o własnych siłach i w sumie... w sumie już mnie nie boli.

Bielik zamrugał parokrotnie, by pozbyć się z oczu natrętnej wilgoci.

– Mogę cię objąć? – wykrztusił.

Naparstek przeniosła wzrok na naburmuszonego krasnoluda, który usiadł na pobliskim głazie. Ten, najwyraźniej nieprzyzwyczajony ani do bliskości ludzi, ani tym bardziej do takich pytań, prychnął z niechęcią, zsunął się z kamienia i odszedł.

– Chyba możesz – szepnęła.

Bielik z największą ostrożnością otoczył Naparstek ramionami. Nie chciał dotykać środkowych partii pleców, gdzie uderzyła tuistańska maczuga, więc jedną dłoń wsunął w jej krótkie włosy, a drugą oparł na biodrze dziewczyny. Ta z westchnieniem zarzuciła mu ręce na szyję.

– Już po wszystkim? – spytała, muskając wargami jego ucho.

– Tak – odpowiedział, walcząc z dławiającym go wzruszeniem. – Bez dwóch zdań tak.

– I co teraz zrobimy? – Odsunęła się od niego. Patrzyła mu prosto w oczy, a jej spojrzenie zdawało się przytomnieć. – Chcesz tu zostać? W Głuchoborach?

– Tak – odrzekł. – Przez jakiś czas. Trzeba odnaleźć naszych towarzyszy, a ty musisz w pełni dojść do siebie. Poza tym Malhorn być może będzie jeszcze potrzebował mojej pomocy...

– A nie sądzisz, że świat powinien już nauczyć się samemu dawać sobie radę? – weszła mu w słowo. – Jak długo chcesz się jeszcze uganiać w poszukiwaniu kolejnych wrogów? – Jej głos ochłodził nieco, a ton zaczął przypominać ten, który przybierała podczas ich rozmów w Łoskocie.

Bielik spowaźniał.

– Chciałbym ci przypomnieć, że miałem rację – oświadczył. – Głuchobory stały na krawędzi...

– Dobrze. – Naparstek położyła mu palec na ustach. – Tak, miałeś rację. Przeczucie cię nie myliło i wyciągnęłaś właściwe wnioski, dzięki czemu ocaliłeś Malhorna i Głuchobory. Wybacz, że w ciebie zwątpiłam. Tylko gdzie się teraz udamy? Co pocznijemy?

– Rozmawiałem z Voortenem – poinformował. – Wiesz, nie zawsze się zgadzaliśmy, ale dużo mnie nauczył i... cóż, szanuję

jego słowa.

Z ust dziewczyny wyrwało się westchnienie. Poczul, że zeszytniała.

– Uszanuję więc ostatnią lekcję, której mi udzielił – rzekł szybko. – A niedługo po zakończeniu bitwy powiedział mi, że po każdej wojnie nastaje czas ciszy. A przynajmniej powinno tak być, by świat utrzymał równowagę. Trzeba przestać krzyczeć, a zacząć śpiewać. Trzeba przestać biegać, by móc usiąść. Trzeba przegnać niepokój, by wreszcie zacząć się cieszyć drobnymi rzeczami. Myślę, że nie on to wymyślił. Usłyszał to wszystko od Gwaine’a, bo to gadanie o równowadze...

– O czym ty mówisz? – W głosie Naparstek pobrzmiwało zniecierpliwienie.

Bielik odkaslnął. Wyciągnął rękę i zerwał gałązkę z czerwonymi owocami jarzębiny, a następnie zatknął ją za ucho dziewczyny.

– Opowiadałem ci kiedyś o Tumie? Niewielkiej osadzie daleko za Martwym Jeziorem, gdzie się wychowałem?

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Nie – odpowiedziała. – To znaczy wspominałeś raz czy drugi, ale nigdy wiele nie mówiłeś. Czemu... – przełknęła ślinę – czemu teraz ci przyszła do głowy?

– Ja też nie mam pojęcia – dodał siedzący na jarzębinie kruk. – A chętnie posłucham.

Bielik pokręcił głową i wywrócił oczami.

– Ponieważ – rzekł – gdybym chciał gdzieś odpocząć po tym wszystkim, udałbym się właśnie tam.

*

Mads nucił żołnierską piosenkę, wpatrując się z zadumą w ciągnącą się przed nimi drogę. Zbliżali się do skrzyżowania.

– Tu się rozstaniemy – powiedział niespodziewanie Gwaine.

Jego głos wyrwał Voortena ze wspomnień. Pułkownik żegnał się w nich z kompanami z Wiatru, którzy odprowadzili ich kawałek, po czym skierowali się do Brzasku; widział twarze Krzemienia, Czochora i Chryi, a przede wszystkim Kostura i Otluka, i obiecywał sobie, że niebawem ich wszystkich odwiedzi, ale z każdą pokonaną milą jego przekonanie słabło, aż wreszcie zaczął się godzić z myślą, iż być może nigdy to nie nastąpi.

Ich wspólna historia dobiegła końca. Jego towarzysze wrócili do miasta, a on kierował się na północ, by dołączyć do wędrującego

plemienia. Z jednej opowieści stali się dwiema.

Spojrzał na elfa i uśmiechnął się ze smutkiem.

– Na pewno nie chcesz pojechać ze mną na Pustać? – spytał. – Piołanie niegdyś widywali elfy i wciąż je pamiętają. Nie czułbyś się wśród nas obco.

Gwaine także się uśmiechnął.

– Być może powinienem – rzekł. – Być może. Lecz zły to moment. Udało się ocalić równowagę, co było wielkim wyczynem, ale wcale nie uważam, że moja praca dobiegła końca. Świat potrzebuje mnóstwa czasu, by zagoić swe rany, a czas dochodzenia do siebie bywa niebezpieczny.

Mads pokręcił z niedowierzaniem głową.

– A więc znów wyruszasz na szlak, by strzec równowagi?

– Tak – odparł zdecydowanie elf. – Jestem to winien temu światu. Możliwe, że kiedyś uznam, iż nasz dług za Jaszczura został spłacony, ale na razie czeka mnie jeszcze długa wędrówka.

– Czyli gdy znów odwiedzisz Pustacć, będzie to znak, że szykuje się kolejna wojna? – chciał wiedzieć Voorten.

Elf oddychał miarowo. Jesienne słońce przeglądało się w jego zaplecionych włosach.

– Pewnie tak – odpowiedział. – A więc byłoby lepiej dla ciebie i dla całego świata, byśmy się już nigdy nie spotkali. Choć boleję nad tym. Będę za tobą tęsknił, mój przyjacielu.

– Ja za tobą też – przyznał Mads, nagle wzruszony. – Na skórę z dupska Smoczycy, Gwaine, jeszcze trochę, a przejmiesz wszystkie ludzkie uczucia.

– Dla niektórych chętnie zostałbym z tobą dłużej – przyznał elf.

– Z kolei inne sprawiają, że mam ochotę popędzić konia.

– Jedź więc. I uważaj na siebie.

– Ty też.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Gwaine zawrócił konia i ruszył przed siebie. Mads spoglądał za nim jeszcze długą chwilę. W końcu westchnął.

– Wygląda na to, że zostaliśmy sami – zwrócił się do Żmijki, a ten prychnął z zadumą.

Udali się więc, koń i jego jeździec, w drogę powrotną. Wędrowali krętymi traktami Pogórza, a potem kierowali się na północ, omijając Góry Dostojne. Jechali niespiesznie między bukowymi i dębowymi rdzewiejącymi lasami, wdychali rześkie górskie powietrze i cieszyli się łagodnym dotykiem jesiennego słońca. Z

każdą minutą wojenne wspomnienia się rozrzedzały, a tęsknota za domem przybierała na sile.

Aż na ich drodze pojawił się smok.

Swoim cielskiem zagradzał trakt na całą szerokość. Na widok jeźdźca i konia otworzył szeroko czerwone ślepia i uniósł płynnym ruchem łeb, a na jego karku i łbie uniósł się z chrzęstem rząd kościanych wypustek. Z pyska bestii wydobył się głuchy, złowieszczy syk. Z kłów ściekała ślina.

Mads westchnął z niechęcią i zniecierpliwieniem.

– Spierdalać – powiedział.

W nieco skośnych ślepiach smoka błysnęło zdumienie. Wielki łeb opadł nagle i zawisł tuż nad traktem, a potężne szczęki, zdolne pochłonać jeźdźca wraz z koniem, rozchyliły się, po czym z gardzieli buchnął gardłowy ryk. Smród był tak potężny, że Voorten z trudem powstrzymał zawartość żołądka.

– Pieprzona gadzina – wycharczał.

Żmijka parsknął zaniepokojony, a Voorten, opanowawszy słabość, klepnął wierzchowca po szyi i zeskoczył z siodła. Złapał włócznię, wyszarpnął ją z tulei, zakręcił drzewcem z furkotem, i z całej siły zdzielił nią potwora w szczękę. Smok, zaskoczony jeszcze bardziej, ponownie zasyczał, a potem zatrzaskał szczęki i znów uniósł łeb.

– Wynocha, ropucho! – wrzasnął Mads. – Zabierz stąd tę tłustą dupę, bo cię jak durnego osła wybatożę! I ani się waż morde otwierać, bo...

Znienacka pojawiła się ogromna, pazurzasta łapa, która z głośnym łupnięciem przygniotła smoczy pysk do traktu. Głuchy syk został zastąpiony skamleniem.

– Pan wybaczy, panie pułkowniku – odezwała się Lharsin i napała łapą na łeb smoka, wbijając go głębiej w trakt.

Ten odruchowo usiłował się uwolnić, ale gdy łypnął ku górze na Lharsin, jego mięśnie zwiotczały. Opadł i zaległ nieruchomo.

– Jakoś go, cholera, wychować nie mogę – stwierdziła smoczyca i dla pewności przygwoździła łeb drugą łapą, a następnie rozsiadła się na tułowiu smoka. – Widać, że dyscypliny nienauczony. W wojsku nie był, a więc trudno się dziwić.

Mads odetchnął i oparł się na włóczni.

– To ten, którego Skalmir z Gwainem podpieprzyli Królowej-Wieszczce?

– Tenże – oświadczyła z dumą Lharsin. Ogromny glut spadł na pysk drugiego smoka, ale ten nawet nie drgnął. – Niech się pan

jednak nie obawia. Lojalność wobec Smoszczurów już mu z dupska wybiłam. – Poklepała obsmarkanego gada po pysku, na co ten otworzył jedno ślepię. Błysnęła w nim udreka. – Dziki. Nieokrzesany. Głupi. Myśli sobie, że jest nie wiadomo kim. – Znów klepnęła, mocniej niż przed chwilą. – Ale ma swoje zastosowania – mruknęła, jakby nieco rozkojarzona. – Się pan nie boi. Daję sobie radę.

– Proszę, proszę – rzekł rozbawiony Voorten. – Wiem, że Gwaine kazał ci się jakoś nim zająć, ale w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że go... No...

– Oswoję – dokończyła smoczyca. – No, jakoś się turla. Wygraliśmy wojnę? – spytała nagle z niepokojem.

– Wygraliśmy.

– Król się nie złości, żem sobie przedłużyła przepustkę?

– Nie. Niespecjalnie.

– O, to dobrze – ucieszyła się. – Bo wie pan, życie w cywilu ma swoje dobre strony.

Smok zajączał cicho. Lharsin westchnęła, pochyliła łeb i usunęła łapą smarki z jego pyska.

– Tak... – skwitował Mads. – Ewidentnie ma. Czy mogłabyś... eee... zrobić nam miejsce?

– Pewnie. Już drania biorę do domu. No, chodź tu. Aleś ty utył.

Wiry powietrza zatańczyły na trakcie, porywając chmurę żółtych liści, gdy Lharsin uderzała skrzydłami i wznosiła się w powietrze, unosząc ze sobą półprzutomnego towarzysza.

– Do zobaczenia, panie pułkowniku! – zawołała. – Jak znowu zaczniesz się jakaś rozpierducha, wie pan, gdzie mnie szukać!

Mads pomachał jej ręką. Przez chwilę śledził jej lot ku Górom Dostojnym.

– Teraz to już mnie nic nie zdziwi – oznajmił, po czym wspiał się na siodło.

Żmijka prychnął i ruszył.

Wracali do domu.

Książki Marcina Mortki w Wydawnictwie SQN

Drużyna do zadań specjalnych

Nie ma tego Złego
Głodna Puszcza
Skrzynia pełna dusz
Powrót do Gryfa

Dla tych, którzy polubili bohaterów serii i chcą spędzić z nimi więcej czasu:

Przed wyruszeniem w drogę
Koszyczek dla Doli

Morza Wszeteczne

Morza Wszeteczne
Wyspy Plugawe
Zaułki St. Naarten

Straceńcy Madsa Voortena

Mroźny szlak
Utracona godzina
Widmowy Zagon
Ostrza Burzy

Prequele dla tych, którzy chcieliby się dowiedzieć czegoś więcej o przeszłości Madsa i Wiatru:

Martwe Jezioro
Druga Burza

Pozostałe (na razie) jednotomowe książki:

Pas Ilmarinena
Maleficjum
Karaibska odyseja

DAJ SIĘ PORWAĆ PRZYGODOM ROLANDA I INNYCH BOHATERÓW!

Ahoj! Daj się porwać lodowatym falom mórz, po których grasują prawdziwe wilki morskie! Zaciągnij się na łajbę zabójczego, choć nieco młodego, rekina pirackiego świata – kapitana Rolanda! Zobacz, czym jest życie prawdziwego pirata (tylko nie przesadz z rumem)!



**KLASYCZNA I JEDNOCZEŚNIE WYJĄTKOWA
PIRACKA PRZYGODA**

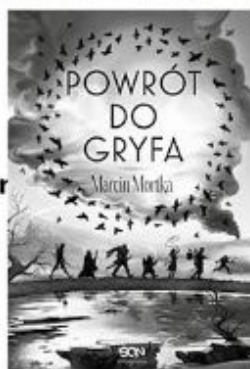
Szukaj w dobrych księgarniach

sqn **sqn**
Originals *imaginatio*

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Książki **KSIĄŻKI DLA CZYTELNIKÓW** wie SQN

GŁODNYCH PRZYGÓD!
Drużyna do zadań specjalnych



Prequele dla tych, którzy chcieliby się dowiedzieć
KARCZENNE BIJATYKI, DWORSKIE SPISKI,
NOCNE BIESIADOWANIE, PRZEKONAJ SIĘ,
CO JESZCZE CZEKA NA CIEBIE W DOLINIE!

Pozostałe (na razie) jednotomowe książki:
Szukaj w dobrych księgarniach

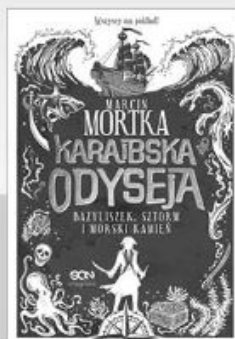
SQN magazyn **SQN**
Originals Magazyn *Imaginatio*

Kamibula edycja
www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami sine qua non, warunkiem koniecznym
istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje
dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję,
że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN
Imaginatio

SQNSTORE.PL **labotiga.pl**